

Nicole Byrd

DAMA W CZERNI

Prolog

1817

Markiz Gillingham miał zwyczaj podróżować nocą.

Kiedy w swym czarnym powozie ze splewiałym herbem na drzwiczkach rozbijał się po wyboistych polnych drogach, wszyscy przyznawali zgodnie, że człowiek o tak przerażającej aparycji z pewnością czuje się najswobodniej w ciemności. Niektórzy byli zdania, że lorda Gillinghama krępują ciekawskie spojrzenia rzucające na jego oszpeconą, twarz. Pozostali jednak twierdzili, że taka wrażliwość jest markizowi obca, i doszukiwali się innych, diabolicznych wręcz przyczyn jego nocnych podróży i umiłowania ciemności. Krzewiły się makabryczne bajdy o kulcie szatana i toastach z dziewiczej krwi rozlanej na cześć władcy piekieł. Zmuszało to proboszcza, by nieustannie grzmiał z ambony o szkodliwości zabobonów i bezmyślnej oszczerczej gadaniny. Jednak księżowskie napomnienia nie były w stanie wytepić plotek, a nawet - w jakiś przewrotny sposób - przyczyniały się do ich rozkwitu.

Markiz nie zapuszczał się nigdy daleko, jego podróże zaś ograniczały się do niezbędnych lustracji rozległych włości w Kent. Regularnie odwiedzał też swych dzierżawców, sprawdzając, jak im się wiedzie. Widocznie te szeptane z ust do ust plotki nie robiły na nim większego wrażenia. Ich skutek był jednak taki, że nawet na odległych krańcach hrabstwa nierzadko straszono krnąbrne dzieci imieniem jego lordowskiej mości.

- Wywijaj tym koszykiem, Jemmy, wywijaj! I stłucz jeszcze jedno jajko, a rzucę cię Czarnemu Gillinghamowi na pożarcie. Zobaczysz!

Małemu winowajcy zapierało dech. Żegnał się pospiesznie znakiem krzyża, dotykał ukrytego pod koszuliną skromnego talizmanu... i przez jakiś czas bardziej się przykładał do obowiązków.

Markiz Gillingham zaś krył w mroku twarz poznaczoną głębokimi śladami ospy i najchętniej przebywał we własnym domu - zamknięty w ciemnej skorupie wielkiego dworu zapuszczonego ze szczeniem przez nieliczną służbę, która odważyła się pozostać przy takim chlebobawcy.

Dopiero owej pamiętnej wiosny 1817 roku rozeszły się po okolicy odmienne wieści. Wprost niewiarygodne - i tym chętniej słuchane i powtarzane.

- Markiz wybiera się do Londynu!

- Czarny Gillingham chce się żenić!

1

Podobno jest wyjątkowo brzydki! - oznajmiła Louisa Crookshank z wyraźną satysfakcją.

Wbiła zęby w dorodną cieplarnianą brzoskwinię. Sok pociekł jej po brodzie, więc otarła go niedbale, potrząsając złotymi lokami, które opadły jej na twarz.

Każda inna niewiasta wyglądałaby w takiej sytuacji niechlujnie, myślała Mariannę Hughes, obserwując Louise. Ale ona jakimś cudem nawet rozczochrana i z brodą, ochlapaną sokiem jest piękna jak zawsze! Śmietanka towarzyska Bath nie bez racji nadała jej przydomek „niezrównanej panny Crookshank"... ale wyrządziła tym Louisie niedźwiedzią przysługę!

- Czemu w takim razie, na litość boską, chcesz, żeby się o ciebie starał?! - spytała stryjenka Louisy, Caroline Crookshank z domu Hughes. W jej głosie brzmiał jak zwykle lekki niepokój. - Ewanie! Odłóż natychmiast ten kamyk... i nie waz się rzucać w siostrzyczkę!

Chłopczyk jednak nie odstąpił od swego zamiaru... tyle że nie trafił do celu. Ciśnięty niezbyt jeszcze wprawną rączką kamyk ugodził w szarą spódnicę cioci Mariannę, która bawiła u nich w gościnie, ale odbił się lekko i, nie poczyniwszy większych szkód, potoczył po ziemi. Mariannę uśmiechnęła się i cofnęła stopy, które znalazły się na trasie przemarszu jeszcze mniejszego od Evana chłopczyka. Popychał on przed sobą drewniany powozik zaprzężony w dwa drewniane konie.

Chociaż Mariannę bardzo kochała swoją szwagierkę i jej rodzinę, potomstwo Caroline bywało chwilami nieprzewidywalne.

Ponieważ dzień był śliczny, panie siedziały na trawniku obok ogrodu różanego, popijając herbatę. Dzieciom pozwolono biegać po wyźwirowanych ścieżkach, ile dusza zapagnie.

- Chce się za niego wydać, bo Lucas Engleworth ją porzucił. To jasne!

Wyrzekłszy te słowa, jedenastoletnia Cara Crookshank sięgnęła po następną bułeczkę,

- On mnie wcale nie porzucił! - zaperzyła się Louisa. - Jak będziesz wygadywać o mnie takie łągarstwa, dam ci po uszach!

- No, może i nie porzucił... bo nigdy ci się nie oświadczył, choć taka byłaś tego pewna! - kontynuowała nieustraszona Cara mimo rozpaczliwych sygnałów dawanych jej przez matkę. Dziewczynka uśmiechała się przy tym niewinnie do starszej kuzynki, cofnąwszy się na wszelki wypadek za krzesło cioci.

- Nie zapominaj, Louiso, że jesteś już dorosła-mruknęła Mariannę, gdy siostrzenica zerwała się na równe nogi, chcąc najwidoczniej wprowadzić w czyn swą pogroźkę. - Nie masz dwunastu lat, tylko dwadzieścia jeden... prawie.

Louisa opadła znów na krzesło, ale jej śliczna buzia nadal była naburmuszona.

- Wcale mi nie zależało na sir Lucasie! Taki... niedorostek!

- Dwa lata starszy od ciebie - mruknęła Cara, ale tym razem (na szczęście!) kuzynka jej nie usłyszała.

- Chciałabym spotkać kogoś bardziej dojrzałego... I czym taki baronet jest wobec markiza, który ustępuje jedynie księciu? Może zachciało mi się zostać markizą?... A w dodatku Gillingham jest podobno niesamowicie bogaty!

- Pieniądzy ci nie brak. A będziesz musiała patrzeć na jego okropną gębę od rana do nocy! - wtrąciła nieposkromiona smarkula.

- Cóż za nielitościwa uwaga! - złajęła ją matka. - Dobrze wiesz, że nasz proboszcz zawsze powtarza; „Liczy się tylko piękno duszy, nie ciała!”

Łatwo proboszczowi mówić takie rzeczy, gdy nie musi codziennie przy porannej herbacie oglądać niczyjej paskudnej twarzy! - pomyślała mimo woli Mariannę. Zdążyła poznać pulchną, ładniutką panią pastorową o różanych policzkach i czarującym, słodkim uśmiechu. Jednak pomyślawszy to, zawstydziała się. Czyżby miała ptasi mózdzek jak Cara?... Głupotę dziewczynki można tłumaczyć jej młodym wiekiem. Ale ona, Mariannę, nie miała podobnego usprawiedliwienia.

Caroline Crookshank zakończyła domowe kazanie i dodała innym tonem:

- Wszyscy już wypili herbatę, prawda? Pora, by dzieci wróciły do swojego pokoju. Zajrzę do was i do dzidziusia, nim zacznę się przebierać do obiadu.

Care nadąsała się, ale zawróciła w stronę domu. Jej młodszy brat, Evan, drugi z gromadki rodzeństwa, był jednak ulepiony z twardszej gliny.

- Ja chcę jeszcze raz zagrać w kręgle z ciocią Mariannę! - protestował, wymachując niepokojąco garścią pełną kamyków,

- Zdążymy jeszcze nieraz zagrać w kręgle - perswadowała mu Mariannę, widząc, że matka zaczyna chwiać się w swoim postanowieniu.

Na szczęście guwernantka, panna Sweeney, odznaczała się stanowczością, której czasem nie dostawało kochającej matce.

- Wracamy do domu, dość marudzenia. Wyrzuć natychmiast te kamyki, mój panie!

I zapędziła dzieciaki z powrotem do przeznaczonej dla nich części domu. Odwrót odbywał się w idealnym niemal spokoju (Evan raz tylko uszczypnął siostrzyczkę, kiedy go popchnęła), dopóki Louisa nie odezwała się nietaktownie, gdy dzieciarnia znajdowała się jeszcze w zasięgu jej głosu:

- Bogu dzięki! Ci smarkacze robią zawsze tyle hałasu!

- Nie jestem smarkaczem! - rozsierdził się Evan. Jego młodszy brat, Tom, zawtórował mu:

- Nie malkać!

Caroline wzdrygnęła się.

- Louiso, nie prowokuj dzieci, bardzo proszę!

Wrzeszcząca dzieciarnia znikła we wnętrzu domu, a za nimi wyprostowana jak struna panna Sweeney stanowiąca tylną straż. Na chwilę zaległa cisza. Tylko ptak zaćwierkał z drugiego końca trawnika, a pszczoła, brzęcząc krążyła wokół różanego krzewu. Lokaj o doskonale obojętnej twarzy podał paniom na srebrnej tacy imponujący wybór ciastek.

Louisa wzięła ciastko z rodzynkami i pogryzała je z miną niewiniątka.

Te anielskie miny to jej specjalność, pomyślała Mariannę, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Podobnie jak znakomicie wyćwiczona przed lustrem i ogólnie podziwiana naturalność i szczerłość tej panienki!

- Ale mówiąc poważnie, Louiso, czemu tak ci zależy na wyjściu za mąż za tego markiza? - Caroline wróciła do przerwanej wątku rozmowy. - Przecież go nigdy w życiu nie widziałas! Pomijając już jego wygląd... bo cóż on, biedak, temu winien?... Powiadają, że ma bardzo przykry charakter!

- Jeśli nigdy się nie spotkaliście, skąd ta pewność, Louiso, że będzie chciał zabiegać o twoją rękę? - spytała trzeźwo Mariannę między jednym a drugim rykiem stygnącej już herbaty.

Louisa zamrugała oczyma.

- Z pewnością zechce, kiedy mnie zobaczy! W Londynie... - dodała z rozmarzeniem, po czym zwróciła się żywo do swej ciotki Mariannę bawiącej

w domu stryjenki Caroline. - To byłaby dla ciebie taka wspaniała rozrywka, ciociu! Twoja żałoba dawno już dobiegła końca, choć nadal nosisz te okropne szarobure suknie... Pomyśl sama, jaką miłą odmianą będzie dla ciebie udział w przyjęciach i balach londyńskiego sezonu w charakterze mojej opiekunki!

Mariannę spojrzała na szwagierkę, która zaczerwieniła się, mając najwyraźniej nieczyste sumienie.

- A więc postanowiliście schwytać mnie w pułapkę? Wspaniała rozrywka, miła odmiana?! Doprawdy, trudno w ten sposób określić ciężkie obowiązki przyzwoitki „niezrównanej panny Crookshank”!

- Proszę cię, ciociu Mariannę, zgódź się! Będę dla ciebie taką pociechą! Nigdy nie sprawię ci kłopotu! Tak bardzo pragnę pojechać wreszcie do Londynu i zadebiutować w wielkim świecie! Dobrze wiesz, ile razy trzeba to było odkładać!... Najpierw tatuś obawiał się, że z niegroźnego przeziębienia wyniknie zapalenie płuc, i uparł się, że nie mogę opuszczać domu... Następnej wiosny stryjenka była znów przy nadziei... A potem biedny tatuś zachorował... Teraz, kiedy żałoba po nim dobiegła końca... To wcale nie znaczy, że nie brak mi mojego najdroższego tatusia!... - Tu głos panienki załamał się, co dobrze świadczyło o jej uczuciach. Po chwili podjęła na nowo. - Ale wiem, że i on chciałby, żebym pojechała i dobrze się bawiła!

Sęk w tym, że dziewczyna miała rację! Gdyby kochający ojciec nie rozpuścił jej do tego stopnia, dumiała Mariannę, nie byłaby może teraz taką zapatrzoną w siebie, śliczną gąską. Ale matka odumarła ją przed laty, ojciec zaś nie potrafił niczego odmówić złotowłosej córki... I oto skutki!

Mariannę żałowała, że nie jest w wieku Toma i nie może wrzeszczeć ani tupać. Spojrzała znów na szwagierkę. Caroline odłożyła robótkę.

- Louiso, może byś poszła do pokoju dziecinnego i pogodziła się z małymi kuzynkami? Nie powinnaś była tak brzydko ich przezywać! - zwróciła się do bratanicy. - A ja tymczasem porozmawiam z ciocią Mariannę.

Louisa rozpromieniła się.

- Wstawisz się za mną, stryjenko? Oczywiście że pójdę do dzieci! Nawet je przeproszę i będę bardzo, bardzo grzeczna. Przekonacie się obie... Tylko zgódź się, moja najdroższa ciociu! Na

pewno tego nie pożałujesz!

Impulsywnie uściskała Mariannę, omal nie przewracając stojącej obok jej łokcia filiżanki, i pomknęła w stronę domu, śliczna i zwiwna.

Gdy damy zostały same, Caroline gestem ręki odprawiła służącego i wreszcie ośmieliła się spojrzeć w twarz swego gościa.

- Mogłaś mnie chociaż uprzedzić - powiedziała Mariannę, unosząc brwi.

- Wiem. I naprawdę miałam taki zamiar - odparła Caroline. - Wybacz mi, proszę, że postawiłam cię w tak niezręcznej sytuacji! Próbowałam przekonać Louise, że może odbyć swój debiut towarzyski w Bath... Ale uparła się zakosztować londyńskich rozkoszy i nic innego jej nie zadowoli. Pamiętasz chyba, że gdy skończy dwadzieścia jeden lat, odziedziczy pokaźny spadek. .. Muszę więc powierzyć ją opiece kogoś, kto będzie miał na nią oko. Nie chcę, by padła ofiarą, pierwszego łowcy posagów, który się koło niej zakręci! A Louisa nie ma żadnych stryjenek, w ogóle żadnych krewnych ze strony ojca, prócz stryjecznego dziadka, starego kawalera... w dodatku skłóconego z rodziną. Na domiar złego Louisa jest teraz bardziej niż kiedykolwiek zdolna do nieprzemyślanych decyzji... bo choć temu zaprzecza, wiem, jak bardzo liczyła na oświadczyzny Lucasa... a on ni stąd, ni zowąd się wycofał!... Poza tym ty, Mariannę, jesteś jedyną osobą, wobec której nasza panna czuje respekt!

Argumenty szwagierki płynęły wartko, jakby Caroline przeciwzyła sobie tę mowę. Mariannę przymknęła oczy. Do tej pory było jej tutaj tak dobrze, tak spokojnie... Miała nadzieję, że w ciszy Bath otrząśnie się z niewytłumaczalnego niepokoju, który nękał ją od miesięcy. Atumasz! Perspektywa ustawicznego czuwania nad żywiołową i dość egoistyczną młodą damą, po raz pierwszy zażywając wielkowiejskich uciech... No, cóż... Rozrywką to z pewnością nie będzie!

- A ty, Caroline... - zaczęła Mariannę ostrożnie. Potem urwała i spytała prosto z mostu: - Wiem, że nie lubisz Londynu, moja droga, ale... czy nie jesteś, Boże broń, chora?

Caroline przygryzła wargę.

- Nie chciałam nabierać cię na litość, wysuwając takie argumenty. Tylko.. . widzisz, Mariannę, jestem znów w ciąży. Louisa chyba się tego nie domyśla, chociaż z nią nigdy nie wiadomo... Czasem zachowuje się jak dziecko, a zaraz potem przybiera pozę światowej damy!

- O!... - Mariannę zdziwiła się nowiną. Najmłodsze dziecko Crookshanków miało zaledwie rok. Nic dziwnego, że Caroline tak mizernie wygląda! - Moje gratulacje! - Pochyliła się ku szwagierce i pospiesznie ją uściskała. - Jak się czujesz?

- Okropnie - przyznała Caroline. - Prawie nic nie mogę utrzymać w żołądku... A na samą myśl, że miałabym w tym stanie znosić trudy londyńskiego sezonu... Zresztą dobrze wiesz, że stokroć bardziej odpowiada mi spokojna atmosfera Bath.

Mariannę westchnęła. Wszystko wskazywało na to, że nie wypłacie się z tej matni. Jak mogłaby odmówić Caroline, siostrze swojego zmarłego męża, a w dodatku przyjaciółce z lat dziecińczych - zwłaszcza teraz, gdy jest taka blada i osłabiona? Trudno zresztą winić Caroline, że chce przerzucić na inne barki to niewdzięczne zadanie! Louisa stanowiła twarde orzech do zgryzienia nawet dla kogoś znacznie bardziej stanowczego niż łagodna Caroline, tak bliska sercu szwagierki... Mimo długoletniego wdowieństwa Mariannę czuła się nadal związana z rodziną męża, jeśli już nie więzami powinowactwa, to szczerym przywiązaniem. W dodatku przyjaźniły się z Caroline od czasów, gdy obie dorastały w sąsiadujących ze sobą majątkach w West Country.

- W takim razie bądź tak dobra i oświeć mnie, na co mam być przygotowana. Opowiedz mi o tym osławionym markizie! - powiedziała Mariannę, godząc się z tym co nieuchronne. - I wytłumacz, czemu Louise tak zależy na oczarowaniu kogoś, kogo nie zna nawet z widzenia! Caroline, która nieco się odprężyła, opadła z ulgą na oparcie fotela.

- To wszystko niesprawdzone pogłoski, doprawdy... ale wiesz, jak to jest w Bath!

Mariannę uśmiechnęła się szeroko i znów łyknęła zimnej herbaty. W uzdrowiskach, gdzie kuracjusze spędzali większość czasu w pijalni, sącząc przez rurkę lecznicze wody (przeważnie obrzydliwe w smaku), plotki stanowiły główną atrakcję.

- Otóż... nasza pani Howard otrzymała list od znajomej mieszkającej w Kent. Tak się składa, że majątek jej męża graniczy z posiadłością Gillinghamów... W tamtych stronach rozeszła się wieść, że nowy markiz wybiera się do Londynu w poszukiwaniu odpowiedniej żony. Widać, odziedziczywszy tytuł, czuje się w obowiązku zadbać o ciągłość rodu. Zupełnie zrozumiałe.

- Czyżby w najbliższej okolicy brakło odpowiednich panien? - zdziwiła się Mariannę.

- Wątpię, by któraś zgodziła się wyjść za niego- odparła bez ogródek szwagierka zazwyczaj wyrażająca się bardzo oględnie.

Zaskoczona Mariannę podniosła na nią wzrok.

- Taki szpetny?

- O ile mi wiadomo, w młodości zapadł na ospę. i podobno jest okropnie dziobaty.

Mariannę zamrugwała ze zdumienia. Większość majątnych ludzi w tej epoce postępu - na początku XIX wieku - poddawała się szczepieniom przeciwko ospie, by uchronić się przed tą przerażającą chorobą. Wielu ziemian kazało nawet szczepić służbę domową i folwarczną. Rodzice Mariannę zabezpieczyli ją w ten sposób, gdy była w wieku małego Evana. Słyszała jednak, że niektórym owe ukłucia w ramię nie zapewniają bezpieczeństwa... Co gorsza, w uszach Mariannę nadal złowieszco brzmiały słowa szwagierki: „W młodości zapadł na ospę...” Czyżby lord Gillingham był nie tylko oszpecony, ale i w podeszłym wieku?!

- O mój Boże!... - wymamrotała.

- Słyszałam też, że ma wyjątkowo przykry charakter, co mnie jeszcze bardziej niepokoi - dodała Caroline. - Nie można pozwolić, by Louisa związała się pochopnie z jakimś grubianinem, choćby był nie wiem jak utytułowany!

Mariannę zgadzała się z nią w zupełności. Nawet jeśli Louisa miała nieco przewrócone w głowie, żadna z nich nie życzyła jej gorczy niedobranego związku. A już z pewnością nie Mariannę, która otrzymała od losu niesłychanie rzadki dar -jej pierwsza młodzieńcza miłość została uwieńczona małżeństwem! Tak, wszystko wskazywało na to, że chcąc nie chcąc - wbrew swemu sercu i rozsądkowi - będzie musiała odegrać rolę przyzwoitki.

Potrząsnęła głową.

Przyjaciółka spojrzała na nią pytająco.

- Cóż za ironia losu! - wyjaśniła Mariannę. - Po śmierci Harry'ego tak gorąco dziękowałam opatrności, że pozostał mi skromny fundusz i nie będę musiała odgrywać roli guwernantki!... A tu masz!

Caroline roześmiała się.

- Och, dajże spokój! To nie będzie aż takie straszne. Musisz tylko towarzyszyć Louisie na przyjęciach i uważać, z kim się spotyka.

- I w teatrze, i w parku, i na proszonych śniadaniach, i na herbatkach, i na balach, i na Bóg wie czym jeszcze! A panowie będą się do niej zlatywać jak muchy do miodu. Przyjdzie mi chyba odpędzać ich kijem! - prorokowała Mariannę. - Taka uroda i takie bogactwo! Prawda, że ojciec Louisy parął się handlem, ale dziewczyna powinna mieć prawie takie powodzenie, jakiego się spodziewa.

Szalone sukcesy towarzyskie mogą jednak odwieść panienkę od zamiaru podbicia tajemniczego markiza. Osłabia również ból, jaki sprawiło Louisie nieoczekiwane wycofanie się jej pierwszego konkurenta. Mariannę westchnęła.

- Muszę zagonić moją pokojówkę do pakowania! Louisa z pewnością spodziewa się, że wyruszymy do Londynu bez zwłoki. A ty, Caroline, połóż się i odpocznij przed obiadem. Koniecznie!

Caroline, która z trudem powstrzymywała ziewanie, nie zaprotestowała. Przyjaciółki wróciły do domu, gdzie niecierpliwie oczekiwała ich powrotu Louisa.

- No i co? - wybuchnęła nowa podopieczna Mariannę, zrywając się z fotela, w którym siedziała. Widocznie postanowiła zrobić na ciotkach jak najlepsze wrażenie, gdyż płótno napięte na tamborku zdobił szereg wielkich, nierównych ściągów. - Przeprosiłam wszystkich moich kuzynków, nawet Evana! Coście postanowiły? Zabierzesz mnie ze sobą do Londynu, najdroższa cioteczko?

Ledwie Mariannę zdążyła skinąć głową, panienska omal jej nie udusiła z radości.

- Jesteś najwspanialszą ciocią na świecie! Nie pożałujesz swej dobroci, przysięgam! I sama też będziesz się doskonale bawić, ciociu Mariannę. Przekonasz się! Stryjenka Caroline zawsze powtarza, że powinnaś więcej udzielać się towarzysko. Nawet starym ludziom przyda się trochę rozrywki!

Caroline zaprotestowała słabo:

- Ależ, Louiso.

Mariannę, która miała trzydzieści dwa lata, zamrugła oczyma. W co ja się wpakowałam, na litość boską?!

Przez jakiś czas gawędziła z Louisą, a raczej słuchała jej paplaniny o wszystkich atrakcjach Londynu - od Vauxhall Gardens po prezentację u dworu. W końcu przypomniała panience, że zbliża się pora obiadu, i obie udały się na górę, żeby się przebrać.

W przeznaczonym dla niej pokoju gościnnym Mariannę usiłowała przekonać samą siebie, że przebywanie przez kilka miesięcy w towarzystwie młodej dziewczyny będzie dla niej naprawdę miłą odmianą. Starzy zawsze powinni otaczać się młodzieżą, pomyślała z przekąsem, przyglądając się bacznie odbiciu w lustrze przed włożeniem wieczorowej sukni.

- Czarną ze srebrną lamówką? - spytała pokojówka, ledwie jej pani weszła do sypialni.

Mariannę potrząsnęła głową.

- Dziś włożę tę lila. Będzie chyba odpowiedniejsza. W Sydney Gardens ma się odbyć wieczorny koncert. Wiem, że panna Louisa ma wielką ochotę tam pójść.

Pokojówka burknęła coś, zgorszona, że jej pani ma dostosowywać swoje plany do kaprysów jakiejś pannicy, ale wyjęła liliową suknię.

Nietaktowne uwagi Louisy zabolowały Mariannę znacznie bardziej, niż chciała się do tego przyznać. „Okropne szarobure suknie”? Istotnie, nadal miała sporo sukien w półżałobnych kolorach. Ale w szarym, a nawet w czerni, było jej do twarzy, a że nie miała zbyt wiele pieniędzy, nie mogła ich marnotrawić na sprawianie sobie nowych toalet z racji udziału w londyńskim sezonie; zresztą, kto by się tam gapił na stroje przyzwoitki?

„Starzy ludzie”... Czy naprawdę tak staro wygląda? W ciemnych włosach wdzięcznie okalających policzki nie było ani śladu siwizny. A w kącikach szaroniebieskich oczu widniało zaledwie kilka zmarszczek mimicznych. Cerę miała czystą i jasną.

Gdyby nadal była mężatką, a może i matką, pewnie by się nie przejmowała upływem lat. Straciła jednak męża, będąc niewiele starsza od Louisy, czuła, że jej życie jest jak ścięty pęk róży, któremu nie było dane ani rozwinąć się w pełni, ani nawet rozchylić płatków. Nawet i teraz od czasu do czasu w środku nocy, gdy leżała bezsennie samotna w swym łóżku, powracało do niej tamto porównanie. Odpędzała je zdecydowanie jak natrętnego ducha. Te dawne marzenia. Nie zaznała pełni małżeńskiego szczęścia, nie urodziła dzieci, nie urzeczywistniła swych ambicji ani dążeń. Mariannę rzadko przyznawała się (nawet przed sobą) do podobnych myśli. Nie były godne prawdziwej damy!

Ostatecznie szczęście dopisało jej znacznie bardziej niż wielu innym wdowom. Miała skromny, ale wystarczający na życie dochód oraz dom w Londynie. Mogła się cieszyć swoimi książkami i towarzystwem przyjaciół. Często odwiedzała Caroline i jej dzieci, a także swego brata i jego rodzinę; mieszkał z ich owdowiałą matką w Devon.

Czyżby naprawdę była taka stara?

Mariannę z westchnieniem poinformowała pokojówkę Hackett o zamierzonym powrocie do

Londynu z nową podopieczną.

- Oj, będzie miała pani urwanie głowy z tą pannicą! - Hackett posępnym tonem ostrzegła chlebodawczynię. Służyła u rodziców Mariannę już wówczas, gdy jej obecna pani latała w krótkiej spódniczce. I zawsze była pesymistką. - A rozumu to jej Pan Bóg całkiem poskąpił, zauważyłam to nieraz!

- Oszczędź mi tych niestosownych komentarzy na temat panny Louisy, Hackett! Są całkiem nie na miejscu - upomniała ją stanowczym tonem Mariannę. .

Tego tylko brakowało, by w jej niewielkim domku rozgorzała wojna podjazdowa między jej podopieczną a nieliczną służbą domową!

Wierna sługa pociągnęła nosem; na jej nieco końskiej twarzy pojawił się grymas; nadal jednak pilnie szcztokowała ciemne włosy swojej pani, a następnie upięła je w gładki węzeł u nasady szyi, na francuską modłę.

Kiedy Mariannę zeszła na obiad, przekonała się, że szwagier został już powiadomiony o planach rychłego wyjazdu jej i Louisy do Londynu.

- Wyjeżdżamy natychmiast! - wtrąciła panienka z wielkim ożywieniem.

- To zależy od twego stryja, Louiso - utemperowała ją Mariannę. - Powóz jest jego własnością, a my najwyżej możemy prosić, by zechciał go nam pożyczyć. Chyba że wolisz odbyć podróż do Londynu dylizansem.

Mariannę nie było stać na utrzymanie własnego powozu, toteż jej wizyty u rodziny musiały się łączyć z podróżami do Londynu i z Londynu jej zamożnych krewniaków. Na szczęście Charles Crookshank nie tylko był wziętym adwokatem w Bath, lecz często jeździł w interesach do stolicy i innych większych miast. Dzięki temu Mariannę mogła bez większego trudu przemieszczać się na trasie Londyn-Bath.

Louisa skrzywiła się zerknęła na stryja, który od śmierci ojca był jej opiekunem. Charles roześmiał się dobrodusznie.

- Chyba uda się wam wyruszyć niebawem do tego raj. Może nie jutro, ale najpóźniej w piątek lub w sobotę.

Louisa nadaśała się. Czekać całe trzy dni?! Wkrótce jednak powróciła do swych planów związanych z debiutem w wielkim świecie. Z godziny na godzinę stawały się one coraz bardziej ambitne.

- Muszę sobie sprawić nową garderobę! - zapewniała małą kuzyneczkę, która okazała się wdzięczną słuchaczką.

- Ja też bym chciała pojechać do Londynu, kiedy dorosnę - oświadczyła Cara, spoglądając z nadzieją na cicię.

Mariannę miała ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem, ale słowa Cary przypomniły jej o sprawach praktycznych. Debiut towarzyski wiązał się z ogromnymi wydatkami! Okazało się jednak, że jej szwagier Charles również dostrzegł ten problem i gruntownie rzecz rozważył. Po obiedzie przyłączył się do pań siedzących w salonie i gdy rozwrzeszczane dzieci wtargnęły, by powiedzieć dorosłym „dobranoc”, korzystając z zamętu odciągnął Mariannę na bok.

- Dostarczę ci, rzecz jasna, funduszy na pokrycie kosztów pierwszego sezonu Louisy - zapewnił. - Do chwili pełnoletności ma wyznaczoną hojną pensję, nie krępuj się więc, jeśli chodzi o wydatki. I pamiętaj, że masz wykorzystać te pieniądze nie tylko na obstalowanie najmodniejszej garderoby dla Louisy, ale i dla siebie. No i na pokrycie wszelkich kosztów związanych z wydawaniem przyjęć czy urządzaniem innych spotkań towarzyskich.

Mariannę podziękowała szwagrowi serdecznym spojrzeniem, wyraziła jednak swe obiekcje.

- Nie chciałabym czerpać z tego zysków. Zbył jej skrupuły machnięciem ręki.

- O tym nie ma mowy! Nie tylko ufam ci bezgranicznie, ale jestem świadom, że rozszerzenie twoich kontaktów towarzyskich pociągnie za sobą duże wydatki na krawcową i modystkę, podobnie jak w przypadku Louisy.

- Ileż kobiecej mądrości w tej męskiej głowie! -przekomarzała się z nim Mariannę.
- Nie zapominaj, że jestem żonaty. Lata małżeńskiej tresury nie poszły na marne! - zapewnił ją Charles.

Mariannę wybuchnęła śmiechem.

W tym momencie obaj chłopcy zaatakowali tatusia, domagając się, by po-huśtał ich na kolanie, zanim niania zapędzi ich do łóżek. Charles poddał się losowi.

Wygląda na to, że krewni przewidzieli wszystko i nie pozostawili mi żadnego wyjścia! - pomyślała Mariannę z odrobiną cynizmu. Należało więc pogodzić się z losem i cieszyć się towarzystwem nowej podopiecznej.

Na dobitkę okazało się, że jej obowiązki przyzwoitki rozpoczynają się bezzwłocznie. Louisa za wszelką cenę postanowiła udać się na koncert, a ziewająca znów Caroline pragnęła jak najprędzej znaleźć się w łóżku. Tak więc Mariannę i Louisa narzuciły lekkie okrycia i wyruszyły powozem Crookshanków na wieczór muzyczny. Charles proponował, że będzie im towarzyszył, Mariannę wiedziała jednak, że szwagier nie jest muzykalny, a opery wręcz nie znosi. Podziękowała mu więc za ofiarę, którą był gotów złożyć, ale jej nie przyjęła. Z wyraźną ulgą odprowadził je do powozu.

Przez całą drogę do centrum Bath Louisa trąkotała o strojach, które zamierza sobie sprawić. Opisywała je tak drobiazgowo, że Mariannę w końcu obawiała się, że zacznie krzyczeć, jeśli usłyszy raz jeszcze wzmiankę o plisowanych rękawach lub obszytym koronką dekolcie. Interesowała się oczywiście modą jak każda kobieta, ale u Louisy w przededniu jej wymarzonego londyńskiego debiutu graniczyło to już z obsesją.

Konie przez ten czas przebyły most i wspinały się mozolnie na kolejne z siedmiu wzgórz, którymi podobnie jak Rzym szczyliło się Bath.

Nim powóz dojechał do Sydney Gardens, Mariannę marzyła, by znaleźć się wreszcie u celu i by wieczorny koncert zaczął się jak najprędzej.

Louisa rozwodziła się właśnie nad malejącą popularnością Bath, ale i ona chętnie wysiadła z powozu i zmieszała się z towarzystwem, mimo że, jak to określiła, brakło w nim osób o naprawdę wysokiej pozycji. Tłumaczyła cioci, że dlatego właśnie stokroć woli debiutować w Londynie niż w tym kurorcie.

Minęły rząd białych kolumn i znalazły się w ogrodzie, gdzie miał się odbyć koncert. Ledwie upatrzyły sobie dwa wolne miejsca, Louisa dostrzegła jedną ze swych przyjaciółek, młodą pannę, z którą chciała się niezwłocznie podzielić podniecającą nowiną o swoim rychłym wyjeździe do Londynu.

- Ciociu Mariannę, czy mogłabym podejść do Amelii i pogawędzić z nią, nim koncert się rozpocznie?

- Jak najbardziej - odparła Mariannę.

Louisa oddaliła się zatem, a Mariannę, wachlując się od niechcenia, rozglądała się dokoła. Muzycy stroili instrumenty, słynna sopranistka jeszcze się nie zjawiała, a wszystkie przygotowane dla słuchaczy miejsca zapełniały się tłumem melomanów. Wielu z nich miało siwiejące głowy i nadwagę. Louisie z pewnością wydawali się równie wiekowi jak jej ciocia. Starzy i tyle. Mariannę próbowała się roześmiać. Może istotnie los nie chował już dla niej nic w zanadrzu prócz wątpliwej rozkoszy odgrywania przyzwoitki? No, cóż... z pewnością nie jest już dziewczątkiem! Szkoda tylko, że mimo upływu lat tak wiele drogich jej sercu marzeń nie doczekało się spełnienia.

Myśl ta wydała jej się zbyt melancholijna, toteż zdecydowanie odsunęła ją od siebie i skoncentrowała uwagę na najbliższym otoczeniu. Koło niej z jednej strony było miejsce chwilowo opuszczone przez Louise, z drugiej zaś siedziały dwie starsze panie.

Jedna z nich była niska, tęga i miała stalowosiwe włosy. Druga - wysoka, nadal prosta jak struna dama o pięknych srebrnych lokach - dzierżyła w dłoni lorgnon.

Mariannę uśmiechnęła się do sąsiadek.

- Dobry wieczór - zwróciła się do niższej z nich. - Mam wrażenie, że się znamy. Moja szwagierka, pani Charlesowa Crookshank, przedstawiła nas sobie w pijalni wód. Czyba się nie mylę?

- Rzeczywiście, przypominam sobie - odparła z uśmiechem zagadnięta. -Zauważyłam, że siadacie panie obok, i od razu poznałam pani towarzyszkę, naszą niezrównaną pannę Crookshank!

Mariannę z trudem zachowała powagę. Louise z pewnością ucieszyłby taki dowód popularności, była jednak w tej chwili zbyt daleko, by usłyszeć te miłe słowa. Pochylając się ku niskiej dziewczynie o rudych włosach, z ożywieniem coś jej opowiadała.

- Być może moje nazwisko wymknęło się pani pamięci? Chętnie powtórzę: nazywam się Knox, pani Knox. A ta dama, panna Sophie Hill, niedawno przeprowadziła się na stałe z Londynu do Bath.

Srebrnowłosa pani skinęła lekko głową.

- Miło mi panią poznać.

Mariannę odwzajemniła powitalny komplement.

- Ja nadal mieszkam w Londynie - dodała - ale bardzo lubię tutejszą spokojną atmosferę,

- Zapewne zabawi tu pani dłużej?

- Zamierzałam to uczynić - wyjaśniła Mariannę. - Ale powierzono mi opiekę nad siostrzenicą mego zmarłego męża i będę musiała wrócić do Londynu znacznie wcześniej, niż przewidywałam. Louisa pragnie jak najprędzej znaleźć się w stolicy.

Panna Hill prychnęła w bardzo zresztą dystygowany sposób.

- Ja również znosiłam te katusze - wyznała. - Opiekunka ładnej i majątnej panny podczas sezonu nie ma ani chwili wolnej! Zbyt wielu prostaków ciśnie się do jej podopiecznej w nadziei zdobycia jej ręki. Oczywiście, zapewnienie mojej siostrzenicy szczęśliwej przyszłości warte było tego zachodu, ale nie posiadałam się z radości, gdy wreszcie doholowałam ją bezpiecznie do ołtarza!

- Jestem pewna, że Louise też nie zabraknie konkurentów - przytaknęła Mariannę.

- Większość z nich to pyszałki i fircyki! - Srebrnowłosa dama zmarszczyła brwi. - Miejmy nadzieję, że ta urocza panienska nie rozczaruje się rym, co ją czeka w Londynie.

Najwyraźniej opinia starszej pani na temat współczesnej młodzieży była ustalona i niezbyt pochlebna. Mariannę nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Dyskretnie dała Louise znak wachlarzem, by wróciła na swoje miejsce. Koncert rozpocznie się lada chwila.

Louisa coś jeszcze szepnęła do ucha przyjaciółce i wróciła do ciotki.

- Opowiedziałam Amelii wszystko o cudownej wyprawie, jaka mnie czeka! - Czysty głosik młodej panny słyhać było wyraźnie, choć rozległy się już pierwsze dźwięki orkiestry. - I o markizie Gillinghamie, który jedzie do Londynu szukać żony... i o tym, jak zamierzam mu pomóc w tych poszukiwaniach !

- Cicho!- upomniała ją Mariannę.

Piękna panna usadowiła się wreszcie na swoim krześle i wydawała się urzeczona koncertem. Mariannę jednak głowę by dała, że jej podopieczna nadal snuje marzenia o utytułowanych konkurentach i wspaniałych nowych toaletach.

- Czy rzeczywiście padło przed chwilą nazwisko markiza Gillinghama? — spytała Mariannę szeptem siedząca obok niej dama o srebrnych włosach.

- Istotnie - odparła zdziwiona Mariannę. - Czyżby znała pani tego dżentelmena, panno Hill? Słyszałam, że rzadko bywa w Londynie.

Trele skrzypiec sprawiły, że ich rozmowa się urwała.

- I nie bez powodu - podjęła ją po chwili sąsiadka, sznurując usta. - Wzięła pani na swoje barki ogromną odpowiedzialność, pani Hughes!

- Nie pojmuje...

- Niech pani podopieczna będzie ostrożna! - szepnęła jej panna Hill na ucho tak cicho, że

Marianne nie była pewna, czy się nie przestyszała. - Markiz nie należy do mężczyzn, z którymi można igrac!

2

W przestronnej bibliotece w wielkim szarym gmazysku, usytuowanym na szczycie niewysokiego wzgórza w południowej części hrabstwa Kent, John Sinclair markiz Gillingham wyglądał przez okno. Stał bez ruchu - wyprostowany, barczysty, z rękoma założonymi za plecy - i choć widok, który się stamtąd roztaczał, był miły dla oka, zgoła go nie dostrzegął. Podjął już decyzję; była ona niezbędna i logicznie uzasadniona. Każdy by to potwierdził, a on i tak zwlekał kilka miesięcy, nim zdecydował się ostatecznie. Mimo iż już od śmierci ojca wiedział, co należy uczynić.

Czemu więc serce w nim zamierało na myśl o podróży i czekających go u jej kresu spotkaniach towarzyskich?

Nieraz lękom trzeba spojrzeć prosto w twarz. Nie ma innego wyjścia. Ale chociaż markiz to sobie powtarzał, nadal krążył niespokojnie po pokoju. Jego wysoka postać wydawała się zbyt wielka w każdym pomieszczeniu, nawet w tej bibliotece o doprawdy imponujących rozmiarach. Mijając podczas tej bezcelowej przechadzki jedną z niewielkich oszklonych szaf z książkami - otwartą, gdyż przed chwilą wyjął z niej jakiś tomik, spojrzął na miniaturę w złotej ramce stanowiącą ozdobę górnej półki.

Widok portretu sprawił markizowi taki ból, że mimo woli z jego gardła wyrwał się dziki, nieartykułowany okrzyk. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zamachnął się pięścią. Obrazek spadł z półki, a markiz poniewczasie usłyszał brzęk tłukącego się szkła i poczuł ostry ból w ręce.

Odlamek przeciął mu skórę i krew spływała po grzbiecie dłoni, plamiąc biały mankiet.

Mrużąc z bólu oczy, markiz wyciągnął z kieszeni chustkę i ciasno owiązał skaleczoną rękę, by zatamować krwawienie. Rana, acz niewielka, okazała się bolesna, ale nieporównywalnie silniejszy ból tał się w piersi Johna.

To jednak niczego nie zmieniało, Musi jechać do Londynu.

Wyjazd obu dam do stolicy opóźnił się nieco, gdyż zaszła potrzeba kilku nagłych wyjazdów do klientów spoza Bath i powóz był Charlesowi niezbędny. W dodatku przybyła z Devon do Bath matka Marianne, by spędzić choć kilka dni w towarzystwie córki,

Pani Lambert nie była wcale zachwycona nowinami, które przekazała jej listownie Marianne, a zwłaszcza nową odpowiedzialnością, jaką córka wzięła na swe barki.

- Czemu dałaś się na to namówić, na litość boską?! - spytała nowo przybyła, gdy tylko znalazła się w cztery oczy z córką.

- Co masz na myśli, mamó? - spytała ostrożnie Marianne.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli! - Pani Lambert, równie filigranowa jak w dniu swego ślubu... no, może odrobinę bardziej zaokrąglona, próbowała spiorunować wzrokiem córkę, ale niezbyt jej to udało. Szybkim krokiem przemierzyła więc pokój i po prostu przytuliła Marianne. - Opiekę nad tym rozpaskudzonym dzieciakiem, ma się rozumieć!

- Louisa jest naprawdę milutka-przekonywała ją Marianne, która w obliczu matczynych wątpliwości musiała pozbyć się własnych. - Jestem do niej bardzo przywiązana. Biedactwo, rok temu straciła ojca. Z pewnością zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. W dodatku czekała na ten debiut towarzyski bardzo długo. Do tej pory miała do czynienia wyłącznie z mieszkańcami Bath i kuracjuszami, a to doprawdy niewielkie pole do popisu! Najwyższy czas, by znalazła się w większym gronie rówieśników i zdobyła odpowiedniego konkurenta.

- A ty?

Marianne siliła się na obojętność.

- Doprawdy nie rozumiem, o czym mama mówi.

- A co z twoją szansą na powtórne zamążpójście? Zaslugujesz na coś więcej niż rola

przywoitki! - obstawała przy swoim pani Lambert, siadając i mierząc córkę surowym wzrokiem.

- Jestem już w tym wieku...

- Też coś! Mówisz tak, jakbyś była zdziecinniałą staruszką, a nie wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą! Obawiam się jednak, że pokazując się stale w towarzystwie dziewczyny tak młodej i tak bogatej...

- Nie mówiąc już o jej nadzwyczajnej urodzie - mruknęła Mariannę, ale matka puściła to mimo uszu.

- .. obawiam się, że twoje wdzięki i słodki urok twojej twarzy nie zostaną w takiej sytuacji należycie docenione.

Pani Lambert spoglądała na córkę z czułą troską. Mariannę przyklęła obok fotela matki i wzięła ją za rękę.

- Dobrze mi tak jak jest, naprawdę! Matka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Nie wmówisz mi, że odpowiada ci samotne życie, Mariannę! Doskonale wiem, jak puste są lata wdowieństwa. Po śmierci twego drogiego tatusia...

- Bardzo mi brak i tatusia, i Harry'ego, ale jestem zadowolona z życia -usiłowała ją przekonać córka. - Nie schnę przecież na jakimś poddaszu, opuszczona przez wszystkich! Mam wielu przyjaciół i kochającą rodzinę...

Matka przerwała jej bezceremonialnie.

- Ja też! I mam pod bokiem czarujące maleństwa twojego brata, mogę je rozpieszczać do woli! Ale chciałabym doczekać się także i twoich dzieci. To byłoby okropne, gdyby los odmówił ci tego szczęścia! Być może w drugim związku nie byłoby ci tak błogo jak z Harrym, ale dobrane stadła opierają się na różnych podstawach: od szalonych porywów namiętności do spokojnego poczucia wzajemnej zażyłości. Jestem pewna, że otrzymałabyś niejedną propozycję małżeństwa, gdybyś zechciała zaznajomić się bliżej z kilkoma wartymi tego dżentelmenami.

Mariannę potrząsnęła głową.

- Daj spokój, mam!

Matka westchnęła i zacisnęła wargi.

- Niech będzie po twojemu! Poruszyłam ten temat jedynie z troski o ciebie.

- Wiem, mamusiu. - Mariannę znów ucisnęła rękę matki. - A teraz zejdźmy na dół. Pora na herbatę!

Schodząc za matką po schodach, Mariannę próbowała wyobrazić sobie małżeństwo oparte na „spokojnym poczuciu wzajemnej zażyłości”. Jakież to musiało być nudne!

Dwa dni później pani Lambert pożegnała się z córką i ruszyła w drogę powrotną do Devon. Następnego dnia Mariannę i Louisa udały się do Londynu z kuframi przymocowanymi w tyle powozu i z mnóstwem dobrych rad, którymi Caroline zasypywała je do ostatniej chwili.

- Nie zapomnij o rozgrzanych ceglach pod stopy dla obu pań! - instruowała lokaja. - Wiem, że dzień jest ciepły, ale wietrzny. Louiso, zwiąż mocniej pod brodą wstążki kapelusza, bo na pierwszym moście uleci z wiatrem!

- Louisa nie jedzie przecież na końle - perswadował jej mąż. - Pewien jestem, że będą miały spokojną i bezpieczną podróż. - I po cichu dodał do Mariannę wciągającej właśnie rękawiczki: - Gdyby wam było trzeba więcej pieniędzy, daj mi znać. Przesłałem list kredytowy do twego banku. W razie potrzeby można też będzie czerpać bez przeszkód z funduszu powierniczego Louisy.

- Jestem ci niewymownie wdzięczna, Charlesie - odparła Mariannę. — Pomyślałeś o wszystkim!

- Nie, to ja nie wiem, jak ci dziękować! Uwolniłaś Caroline od brzemienia, którego nie wytrzymałaby ani fizycznie, ani nerwowo, zwłaszcza teraz - powiedział Charles i czoło przecięła mu zmarszczka niepokoju, gdy spojrzął na żonę.

Mariannę przytaknęła ruchem głowy. Ostatnimi czasy Caroline męczyła się z byle powodu; cięża mocno dawała się jej we znaki. Z całą pewnością nie podołałaby obowiązkowi opiekunki wprowadzającej młodą, damę na burzliwe wody wielkiego świata.

- Rada jestem, że mogę ją wyręczyć - powiedziała całkiem szczerze Mariannę.

Obejmując Louisę na pożegnanie, Caroline wybuchnęła płaczem.

- Tak strasznie będzie mi ciebie brakowało, kochanie! Louisa uściskała ją serdecznie.

- Nie martw się o mnie, stryjenko! Będę pisała bardzo często. I mam nadzieję, że znajdzie się mnóstwo do opowiadania o przyjęciach, przejażdżkach i balach... Z pewnością to stryjenkę rozerwie!

Jej pogoda ducha okazała się zaraźliwa. Caroline uśmiechnęła się i już tylko raz chlipnęła w chusteczkę.

- Bez wątpienia! - przytaknęła.

Charles uściskał bratanicę i serdecznie poklepał szwagierkę po ręku, po czym pomógł jej wsiąść do powozu. Hackett, pokojówka Mariannę, usiadła na ławeczce naprzeciwko swej pani, piastując na kolanach niewielką szkatułkę z jej biżuterią. Osobista służąca Louisy, młoda dziewczyna, Eva, której

wielkie brązowe oczy błyszcząły z podniecenia, zajęła miejsce obok starszej pokojowej. Powóz zakotłosał się i ruszył z miejsca.

- Nareszcie! - wykrzyknęła radośnie Louisa; jej błękitne oczy promieniały. - Jedziemy do Londynu!

Mariannę uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie doznasz rozczarowania - powiedziała. - Obawiam się, że uważasz Londyn za raj na ziemi, a to się troszkę mija z prawdą, moja droga.

- Ooo? Przecież te wszystkie przyjęcia i promenady w parkach i bale... Nie mogę się już tego wszystkiego doczekać!

W głosie Louisy brzmiała bezbrzeżna radość.

Mariannę zrezygnowała z dalszych pouczeń, usiadła wygodnie i przysłuchiwała się paplaninie swej podopiecznej. Powóz tymczasem przebył most i skręcił na wschód, w stronę Londynu, gdzie miały się ziścić wszelkie marzenia Louisy.

John wyruszył w drogę następnego dnia. Mrużąc oczy od jaskrawego blasku słońca, zbliżył się do powozu. Stajenny otworzył przed nim drzwiczki. Tym razem podróż była zbyt długa, by markiz mógł ją odbyć przy księżycu.

Lokaj, którego twarzy obwisłe policzki i podbródki nadawały wyraz nie-ustanego przygnębienia, doglądał pakowania i mocowania bagaży.

- Znosi się na męczącą podróż, jaśnie panie.

- Mam nadzieję, że podołam tym trudom - odparł John, unosząc brwi. - Staraj się powstrzymać kucharza od spijania mego najlepszego portwajnu. Przecież to ty, u licha, masz klucze do piwniczki!

- Obawiam się, milordzie, że ten łotr używa wytrycha - odrzekł posępnie Pomfroy.

Tym niewesołym akcentem zakończyło się pożegnanie z rodzinnym domem. John zajął miejsce w powozie, stangret zaciął konie i podróż się rozpoczęła.

Markiz przybył do Londynu przed wieczorem, gdy coraz to dłuższe cienie znaczyły błękitnawymi smugami dziedziniec zajazdu. Zdecydował się stanąć w spokojnej oberży na obrzeżach miasta. Pozostawiwszy konie i powóz pod opieką woźnicy i stajennego, lord Gillingham nasunął kapelusza jak najniżej na czoło, odetchnął głęboko i wielkimi krokami, jak to miał w zwyczaju, wszedł do głównego budynku zajazdu. Jego właściciel, niski, łysawy człeczyna, pospieszył na przywitanie nowo przybyłego. W pierwszej chwili zrobił na jego widok wielkie oczy, ale zaraz się opamiętał. Z przyklejonym do twarzy uprzejmym powitalnym uśmiechem skłonił się nisko markizowi.

- Wasza lordowska mość raczy się u nas zatrzymać? '

- Tak, chcę wynająć sypialnię i prywatny salonik - odparł szorstko John. -I pomieszczenie dla moich ludzi, powozu i zaprzęgu, ma się rozumieć.

- Oczywiście, wasza wielmożność - zapewnił oberżysta, widać uprzedzony przez kogoś ze służby, że na dziedzińcu zajechała karetka z wyblakłym herbem na drzwiczkach. Skłonił się raz jeszcze, po czym wrzasnął z oburzeniem: - A pójdiesz, ty parszywy kundlu! Wynocha z mego zajazdu!

Wymachując rękami, usiłował przepłoszyć psiaka, który wślizgnął się za nowo przybyłym. Psina szczeknęła w odpowiedzi.

- Zostaw go w spokoju! Należy do mnie - warknął markiz. Zdumiony oberżysta zerknął znów na zwierzę. Był to wyjątkowo mały,

czarno-biały spaniel ze zniekształconym uchem,

- Ależ oczywiście, wasza lordowska mość! Proszę o wybaczenie!

Pies dreptał po drewnianych stopniach krok w krok za swoim panem, gdy właściciel zajazdu prowadził markiza na górę, by zaprezentować mu najlepszą sypialnię oraz przylegający do niej salonik. John pobieżnie obejrzał pokoje.

- Mogą być.

- Jesteśmy zaszczytzeni, że wasza lordowska mość raczył się u nas zatrzymać. Czy obiad podać na ósmą?

John zmarszczył brwi. Był zgłodniały po długiej jeździe; wiedział jednak, że w mieście obowiązują inne „modne” pory posiłków. Cóż za absurd!

- O szóstej - zadysponował.

Z małpowaniem modnych zwyczajów można się wstrzymać do jutra.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. Wasza lordowska mość ma ze sobą swego człowieka?

Oczywiście chodziło o kamerdynera, nie o stangreta czy stajennego. Markiz potrząsnął głową.

- Nie zabrałem osobistego lokaja.

Ostatni okazał się nieuleczalnym pijakiem i John musiał go wyrzucić. Z pewnym zresztą żalem, gdyż - w odróżnieniu od poprzedników - nie załamywał rąk i nie biadolił nad niemodną garderobą swego pana i jego całkowitym brakiem zainteresowania sprawami mody.

- Ach, tak? Gdyby wasza lordowska mość sobie życzył, jeden ze służących będzie w każdej chwili na pańskie usługi.

John skinął głową i oberżysta wreszcie się wyniósł.

Markiz ściągnął płaszcz i szerokoskrzydły kapelusz. Zauważył oczywiście spojrzenie, jakim obrzucił go ten człowiek. Powtarzał sobie nie od dziś, że nic go nie obchodzi, co ludzie myślą na jego widok. A jednak, diabli wiedzą czemu, nadal go to drażniło.

W rodzinnych stronach wiedział przynajmniej, czego się może spodziewać. Nie musiał przy każdym zetknięciu się z ludźmi spręzać się w oczekiwaniu na nieprzewidywalną reakcję.

Co on tu w ogóle robi, do diabła?!

W Londynie, największym z angielskich miast, roiło się od nieznanomych, którzy będą się na niego gapić i szeptem wymieniać uwagi. W dodatku zamierzał brać udział w życiu towarzyskim, którego nie mógł znieść! Nie umiał tańczyć, nie znał się na salonowej konwersacji... Czuł się swobodnie tylko u siebie na wsi - z wędką w ręku lub idąc miedzą wśród łąk dojrzewającego zboża.

Chyba mu rozum odjęło!

Ale przecież musi się ożenić. Obejrzał dokładnie wszystkie damy z sąsiedztwa w wieku odpowiednim do małżeństwa, o należytej pozycji. Nie wyobrażał sobie, by zdołał z którąkolwiek z nich wytrzymać do końca życia albo wykrzesać z siebie dość zapłać, by spłodzić dziecko.

A syn był mu konieczny! Gdyby zmarł bezpotomnie, tytuł markiza, który Gillingham niedawno sam odziedziczył, przeszedłby na jego młodszego brata... a do tego nie można było dopuścić. W żadnym wypadku!

Czarno-biała psinka zaskomliła. Potrafiła jak nikt odgadywać nastroje swego pana. Teraz też się nie myliła: humor miał fatalny.

- Trzeba nam było zostać w domu, Mała - powiedział John, opadając na krzesło wystarczająco masywne, by utrzymać jego potężną postać, i podrapał suczkę za uszami. Zamerdała ogonem i wlepiła w niego oczy pełne uwielbienia. Była jedyną istotą płci żeńskiej, która go ubóstwiała. Może dlatego, że ocalił jej życie, kiedy gajowy chciał zabić słabowitego wówczas szczeniaka, najmniejszego z całego miotu i na domiar złego z zniekształconym uchem?

Nie zrobiłem tego z litości, myślał John, Już wówczas przeczuwał w tym maleńkim stworzeniu wielką siłę ducha, męstwo znacznie przerastające jego drobne ciało. I - co najważniejsze - niezłomną wierność Małej. Od tamtej chwili nie odstępowała Johna, gotowa zmierzyć się z dwukrotnie od niej większymi psami w obronie swego uprzywilejowanego miejsca przy nodze ukochanego pana. Czyż jakakolwiek inna istota ceniła sobie tak jego towarzystwo?

- Mogłem się ożenić z panną Gunter- zwierzał się jej teraz markiz. -Zawsze się krzywi, gdy na mnie spojrzysz, ale po ciemku nie miałoby to większego znaczenia.

Piesek znów zaskomlił.

- Wiem, wiem - przytaknął John. - Jej śmiech to skrzek pawicy, wypisz, wymaluj! No i była jeszcze panna Allan, siostrzenica proboszcza. Ta z wiecznie skwaszoną gębą. A w dodatku tyranizuje służbę i straszne z niej skąpiradło... Chociaż to, być może, zmniejszyłoby wydatki na dom.

Psina polizwała go po rękę.

- Tylko że, widzisz, na widok żadnej z nich nie ciągnęło mnie do ożenku. One zresztą też się do tego nie rwały - przyznał. - Więc jak, u Boga Ojca, mógłbym tu, w Londynie, zrobić dobre wrażenie na jakiejś damie? Która by mnie zechciała?! Dobrze wiem, że mam pieniędzy jak lodu, włości godne pozazdroszczenia i piękny, stary tytuł, ale zawsze...

Musiałaby przecież patrzeć na niego od rana do nocy ta jego nieznana dotąd oblubienica! Dostrzegłszy swe odbicie w niewielkim lustrze na przeciwległej ścianie pokoju, John znów się nachmurzył. Chwycił swój szerokoskrzydły kapelusz i rzucił nim w kierunku lustra. Na szczęście zawisł na ramie, przesłaniając odbicie jego postaci.

John westchnął i zakrył ręką twarz.

Kiedy przyniesiono mu obiad, zjadł w samotności, rzucając najlepsze kąski leżącemu u jego stóp spanielowi. Potem udał się na spoczynek, ale nie mógł zasnąć. Dolatujące z ulicy hałasy - turkot przejeżdżających powozów i furmanek, tętent końskich kopyt, gwar ludzkich głosów - rozbrzmiewały gromkim echem w sypialni. Komuś przyzwyczajonemu do wiejskiej ciszy wszystko to wydawało się jeszcze głośniejsze.

Dopiero nad ranem zapadł w niespokojny sen. Ocknął się niebawem, gdy pierwsze promienie słońca przeniknęły do pokoju przez czyste szyby.

Leżał na łóżku z tępyim bólem głowy, rozmyślając o tym, co go czeka. Miał złożyć wizytę dwóm zupełnie obcym osobom i ta perspektywa go przerażała. Ale jak bez czyjejś rekomendacji mógłby dostać się do londyńskiego towarzystwa? Nie mógł przecież podczas konnej przejażdżki po Hyde Parku upatrzeć sobie urodziwej damy, przerzucić ją przez siodło i zniknąć ze swą branką niczym Tatar!

Wielka szkoda! Byłoby to znacznie prostsze.

Zmusił się do wstania z łóżka, umył się i włożył czystą bieliznę. Wczoraj wieczorem jedna z pokojówek rozpakowała jego kufer i powiesiła w szafie nieliczne ubrania. Włożył więc beżowe pantalone, zawiązał fular tak, że każdy szanujący się kamerdyner złożyłby z miejsca wymówienie, i narzucił jeden ze swych noszonych w świętek i piątek czarnych surdutów. Od czasu gdy zachorował na ospę, ubierał się prawie zawsze na czarno i nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami jak modne stroje. Miał w szafie dość surdutów, płaszczy i peleryn,

więc wkładał co popadło. Czemu zresztą miałby dbać o swą powierzchowność, gdy sprawa była i tak beznadziejna?!

Wyprowadził spaniela na krótki spacer po tylnym dziedzińcu, a przy okazji zajrzał do koni i sprawdził, czy zadbano, jak należy, o jego stangreta i stajennego. Potem wrócił do pokoju i kazał podać śniadanie.

Gdy służący zastukał, John stał tyłem do drzwi.

- Wejść! - zawołał, nie odwracając się, i stał twarzą do okna przez cały czas, gdy tamten nakrywał do stołu.

- Możesz odejść - powiedział, zorientowawszy się po odgłosach, że służący przestał się krzątać i czeka na rozkazy.

Dopiero po jego wyjściu markiz zasiadł przy stole. Ale choć befsztyk był miękki, a jajka świeże (jak na miejskie warunki), nie miał apetytu.

To, co go teraz czekało, było niezbędne. Nie mógł stchórzyć, musiał wykonać nieunikniony pierwszy krok, z którym tak zwlekał. Przybył do Londynu zaopatrzonego w dwa nazwiska i adresy dawnych przyjaciół ojca. Włożył więc kapelusz tak, by jak najbardziej zasłaniał mu twarz, i zapowiedział surowo Małej:

- Zostań tu!

Zaskomliła, ale położyła się posłusznie ze smętną miną istoty, która została porzucona, ale zamierza cierpliwie czekać na powrót swego pana i władcy.

Markiz zamknął starannie drzwi i odezwał się do pokojówki stojącej na korytarzu:

- Nie wolno wypuszczać psa! Nie przywykł do miejskiego ruchu. Służąca skinęła potakująco głową,

John przekonał się, że jego powóz już czeka. Poprzedniego dnia zapowiedział woźnicy i stajennemu, że wszystko ma być gotowe na dziewiątą rano. Stajenny zdobył niezbędne informacje, jak dojechać pod wskazane adresy. Markiz wszedł i zastukał w drzwiczki powozu. Stangret strzelił z bata i ekwipaż potoczył się po zatłoczonych ulicach Londynu. Tuż przed nimi jechał w żółtym tempie wóz z węglem, a dwa powozy wyminęły ich z tak bliska, że koła niemal otarły się o siebie.

John nieprzyzwyczajony do tak powolnej jazdy zaszły się w głębi powozu, nie spoglądając na tłoczne ulice ani na stojące przy nich domy i sklepy. Wreszcie dotarli do celu. Markiz wysiadł, wspiął się po schodkach do drzwi frontowych i zastukał mosiężną kołatką.

Lokaj, który otworzył drzwi, spojrzał na niego kosym okiem.

- Dostawcy zajeżdżają od tyłu.

John skrzywił się. Wiedział, że jego ubiór nie jest modny, a twarz bynajmniej nieurodziwa. Mimo to przeszył fagasa takim spojrzeniem, na widok którego każdy by się cofnął.

- Jestem markiz Gillingham. Lokajowi zaparło dech.

- Najmocniej przepraszam, milordzie! - wydukał. - Wasza lordowska mość do pana Laughlina? Jest w swoim biurze w city.

John zmarszczył brwi. Czyżby się pomylił w adresie?

- Nie, chciałbym się widzieć z lordem Eschonem.

Na twarzy służącego skrucha ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Z lordem Eschonem? Ależ on nie żyje od dziesięciu lat, milordzie! Jego dom dawno temu został nabyty przez mego pana.

- Ach, tak?

John odwrócił się na pięcie i wrócił do powozu. Tyle mu przyszło z pierwszego adresu.

Miał nadzieję, że bardziej mu się poszczęści z drugim przyjacielem ojca, sir Silasem Ramburtem. Przybywszy pod jego dom- wielkie, nieco zaniedbane gmaszysko - dowiedział się, że sir Silas przebywa w swej rezydencji. Kiedy jednak spytał, czy może się z nim widzieć, lokaj popatrzył jakoś dziwnie.

Wprowadzono markiza do niewielkiego saloniku, który przemierza! nerwowym krokiem wszerz i wzdłuż. Gdy drzwi się otwarły, pospiesznie zwrócił się w tamtą stronę. Do pokoju nie wszedł jednak -jak się John spodziewał - siwy, pochylony wiekiem dżentelmen, lecz drobna, młoda kobieta. Była dobrze ubrana, ale dziwnie przygarbiona, jakby przedwcześnie postarzała i bardzo zmęczona. Na ukłon markiza odpowiedziała lekkim dygnięciem.

- Bardzo mi przykro, ale nie może się pan widzieć z moim dziadkiem -oznajmiła bez wstępów.

- Ależ to bardzo ważne! - zaprotestował John. - Ja muszę...

- Cóż to może być aż tak ważnego? Z pewnością nie zna go pan. Od wielu lat nie udziela się towarzysko.

John zmieszał się, ale postanowił być równie bezpośredni jak ta niezwykła panna.

- Mój ojciec, markiz Gillingham, był przyjacielem sir Silasa. W młodości spędzali razem wiele czasu. Przybyłem właśnie do Londynu i pragnąłem złożyć sir Silasowi moje uszanowanie.

Dziewczyna była bardzo młodziutka, prawie dziecko, ale zmarszczki na czole i cienie wokół oczu ogromnie ją postarzały. Gdy wpatrywała się w niego, John miał przez sekundę wrażenie, że zaraz padnie zemdlna.

Wyciągnął rękę, by ją podtrzymać lub podprowadzić do fotela, ale chyba tego nie zauważyła. Odetchnęła głęboko.

- Więc pańskim ojcem jest markiz Gillingham? - powtórzyła powoli. Johnowi przemknęło przez myśl, że dziewczyna jest może słaba na umyśle. Potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

- W rzeczy samej, jak już mówiłem. Zmarł w ubiegłym roku, a ja odziedziczyłem po nim tytuł.

- Czy miał lekką śmierć?

Jej głos brzmiał szorstko, a wypowiedziane przez nią słowa trudno było uznać za kondolencje. John zmarszczył brwi.

- To była nagła choroba - odparł. - Serce niespodziewanie odmówiło posłuszeństwa. Czemu pani o to pyta, panno Ramburt?

Nastąpiła chwila napiętej ciszy. Dziewczyna spoglądała na Johna, a raczej jakby przez niego, w przestrzeń poza nim. Wreszcie odpowiedziała.

- Mój dziadek żyje, ale stracił nie tylko zdrowie, ale i rozum. Umiera powoli, a ja muszę patrzeć na jego coraz większe cierpienia i coraz straszliwsze odczłowieczenie.

To wyjaśniało jej dziwne zachowanie. John pochylił głowę i powiedział:

- Ogromnie mi przykro. Czy nikt nie może pani pomóc, wyręczyć? To brzemię zbyt ciężkie dla kogoś tak młodego jak pani.

Potrząsnęła głową.

- Moi rodzice nie żyją. Zostałam tylko ja. I służba, ma się rozumieć, ale...

Urwała i jakby zapomniała o niedokończonym zdaniu. Jej zachowanie nie wzbudziło już w markizie irytacji, tylko litość. Skłonił się jej.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłem kłopot. Współczuję pani z całego serca.

- Doprawdy? - spytała z westchnieniem.

- Jeśli mógłbym okazać się w czymś pomocny... - Podał panience adres zajazdu, w którym się zatrzymał. Nie był jednak pewien, czy jego słowa dotarły do niej przez otępienie wywołane przytłaczającym nieszczęściem. -Nie będę się dłużej pani naprzykrzał.

Sam znalazł drogę do wyjścia. Cóż za tragedia! - myślał. Chociaż choroba i śmierć nawiedzały wszystkie rodziny, położenie tej dziewczyny było wyjątkowo ciężkie. John szczerze jej współczuł, a równocześnie rad był, usłyszawszy szcęk zamykanych zanim drzwi.

Odetchnąwszy głęboko, wrócił do powozu i uświadomił sobie, że nie ma się już dokąd udać.

Jak zdoła teraz nawiązać kontakt z londyńskim wielkim światem? Kto mógłby udzielić mu rekomendacji? Te dwa stare tropy prowadziły donikąd.

Nie było sensu wyjaśniać wnuczce sir Silasa, o co chciał prosić jej dziadka.

Gdyby nawet biedna dziewczyna nie była pochłonięta bez reszty rodzinną tragedią, i tak nie mogłaby mu w niczym dopomóc. Nadal nie miał pewności, czy jest nieco opóźniona w rozwoju, czy tylko przytłoczona nieszczęściem, ale i tak młoda panna nie mogła przecież udzielić rekomendacji kawalerowi! A niech to wszyscy diabli!

Kazał stangretowi jechać przed siebie, wszystko jedno dokąd. Na ulicach był taki tłok, że ledwo mogli się przecisnąć. Ogromne miasto przyprawiało go o coraz większe napięcie. Poczł nagle, że nie wytrzyma dłużej w zamkniętym powozie. Zastukał więc w ściankę i gdy stangret zatrzymał konie, markiz zwrócił się do niego:

- Przejdę się trochę. Znajdź jakieś wolne miejsce w pobliżu i zaczekaj na mnie!

Nasunawszy kapelusz jeszcze bardziej na czoło, kroczył trotuarem zatłoczonym nie mniej niż jezdnia. Wzdrygnął się na widok takich tłumów, ale pochylił głowę i starał się nie patrzeć na twarze przechodniów. Zaledwie jednak przeszedł kilka kroków, przez uliczny gwar przebił się cienki dziecinny głosik:

- Mamusiu, co ten pan ma na buzi?

John zmarszczył brwi. Kilka osób popatrzyło na niego, choć matka natychmiast uciszyła córkę. John zawrócił raptownie, otworzył pierwsze lepsze drzwi i schronił się we wnętrzu sklepu.

Panowała tu niemal nabożna atmosfera. Zaledwie kilka osób interesowało się wystawionymi na sprzedaż wyrobami. Klientka w szarym kostiumie spacerowym i w ciemnym kapelusiku stała przy kontuarze, oglądając dokładnie rękawiczki podawane jej przez subiekta.

- Tak, te są jak najbardziej odpowiednie. Wezmę również dwie pary beżowych i te żółtawe. A kiedy będzie gotowa reszta obstalowana przez pannę Crookshank?

- Odeślemy je do pani rezydencji pod koniec tygodnia - zapewniał ekspedient. - Zaraz zapakuję te wybrane przez szanowną panią. Jedną chwilę, proszę pana. Zaraz służę.

John kiwnął głową i pospiesznie odwrócił się. Pochylony tak, by nie było widać jego twarzy, rozglądał się po półkach. Dobry Boże! Trafił do damskiego rękawicznika! Co on tu robi?! Musi wymknąć się po cichu, odnaleźć swój powóz i wrócić do zajazdu. Jednak podczas pospiesznej rejterady, w dodatku ze spuszczoną głową, zderzył się z jakąś czarująco miękką postacią i zachwiał w posadach.

Taki był zmieszany, że nie spostrzegł, iż klientka odsunęła się od kontuaru. Wykrzyknęła z bólu i oburzenia, gdy nadepnął jej na nogę. Oboje omal nie upadli.

Czerwony jak burak John, widząc, że dama traci równowagę, chciał ją podtrzymać, chwycić za ramię, ale niechcący dłoń jego trafiła na łagodną wypukłość piersi, gładkiej i miękkiej pod cienkim materiałem.

Damie zaparło dech. Odepchnęła natręta.

Nadal jednak chwiała się na nogach, toteż John po raz drugi spróbował ją podtrzymać. W zamęcie sprzecznych uczuć (wstyd, żal i - o dziwo - iskierka pożądania) poruszał się jeszcze bardziej niezdarnie. Była taka cudownie zaokrąglona, rozkoszna w dotyku, niesłychanie kobieca...

Dama pierwsza stanęła pewnie na nogach i tym razem odepchnęła go z całej siły.

- Jak pan śmie?!

Zatoczył się do tyłu i wpadł na stolik, na którym leżało kilka par rękawiczek i stał wazonik z kwitnącą gałązką. Stolik wywrócił się, rozległ się brzęk tłuczonej porcelany, ale markiz odzyskał wreszcie równowagę.

Chciał ukłonić się damie, ale omal nie zgubił kapelusza; przerwał więc w połowie ukłonu, by go przytrzymać.

- Tysiącrotnie przepraszam, łaskawa pani! Ja tylko chciałem... chciałem. ..

- Nie ulega wątpliwości, czego pan chciał - odparła lodowatym tonem. -Jeśli ośmieli się pan raz jeszcze na coś podobnego, wezwę subiekta i każę pana wyrzucić ze sklepu!

John ściągnął ostatecznie kapelusz (od czego powinien zacząć) i wykonał dość poprawny ukłon.

- Nie miałem żadnych złych zamiarów. Chciałem tylko panią podtrzymać.

- Nie groziłoby mi to z pewnością, gdyby nie wpadł pan na mnie, ni stąd, ni zowąd!

Jakże jej oczy błyszczą, kiedy się gniewa! - przemknęło Johnowi przez myśl mimo całego zażenowania, Szaroniebieskie oczy jak przydymiony błękit jesiennego nieba. Takie żywe, takie inteligentne. I ten prosty nos - nie za duży, nie za mały, i pełne usta. A jej głos nawet w gniewie taki melodyjny, choć bardzo stanowczy.

- No, tak. Istotnie. To również moja wina - przyznał. - Raz jeszcze przepraszam!

Nadbiegł zaskoczony subiekt. Miał rzadkie włosy mysiego koloru i sięgał markizowi ledwie do ramienia. Na samą myśl o tym, jak ów człowieczek miałby się zabrać do usunięcia ze sklepu potężnego brutala, John uśmiechnął się od ucha do ucha.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że nieznajoma dama podziela jego wesołość, zupełnie jakby ich myśli biegły jednym torem. Opanowała jednak natychmiast lekkie drżenie warg i zmierzyła markiza mroźnym spojrzeniem.

- Stoliczek! O mój Boże! - Skonsternowany subiekt załamywał ręce. -Nic się pani nie stało, łaskawa pani Hughes?

John poczuł nagłe, zgoła irracjonalne rozczarowanie. Oczywiście że to mężatka! Jak mogłaby kobieta o tak rozkosznych okrągłościach i tak smukłej talii, z takimi błyszczącymi oczyma i mleczną cerą uchować się w stanie wolnym? Spostrzegł, że dama lekko utyka i wyrzuty sumienia zagłuszyły w nim wszelkie inne uczucia. Jakaż jeszcze straszliwą gafę zaraz popełni?!

Dama skinęła głową subiektowi i zwróciła się do Johna.

- Przyjmuję pańskie zapewnienia, że to był tylko przypadek. Radzę jednak uważać i nie deptać ludziom po nogach. Nie jest pan postacią eteryczną i takie stąpienie może wyrządzić prawdziwą krzywdę Bogu ducha winnym przechodniom!

Poczucie winy Johna jeszcze się pogłębiło.

- Boli panią noga? Mój powóz stoi w pobliżu...

- Jestem posiniaczona, ale nie okaleczona. I ani mi w głowie wsiadać do powozu nieznajomego mężczyzny!

Wetknęła niesforny kosmyk ciemnych włosów pod kapelusik. Przyglądanie się jej to czysta rozkosz! - myślał John, żałując, że to słuszny gniew na niego zabarwił tym ślicznym rumieńcem jej kremowe policzki. Jedno było zdumiewające: piękna pani (zapewne w gniewie) nie dostrzegła jego oszpeconej twarzy.

- Czuję się jednak odpowiedzialny za pani wypadek - usiłował ją przekonywać. - Może mam wezwać kogoś, powiedzmy, pani małżonka, jeśli potrzebuje pani pomocy?

Nie wiadomo czemu, te słowa zirytowały ją jeszcze bardziej.

- Potrafię sama o siebie zadbać. Obejdzie się!

- Naprawdę, chciałbym pani tylko pomóc - zapewniał.

Czy wszystkie kobiety w Londynie tak trudno udobruchać? Jeśli tak, to marny jego los.

- Chyba już dość pan napomagał jak na jeden dzień! - odparowała dama, a jej szaroniebieskie oczy aż pociemniały z irytacji. - A teraz, pan wybacz!

Pokuśtykała do drzwi z dumnie podniesioną głową.

- Pani Hughes! -pospieszył za nią ekspedient` . - Zapomniała pani o swoim sprawunku!

Zatrzymała się, by odebrać od niego niewielką paczuszkę starannie owiniętą w gruby papier i owiązaną sznureczkiem. Tym razem John wykazał dość rozsądku, by zatrzymać swoje uwagi dla siebie. Dama była pociągająca, ale uparta. Nie zazdroszczę jej mężowi! - pomyślał. Musi

mieć krzyż Pański z taką uparciucha! Ale to nie była prawda. Zazdrościł mu, i to jak! Śliczne oczy, skrzzące się inteligencją, łagodnie zaokrąglone biodra... i ta króciutka chwila, gdy miał wrażenie, że złączył ich prywatny mały żart... Wszystko to budziło w nim pragnienia, którym bardzo rzadko pozwalał dojść do głosu.

Zaczekał, aż pani Hughes opuści sklep, po czym wcisnął subiektowi gwineę, mamrocząc: „To za ten stolik...” i pospieszenie opuścił sklep. Stwierdziwszy, że jego powóz czeka po przeciwnej stronie ulicy, wsiadł do niego i zaszył się w kącie, by nikt nie mógł go dostrzec przez okno.

Po chwili jego serce odzyskało zwykły rytm. Mógł znów zaczerpnąć tchu i zebrać myśli.

Tam do licha! Nadal potrzebował czyjejś rekomendacji, inaczej cała wyprawa do Londynu spali na panewce. A w tym wielkim mieście była już tylko jedna znana mu osoba. Czy zdoła się przemóc i zwrócić z prośbą do młodszego brata?

Zgrzytnął zębami i wysłał stajennego do kilku sklepów, by zasięgnął języka i zdobył potrzebny adres. Kiedy stajenny natknął się wreszcie na kogoś, kto podał mu właściwy kierunek, wyruszyli bez pośpiechu na piękny skwer

w zachodniej części Londynu. Gdy tam dotarli, John kazał woźnicy zatrzymać się. Nie był wcale pewien, czy zdoła się do tego stopnia ukorzyć przed bratem, do którego ani on, ani ojciec nie odzywali się od lat.

Wysiadł wreszcie z powozu i kazał stangretowi poczekać. Przeszedł kilka kroków i przyjrzał się okazałemu budynkowi doskonale utrzymanemu w odróżnieniu od poprzedniej miejskiej rezydencji, którą odwiedził. Ale płaszczyć się przed bratem?

Nie, nie zdobędzie się na to! Wymyśli jakieś inne rozwiązanie, znajdzie kogoś innego!

Obrócił się na pięcie, lecz zanim oddalił się o parę kroków, usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku.

- Gillingham?... Co ty tu robisz, u Boga Ojca?!

John sprężył się wewnątrz, ale odwrócił się. Ujrzał wysoką, jasnowłosą kobietę wyjątkowej urody, a obok niej młokosa o ciemnoblonde czuprynie i śmiejących się oczach w kapeluszu na bakier.

- Westbury?

Młody hrabia, którego posiadłość graniczyła z majątkiem Johna, bardzo wcześnie odziedziczył swój tytuł. Chodziły słuchy, że straszny z niego hulaka. Rzadko zaglądał do swej wiejskiej rezydencji. Markiz zetknął się z matką Westbury'ego, więc nie dziwił się, że hrabia unika rodzinnego domu. Chociaż od kilku lat nie zamienili słowa, hrabia od razu rozpoznał twarz Johna. Ale któż mógłby pomylić takie paskudztwo z czymś innym?!

- Co cię sprowadza do Londynu, milordzie? - spytał znów hrabia, unosząc brwi.

John starał się powściągnąć irytację.

- Nie jestem już zaraźliwy dla otoczenia, Westbury. I bez względu na to, co ludziska gadają, miewam się nieźle. Czyżby nie wolno mi było podróżować?

- Skądże znowu! Ale wszyscy wiedzą, jaki z ciebie domator, milordzie. Dobry Boże! Czyżbyś chciał odwiedzić brata i wreszcie się z nim pojednać?

John się zawahał. Nim zdążył wyprowadzić z błędu młodego sąsiada, piękna dama, która obserwowała ich obu bystrym wzrokiem, wykrzyknęła:

- A więc to jest nowy markiz Gillingham? I przyjechał odwiedzić Gabriellę? Proszę wejść, bardzo proszę!

3

John nie znalazł odpowiednich słów, by wyjaśnić pomyłkę. Jak tu powiedzieć, że wcale nie chciał składać wizyty bratu? Nie mogąc oprzeć się entuzjazmowi nieznanemu, nie wiadomo jak znalazł się we wnętrzu domu.

Od razu zdał sobie sprawę z tego, że piękna blondynka jest jego nieznaną bratową, lady

Sinclair. Drzwi otworzył lokaj z wyniosłą miną. Choć zamrugał oczyma na widok gościa, nie dał po sobie poznać odrazy. Doskonale wytresowany! - pomyślał cierpko markiz.

- Proszę chwilę zaczekać, zdejmę tylko okrycie! - usprawiedliwiła się lady Sinclair.

Lokaj odebrał od markiza kapelusz i rękawiczki i wprowadził go do salonu.

John usiadł na eleganckim połączanym krzeselku, był jednak zbyt zdenerwowany, by na nim wytrwać. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Dobry Boże, ależ się wpakował w kabałę!

Z korytarza dobiegły wyraźne słowa Westbury'ego:

- Nie jestem wcale pewien, Psyche, czy twój mąż będzie z tego zadowolony!

- Przecież to jego brat! - zaprotestowała.

- Rób, jak uważasz - odparł młody człowiek. - Ale ja wolę nie być świadkiem tego rodzinnego spotkania. Tobie się może upiecze jako młodej żonie, choć radzę ci: nie mieszaj się w te sprawy.

John zgrzytnął zębami. Musi stąd wyjść, czym prędzej! W tej chwili jednak drzwi znowu się otworzyły i weszła lady Sinclair. Była urzekająco piękna: wysoka postać w błękitnej sukni, twarz o klasycznych rysach, jasne włosy upięte z tyłu głowy. Przyjrzała się Johnowi uważnie. Ze stoickim wyrazem twarzy oczekiwał, że bratowa wyda okrzyk niesmaku lub cofnie się przerażona jego wyglądem.

Ona jednak weszła do pokoju jakby nigdy nic. Spokojnie usiadła i zaczęła rozmowę, jak gdyby ją odwiedził pierwszy lepszy znajomy.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca, milordzie - powiedziała. - By tam zaskoczona tą wieścią. Wydawał się całkiem zdrowy, kiedy go widziałam, nie tak znów dawno.

Chcąc nie chcąc, John wrócił na poprzednie miejsce i spojrzał ze zdumieniem na bratową. Ojciec z wiekiem stał się mizantropem i od lat nie był w Londynie.

- Widywała się pani z moim ojcem, lady Sinclair?

- Miałam okazję spotkać się z nim tylko raz. To była nagła choroba, nieprawdaz?

John w pierwszej chwili mógł tylko skinąć głową, ale zły na siebie zdołał się jakoś opanować.

- Nikt z nas się tego nie spodziewał.

- Usiłowałam... to znaczy, zasugerowałam Gabrielowi, by pojechał na pogrzeb, ale miał tyle spraw na głowie, że w żaden sposób nie mógł wyrwać się z Londynu.

John bez trudu wyobraził sobie, jak zareagował Gabriel na sugestię żony.

- To był cichy pogrzeb - odparł wymijająco.

Ojciec darł koty z sąsiadami i zerwał wszelkie kontakty z dawnymi przyjaciółmi. Johnowi przypomniał się pusty cmentarz, nad grobem tylko on, proboszcz i kilku ciekawskich wieśniaków. Mżył drobny deszcz. Jaki był przerażony i zagubiony w obliczu tej straty i zmiany.

Skoncentrował znów uwagę na siedzącej na wprost niego damie. Z Gabriela zawsze był szczęściarz, a teraz jeszcze znalazł sobie żonę z roziskrzonymi niebieskimi oczyma, wytworną i - niech to wszyscy diabli! - taką pończotną i kobiecą! Ależ temu bękartowi los sprzyja!

- Ale ty, milordzie, przybyłeś do Londynu, by spotkać się z Gabrielem? Serdeczny ton jej głosu wydał się Johnowi szczery. Czyżby nie wiedziała, że nie kontaktowali się z Gabrielem od lat?

John zebrał się w sobie. Znalazł się ostatecznie, mimo swych oporów, w tym domu, może więc równie dobrze zrobić następny krok. Jak się mówi A, trzeba powiedzieć B - stwierdził posępnie.

- Mam... mam do niego pewną sprawę - powiedział i omal się nie udławił tymi słowami. - O ile zechce mnie przyjąć.

- Męża nie ma teraz w domu, niestety. - Lady Sinclair zastanowiła się. - Jeśli nie masz innych planów na dzisiejszy wieczór, milordzie, może zechciałbyś zjeść z nami obiad?

John wahał się przez sekundę; w końcu skinął głową.

- Dziękuję, lady Sinclair. Przyjdę.

Psyche - czyli lady Sinclair - odwołała południowe spotkanie z przyjaciółką i czekała bardzo niecierpliwie na powrót męża. Kiedy się zjawiał dość

wcześniej po południu, ze zdziwieniem odkrył, że żona krąży nerwowo po salonie.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Byli małżeństwem od ponad roku, ale ich miłosny zapal ani trochę nie ostygł. Tym razem jednak Psyche odwzajemniła pospiesznie pocałunek męża i cofnęła się nieco, by spojrzeć mu w twarz.

- Czy po śmierci ojca miałeś jakieś wieści od swojego brata? Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście, że nie. Nowy markiz Gillingham równie mało interesuje się mną jak ja nim.

Psyche westchnęła i potrząsnęła głową. Wiedziała, jak gorzkie są uczucia Gabriela względem rodziny, ale mimo wszystko...

- Nie sądzisz, że żałuje rozłamu między wami? Mąż podprowadził ją do wyściełanej kanapy.

- Ależ skąd! Dobrze wiesz, że nic mnie nie łączy z moją rodziną. I niech już tak zostanie! Ani mnie, ani im nie spędza to snu z powiek.

Psyche usiadła na kanapie i podniosła do ust szklankę lemoniady. Ostatnimi czasy wino szkodziło jej na żołądek, zadowalała się więc napojami bezalkoholowymi.

- Coś mi się zdaje, że czeka cię niespodzianka!

Gabriel podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek burgunda.

- Bardzo w to wątpię.

- Doprawdy? Pod twą nieobecność ktoś nas odwiedził... - Celowo zawiesiła głos. Ponieważ Gabriel się nie odezwał, ciągnęła dalej. - Nowy markiz Gillingham złożył nam poranną wizytę.

Gabrielowi drgnęła ręka, w której trzymał karafkę, i kropla wina splamiła stojący pod ścianą stolik. Lord Gabriel jednak odzyskał błyskawicznie swą słynną zimną krew. Kiedy odwrócił się do żony, twarz miał doskonale obojętną, podobnie jak wówczas, gdy przed laty jako zawodowy gracz siadał do kart.

- Mój brat? To z pewnością jakaś pomyłka!

- Prawda, że nigdy go nie widziałam - przyznała Psyche - ale jest trochę podobny do twego ojca. Tyle że przystojniejszy, moim zdaniem. Zresztą, po co ktoś miałby podawać się za markiza?

Gabriel uniósł brwi. Psyche roześmiała się w głos. Sama niegdyś wymyśliła fikcyjny tytuł dla swego... no, powiedzmy... narzeczonego.

- To było co innego! - zaprotestowała pewna, że mąż ją zrozumie. Gabriel nadal miał sceptyczną minę.

- Być może. Ale jakoś nie mogę uwierzyć, by mój brat, który nigdy nie opuszcza swej posiadłości, a z całą pewnością nie pała chęcią zobaczenia mnie, wybrał się do Londynu, by zastukać do mych drzwi! To musi być jakieś oszustwo. Jeśli ten osobnik będzie nas nadal nachodził, zapowiedz majordomowi, niech go nie wpuszcza.

Psyche spojrzała w zadumie na męża.

- Niestety, nie mogę ci tego obiecać, mój drogi.

Spojrzał na nią pytająco, ale zamiast domagać się odpowiedzi, czekał cierpliwie, aż sama mu wszystko wyjaśni. Dobrze znał Psyche! W trakcie burzliwych zalotów do niej nauczył się, że nie należy jej zmuszać ani zaskakiwać.

- Zaprosiłam go na obiad - oznajmiła niewinnym tonem.

- Psyche! - Gabriel odstawił kieliszek tak raptownie, że na nieszczęsny stolik znów pociekło wino. Podbiegł do żony i schwycił ją za rękę. - Dlaczego mi to zrobiłaś?! Dobrze wiesz, co czułem do ojca. No, to już, wybacz makabryczny żart, pogrzebane raz na zawsze. Ale mój brat potępił mnie równie surowo, gdy wypędzono mnie z domu! Co też skłoniło cię do tych zaprosin?! Myślałem, że przynajmniej ty mnie rozumiesz, że jesteś po mojej stronie!

Psyche dotknęła delikatnie ramienia męża.

- Gabrielu, zawsze jestem po twojej stronie. Doskonale o tym wiesz. Ale martwię się o ciebie! Nie udało ci się pogodzić z ojcem. To już nie do odrobienia. Wiem, wiem! Przekonałam się na własne oczy, jaki to zgorzkniały, gniewny, bezwzględny, okrutny człowiek! Nigdy nie kwestionowałam twoich uczuć ani twojej decyzji ostatecznego zerwania z nim. Ale twój brat... On sam do ciebie przyszedł, Gabrielu! Może teraz żałuje, że opowiedział się tak zdecydowanie po stronie ojca, gdy zostałeś wydziedziczony?

- Myślisz, że przybywa, by mi zaoferować część należnej schedy? Gwiżdżę na jego pieniądze! - odparował Gabriel. - Mam dość własnych!

Psyche przytaknęła ruchem głowy.

- Rzeczywiście, pieniędzy ci nie brak. Tak mądrze operujesz naszym kapitałem, że ogromnie wzrósł. Nie wspominając już o majątku ziemskim, jaki zdobyłeś.

Jej mąż, który nie musiał już wykorzystywać inteligencji i zręcznej ręki przy grze w karty, by zapewnić sobie dach nad głową i utrzymanie, jak czynił przez całe lata po wypędzeniu go z rodzinnego domu, udobruchał się nieco.

- Czemu więc, twoim zdaniem, miałbym mu teraz wszystko wybaczyć?

- Bo on pierwszy przyszedł do ciebie - powtórzyła Psyche. - Wysłuchaj przynajmniej, co ma ci do powiedzenia. To przecież twój brat! Kiedy zmarli moi rodzice, zbliżyliśmy się jeszcze bardziej z Circe. Nie wiem, jakbym to zniosła bez mojej małej siostrzyczki!

- To co innego! - mruknął nadal zachmurzony Gabriel. - Circe to kochane stworzonko, choć takie... niezwykle. Ale ta oryginalność stanowi część jej uroku - dodał pośpiesznie, nim Psyche go zaatakuje, broniąc młodszej siostry. - Obie zawsze byłyście do siebie przywiązane! A John w dzieciństwie mnie tyranizował i zawsze był o mnie zazdrosny.

- Z jakiego powodu?

- Uważał, że matka mnie faworyzuje. To, że ojciec wyróżniał jego, uważał za zrozumiałe samo przez się!

- A poza tym jesteś od niego o wiele piękniejszy - podsunęła rzeczowym tonem Psyche. - Mogło go to bardzo boleć, zwłaszcza po... Jak to się ogóle stało, Gabrielu, że John zapadł na ospę?

Gabriel zmarszczył brwi. Psyche wiedziała, że mąż nie znosi wszelkich uwag na temat swej niezwyklej urody. Ale ostatnie pytanie żony sprawiło, że podniósł na nią oczy.

- Nie bardzo wiem, byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Obawiali się o jego życie. Matka wysłała mnie z domu, żebyśmy i ja się nie zaraził.

- Nie zostaliście zaszczepieni?

- Ojciec uważał to za zbyteczne. Ale kiedy John zapadł na ospę, dziadek kazał mnie zaszczepić, kiedy tylko do niego przyjechałem.

- Cóż za karygodne niedbalstwo: nie zaszczepić własnych dzieci?! - wykrzyknęła Psyche. - Doprawdy, jakież to był wyrodney ojciec! Jestem pewna, że ty nigdy byś tak nie postąpił!

Bezwiednie dotknęła ręką swego nieco wypukłego brzuszka. Gabriel dostrzegł to i twarz mu złagodniała.

- Naprawdę chcesz przyjąć obiadem tego potwora, mojego brata? Uśmiechnęła się na taką przesadę.

- Owszem, najdroższy! Uważam, że powinieneś go wysłuchać. Gabriel westchnął-

- No, niech już będzie... Ale robię to jedynie dla ciebie!

Psyche znów uśmiechnęła się ze spokojną pewnością siebie kobiety, która wie, jak bardzo jest kochana. Tym razem ona pierwsza wyciągnęła ramiona do męża, a gdy ją objął, nie wymykała się już z jego uścisku.

Dzień włókł się w nieskończoność. John pozostał w pokoju i zdumiewał się własnym szaleństwem, które skłoniło go do tej idiotycznej wyprawy. Późnym popołudniem jeden ze

służących zastukał do drzwi.

- Wejść! - warknął John, a Mała zawtórowała mu ostrzegawczym szczenięciami.

Służący otworzył drzwi i skłonił się.

- Czy jaśnie pan życzy sobie mojej pomocy przy toalecie przed obiadem?

- Nie.

Sługa wydawał się zdumiony, ale skinął głową.

- Zapalę tylko kilka świec, żeby było jaśniej, wasza lordowska mość.

- Nie! - powtórzył John groźnym tonem.

Służący zastygł w pół kroku.

- Jak pan sobie życzy, milordzie.

John siedział w największym fotelu, najbardziej odpowiednim dla kogoś

jego postury. Na stole przed nim płonęła tylko jedna świeca. W jej blasku markiz kartkował książkę, którą ze sobą przywiózł. Okna były szczelnie zasłonięte. W pokoju panował przytulny, dobrze mu znany półmrok.

Na zewnątrz było rojno i gwarno. Na ulicy turkotały niezliczone powozy, z dziedzińca dobiegały krzyki i hałaśliwe rozmowy. Londyn ma bez wątpienia wiele do zaoferowania przybyszowi, ale wszystkie te wielkomiejskie atrakcje mogą poczekać, mówił sobie w duchu John, choć dobrze wiedział, że marzy tylko o jednym: spakować manatki i wracać do domu! Tam, gdzie nie stykał się na każdym kroku z nieznanymi, nie musiał sto razy na dzień być świadkiem zdumienia i konsternacji na widok jego oszpeconej twarzy.

Nie jest tchórzem. Jakoś to znieśie. Ale serce ciążyło mu w piersi ołowiem, gdy powóz zajechał i trzeba było udać się na rodzinny obiad.

John nie przebrał się. Miał na sobie ten sam czarny surdut co rano. Jeśli jego delikatny braciszek poczuje się urażony, że gość nie zjawia się w pełnej gali, to już nie jego zmartwienie.

Dotarłszy do celu, zebrał wszystkie siły, wysiadł z powozu i bez pośpiechu ruszył w stronę frontowych drzwi.

A jeżeli Gabriel nie zechce przyjąć brata zaproszonego przez żonę?

Jeżeli...

Tym razem stojący w drzwiach starszawy majordomus o bystrym, pełnym uszanowania wejrzeniu zaprosił markiza do środka i zaprowadził do salonu. John zastał w nim lady Sinclair, jeszcze piękniejszą w złocistej sukni wieczorowej. Siedziała w wyściełanym, krytym brokatem fotelu, podczas gdy

lord Gabriel Sinclair, z którym łączyło Johna wspólne nazwisko (jeśli już nie liczyć innych więzi), stał bez ruchu pod przeciwległą, ścianą.

Minę miał ponurą.

John czuł, że na jego twarzy maluje się podobny brak entuzjazmu. Zawahał się przez chwilę na progu.

Majordomus obwieścił beznamiętnym tonem:

- Markiz Gillingham, milordzie. -I zniknął.

Po jego odejściu przez chwilę panowała cisza. Pani domu obróciła się do męża i na coś wyraźnie czekała. Gabriel odezwał się szorstkim tonem:

- Wejdzże! Nie poszczuję cię psami, czym groził mi ojciec w trakcie naszego ostatniego spotkania. Nie mam akurat pod ręką psów obronnych... On zresztą także ich nie miał, ale szczerść jego intencji nie budziła wątpliwości. Tak czy owak, nie stercz w drzwiach!

Nie zamierzał od pierwszej chwili aż tak ujawniać swych uczuć, ale stało się. John skrzywił się tylko i wszedł do salonu.

Jego dopiero co poznana bratowa uśmiechnęła się do niego i gestem wskazała mu krzesło. Markiz skłonił się grzecznie (acz dość niezgrabnie), ale wolał stać jak wojownik oczekujący w każdej chwili ataku nieprzyjaciela.

- Jestem zaskoczony, widząc cię w Londynie - odezwał się znów Gabriel z twarzą pozbawioną wszelkich uczuć, choć z pewnością nim targają.

- Zmusiły mnie do tego pewne okoliczności.

Gabriel uniósł brwi.

- Jakież to nadzwyczajne względy spowodowały tak radykalną zmianę twych obyczajów?

John z trudem przełknął ślinę.

- Nie mam znajomości w wielkim świecie. Odkryłem, że potrzebny jest mi ktoś, kto mnie zarekomenduje i umożliwi nawiązanie znajomości.

Tym razem na twarzy Gabriela odbiło się wyraźne zdumienie i niedowierzanie.

- Chcesz zakosztować uroków londyńskiego sezonu? Po kiego diabła?! O ile pamiętam, nigdy nie miałeś upodobania do życia towarzyskiego!

- I nadal go nie znoszę, ale nie mam innego wyjścia - przyznał John, starając się nie zgrzytać zębami. - Muszę...

Brat i bratowa wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Oboje najwyraźniej nie mieli pojęcia, do czego zmierza.

- Muszę się ożenić - wydusił wreszcie z siebie markiz. - I postarać się o syna.

- Żeby w przypadku twojej bezpotomnej śmierci tytuł nie dostał się mnie? Gabriel również dławił się słowami. Czyżby zaraz miało dojść do gniewnych oskarżeń?

Na szczęście przerwano im.

- Obiad podany - oznajmił majordomus, stając w drzwiach. Zaraz zniknął, ale napięta cisza nadal trwała.

Lady Sinclair wydawała się zbita z tropu, ale John całą uwagę skoncentrował na osobie jej męża. Wpatrywał się w młodszego brata i nagle poczuł, że żółć go zalewa. Rozpoznał dobrze mu niegdyś znany złośliwy błysk w błękitnych oczach Gabriela. Ten bękart śmiał się z niego! Obiad ciągnął się w nieskończoność i choć jedzenie było wyborne, stawało Johnowi w gardle. Jak na jeden dzień zakosztował dość upokorzeń; może to odebrało mu apetyt.

Spostrzegł ze zdumieniem, że towarzyszy im przy stole kilkunastoletnia panna. Chuda dziewczyna z prostymi, ciemnymi włosami, zaczesanymi do tyłu miała niepokojące zielone oczy o niezwykle skupionym wyrazie. Utkwiła je w twarzy markiza i nie spuszczała z niego wzroku przez całe pierwsze danie. Czy ta smarkuła nigdy nie widziała dziobów po ospie?!

John rzucił jej mordercze spojrzenie w chwili, gdy służba zbierała talerze i roznosiła następne danie. Dziewczyna nie zmieszała się pod jego wzrokiem. Było to doprawdy niezwykle u podlotka, ale John raz jeszcze spróbował poskromić ciekawską, zwracając się do niej po cichu:

- Bardzo mi przykro, że moja twarz tak panienkę przeraża - zauważył grobowym tonem. - Ale czy nikt jeszcze panience nie wyjaśnił, że uporczywe wpatrywanie się w kogoś nie jest w dobrym tonie?

Lady Sinclair wydała gardłowy jęk, a jej mąż przeszył brata lodowatym wzrokiem.

- Robienie uwag dzieciom w domu, gdzie nas gościnnie przyjmują, również nie należy do dobrego tonu.

- Circe ma zdolności malarskie, milordzie - pospiesznie dodała Psyche takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ale dziwna dziewczyna o równie dziwnym imieniu w dalszym ciągu nie wydawała się zażenowana. Uniosła tylko brwi i przez sekundę była bardzo podobna do swej starszej siostry.

- Pańska twarz wcale mnie nie przeraża, milordzie. Ślady po ospie nie są zbyt widoczne. Przede wszystkim rzuca się w oczy wspaniała struktura kostna. Przyglądając się panu, myślałam: „To bardzo interesująca twarz, chciałabym ją malować”.

Markiz był tak zbity z tropu, że ani razu nie odezwał się już do dziewczyny. Poczuł wyraźną ulgę, kiedy panie przeszły do salonu.

Tylko że w tej sytuacji pozostał sam na sam z bratem.

Gabriel, który w towarzystwie żony i jej siostrzyczki utrzymywał pozory chłodnej uprzejmości, przestał się hamować, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

- Nic a nic się nie zmieniłeś, bracie! Zawsze chciałyś tyranizować słabszych od ciebie!

John zjeżył się, zwłaszcza że dziewczyna nie wyglądała bynajmniej na zastraszoną ofiarę.

- Musisz przyznać, że z tej małej osobliwe stworzenie. I zbyt jej pobbłazacie. Nic dziwnego, że nie zachowuje się jak zwykły podlotek!

- Circe nie jest zwykłym podlotkiem. A ty nie masz prawa krytykować mojej rodziny pod moim dachem!

Klasycznie piękne rysy Gabriela stężały w grymasie wściekłości. Ogarnął go gniew, który zapewne dusił w sobie od lat, ale bał się z nim zdradzić. Tak przynajmniej podejrzewał John. Jego młodszy brat zawsze był tchórzem i beksą. Wystarczyło tknąć go palcem, a już leciał z rykiem do matki.

A niech się wścieka! John nie przybył tu po to, żeby się kajać przed nim za winy, prawdziwe czy urojone. Pociągnął łyk portwajnu.

- Byłem twoim starszym bratem. Chłopcy zawsze biorą się za łby. Cóż w tym dziwnego? Ale ty, tchórze, nie mogłeś znieść najmniejszego kuksańca!

Niebieskie oczy Gabriela zwężyły się.

- Byłeś równie okrutny jak nasz ojciec! Pod byle pretekstem rwałeś się do bicia! Czemu, u diabła, miałbym ci teraz pomagać? Żeby jakaś kobieta dostała męża brutala, a wasze przyszłe dzieci ojca sadystę?

- Wolałyś, żebym zmarł bezpotomnie, a tobie przypadła rodowa fortuna i tytuł markiza? - odciął się John. - To by ci się podobało, co?

- Drwię sobie z twego tytułu! Nie wziąłbym ani grosza z tego przeklętego dziedzictwa! A w tamtym przeklętym grobowcu nie zamieszkałbym znów za żadne skarby! Gdyby mi kiedyś przypadł w udziale, puściłbym to paskudztwo z dymem!

- Ja pierwszy raczej bym spalił nasz dom do fundamentów, niż pozwolił, by przeszedł w twoje ręce! Choćbym nie pozostawił spadkobiercy, ty nie masz żadnego prawa do tego dziedzictwa! Taka jest prawda i nikt...

John urwał, gdyż Gabriel odsunął krzesło do stołu tak gwałtownie, że z hukiem runęło na podłogę. Młodszy brat zerwał się na równe nogi, starszy poszedł w jego ślady.

Stali naprzeciw siebie nie dalej niż o metr. Ale dzieliły ich całe lata wzajemnych pretensji i rodzinny wstydlivy sekret, o którym Gabriel, jak widać, za wszelką cenę postanowił zapomnieć. Napięcie między nimi rosło, ale żaden się nie odzywał.

John czuł, jak wzbiera w nim gniew. On również zachował w pamięci urazy z dawnych lat... Czemuż był taki głupi, by przyjść tutaj i dać temu smarkaczowi okazję do odrzucenia jego niebaczonej prośby?! Z dwojga złego lepiej było rzucić się do Tamizy! A już na pewno lepiej będzie wrócić do domu!

Jeśli się nie pozabijają tu i teraz. Odwzajemnił mordercze spojrzenie Gabriela i spostrzegł, że zarówno jego ręce, jak ręce brata zaciskają się w pięści. Panująca w pokoju cisza tętniła coraz większym napięciem. Żaden z nich nie odprężył się ani na sekundę. Gdyby pod ręką znajdowała się broń, nie wiadomo, kto pierwszy by po nią sięgnął.

Kiedy drzwi nagle się otworzyły, obaj aż podskoczyli. John oderwał wzrok od brata, by spojrzeć, kto wszedł. Na progu stała lady Sinclair, a na jej twarzy malował się niepokój.

— Circe poszła już do łóżka. Myślałam, że obaj przyłączycie się do mnie w salonie?

Spostrzegła przewrócone krzesło, ale nie powiedziała ani słowa.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Nasz gość właśnie wychodzi - odparł Gabriel przez zaciśnięte zęby.

John potwierdził to skinieniem głowy.

- Chciałbym podziękować za wyśmienity obiad, lady Sinclair. Ogromnie żałuję, że więcej się nie zobaczymy.

— Ależ dlaczego?! - spytała Psyche. Spojrzała na jednego z braci, potem na drugiego. - Myślałam, że zamierzasz uczestniczyć w londyńskim sezonie, milordzie?

- To był niedorzeczny pomysł - odparł John równie szorstko jak jego brat. - Wyjadę stąd jak najprędzej.

- Mowy nie ma! - oświadczyła bratowa, zadziwiając go nie po raz pierwszy. - W sobotę udajemy się do Vauxhall Gardens. Przyłączysz się do nas,

milordzie. To najłatwiejszy sposób zawarcia znajomości w Londynie. Proszą się nie obawiać: to spotkanie całkiem nieformalne, w gronie przyjaciół. Doskonała okazja do zorientowania się w terenie!

Czyżby spostrzegła, jak bardzo jest nieobyty w towarzystwie? Zupełnie nieprzygotowany do żeglowania po burzliwych wodach wielkiego świata? John zawahał się i wówczas odezwał się jego brat.

- Muszę z tobą pomówić, Psyche!

Uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście, kochanie. Za chwilę! - Obróciła się do Johna i ciągnęła dalej. - Przekażą ci listownie, milordzie, wszystkie istotne szczegóły. Gdzie się zatrzymałeś?

John podał jej swój tymczasowy adres. Ciekawe, czy Gabriel zmusi ją, by cofnęła zaproszenie? Ale czy ktokolwiek zdołałby zmusić tę kobietę do biernego posłuszeństwa? Markiz zaczynał w to wątpić. Psyche była jedyna w swoim rodzaju. Podobnie jak jej dziwaczna mała siostrzyczka.

Tak czy inaczej, John nie miał ochoty bawić tu dłużej. Skłonił się sztywno pani domu i spojrzał na brata. Gabriel skinął mu głową.

- Nie będziemy się bawić w ceremonie!

Innymi słowy, markiz sam miał poszukać drogi do drzwi frontowych. Był to ze strony Gabriela dowód ogromnej powściągliwości. John wiedział doskonale, z jaką rozkoszą braciszek wyrzuciłby go z domu tęgim kopniakiem. O ile zdołałby tego dokonać! Co prawda przez te wszystkie lata przybyło mu wzrostu i patrzyli sobie teraz oko w oko, ale Gabriel nie miał potężnej budowy i krzepy starszego brata. Ten zresztą równie chętnie ulżyłby sobie w bójce i porządnie mu przylał. Ciekawe, czy i dziś jego rozpaskudzony braciszek uciekłby z płaczem? Tym razem rzeczywiście miałby się na co uskarżać!

John sztywnym krokiem dotarł do drzwi. Lokaj otworzył je przed nim z uniżonym ukłonem. Powóz czekał już na markiza. Widocznie majordomus powiadomił jego stangreta, żeby zajeżdżał. Całe gospodarstwo szło jak w zegarku! John mimo woli pomyślał o własnym domu: niedbałe sprzątanie, niestrawne posiłki... Zmarszczył brwi. Oto do czego prowadzi brak kobiecej ręki! Wystarczający powód, by pozostać w Londynie kilka dni dłużej, mimo że z całej duszy pragnął zawołać do stangreta: „Zawracaj na południe i rwij galopem!” Do domu, do bezpiecznego schronienia...

Oparł się o poduszki powozu i zamknął na chwilę oczy. Co tu ukrywać? Zazdrościł bratu jak diabli! Pięknej żony. Eleganckiego, doskonale prowadzonego domu. Niezliczonych (z pewnością!) przyjaciół w wielkim świecie. Gabriel był przystojny, umiał czarować damy. Sprytu mu nie brakowało nawet wtedy, gdy był smarkaczem o twarzy aniołka. A John żywił do niego te same uczucia co dawniej.

Do cholery z Gabrielem!

Czemu ta nowa bratowa tak się uparła, żeby mu pomagać? John nie miał pojęcia, ale postanowił skorzystać z jej nieoczekiwanej łaskawości.

Kiedy dotarli do zajazdu, wbiegł do pokoju. Mała roszkownicza się, gdy otwierał drzwi, więc nachylił się, by podrapać ją za uszami.

- Dobrze już, dobrze! Zaraz pójdziemy na spacer - zapewnił.

Ale psina nadstawiała łebek żadna dalszych karesów, zamiast rzucić się pędem do otwartych

drzwi. Przynajmniej ona cieszyła się na jego widok!

John wrócił znów myślą do bratowej. Próbował sobie wyobrazić, jakie to może być uczucie kochać się z kobietą pełną miłości. Z pewnością było to coś zupełnie innego niż pospieszne, niedające prawdziwej rozkoszy chwile, gdy trafiała się wiejska dziewczucha dość odważna, by wleźć do pańskiego łóżka... Zawsze po ciemku. I prawie zawsze kuląc się ze strachu. Jakby to było z kobietą spragnioną jego pieśczoć? John prawie już zwątpił, czy kiedykolwiek coś takiego przeżyje.

Jeszcze tylko kilka dni, powiedział sobie. Kilka dni jakoś wytrzyma!

Dotarli do Londynu bez żadnych niemiłych przygód. Mariannę trochę się obawiała, że jej skromny dom może rozczarować siostrzenicę, ale Louisie wszystko co londyńskie wydawało się ósmym cudem świata. Wykrzykiwała z podziwu na widok każdej grupy zabudowań, każdego parku, a nawet zatłoczonych ulic, poczynając od przedmieść aż do centrum miasta. Wysoki, wąski dom, stojący ramię w ramię ze swymi sąsiadami, zyskał jej pełną aprobatę. Nie grymasiła też, że do swego pokoju będzie musiała wdrapywać się aż na drugie piętro. Zamiast wybrzydzać, uznała gościnnie pokój za czarujący. Spodobały jej się zasłony przy łóżku i stopy w oknach do kompletu z wzorkiem w różyczki. I od razu zagoniła swoją młodziutką pokojówkę do rozpakowywania kufrów.

Mariannę przywitała się z nieliczną służbą: lokajem, pokojówką i podkuchenną, i wysłuchała (kilkakrotnie, w różnych wersjach) straszliwej opowieści o wiewiórce, która nie wiedząc jak zakradła się na poddasze i narobiła tam okropnego bałaganu, nim ostatecznie zdołano się jej pozbyć. Omówiła też z kucharką rozkład posiłków i menu na najbliższy tydzień. Potem zaczęła przeglądać korespondencję, której sporo się zebrało pod jej nieobecność.

Znalazłszy wśród listów zaproszenia ze złotym brzeżkiem, zwróciła się do Louisy, która przyłączyła się do niej w niewielkim, ale wytwornym salonie.

- Oto zaproszenie na jutro: drugie śniadanie w gronie moich przyjaciółek. Będzie to spotkanie w bardzo dobrym tonie, z pewnością ci się spodoba. W następną środę czeka nas także herbatka u hrabiny Sealey. To moja stara przyjaciółka. A w sobotę wieczór wyprawa do Vauxhall... ale to chyba odłożymy na później.

- Och, nie! - zawołała Louisa. - To jedno z miejsc, które najbardziej pragnę odwiedzić! Tyle słyszałam o czarodziejskim oświetleniu tych ogrodów, o fajerwerkach, tańcach i...

- Ale najpierw musimy się zająć twoją prezentacją u dworu, Louiso - przypomniała jej Marianna. - Nie bardzo wypada, by panienka pokazywała się zbyt często publicznie, nim dostąpi tego zaszczytu.

- Przecież to potrwa kilka tygodni! Sama tak powiedziałaś, ciociu! - protestowała Louisa. - A potem będziemy miały na głowie przyjęcie z okazji mego debiutu... Bardzo skromne, ale gustowne... i z muzyką. Obiecałaś, cioteczko! Ale Vauxhall... Och, błagam, ciociu Mariannę! Włożę nawet maskę i domino, jeśli nie chcesz, żeby mnie widziano. Ale musimy tam pojechać!

Mariannę roześmiała się mimo woli.

- Ależ, dziecko! To nie będzie maskarada. Po prostu spotkamy się tam w gronie przyjaciół, by zjeść obiad w pawilonie, posłuchać muzyki, a potem obejrzeć sztuczne ognie.

- No więc sama widzisz, ciociu, że to nie będzie żadne oficjalne przyjęcie, tylko coś w sam raz dla mnie! - nie ustępowała młoda dama.

Mariannę westchnęła. Gdyby się teraz kategorycznie sprzeciwiła, musiałaby wiecznie wysłuchiwać żalów Louisy. Zresztą jej podopieczna miała słuszość: było to niezobowiązujące spotkanie w niewielkim gronie.

- Doskonale, odpiszę zatem, że obie chętnie się przyłączymy do tej wyprawy - skapitulowała ciotka. - A teraz powinniśmy odpocząć. Podróż była męcząca, a jutro czeka nas mnóstwo zajęć.

- Z pewnością nawet oka nie zmruję - oświadczyła Louisa. - Taka jestem podekscytowana! Nareszcie w Londynie. Mogłabym paść na kolana i całować jego bruki!

Mariannę rozbawił ten nonsensowny pomysł.

- Bardzo cię proszę, nie rób tego - powiedziała. - Cała się ubrudzisz, i tyle! Louisa zachichotała.

- Nie bierz tego dosłownie, ciociu Mariannę! Ach, jakaś ty dla mnie dobra! Dziękuję ci, dziękuję, że zabrałaś mnie ze sobą do Londynu!

Uściskała ciotkę z całej siły i obie udały się na górę.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Mariannę z pomocą Hackett zdjęła podróżny kostium i narzuciła nocną koszulę. Potem pokojówka zabrała się do szczotkowania ciemnych włosów swojej pani.

- Myślę, że pobyt panny Louisy w naszym domu będzie miłym urozmaiceniem - zwróciła się Mariannę do Hackett z całym rozmysłem, pamiętając wcześniejsze mroczne przewidywania pokojówki na temat przykrych konsekwencji tej wizyty. - Jest tak uszczęśliwiona, że znalazła się wreszcie w Londynie, że zgadza się z każdą moją sugestią.

- To dopiero początek! - odparła Hackett, skwaszona jak zwykle. Mariannę zbyła machnięciem ręki pesymistyczne przepowiednie pokojówki i pełna jak najlepszych nadziei na przyszłość położyła się do łóżka.

Nazajutrz spędziła całe rano na pisaniu listów, odpowiadaniu na zaproszenia i opracowywaniu planu kampanii związanej z prezentacją Louisy u dworu. Po drugim śniadaniu zabrała siostrzenicę do swej krawcowej. Kilka następnych dni upłynęło - ku wielkiej radości Louisy - na sprawunkach, przymiarkach i wizytach u przyjaciółek. Zdjęto miarę z rąk panienki, by mogła obstalować sobie rękawiczki; podobnie było przy zamawianiu pantofelków balowych i bucików do konnej jazdy. Obie panie nie zapomniały o kupieniu nowej ślicznej bielizny daytimej oraz koronkowych nocnych koszulek i czepeczków. Pierwszą z zamówionych sukien dostarczono w samą porę, by Louisa mogła się w nią wystroić na wieczór w Vauxhall. Podniecenie młodej panny rosło; nie była już w stanie go opanować.

Do słynnego parku rozrywki udały się wynajętym powozem zaraz po zachodzie słońca, kiedy Vauxhall Gardens prezentowały się najefektowniej i światłem setek lampionów rozwieszonych wśród drzew olśniewały nowo przybyłych.

Jak należało się tego spodziewać, Louisa była oczarowana.

- O, cóż za niebiański widok! - wykrzyknęła. - Nigdy jeszcze nie oglądałam czegoś podobnego! Od tak dawna o tym marzyłam, ciociu Mariannę! Ileż radości zawdzięczam cioteczce!

Mariannę, która bardzo dobrze wiedziała, co się dzieje w ustronnych zagajnikach i otoczonych drzewami alejkach, z całą premedytacją słabiej oświetlanych, określenie „niebiański widok” wydało się niezbyt trafne. Zachowała jednak te refleksje dla siebie, przysięgając sobie w duchu nie spuszczać podopiecznej z oka, by nie odkryła zbyt wcześnie, jakim to - zgoła nieświątobliwym - rozrywkom oddają się młode parki w ciemnych zakątkach Vauxhall.

Jak zwykle w parku było tłoczno, ale spotkały się z przyjaciółmi Mariannę przy z góry zarezerwowanym stole, gdzie spożyto następnie z apetytem kolację składającą się z wyjątkowo cienko krojonej szynki, pieczonych kurcząt oraz innych smakołyków, z których słynęły Vauxhall Gardens. Po obiedzie i pogawędce wszyscy z przyjemnością wysłuchali koncertu w imponującej, rzęsiście oświetlonej rotundzie.

Potem zaczęły się tańce, ale Louisa napraszała się, by oprowadzić ją po parku.

- Owszem, pospacerujemy po alejkach- zgodziła się Mariannę.- Ale nie wolno ci odstępować od mego boku! Nie zapominaj, że to miejsce jest dostępne dla wszystkich. Nie brak nieokrzęsanych mężczyzn, którzy mogliby narzucać się samotnej młodej damie.

— Będę posłuszna - obiecała Louisa.

Pech jednak chciał, że ledwie wstały od stołu, napatoczyła się pani Mendall, znajoma Mariannę, i powitała ją z entuzjazmem.

Czcigodna matrona miała w zanadrzu mnóstwo ploteczek, a ponieważ nie widziały się od dwóch tygodni, Mariannę musiała przystanąć i wysłuchać jej paplaniny.

Louisa, pragnąc ukryć zniecierpliwienie, odwróciła się nieco i nagle skamieniała. Mariannę zauważyła to. Co też mogło do tego stopnia zbulwersować jej siostrzenicę?... Z długoletniego nawyku reagując jak należy na opowieść pani Mendall o niezbyt udanym przyjęciu, które ją ominęło z racji pobytu w Bath, Mariannę lustrowała wzrokiem tłum, starając się dociec, co zrobiło takie wrażenie na Louisie.

Zorientowała się, że jej podopieczna nie odrywa oczu od przystojnego młodego człowieka z uczepioną u jego ramienia brunetką w różowej sukni. Młodzieniec ów wyróżniał się bardzo korzystnie wśród tańczących par. W dodatku Louisa starała się ukryć zainteresowanie jego osobą. Musi zatem być to ktoś, kogo zna. A ponieważ w Londynie nie zdążyła jeszcze nawiązać wielu znajomości, bardzo prawdopodobne, że to ów młody baronet z Bath, o którym wspomniała jej Caroline. Sir... jak mu tam?... Lucas Englewood- przypomniała sobie z trudem Mariannę. A jeśli to rzeczywiście on, no to... Boże święty!

Louisa dostała silnych rumieńców. Interesująca ją para nadal popisywała się w kręgu tanecznym. Młody człowiek o ciemnoblond włosach i sympatycznych, iskrzących się piwnych oczach w pewnej chwili podniósł wzrok i napotkał spojrzenie pięknej panny. Na jego twarzy z niesłychaną, niemal groteskową szybkością odbijały się różnorodne uczucia: najpierw miłe zaskoczenie, potem poczucie winy, przestach i wreszcie kłębowisko splecionych emocji, których Mariannę nie była w stanie zgłębić. Potem wykonał zgodnie z układem tańca obrót - i jego twarz przestała być widoczna i dla ciotki, i dla siostrzenicy.

Louisa odwróciła się raptownie.

- Więc to prawda, że do Vauxhall wpuszczają wszystkich? - spytała z nerwowym pośpiechem, przerywając bezceremonialnie rozmowę dwóch starszych od siebie dam.

Mariannę aż się wzdrygnęła na taki brak taktu ze strony siostrzenicy, ale pani Mendall nie dostrzegła widać nic zdrożnego w spontanicznej ciekawości młodej panny. . . :

- Święta prawda, drogie dziecko. Dlatego właśnie nie można się tu wybrać bez stosownej opieki.

- Oczywiście! - przytaknęła Louisa. - W Bath, gdzie nazywano mnie „niezrównaną panną Crookshank" i wszyscy mnie znali, musiałam bardzo uważać, z kim się witać, a z kim nie. Widzę, że tu, w Londynie, trzeba być jeszcze bardziej ostrożną!

Mariannę spojrziała na panienkę ze zdumieniem. Louisa nigdy nie przechwalała się swoją urodą ani powodzeniem. Ale, prawdę mówiąc, do tej pory nie miała potrzeby reklamowania się. W Londynie nikt jej nie znał-przynajmniej na razie. Jeżeli więc...

Tymczasem pani Mendall gadała i gadała.

- A jeśli już mowa o dziwacznych stworach, to nie zgadnie droga pani, na kogo natknęłam się tu przed chwilą!

- Na kogóż to? - spytała Mariannę, nie tyle z ciekawości, ile z chęci skierowania myśli Louisy na inny tor. Gdyby dziewczyna wybuchnęła nagle płaczem, wywołałoby to masę plotek! Uczucia Louisy do baroneta musiały być głębsze, niż wszyscy sądzili. Mariannę postanowiła porozmawiać szczerze z siostrzenicą na ten temat przy najbliższej okazji, ale nie tu i nie teraz!

- Przybył do Londynu po raz pierwszy za pamięci ludzkiej i nie jest, doprawdy, choć co on temu winien, biedaczysko, odpowiednim widokiem dla wrażliwych oczu!

Pani Mendall zaczęła się wachlować.

Mariannę zmarszczyła brwi. Odezwała się w niej znów niechęć do tej paniusi o ptasim mózdzku.

- O kim droga pani właściwie mówi?

- O lordzie Gillinghamie, oczywiście! Wieść niesie, że rozgląda się za żoną, ale ktoś tak

oszepecony...

- Markiz tu jest?! - przerwała jej znów Louisa.

Doprawdy, pomyślała Mariannę, muszę palnąć jej kazanie na temat dobrych manier! Ale dziewczyna nie ustępowała.

- On tu jest, właśnie teraz? Gdzie go pani widziała?

Pani Mendall uniosła cieniutkie brwi.

- Ma na sobie czarny poranny surdut, zupełnie przedpotopowy! I fatalnie zawiązany fular. Wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy! Można by pomyśleć, że jest bez grosza, choć wiem z najlepszego źródła, że to prawdziwy krezus! Prawie się nie odzywa, ale przybył tu w towarzystwie swego brata, lorda Gabriela Sinclaira, któremu widać przypadła w udziale cała rodzinna uroda! Gdyby lord Gabriel nie był taki czarujący, a jego żona taka piękna... albo odwrotnie, bardzo wątpię, czy londyński wielki świat zaakceptowałby markiza, nawet z całym jego majątkiem! Ale jeśli tych dwoje go zarekomendowało, to cóż robić?

Louisa prawie nie słuchała ostatniej części monologu pani Mendall. Przeczesała wzrokiem tłum w nadziei, że wypatrzy tajemniczego markiza.

O mój Boże! Gotowa sobie wmówić, że ten biedaczysko, być może równie szpetny duchowo jak fizycznie, jest jakimś księciem z bajki! - niepokoiła się Mariannę. Louisa jest tak naiwna, że...

Dostrzegła nagle, że twarz dziewczyny rozpromieniła się.

- O, tam, nieco na uboczu! To on, nieprawdaż?

Pani Mendall skinęła głową.

- Istotnie, to on. Stąd nie można tego dostrzec, ale...

Mariannę zignorowała resztę z całą pewnością złośliwej wypowiedzi swojej znajomej. Z tej odległości nie mogła dostrzec oszepeconej twarzy, ale mężczyzna miał na głowie kapelusz z niemodnym szerokim rondem i stał w cieniu, dystansując się od reszty towarzystwa.

Louisa dała już nurka w tłum. Nie ulegało wątpliwości, dokąd zmierza. Boże, zlituj się...

- Proszę mi wybaczyć, spostrzegłam kogoś, z kim muszę zamienić kilka słów - rzuciła pospiesznie Mariannę i podążyła za swą podopieczną. Cóż

znowu strzeliło do głowy tej głupiej dziewczynie?! Żadna przyzwoita panna nie podeszłaby do mężczyzny, który w dodatku nie został j ej formalnie przedstawiony! Miarka się przebrała. Kazanie na temat dobrych manier jej nie minie! - myślała posępnie Mariannę.

Lecz choć spieszyła się, jak mogła, przybyła za późno. Zanim zdołała dogonić Louise, panienska dygnęła wdzięcznie i uśmiechnęła się do tajemniczego dżentelmena, który na jej widok zaszył się jeszcze bardziej w mrok. Z zamierającym sercem Mariannę słuchała, co jej podopieczna wygaduje.

- Jak się pan miewa, panie markizie? Lord Gillingham, nieprawdaż? A ja jestem Louisa Crookshank. Mam wrażenie, że zna pan moją ciotkę, panią Harringdon Hughes.

Markiz zbaraniał... i nie dziwota!

Mariannę poczuła, że rumieni się ze wstydu za Louise: ta bezczelna smarkuła popełniała jedno fata pas za drugim!

- Najmocniej przepraszana, moja siostrzenica się pomyliła, to znaczy. „ -wymamrotała, podchodząc. - Chodźże, Louiso, nie przeszkadzajmy panu!

I wówczas tajemniczy markiz podniósł głowę, a Mariannę po raz pierwszy ujrzała wyraźnie jego twarz.

4

Ku swemu przerażeniu Mariannę zorientowała się, że spotkała już tego człowieka. Tylko gdzie?! Ależ oczywiście: w sklepie z rękawiczkami! Nadepnął jej na nogę i... dotknął jej w wysoce niedelikatny sposób! Nie wiedziała, z kim ma do czynienia, więc próbowała sobie wmówić, że to prostak, który nie wiedział, co robi. Ale markiz?! Czyżby istotnie był tak

grubiański i nieokrzesany, jak się tego obawiała Caroline?

A na domiar złego Louisa robi z siebie idiotkę wyłącznie po to, by wzbudzić zazdrość sir Lucasa! Mariannę nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Jesteś w błędzie, Louiso- oświadczyła, starając się zapanować nad sobą. - W życiu nie widziałam tego... dżentelmena!

- Wręcz przeciwnie, to łaskawa pani jest w błędzie - odezwał się wreszcie markiz. Mariannę rozpoznała jego niski głos, choć wydał jej się teraz

bardziej kulturalny niż przy pierwszym spotkaniu. - Zawarliśmy już znajomość. Oczywiście nieoficjalnie, w dość szczególnych okolicznościach. Gillingham, do usług, pani Hughes! Jeśli panie sobie tego życzą, poproszę moją bratową, lady Gabriel Sinclair, by dokonała formalnej prezentacji.

Zdjął swój niemodny szerokoskrzydły kapelusz i skłonił się obu damom. Mariannę nie zdobyła się na zignorowanie go. Upokorzyłaby go publicznie. Sama nie wiedziała, co powstrzymało ją od tego drastycznego kroku. Nim zdołała przeanalizować własne uczucia, wtrąciła się znów Louisa.

- Och, my nie zwracamy uwagi na takie ceremonie! '

- Owszem, zwracamy. - Mariannę spiorunowała ją wzrokiem. - Co też ty wygadujesz, Louiso?!

Panienska odpowiedziała uśmiechem tak olśniewającym, że nie podobna było gniewać się na nią. Nic dziwnego, że ta szelma owinęła sobie ojca dokoła małego paluszka! - pomyślała smętnie Mariannę.

Louisa parła naprzód.

- Ty, ciociu, znasz pana markiza, więc gdybyś przedstawiła nas sobie bardzo oficjalnie, to z pewnością by wystarczyło! I może lord Gillingham poprosiłby mnie do tańca?

Było to wystąpienie tak niestosowne pod każdym względem, że Mariannę po prostu zaparło dech. A jednak zdawała sobie sprawę z tego, że - o ile markiz zaakceptuje bezczelne żądanie jej podopiecznej — ona sama nie będzie w stanie zapobiec tej znajomości. A wyglądało na to, że biedaka zawojowała piękność i żywiołowy temperament Louisy! Nie można było liczyć na jego pomoc w jej poskromieniu.

Zgrzytając zębami, Mariannę dokonała prezentacji.

- Moja siostrzenica, a raczej siostrzenica mojego męża, panna Louisa Crookshank. Dopiero co przybyła do Londynu z Bath.

- John Sinclair markiz Gillingham, zawsze do pani usług! I

- Więc zatańczy pan ze mną? Cudownie! - Louisa błysnęła znów swym olśniewającym uśmiechem.

Wzięła ten grzecznościowy frazes za zaproszenie do tańca?! Tego doprawdy za wiele! Mariannę miała już zgromić siostrzenicę, ale Louisa wsparta na ramieniu markiza już ciągnęła go w stronę parkietu do tańca.

Chyba będę musiała trzymać tę pannicę pod kluczem przez cały następny miesiąc! - westchnęła w duchu Mariannę. Nie widziała innego sposobu poskromienia podopiecznej. Doszła do wniosku, że nazbyt pochopnie zarzucała szwagierce zbytnią łagodność w postępowaniu z siostrzenicą. Okazuje się,

że nikt nie jest w stanie utrzymać w ryzach tej rozpuszczonej, impulsywnej dziewczuchy!

Markiz nie popisał się w tańcu, choć taniec był łatwy, o bardzo prostym układzie. Powinno to popsuć humor Louisie i należała się jej taka nauczka. Niestety, pomyłki partnera nie zmąciły jej błogostanu; dyskretnie tuszowała jego błędy. Jak to możliwe, by ktoś o tak wysokiej pozycji nie znał kroków tanecznych?! - zdumiewała się Mariannę. A może nogi mu się plączą, bo oszołomiła go piękność partnerki? Czyżby zdążył się już zadurzyć w Louisie?

Mariannę skrzywiła się na tę myśl. Gdyby istotnie tak było, mogła sobie bez trudu wyobrazić wszelkie niepożądane konsekwencje!

Obserwując tańczącą parę, Mariannę wreszcie przyjrzała się dokładnie Gillinghamowi. Istotnie, na jego twarzy pozostało z pół tuzina dziobów-głębokich śladów po przebytej ospie. Nie było to jednak oszpecenie tak straszliwe, jak się obawiała. Z czasem te góry i doły nieco się wyrównały i teraz przede wszystkim zwracał uwagę jego wydatny, kształtny nos oraz głębokie, ciemne, naprawdę sympatyczne oczy.

Ale włosy Gillinghama, ciemne, ale z lekkim złotawym połyskiem, były stanowczo za długie i fatalnie przystrzyżone, a ubiór wręcz paskudny. Surdut źle dopasowany, fular co prawda czysty, ale związany w niezdatny węzeł. A na domiar złego miał równie okropne maniery jak Louisa! Kto to słyszał, by przypadkową scysję w sklepie uznać za początek znajomości?! Czyżby aż tak zależało mu na utrzymaniu kontaktów z Louisą? Dobrali się rzeczywiście jak w korcu maku!

Nie, nie! Przynęła przecież Caroline. Sama zresztą także nie życzyła Louisie nieszczęśliwego małżeństwa zawartego na szybko, żeby podrażnić dawnego, niestałego adoratora. A właśnie! Gdzie się podziewa sir Lucas?

Mariannę zlustrowała wzrokiem parkiet, na którym pary taneczne robiły to krok do przodu, to znów do tyłu, lub na odmianę kłaniały się i dygały zgodnie z rytmem tańca. Po chwili zlokalizowała młodego człowieka; tańczył z tą samą partnerką i nie dostrzegał tamtej, znacznie mniej zgranej pary. Ignorował Louisę i jej utytułowanego partnera tak kompletnie, że nabrała podejrzenia, iż zdaje sobie w pełni sprawę z ich obecności na parkiecie.

O Boże! Ależ to będzie sezon!

John zacisnął zęby i próbował sobie przypomnieć taneczne kroki. Nie były skomplikowane. Uczono go niegdyś tego tańca, jeszcze w dzieciństwie. Nie miał co do tego wątpliwości, ale jego wspomnienia były ulotne i niekompletne. Czarująca młoda dama o błyszczących niebieskich oczach i pełnych wargach uśmiechała się do niego. Jej promienna uroda przyprawiła go o lekki zawrót głowy. Nie był w końcu pozbawiony ludzkich słabości! A w dodatku od niepamiętnych czasów żadna kobieta nie spoglądała na niego tak jak ta: bez odrazy i lęku. Był tym tak zaskoczony, że odebrało mu mowę. I rozum, gdyż inaczej wymówiłby się od tańca!

No i teraz obijał się po parkiecie, starając się powodować jak najmniej karamboli, które wywoływały zdumienie innych tancerzy. Pot zrosił mu czoło, nadludzkim wysiłkiem pilnował kroków i obrotów. Robił, co mógł, by nie ośmieszyć się ostatecznie w oczach tego anioła, który z niezrozumiałych przyczyn garnął się do niego.

Jakże odmienna była ta łaskawa panna od swej ślicznej opiekunki o szaro-niebieskich oczach i groźnie ściągniętych brwiach! Tamta wyraźnie nie aprobowała tego, że miał czelność poprosić do tańca jej podopieczną. John wcale się jej zresztą nie dziwił. Nawiasem mówiąc, opieka nad tą pełną temperamentu piękną musiała być ciężkim zadaniem nawet dla doświadczonej przyzwoitki! A pani Hughes wydawała się niewiele starsza od swej siostrzenicy.

Być może w odpowiedzi na jego żarliwe, acz bezgłośnie modły taniec wreszcie się skończył. John skłonił się po raz ostatni i podał pannie Crookshank ramię, by zaprowadzić ją do opiekunki.

Dziewczyna zatrzepotała rękami.

- Bardzo panu dziękuję, milordzie. Nie ma pan ochoty na następny taniec?

Teraz jednak John był przygotowany na taką ewentualność. Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie byłem zbyt dobrym partnerem — oświadczył, obawiając się, że panienka roześmieje mu się w nos, słysząc ten eufemizm. - Usunę się na bok, by dać szansę innym, znacznie bardziej utalentowanym tancerzom.

- Mowy nie ma! - odparła natychmiast, wachlując się rozpostartą, dłonią. - Strasznie się zgrzałam. Z pewnością jestem czerwona jak burak i okropnie wyglądam!

Doświadczony światowiec odpowiedziałby zręcznym komplementem, ale John był całkiem

zielony pod tym względem.

- Ależ skąd? Wcale nie! - wymamrotał tylko.

Nawet po tej niezręcznej odpowiedzi uśmiech pięknej panny nie zgasł.

- Prawdę mówiąc, chętnie posiedzę trochę w pańskim towarzystwie. Był tak zdumiony, że nie skorzystała z okazji, gdy próbował się wycofać

z czystej uprzejmości, gdyż taka piękność mogła bez trudu zdobyć lepiej prezentującego się i zgrabniejszego w tańcu partnera.

- Może napiłaby się pani lemoniady? - spytał zdumiony własną galanterią.

- Z przyjemnością wypiję szklaneczkę, jeśli pan siądzie koło mnie i opowie mi o swoich rodzinnych stronach. Podobno hrabstwo Kent obfituje w malownicze widoki. Proszę mi opowiedzieć o tym, co się panu tam najbardziej podoba.

Czyżby naprawdę chciała spędzić z nim więcej czasu? Niewiarygodne! Któż by jednak odrzucił taki dar losu? John podprowadził pannę do stolika stojącego z boku, z dala od parkietu i wezwawszy lokaja, polecił mu przynieść coś do picia dla damy. Potem jednak ogarnęły go wątpliwości. Może znów popełnił nietakt? Czy nie powinna im towarzyszyć opiekunka panny Crookshank? Rozejrzał się dokoła, pewny, że pani Hughes musi być gdzieś w pobliżu, jeśli nie tańczy ze swym mężem.

istotnie, znajdowała się całkiem blisko i mierzyła ich baczny wzrokiem. Spostrzegłszy, że markiz patrzy na nią, skłoniła lekko głowę. Nie uśmiechnęła się jednak i nie przerwała konwersacji z inną matroną.

Chciałbym, żeby się do mnie uśmiechnęła! - pomyślał John zupełnie nieoczekiwanie... Ale nie, jego zachcianka była całkiem zrozumiała. Pragnął przekonać panią Hughes, że jest odpowiednim towarzystwem nawet dla takiej niewinnej, uroczej panienki. Tylko że najpierw musiałby przekonać o tym samego siebie. Diabli wiedzą, z kim trudniej by mu poszło - z sobą czy z nią?

John westchnął i zorientował się, że panna Crookshank czeka, by uraczył ją opisem walorów hrabstwa Kent. Czemu luźno związana chustka na szyję upodobniła się nagle do stryczka?

Talenty konwersacyjne Johna w nikłym jedynie stopniu przewyższały jego umiejętności taneczne. Postarał się jednak skoncentrować i przypomniało mu się miejsce, gdzie z upodobaniem łowił ryby.

- Kent?... Niech pani sobie wyobrazi gęstą, zieloną trawę na łagodnym stoku schodzącym do małej zatoczki. Nad głową krążą morskie ptaki, fale biją o brzeg. Wymarzone miejsce do samotnych rozmyślań.

Panna Crookshank popatrzyła na niego z niewinną minką i spytała:

- Często bywa pan samotny, milordzie? Nie dokucza to panu czasem?

Markiz zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z pewnością nie kryła się w tych słowach żadna podchwytliwa aluzja. Panienka była na to zbyt niewinna!

- Bardzo lubię chodzić po mojej ziemi z psem u nogi. Łatwiej mi wtedy skupić uwagę na codziennych sprawach i nie trapią mnie smutne myśli.

Czemu o tym gada?! W towarzystwie pięknej młodej damy nie mówi się o takich rzeczach! Ale czuł się przy niej tak nieswojo, że sam nie wiedział, co plecie.

Panna Crookshank otworzyła jeszcze szerzej swe niebieskie oczy.

- Smutne myśli? Z jakiego powodu, milordzie? Przecież może mieć pan wszystko, czego tylko zapragnie, nieprawdaż?

Zamrugał oczami ze zdumienia; panienka zaczerwieniła się.

- Proszę mi wybaczyć, to cała ja: najpierw mówię, a dopiero potem myślę! To jedna z moich głównych wad. Stracił pan przecież niedawno ojca, milordzie. Nic dziwnego, że dręczą pana niewesołe myśli!

John zastanawiał się, czy warto jej tłumaczyć, że nigdy nie byli sobie z ojcem bliscy? Jeszcze by go uznała za pozbawionego uczuć drania! Zresztą, piękna panienka i tak paplała dalej.

- Ja też straciłam ukochanego ojca. Rok i dwa miesiące temu. Strasznie mi go brak! - zwierzyła się i zatrzepotała rzęsami; pewnie po to, by odpędzić napływające do oczu łzy. -
- Bardzo mi przykro powiedział.
- Jaki pan dobry!

Dotknęła leciutko jego dłoni i przypomniawszy sobie widać o dobrych manierach, pospiesznie cofnęła rękę. Ten przelotny kontakt przejął markiza dreszczem. Gdyby nie była taka młodziutka i taka naiwna, uznałby ją za bezczelną flirtiarę. Ale to niewiniątko z pewnością nie miało pojęcia, jak podobne dotknięcie może rozpalić mężczyznę. Wręcz nie wypadało żywić płomiennych namiętności w stosunku do tej niewinnej dziewczyny! Z drugiej jednak strony, czyż nie po to przybył do Londynu, by znaleźć tu żonę, która będzie w nim budziła podobne emocje?

O miłości, rzecz jasna, nie mogło być mowy. Wystarczy zwykłe pożądanie, które pomoże mu pogodzić się ze stałą obecnością nieznannej kobiety i spłodzić z nią dzieci, na których tak mu zależało. John przysiągł sobie, że będzie okazywał swojej przyszłej żonie - kimkolwiek będzie - uprzejmość i wszelkie należne jej względy. Jednak do udanego pożycia była niezbędna szczypta „tego czegoś”. Gdyby w jego małżeństwie zabrakło tej przyprawy, czułby zawsze bolesny niedosyt. A wyjście za niego przynosiło pewne korzyści również jego przyszłej żonie. Miałaby dzieci, które z pewnością by ją ubóstwiały, a także piękny tytuł i pokaźny majątek. Wiele panien na wydaniu decyduje się na znacznie skromniejsze warunki. A zatem, czy to możliwe, by panna Crookshank odniosła się przychylnie do jego zalotów? Czyjej rodzice, a raczej opiekunowie (zapewne sroga pani Hughes i jej małżonek) zaakceptowałyby takiego konkurenta?

John zauważył młodego człowieka, wytwornie odzianego, z monstrualnie wysokim kołnierzem, który stał w pobliżu i coraz to zerkał w ich stronę.

- Obawiam się, że zbyt panią monopolizuję, panno Crookshank -zwrócił się markiz do towarzyszki. - Powinna pani koniecznie zatańczyć z godniejszym ode mnie partnerem. Chciałbym jednak przedtem spytać, czy pozwoli pani, bym złożył jej wizytę?

- Byłabym zachwycona, mogąc znów pana zobaczyć, milordzie! -Uśmiechnęła się szeroko. Przynajmniej nie udaje skromni! John nie znosił takich sztuczek. Wstali od stolika i wtedy młody człowiek zebrał się wreszcie na odwagę i podszedł do nich.

- Panno Crookshank, miałem zaszczyt być pani przedstawiony. Czy mógłbym panią prosić do następnego tańca?

- Oczywiście, panie Blaton. Z przyjemnością zatańczę z panem -zgodziła się piękna panna.

Młody człowiek z trudem przełknął ślinę i poprowadził ją na parkiet.

John wypił łyk wina i rozejrzał się dokoła. Jeśli chce kontynuować tę przypadkową znajomość, warto byłoby zjednać sobie przychylną opiekunkę młodziutkiej piękności, zwłaszcza że dotąd nie spoglądała na niego zbyt życzliwym okiem. Omiótł spojrzeniem całą salę i wreszcie wypatrzył panią Hughes, która znowu z kimś rozmawiała. Postanowił zaczekać.

Kiedy dojrzała niewiasta konwersująca z panią Hughes zwróciła się do innych znajomych, John wielkimi krokami zbliżył się do ciotki panny Crookshank.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi?

Spojrzała na niego i przez chwilę znów się obawiał, że zignoruje go całkowicie. Odpowiedziała mu jednak, aczkolwiek bez pośpiechu.

- Jak najbardziej. A pan, milordzie? Czy bywa pan często w Londynie? Ma niezwykle miły głos, pomyślał. Taki łagodny i melodyjny!

- W ogóle nie bywam w Londynie. A w Vauxhall Gardens jestem po raz pierwszy w życiu.

Pani Hughes skinęła głową.

- Mojej siostrzenicy bardzo zależało na tym, by odwiedzić ten park. Ja natomiast miałam pewne obawy, że zetknie się tu z kimś nieodpowiednim. To jej pierwsza wizyta w Londynie,

a ja dopiero od niedawna sprawuję nad nią pieczę.. Rozumie pan więc, milordzie, że muszę być bardzo rygorystyczna, jeśli chodzi o zakazy i nakazy.

Było to wyraźne ostrzeżenie, może nawet zbyt wyraźne. Nie był przecież łowcą posagów uganiającym się za każdą majątną panną. Czy zresztą ta panienka jest bogata*? Dla niego nie miało to większego znaczenia. Przy wyborze żony na pewno nie będzie się kierował wysokością jej posagu... Ale jeśli panna Crookshank jest posażna, musi się liczyć z większą konkurencją.

- Mam nadzieję, że uzna mnie pani za wystarczająco dobre towarzystwo dla swej podopiecznej - stwierdził z łagodną stanowczością. - Przyznaję, że brak mi wielkowiejskiej oglądy, gdyż większość życia spędziłem na wsi. Bez wątplenia jednak takie braki można nadrobić. Mego nazwiska ani włości nie muszę się wstydzić. A choć moja twarz sprawia przykre wrażenie, mogę chyba liczyć na to, że zostanę przyjęty w dobrym domu?

Pani Hughes zamrugnęła oczyma i jej lodowaty chłód nieco stopniał, przynajmniej chwilowo.

- Nie zamierzałam sugerować czegoś przeciwnego, milordzie, bynajmniej...

Bezpośredni atak na przeciwnika często zapewnia przewagę, pomyślał John. Ta metoda zawsze się sprawdzała w jego kontaktach z ojcem. Starając się nie okazywać satysfakcji z kontuzji swej oponentki, kontynuował:

- Nie mam do pani wcale pretensji o to, że jest pani troskliwą opiekunką, pani Hughes. Nawet kwoka w porywie macierzyńskich uczuć rzuca się na lisa, jeśli jej kurczęta są zagrożone. Czy ma pani coś przeciwko temu, bym złożył wizytę pani Crookshank?

Schwytana we własne sidła Mariannę wahała się przez chwilę, jakby usiłowała znaleźć jakiś dobry pretekst do odmowy. W końcu jednak skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Podziała mu adres, choć jej uśmiech był nieco wymuszony.

John zauważył to, ale skłonił się i odszedł. Nie chciał zaprzepaścić swych osiągnięć. Młoda panna nie szczeniła mu uśmiechów, a jej opiekunka wyraziła zgodę na kontynuowanie znajomości. Wolał nie czekać, aż sroga pani Hughes oprzytomnieje i wymyśli jakiś sposób, by się go pozbyć. Przeszedł

więc na drugi koniec zatłoczonej sali i odnalazł bratową. Siedziała przy stole, gawędząc z licznymi przyjaciółmi i pogryzając cieniutko pokrojoną szynkę, jedną z tutejszych specjalności.

W popularnym parku rozrywki panował taki tłok, że John nie dostrzegł brata, choć ten z pewnością znajdował się gdzieś w pobliżu. Tym lepiej! Po krępującym dla nich obu powitaniu unikali się nawzajem przez cały wieczór.

- Już zbierasz się do odwrotu, milordzie? - spytała lady Sinclair, gdy John dziękował jej ceremonialnie za zaproszenie. - Mam nadzieję, że wieczór był interesujący?

- Może nawet... obiecujący - odparł. - Tym bardziej jestem wdzięczny, lady Sinclair.

Popatrzyła na niego w zadumie i skinęła głową. '

- To tylko jeden maleńki krok, milordzie, ale naprzód. Łączą was z Gabrielem więzy krwi i rodzinne wspomnienia. Nie tracę nadziei, że kiedyś stosunki między wami ulegną poprawie.

Prędeż piekło zamarnie! - pomyślał. Ale nie wypadało przeczyć damie, toteż ukłonił się i nic nie odpowiedział. Gdy podniósł głowę, ujrzał w jej czystych oczach tyle zrozumienia... Lady Sinclair nie dała się oszukać, ale nie miała chyba do niego pretensji.

Zdumiewająca kobieta! - myślał, zmierzając do bramy parku, gdzie powinien znaleźć dorożkę. Ciekawe, czy śliczna i pełna życia panna Crookshank, gdy nieco wyorośleje, okaże się kobietą równie silnego charakteru jak jego bratowa? A może raczej należałoby powiedzieć: upodobni się do swej troskliwej opiekunki? John mógłby się założyć, że pani Hughes nie brak odwagi ani serca, że cechuje ją niezłomność rasowej klaczy. O, to chyba niezbyt odpowiednie porównanie dla damy? Doprawdy, jej wdzięczna postać i skrzące się oczy wywoływały w nim... to znaczy w każdym, kto się z nią stykał, szczerą radość, że są na

świecie takie kobiety, prawdziwe damy obdarzone charakterem i siłą ducha, choćby dla niego były całkowicie nieosiągalne.

Aczkolwiek słyszał nieraz, że romanse są powszechnym zjawiskiem w wielkim świecie, nie należał do rozpustników, których nęcą łatwe, przelotne związki z cudzymi żonami. Zatem rozpamiętywanie zalet starszej z obu dopiero co poznanych dam nie miało najmniejszego sensu. Starał się więc skupić na miłych wspomnieniach o uroczej pannie Crookshank, Na tym, jak często uśmiechała się do niego, jaka była naturalna, jak zdawała się nie dostrzegać szpetnych blizn na jego twarzy.

Mimo to w drodze powrotnej do zajazdu towarzyszył mu uparcie obraz nie jego potencjalnej oblubienicy, lecz jej opiekunki.

W końcu Mariannę, nie zważając na protesty Louisy, uznała, że najwyższy czas wracać do domu. Każdy, kto zasiedział się zbyt długo w Vauxhall, przekonywał się, że tłum z każdą chwilą staje się coraz bardziej nieokrzesany, a jego reakcje nieprzewidywalne. Pożegnała się więc z przyjaciółmi i wraz z podopieczną i lokajem udała się do wynajętego powozu. Następnie odjechały przez pograżony we śnie Londyn do domu.

Po strategicznym odwróceniu markiza ożywienie Louisy nieco osłabło; niemniej jednak panienska stwierdziła, że bawiła się jak nigdy.

- To było jak piękny sen... Dziękuję ci, cioteczko, że mnie tam zabrałaś! Wrócimy jeszcze do Vauxhall, nieprawdaż, najdroższa ciociu? - napraszała się. - Wiem oczywiście, że Londyn ma mnóstwo innych atrakcji! Musimy zająć się przygotowaniem do mego debiutanckiego balu i wystarać się o karty wstępu do Almack's... Wszystkie szanujące się młode damy tam bywają! Tyle słyszałam anegdotek o tym słynnym „mażeńskim targowisku"! Czy znasz osobiście którąś z protektorek, ciociu Mariannę?

- Zetknęłam się z lady Seton i z jedną czy dwiema innymi - odparła Mariannę z pewnym roztargnieniem.

Jej myśli uparcie błędziły wokół tajemniczego markiza, który zaskoczył ją błyskawicznym tempem zalotów. Doprawdy, gdyby zdołała wymyślić jakiś pretekst, nie dopuściłaby do tego, by złożył im wizytę! Co się stało z jej szybkim zazwyczaj refleksem?! Czyżby Louisa rzeczywiście złowiła tak grubą rybę już po pierwszym zarzuceniu wędki w burzliwe wody londyńskiego wielkiego świata? Zabawne!

I skąd u niej to uczucie zazdrości? Nie, nie! Nigdy się nie przyzna, nawet przed sobą, do tak poniżających reakcji! - przysięgała sobie w duchu Mariannę. - Ze wszystkich młodych i starszych mężczyzn, którzy umizgali się dziś wieczór do Louisy, żaden nie wzbudził w jej opiekunce ani odrobiny nieprzystojnej żądy. Jedynie markiz, który...

Mariannę potrząsnęła głową i nie pozwoliła sobie na dokończenie tej myśli.

- Myślisz, ciociu, że w różowym będzie mi do twarzy? - spytała z niepokojem Louisa i spojrzała na opiekunkę trwożnym wzrokiem.

Mariannę nie słuchała jej uważnie; ta dziewczyna wiecznie paplała o fatałaszkach! Mimo to zapewniła ją:

- Różowy kolor jest niezwykle twarzowy. Będzie doskonale pasował do twoich złotych włosów i jasnej cery.

Pozwoliła Louisie dalej rozwodzić się nad nowymi toaletami, które zostały już obstalowane. I planować, dokąd udadzą się następnym razem, by mogła poznać najsłynniejsze zabytki i najbardziej uczęszczane miejsca w Londynie.

Dopiero gdy znalazły się znów w domu, a lokaj zamknął drzwi na wszystkie spusty, Mariannę poruszyła temat, który przez cały niemal wieczór leżał jej na sercu.

- Zauważyłam wśród tańczących sir Lucasa Englewooda - powiedziała, wchodząc za Louisa do zajmowanego przez nią pokoju gościnnego i przysiadając na stojącym pod ścianą fotelu, podczas gdy moda pokojówka rozpiniała suknię dziewczyny,

- Mhm... A ta cieniutko pokrojona szynka była doprawdy pyszna, nieprawdaż? - odparła

Louisa, nie odrywając oczu od rękawiczek, które właśnie ściągała.

- Czyżbyś go nie zauważyła? - Mariannę nie dawała za wygraną. - To przecież twój stary przyjaciel z Bath!

Louisa wzruszyła ramionami.

- Ot, taka dziecinna sympatia, nic poważnego! Jej głos wydawał się dziwnie ostry.

- Rozumiem - odparła sucho Mariannę. Istotnie, rozumiała wszystko aż za dobrze! - Nie zmartwiło cię więc, że znalazł sobie inną pannę?

- Oczywiście, że nie! - Głos Louisy wzniósł się aż do krzyku, ale zaraz nad nim zapanowała. - Bardzo się z tego cieszę... ze względu na niego.

Ta mała jest doprawdy irytująca! - pomyślała Mariannę. Ale..

- Louiso, jeśli żywisz jeszcze całkiem naturalne uczucie żalu z powodu rozstania z dawnym... hm... przyjacielem, pomyśl, jak nieuczciwe byłoby zachęcanie innego zalotnika tylko po to, by udowodnić sir Lucasowi, że wcale się nie przejął tą rozłąką.

Panienska wyprostowała się na całą wysokość, co prawda tylko metr pięćdziesiąt, i przygryzła dolną wargę, która lekko drżała.

- Doprawdy, ciociu, jak możesz przypuszczać, że byłabym zdolna do takiego postępowania?!

- A nie jesteś? Oby to była prawda! - ostrzegła ją z całą powagą Mariannę. - Nie wynikłoby z tego na dalszą metę nic dobrego ani dla markiza, ani dla ciebie.

- Jak możesz mnie podejrzewać o coś podobnego, ciociu?! - Louisa usiłowała rozpaczliwym mruganiem powstrzymać łzy. - Nawet jeśli byłam trochę zmartwiona nagłym zerwaniem przyjacielskich kontaktów przez sir Lucasa - w dodatku bez powodu - to chyba całkiem naturalne, że szukam nowych przyjaciół.

- Chyba tak- zgodziła się Mariannę.- Ale nie podejmuj bez namysłu żadnych zobowiązań, Louiso! To byłby szczyt nierozwagi. Jako twoja tymczasowa opiekunka nie dopuszczę do tego. Jestem pewna, że twój stryj zgodzi się ze mną w zupełności.

Twarz młodej panny była w tej chwili niewidoczna, gdyż Louisa zdejmowała właśnie ubranie. Gdy pokojówka wieszała w szafie wieczorową suknię, panienska otuliła się szlafrokiem. Kiedy zaś odwróciła się wreszcie do Mariannę, miała niewinny wyraz twarzy.

- Ależ oczywiście, najdroższa ciociu! Za nic nie chciałabym sprawić ci kłopotu!

Licho wie, czemu to zapewnienie wcale nie uspokoiło Mariannę, Pocałowała jednak Louisę w policzki i życzyła jej dobrej nocy. Cóż innego mogła uczynić? Być może niepokoiła się bez powodu, ale widywała już wcześniej podobny błysk w oku siostrzenicy.

Louisa udała się na spoczynek w fatalnym humorze. Powiedziały sobie z ciotką, dobranoc, potem zaś położyła się do łóżka. Głowa pękała jej z bólu, a w myślach panował zamęt... jak na poddaszu, gdy wdarła się tam zbrodnicza wiewiórka, o której poczynaniach panienska słyszała co najmniej trzykrotnie od nielicznej służby cioci Mariannę.

Spełniły się wreszcie jej marzenia: była w Londynie, tańczyła w Vauxhall, słuchała koncertu w rotundzie. Zaczęła nowe życie, zamiast tracić czas w Bath w towarzystwie podstarzałych cherlaków. Powinna szaleć ze szczęścia! Oczywiście, że jestem szczęśliwa: taka podniecona, radosna i beztroska! - powtarzała sobie, waląc pięściami w poduszkę.

Z poszewki wymknęło się niewielkie piórko, poszybowało w górę i wylądowało na jej policzku. Strząsnęła je z gniewnym grymasem. Była szczęśliwa, póki Lucas nie wtargnął bezczelnie w jej londyńską idyllę. Ależ on ma tupet! W dodatku prowadzi się z jakąś brunetką o ziemistej cerze, w niegustownej sukni... te wszystkie falbanki! Bez wątplenia to czupiradło robiło do niego maślane oczy i wbijało go jeszcze bardziej w tę nieznośną pychę! Będzie miał za swoje, jak się ożeni z tą idiotką!

Usiłowała uśmiechnąć się na tę myśl, ale jej oczy wypełniły się nagle gorzkimi łzami. Och, nie! Tylko nie to! Ileż nocy przepłakała, odkąd Lucas ni z tego, ni z owego zerwał z nią znajomość? Znów trzeba będzie posłać Evę do kuchni, by podkraść dyskretnie ogórek... Jego plasterki położone na opuchniętych powiekach sprawiały, że po jakimś czasie mogła pokazać

się na dole, nie budząc podejrzeń. Nie chciała, by litowano się nad jej złamanym sercem! Gdyby służba coś zauważyła, plotki rozeszłyby się błyskawicznie po całym Bath i wszyscy gadaliby o tym bez końca.

Raz jeszcze trzepnęła w poduszkę. Nadal walczyła ze łzami. Tym razem się nie podda! Przyjechała do Londynu, by uwolnić się od tych wszystkich bolesnych wspomnień. Że też Lucas miał czelność zjawić się tu akurat w trakcie jej pobytu! Nieważne, że mnóstwo dobrze urodzonych osób zjeżdżało do Londynu na sezon. On powinien zostać w domu! Ubiegłej wiosny wcale mu się nie spieszyło do stolicy, siedział w Bath, ale wtedy byli jeszcze w sobie zakochani. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć!

Z trudem przełknęła ślinę i spróbowała skoncentrować myśli na szczęśliwym zbiegu okoliczności, dzięki któremu poznała tajemniczego markiza. Ileż fascynujących plotek krążyło na jego temat! A on tańczył z nią i spoglądał na nią z widocznym upodobaniem. Powiedział cici, że pragnie złożyć im wizytę, a ciocia przekazała jej tę wiadomość, co prawda bez większego entuzjazmu.

Tak więc plan Louisy, zrodzony z goryczy po zdradzie Lucasa, wydał już owoce. Niewybaczalna uwaga, którą wiarołomny baronet rzucił jej w trakcie sprzeczki (stwierdził, że jest zapatrzoną w siebie egoistką, pomyśleć tylko!), okaże się absolutnie bezpodstawna.

Cały świat się przekona, że nie ma w niej ani źdźbła egoizmu! Jeśli obdarzyła miłością człowieka poznanego śladami okropnej choroby, jeśli zdołała pod tą powłoką dostrzec niewątpliwą szlachetność jego charakteru - a nie ulega wątpliwości, że markiz jest szlachetny! - czyż nie przekona to Lucasa... to znaczy całego świata, że nie jest wcale taka płytka i zapatrzona w siebie, jak jej niesłusznie zarzucał?!

Louisa poczuła falę ciepła, które niemal wypełniło lodowatą pustkę, jaką czuła w sercu, odkąd zniknął z jej życia Lucas. Markiz będzie ją ubóstwiał! Ona zaś, nie odstępując od boku męża, będzie czuwać nad jego zdrowiem i zyska zasłużoną opinię anioła miłosierdzia. Czyż nie siadywała przy łożu ojca podczas jego długiej choroby? Czyż lekarz nie musiał jej przekonywać, by odpoczęła trochę i zażyła nieco świeżego powietrza?

Ona, Louisa, miałyby być egoistką?! Nic podobnego!

Westchnęła, wierciła się jeszcze przez chwilę na łóżku i wreszcie zapadła w sen.

W niedzielę ciocia Mariannę zaprowadziła siostrzenicę do katedry św. Pawła na poranne nabożeństwo; Louisa miała więc okazję podziwiać słynną kopułę i wspaniałą architekturę tej świątyni. Popołudnie spędziły w zaciszu domowym, a pobyt w katedrze stanowił bezpieczny temat listu wysłanego do Bath, do stryjenki Caroline.

Louisa umoczyła pióro w kałamarzu i wypełniła drobnym pismem bite dwie stronicę. Nie rozwodziła się zanadto nad znacznie bardziej podniecającą wyprawą do Vauxhall, by nie wywołać kolejnych morałów na temat właściwego zachowania. Dość się ich nasłuchiwała od cici Mariannę! W głębi duszy sądziła, że jej nieprzystojne zachowanie okazało się skuteczne, a dla owych skutków warto było zaszargać troszkę swą reputację. Zawarła znajomość z markizem, którego sobie upatrzyła, a teraz z niecierpliwością oczekiwała poniedziałku, by przekonać się, czy rzeczywiście złoży jej wizytę.

Gdy obudziła się następnego ranka, słońce wlewało się strumieniami przez wypolerowane szyby, ona zaś czuła się znacznie lepiej. Jest nareszcie w Londynie! A jej przyszłe życie będzie promienne jak to poranne słońce. Nie miała co do tego wątpliwości!

Zadzwoiła na pokojówkę. Eva zjawiła się niebawem, niosąc na tacy herbatę, grzanki i owsiankę doprawioną miodem, dokładnie wedle gustu panienki. Louisa jadła śniadanie, spoglądając tęsknie ku oknu.

- Czy ciotka już wstała? - zagadnęła pokojówkę. Dziewczyna potrząsnęła głową. - Chyba jeszcze nie, panienko.

Louisa rozważyła sytuację. Krótki spacer po skwerze nie może być niczym zdrożnym, zwłaszcza jeśli weźmie ze sobą służącą. Wtajemniczyła w swoje plany Evę, ta zaś odstawiła

tackę na stolik pod ścianą. Louisa pospiesznie umyła się i ubrała. Zdecydowała się tego ranka na nową suknię z wzorzystego muślinu i dobrany do niej kolorem jasnożółty spencerek, na wypadek zimnego wiatru. Na głowę włożyła słomkowy kapelusik, przybrany gałązką sztucznego kwiecia. Naciągnęła rękawiczki i po cichutku zbiegła ze schodów, a Eva za nią.

Niewielki ogrodzony teren pośrodku placu mógł się poszczycić trawnikiem, kilkoma karłowatymi drzewkami i kwietnymi rabatkami. Londyński smog wyraźnie kwiatom nie służył. Tego jednak ranka rześki wiaterek rozwiewał szary opar nad Londynem i Louisa naprawdę mogła zaczerpnąć trochę powietrza podczas spaceru.

Okrążyła trzykrotnie trawnik, czując, że rozsadzają energią. A może to niecierpliwość? Od tak dawna czekała na londyński debiut, marnowała życie w Bath, tej dziurze pełnej wdów i staruszków! Teraz, gdy wreszcie znalazła się w stolicy, żadna była wrażeń: balów, przyjęć, spektakli teatralnych oraz romantycznych zalotów uwieńczonych imponującym weseliskiem, olśniewającą białą suknią i podróżą poślubną po Europie. Wróci z niej do swego nowego domu -wspaniałej wiejskiej rezydencji, w której będzie sprawować rządy z łagodną stanowczością swej matki. A potem zjawią się dzieci. Oczywiście co roku będzie triumfalnie pojawiać się podczas londyńskiego sezonu z oddanym mężem u boku. A jeśli nawet w tych marzeniach twarz przyszłego małżonka jawiła się jej niezbyt wyraźnie, z czasem ulegnie to zmianie.

Zatopiona w wizjach małżeńskiego szczęścia i towarzyskich triumfów maszerowała wokół miniaturowego parku coraz szybciej, aż wreszcie spostrzegła, że pokojówka sapie z wysiłku i nie może za nią nadążyć. Słońce stało już znacznie wyżej na niebie, ciotka pewnie już się obudziła... Warto by zaplanować interesującą wyprawę, żeby dzień się nie dłużył. Może po sprawunki na Bond Street? Było tam jeszcze wiele sklepów, do których nie zdążyła zajrzeć. Potem zjedzą razem z cicią drugie śniadanie gdzieś na mieście. Chętnie skosztowałaby lodów od Guntera i zajrzała do księgarni Ackermana, gdzie cały wielki świat przeglądał ostatnie nowości literackie. Możliwe nawet, że złożą wizytę którejś z protektorek i uda im się zdobyć karty wstępu do Almack's... Kto wie, może właśnie dziś odbywa się tam bal? Louisa miała nadzieję, że tak jest w istocie.

Zawróciła więc do domu ciotki Marianny. Ledwie weszła do środka i zdjęła kapelusz i rękawiczki, spostrzegła, że lokaj ciotki - tęgi mężczyzna w średnim wieku - spogląda na nią dobrotliwie, niemal po ojcowsku.

- Ktoś przysłał paniencie kwiaty. Wstawiłem je do salonu, panno Louiso. Aż westchnęła z ukontentowania.

- Doprawdy? Och, to cudownie! Od kogóż to... to znaczy, dziękuję, Masters. Za chwilę je obejrzę.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie popędzić do niewielkiego, eleganckiego saloniku ciotki, tylko udać się tam statecznym krokiem. Wpadła w zachwyt na widok bukietu lili, tulipanów i innych wiosennych kwiatów, który bardzo pięknie się prezentował na stoliku pod ścianą. Pospiesznie odczytała załączony liścik.

Z wyrazami szacunku od Gillinghama.

Nie było to namiętne wyznanie miłości, tylko nieco staroświecka formułka grzecznościowa... Ale nie zapomniał o przysłaniu jej kwiatów. Bardzo właściwe i obiecujące! Miała nadzieję, że to wstęp do poważnych konkurów, i postanowiła dopomóc trochę losowi.

Masters zjawił się nagle, niosąc na tacy niewielki imbryczek, choć nie prosiła o herbatę.

- Pomyślałem, że po spacerze będzie panienska spragniona - wyjaśnił.

Przyglądał się jej ukradkiem, chcąc się widocznie przekonać, jakie wrażenie zrobiły na niej kwiaty. Czyżby służba plotkowała już na jej temat? A niech tam! Nie miała nic przeciwko temu, by wszyscy się dowiedzieli, że od razu zdobyła wielbiciela... w dodatku utytułowanego! Masters postawił tackę na stole, nalał herbaty i podał ją Louisie.

Odbierając z rąk lokaja filiżankę i spodeczek, Louisa zorientowała się, że bezwiednie się

uśmiecha. Czemu zresztą nie miałyby okazywać radości? Życie jest piękne! A co do sir Lucasa, to należało jedynie litować się nad biednym niedorostkiem, który nie potrafi! docenić prawdziwego uczucia!

Nucąc coś pod nosem, zasiadła do herbaty.

Mariannę spała niespokojnie i obudziła się później niż zwykle. Spojrzała na ukośne promienie słońca wpadające przez okna jej sypialni i podniosła się na łokciu. Ogarnął ją nagły niepokój. O Boże! Powinna czym prędzej wstać! Louisa z pewnością niecierpliwie czeka na kolejną wyprawę do miasta.

Potem odetchnęła głęboko i z całym rozmysłem opadła znów na poduszki. Louisa może poczekać. Nie powinna przyzwyczaić się do tego, że ciotka jest do jej dyspozycji na każde skinienie! Niebawem jednak zadzwoniła na pokojówkę, a gdy Hackett zjawiała się z tacą, jej pani nie mitrężyła zbyt długo przy herbacie i cieście z rodzynkami.

Pokojówka otworzyła szafę, zmierzyła okiem jej zawartość i rzuciła przez ramię:

- Podać szarą przedpołudniową suknię, proszę pani?

- Nie! - odparła stanowczo Mariannę, wprawiając w zdumienie nie tylko Hackett, ale i siebie.

- Włożę tę nową z niebieskiego jedwabiu.

Pokojówka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Mam zamiar złożyć kilka wizyt - wyjaśniła Mariannę, choć nie miała oczywiście obowiązku spowiadać się przed służącą.

Ubrana w nową suknię poczuła dreszczyk satysfakcji, gdy Hackett zapinała rząddek drobnych guziczków i wygładzała fałdy spódnicy. Zerknąwszy na swe odbicie w ściennym lustrze, Mariannę pomyślała, że w tym odcieniu błękitu jest jej zdecydowanie do twarzy: oczy wydawały się żywsze, a cera delikatniejsza. W swoim wieku nie zamierzała oczywiście ulegać próżności, ale zawsze przyjemnie mieć coś nowego do włożenia. Nie tylko Louisa biegała od zeszłego tygodnia po sklepach i na przymiarki.

Hackett odgarnęła do tyłu gęste, ciemne włosy pani i upięła je jak zwykle w węzeł na karku. Mariannę tym razem jednak uznała, że można pozwolić delikatnym loczkom zwisać swobodnie po obu stronach twarzy; nie będzie miała wówczas tak surowego wyrazu. Kwoka, też coś!

Na dole zastała już w salonie Louise. Panienka rwała się do rozmowy o najlepszych sposobach spędzenia kolejnego dnia. Masters przyniósł filiżankę i spodek dla swojej pani i nalał jej herbaty. Mariannę piła i słuchała paplaniny Louisy. Dziewczyna miała tysiąc pomysłów, których urzeczywistnienie z pewnością sprawiłoby przyjemność im obu.

- Jestem przekonana, że ciotci też się to spodoba! - oświadczyła, przedstawivszy takie mnóstwo planów, że ich realizacja zajęłaby im co najmniej pół roku.

- Bez wątplenia - przytaknęła Mariannę, starając się ukryć rozbawienie. Podyskutowały na temat kilku jej sugestii, by ustalić, któremu projektowi należy się pierwszeństwo. Nie zdążyły jednak nawet udać się do swych pokojów po okrycia, gdy rozległo się stukanie do frontowych drzwi.

- Och, któż to może być? - zaciekawiła się.

- Pewnie ktoś z wizytą.

Mariannę starała się nie okazywać po sobie podniecenia, ale i w niej zbudziła się ciekawość. Być może przyniesiono tylko następne kwiaty dla Louisy. Ciotka okazała należyty podziw dla bukietu przysłanego przez markiza. Widok tych kwiatów wywołał w niej znów osobliwą mieszaninę sprzecznych uczuć. Z całą pewnością nie zazdrościła podopiecznej powodzenia u panów, ale lord Gillingham nie był najodpowiedniejszym kandydatem na męża dla dziewczyny tak młodej i beztroskiej.

Usiadły z powrotem i w milczeniu popijały małymi łyчками herbatę. Mariannę wiedziała jednak, że Louisa nadstawia uszu, czy z frontowego holu nie dobiegnie męski głos. I rzeczywiście, dotarło do nich kilka słów wypowiedzianych dźwięcznym barytonem. Nie były

więc zaskoczone, gdy Masters ukazał się w drzwiach salonu i zaanonsował w najlepszym stylu, z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu:

- Markiz Gillingham, jaśnie pani.

Obie damy wstały i dygnęły lekko, a markiz złożył im ukłon.

- Proszę siadać, milordzie - odezwała się Mariannę, siląc się na obojętny ton.

Jeśli nawet na widok markiza serce zabiło jej szybciej, byłoby głupotą przyznać się do tego. Zresztą zależało jej wyłącznie na szczęściu siostrzenicy. (Tak sobie przynajmniej wmawiała). Jej osobiście ten człowiek nic a nic nie obchodził!

Przynajmniej - w odróżnieniu od większości opiekunek - nie musiała się obawiać, że jej podopieczna zapomni języka w buzi! Louisa uśmiechnęła się słodko do gościa i od razu go zagadnęła.

- Nie chce pan marnować ani chwili pobytu w Londynie, markizie? Wstał pan bardzo wcześnie!

Markiz wyraźnie się speszył.

- Czyżbym przyszedł w niestosownej porze?

- Skądże znowu! - uspokoiła go Louisa. - Mój stryj zrywa się o świcie i pędzi do pracy. Już do tego przywykłam.

Nie wiedzieć czemu markiz zerknął na Mariannę.

- Pani stryj wyrzeka się wielu domowych przyjemności. Niejeden mężczyzna rad by pozostać jak najdłużej pod swym dachem. Ale jeśli istotnie paniom nie przeszkodziłem...

- Może mi pan składać wizyty o każdej porze, milordzie! - Louisa uśmiechnęła się.

Mariannę uniosła brwi. Brak fałszywej skromności to jedno, ale czynienie takich wyraźnych awansów to całkiem co innego!

Zdając sobie widać sprawę z tego, że zbytnio się zagalopowała, Louisa lekko pokraśniała. To jej - niestety - tylko dodało uroku.

- Chciałam przez to powiedzieć, że ja również wcześnie wstaję. Słońce świeci mi prosto w okno. W taki piękny dzień wylegiwanie się w łóżku to po prostu grzech!

- To prawda. Czy moglibyśmy wobec tego wybrać się do parku? - zaproponował.

- To wspaniały pomysł! - powiedziała Louisa nieco zbyt entuzjastycznie, ale już o wiele stateczniej. Zrobiła skromną minkę, ale zdradzały ją błyszczące z podniecenia oczy.

Nie, tej dziewczynie z pewnością nikt by nie zarzucił przesadnej nieśmiałości! - pomyślała Mariannę i zacisnęła usta. Nie była pierwszą naiwną, nie mogła więc pozwolić sobie na podobną skwapliwość bez względu na tytuł i pozycję towarzyską składającego tę propozycję gościa.

Markiz nie potrafił (na szczęście!) czytać jej w myślach. Dodał więc:

- Gdyby pani, panno Louiso, i pani Hughes, oczywiście, zechciały wsiąść do mego powozu, moglibyśmy pojechać do Hyde Parku i pospacerować po alejkach.

Louisa zerwała się na równe nogi.

- Cudownie! Biegnę po okrycie!

I wypadła z pokoju, nim markiz dokończył zdania. Uniósł brew i spoglądając za wybiegającą panną, zauważył:

- Panna Crookshank, doprawdy, decyduje się w mgnieniu oka.

Mariannę ogarnęła niewczesna ochota do śmiechu, ale opanowała się i wyraz jej twarzy pozostał należycie obojętny. Taką przynajmniej żywiła nadzieję. Nie mogła w żaden sposób okazać groźnemu markizowi swej przychylności! Na wyrażenie ostatecznej aprobaty było o wiele za wcześnie.

- To prawda - przytaknęła.

Niestety! W tej chwili najbardziej lękała się tego, że Louisa równie pochopnie zdecyduje się na zaręczyny z tym człowiekiem, nie znając ani jego charakteru, ani przyzwyczajęń.

Będąc opiekunką tej impulsywnej dziewczyny, muszę sama delikatnie zbadać sprawę,

postanowiła. A poza tym nie mogli przecież siedzieć tu i milczeć! Mężczyzna naprzeciw niej wbił wzrok we wzorzystą tapetę. Najwyraźniej błędził myślami gdzieś daleko i widocznie nie był usposobiony do salonowej rozmowy o niczym.

- Czemu tak stroni pan od Londynu, milordzie? - spytała Mariannę i bojąc się, że jest zbyt obcesowa, dodała: - Większość arystokracji zjeżdża tu co roku, by uczestniczyć w atrakcjach sezonu. Czy nie lubi pan przyjęć, spektakli teatralnych, balów i wszelkich imprez w wielkim stylu?

Serce Johna zamarło. Jak długo zdoła utrzymać się w tej uciążliwej roli? Miał wrażenie, że podszywa się pod kogoś, kim nie jest. Najwyklesza wymiana zdań z dobrze wychowanymi paniami przekraczała jego możliwości. Miał ochotę powiedzieć tej ślicznej, choć nieusposobionej do niego życzliwie damie, że dałby tysiąc funtów, by znaleźć się znów w swoim domu,

chodzić po polach i patrzeć, jak mu pszenica dojrzewa, albo obserwować lot ptaka, który - spłoszony przez Małą czy inne psisko - wzbija się w błękitne niebo. Westchnął w duchu, odsunął od siebie wizję spokojnej samotności i zmusił się znów do salonowej konwersacji.

- Jestem prostym wieśniakiem - powiedział i sam poczuł, jak sztucznie to zabrzmiało. - Brak mi gładkich manier, którymi mógłbym oczarować nieznajomych. Nie potrafię też, niestety, cierpliwie znosić ich ciekawskich spojrzeń i urągliwych szeptów, Chociaż, rzecz jasna, nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą.

Mimo ostatniego zapewnienia czuł, że wyjawiał zbyt wiele. Zimne spojrzenie siedzącej naprzeciw niego kobiety stało się nieco cieplejsze. Dostrzegł w nim odrobiną sympatii i coś jeszcze. Nie! Nie chciał jej litości! Kiedy jednak pochyliła się ku niemu i dotknęła lekko jego ramienia, miał wrażenie, że przeleciała między nimi iskra. Całe jego ciało zareagowało na ten przelotny kontakt.

Boże, ależ ona ponętna! Wbrew woli poczuł skurcz pożądania, ujrawszy z tak bliska wypukłość jej piersi. Oczy jej robiły wrażenie jaśniejszych, bardziej niebieskich. Były jak lekko zasnutę mgiełką jesienne niebo. Jakżeby pragnął czytać w myślach, które tak ukrywała! Nie, nie może sobie pozwolić na takie rozmyślenia! Tylko to nagłe, rozpaczliwe pożądanie. Objąć ją, przyciągnąć do siebie...

Zamrugnął oczyma i jakoś się opanował.

Mariannę wyczuła jego nagłą rezerwę i odsunęła się. Czyżby go czymś uraziła? Nie zamierzała być protekcyjna ani litościwa. Uświadomiła sobie, jaki to niezależny duch i jaki sprzeciw wzbudziłoby w nim podobne traktowanie. Nagle jednak zdała sobie w pełni sprawę z tego, jakim nieznośnym brzemieniem musi być dla ni ego szpetota okaleczonej twarzy. Bez względu na to, co mówił, z całą pewnością nie był obojętny na ludzkie reakcje na swój widok. Ale przecież tylko najbardziej ograniczony prostak mógł zwracać uwagę na takie drobne mankamenty jak kilka dziobów po ospie! Z całą pewnością nie one decydowały o wyglądzie ogólnym markiza. Czyżby nie zdawał sobie z tego sprawy?! Jego piękne ciemne oczy pod wysokimi łukami równie ciemnych brwi, wydatny nos i mocno zarysowany podbródek z prawie niewidocznym dołkiem - wszystko to sprawiało, że wydawał się uosobieniem żywotności i stanowczości. A każdy, kto przyjrzał mu się uważniej, musiał w nim dostrzec człowieka o niezwykle silnej woli.

Pytanie tylko, jaki użytek mógłby uczynić z tych zalet charakteru? I jak traktowałby żonę równie młodą i niedoświadczoną jak Louisa? Mariannę uznała za sprawę najwyższej wagi zbadanie ukrytych cech i skłonności markiza, zanim jego zaloty przybiorą ściśle określony, wiążący charakter.

Nagle do pokoju wbiegła znów z gracją Louisa w zwiewnym szalu na ramionach i uśmiechnęła się do markiza.

- Jestem gotowa!

Podniósł się natychmiast, ale był na tyle dobrze wychowany, że zwrócił się do Mariannę, nim

podał ramię jej siostrzenicy.

- Czy i pani nie powinna osłonić się czymś od wiatru?

- Nic mi nie będzie - odparła i gestem dała im znak, by ruszyli przodem po wąskich schodach na dziedziniec.

Stajenny markiza pomógł damom wsiąść do ciemnego powozu. Louisa była rozczarowana i nie potrafiła tego ukryć. Mariannę postanowiła wygłosić kolejne kazanie na temat stosownego zachowania... choć poprzednie napomnienia nie zmieniły w najmniejszym stopniu ulubionej pozy dziewczyny: rozbijając szczerą pierwszą naiwną. Jednakże Mariannę traktowała serio rolę opiekunki i nie ustawała w wysiłkach.

Zajęli miejsca w powozie, który był niewątpliwie solidny, ale nieco staroświecki. Myśli Louisy były łatwe do odczytania, gdy spoglądała na obite skórą poduszki i drewnianą boazerię. Mariannę miała nadzieję, że Gillingham nie zorientuje się równie szybko jak ona, jak płyciutka jest jej piękna podopieczna. Jednak markiz, zajmując miejsce w powozie, odezwał się łagodnie:

- Ma doskonałe resory i dobrze niesie, choć nie jest zapewne ostatnim krzykiem mody.

Mariannę odpowiedziała pospiesznie, zanim Louisa zdążyła coś palnąć:

- Nie oczekujemy od panów, by podążali za ostatnimi kapryсами mody, jak to lubią niekiedy robić damy, milordzie!

Nie było to, oczywiście, zgodne z prawdą. Wielu światowców na równi z damami fascynuje się wszelkimi nowymi prądami w modzie. Nie chciała jednak wprawić markiza w zakłopotanie.

Uniósł jedną brew.

- Jedynie tego, by mocno trzymali się na nogach? Tak ją zaskoczył, że omal nie parsknęła śmiechem.

Louisa przyglądała się im obojgu, nie mając pojęcia, o co chodzi. Mariannę nie dała się ponieść przewrotnemu poczuciu humoru i odpowiedziała z całą powagą:

- Oczywiście!

Gdy dotarli do Hyde Parku, stangret zatrzymał konie i wszyscy troje wysiedli z powozu i zaczęli przechadzkę po parkowych alejkach. O tak wczesnej porze było tu stosunkowo pusto. Przeważnie tylko nianie lub bony spacerowały z podopiecznymi lub, siedząc na ławkach, pilnowały bawiących się dzieci. Widząc, jak Louisa trzepocze rękami, prowokując dżentelmena, który szarmancko zaoferował jej ramię, Mariannę pomyślała, że na tych kobietach w schludnych uniformach nie ciąży aż tak wielka odpowiedzialność jak na niej. Wiele by dała, by zamienić się rolami z jedną z nich! Opieka nad tą kruszynką, która ledwie się trzymając na nóżkach, wlecze za sobą lalkę, z pewnością jest łatwiejsza niż pilnowanie nieodpowiedzialnej, zbyt impulsywnej młodej damy!

Nie, nie! To absurd! Wcale nie chciała być służącą, a opieka nad Louisą nie ciążyła jej przecież do tego stopnia...

Omijając szerokim łukiem chłopczyka, który biegł po ścieżce, tocząc przed sobą obręcz, Mariannę z rozmysłem pozostała nieco w tyle. Markiz jednak zwołał, by zaczekać na nią. Wyraźnie zależało mu na jej obecności, toteż gawędzili we trójkę o kwiatach, pogodnym niebie nad głowami i tym podobnych sprawach.

Ten człowiek stara się, jak może! — pomyślała Mariannę. Wiedziała, że powinna to docenić i wyrazić swą aprobatę, ale odnosiła wrażenie, że markiz traci czas na głupstwa i marnuje swe możliwości. Jego silnie zbudowana, barczysta, rosła postać sugerowała, że jest stworzony do wyższych celów. Oczywiście, prezentował się najlepiej na wolnym powietrzu, gdyż nie było tu mebli, o które by się potykał albo je przewracał.

- Czy bywał pan za granicą, milordzie? - spytała nieoczekiwanie. Louisa przystanęła koło rabatki wyjątkowo ładnych żonkili, a Mariannę i markiz czekali na nią w odległości kilku kroków. Potrząsnął głową.

- Nie. W młodości uniemożliwiła mi to wojna, a potem... nie miałem już ochoty. Mając tyle pieniędzy i czasu do dyspozycji? - pomyślała. Bardzo wielka szkoda! Widocznie wyczuł jej dezaprobatę, gdyż unosząc brwi, spytał:

- A pani?

- Mój mąż uważał podróże za stratę czasu i pieniędzy. Zresztą, jak sam pan zauważył, pokój dopiero od niedawna umożliwił nam znowu zagraniczne wojaże.

Zamilkła, ale jej myśli nadal krążyły wokół śmiałych planów, z których dawno zrezygnowała. Zresztą samotnej kobiecie niełatwo byłoby podróżować. Bardzo bogate damy mogły sobie na to pozwolić, zabierając ze sobą damę do towarzystwa i sporą gromadę służby, ale ona nie miała niezbędnych do tego funduszy. Nigdy jednak nie narzekała na swe ograniczone możliwości finansowe i była wdzięczna opatrności za niewielki roczny dochód. Jeśli rozwaźnie nim dysponowała, wystarczał w zupełności na dostatnie życie.

- Ale dawniej marzyła pani o podróżach? - Ku jej zdziwieniu markiz był na tyle zainteresowany tematem, że uparcie się go trzymał.

Marianne spojrzała na tulipany rosnące po obu stronach ścieżki. Nie, nie była jeszcze gotowa do tak osobistych zwierzeń!

- Wybrałam się niedawno na odczyt pewnego podróżnika, który wrócił właśnie z Egiptu. Była to fascynująca opowieść o świecie piramid, pustyni i tańczących derwiszów.

- I wielkiego Sfinksa- uzupełnił- o ciele lwa i z ludzką twarzą... No i oczywiście o nierozwiązanych zagadkach starożytności, nieprawdaż?

- O, tak! - potwierdziła zachwycona, że znalazła pokrewną duszę. Tytu jej znajomych skrycie poziewywało, gdy mówiła o dalekich krajach! - Pomyśleć tylko, ile cudów czeka na podróżnika, któremu nie brak odwagi, by zapuścić się tak daleko!

Ale twarz markiza była znów maską bez wyrazu. Cóż takiego powiedziała, co mogłoby go urazić? Nim zdołała odkryć swój błąd, Louisa zrównała się z nimi.

- Ciocia ma całkowitą rację! Proszę tylko pomyśleć: Paryż, stolica mody. A poza tym gotycki czar Notre Dame i Wersal, gdzie tańczyły niegdyś królowe. O, tak! Podróż na drugą stronę kanału La Manche sprawiłaby mi ogromną radość! Bardzo bym chciała pojechać tam w podróż poślubną.

Urwała i tym razem naprawdę zaczerwieniła się ze wstydu.

- Masz jeszcze dużo czasu na takie plany, Louiso - odpowiedziała Mariannie tonem tak surowym, jakby była typową siwowłosą przyzwoitką, -Przejdźmy kawałek dalej tą alejką, tulipany są tu wyjątkowo ładne.

Na szczęście Louisa ograniczyła swą konwersację do zachwyty nad okazami flory, a rzęsami prawie nie trzepotała. Markiz wtrącał od czasu do czasu jakieś uprzejme słówko do jej monologu.

Korzystając z tego, że panienska została nieco poskromiona i zachowuje się przyzwoicie, Mariannę próbowała zgłębić tajemnicę towarzyszącego im opanowanego, zamkniętego w sobie mężczyzny. Był na swój sposób równie enigmatyczny jak starożytny monument. Najistotniejsze było jednak to, że nie wyśmiewał Louisy za faux pas wynikające z jej impulsywnej natury.

Marianne nie dostrzegła też - jak dotąd - w nim małostkowości ani złośliwości, których najbardziej się obawiała. Być może okaże się, mimo wszystko, odpowiednim kandydatem do ręki jej siostrzenicy.

Nie wiadomo czemu, ta konkluzja wcale nie podniosła jej na duchu. Tak więc cała trójka milcząca i w poważnym nastroju dotarła do zakrętu i zaraz za nim natknęła się na stojącą w poprzek ścieżki młodą parę.

Wyrwana nagle z zadumy Mariannę podniosła na nią wzrok i zrobiła wielkie oczy. Młoda dama w zielonym okryciu i sukni z wzorzystego muślinu uśmiechnęła się uprzejmie, ale towarzyszący jej mężczyzna zbaraniał. Był to ten sam młody dżentelmen, którego spotkały w

Vauxhall Gardens - dawny zalotnik Louisy, sir Lucas Englewood.

Skłonił się ze wzrokiem wbitym w zwirowaną ścieżkę, unikając ich spojrzeń.

- Najmocniej przepraszam.

Louisa dumnie uniosła głowę i silniej chwyciła lorda Gillinghama za ramię.

- Nic nie szkodzi - odparła zimno i natychmiast z wielkim ożywieniem zaszczębiotała do swego towarzysza: - Może wrócimy do pańskiego ekwipażu, markizie? Chyba się ochłodziło. Nie chciałabym, żeby ciocia zziębła!

Wzruszająca troskliwość! - pomyślała Mariannę z przekąsem, udając, że nie dostrzega burzy uczuć na twarzy sir Lucasa. Czy istotnie tylko troska o zdrowie krewnej skłoniła Louise do pochwalenia się zażyłością z markizem i przejażdżką w jego powozie? Tak czy owak, głowa w modnym kapelusiku ani razu nie odwróciła się w stronę pary, którą dopiero co spotkali. Może istotnie spieszo jej było osłonić ciotkę od wiatru... Ale Mariannę nie mogła w to uwierzyć.

5

Gdy podjechali pod dom, lord Gillingham odprowadził panie do samych drzwi.

- Jak to ładnie z pańskiej strony, milordzie, że poświęcił nam pan tyle czasu! - Louisa podziękowała mu z czarującą bezpośredniością. - Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś wybierzemy razem na przejażdżkę!

- Oczywiście! Może jutro rano?

- Czy nie lepiej po południu, koło piątej?

Louisa znów trzepotała rękami, a jej uśmiech zmiękczyłby nawet kamień. Czyżby zdążyła się już dowiedzieć, że to godzina największej parady toalet w parku? - Mariannę usiłowała przemoc ogarniający ją cynizm.

- Nie obawia się pani, że w parku może być zbyt tłoczno? - Markiz zawahał się.

Mariannę już otwierała usta, by poprzeć jego propozycję porannej przejażdżki. Nie ulegało wątpliwości, że spacer wśród tłumu ludzi, spoglądających na jego oszpeconą twarz, byłby dla markiza wyjątkowo ciężką próbą. Tym razem jednak Louisa okazała się szybsza od ciotki.

- Och, milordzie! Jestem w Londynie dopiero od kilku dni, atak lubię przyglądać się pięknym damom i imponującym dżentelmenom, choć żaden nawet się nie umywa do pana markiza!

Mariannę spojrzała na niemodne ubranie ich towarzysza, na jego zaniedbany wygląd i coś ją ścisnęło w gardle. Tylko Louisa mogła wygłosić taką wierutną bzdurę z rozbrajającą szczerością!

Markiz jeszcze się wahał, ale w końcu odrzekł z ukłonem:

- Jak pani sobie życzy.

Po rozstaniu z Gillinghamem damy weszły do domu i przystanąły w holu, by zdjąć kapelusze i rękawiczki.

- Postąpiłaś wyjątkowo egoistycznie, Louiso - powiedziała surowo Mariannę oburzona bezwzględnością panny, która zawsze musiała postawić na swoim.

- Co ciocia ma na myśli? Nie powinnam umawiać się z tym samym dżentelmenem dwa dni po kolei? - spytała Louisa, otwierając szeroko pastelowoniebieskie oczy.

- Dobrze wiesz, o czym mówię!

Mariannę z wysiłkiem opanowała irytację, wiedząc, że Masters czyha w pobliżu i nadstawia uszu.

- Drugie śniadanie gotowe, jaśnie pani - oznajmił lokaj.

- Dziękuję, Masters. Zaraz przejdziemy do jadalni.

Lokaj znikł, a one istotnie udały się tam. Gdy zasiadły do stołu i podano pierwsze danie, lokaj znów się wycofał i Mariannę mogła kontynuować.

- Doskonale wiesz, że markiz nie znosi tłumów. Jest więcej niż świadom swej oszpeconej twarzy.

- I dlatego właśnie chcę mu pomóc w zwalczeniu tej obsesji! - odparła Louisa z ogromnym przekonaniem, bez cienia skruchy. - Jego wygląd wcale nie budzi we mnie odrazy. Markiz musi uwierzyć, że nikt, kto mu dobrze życzy, nie będzie zwracać uwagi na takie drobne mankamenty!

Z podobnym rozumowaniem trudno było polemizować, ale Mariannę nie pozbyła się niepokoju. Nie była pewna, czy obawy markiza tak łatwo będzie rozproszyć. Wyczuwała pod maską jego opanowania mroczne, splątane uczucia i blizny po ranach znacznie głębszych niż obrażenia spowodowane przez ospę.

- A ty będziesz mogła przed wszystkimi tymi elegantami pochwalić się zażyłością z tak utytułowanym dżentelmenem.

- Oczywiście! - uśmiechnęła się promiennie Louisa.

Mariannę dziobała widelcem kurczaka, ale choć był miękki, nie mogła nic przełknąć.

- Może po drugim śniadaniu wybierzemy się po sprawunki? - zagadnęła siostrzenica. - Chciałabym kupić kapelusz, który by pasował do tej nowej spacerowej sukni.

- Może później - odparła Mariannę, - Powinniśmy chyba nieco odpocząć, zanim znów wyruszymy na miasto.

Louisa - uosobienie niewyczerpanej energii - uniosła pospiesznie głowę.

- O to się nie martw, ciociu, nie jestem ani trochę zmęczona!

- Aleja tak! - odparowała Mariannę, siłąc się na spokój, choć miała ochotę mocno potrząsnąć swą niepoprawną podopieczną. - Głowa mnie boli. Chyba słońce było zbyt mocne.

- Och, biedna cioteczko! - wykrzyknęła natychmiast panienska. - Przygotuję ci herbatę, która zawsze pomagała stryjence Caroline. I natrę ci skronie lawendą... to też dobry sposób na migreny.

Mariannę dotknęła ręką czoła.

- Dziękuję ci, Louiso, ale niczego mi nie trzeba prócz spokoju. Z pewnością niebawem poczuję się lepiej.

Louisa chciała za wszelką cenę udzielić ciotce pomocy, ale Mariannę uparła się i schroniła w zaciszu swojej sypialni. Panienska wzięła więc najnowszy numer „La Belle Assemblee” i również powędrowała na górę. Była jednak zbyt podniecona, by uleżeć spokojnie, nawet z żurnalem. Ucieszyła się więc ogromnie, gdy ciotka po godzinie wynurzyła się ze swego ukrycia, wyraźnie w lepszym nastroju. Wyruszyły do miasta, by obejrzeć kapelusz, na który Louisa zwróciła uwagę podczas swej samotnej (jedynie w towarzystwie lokaja) wyprawy po sprawunki. Wróciły do domu w porze herbaty. Towarzyszący im Masters był obładowany pudłami na kapelusze i innymi pakunkami. Wieczorem zasiadły tylko we dwie do cichego domowego obiadu.

Louisa nigdy dotąd nie musiała obywać się bez własnego powozu. Chciała więc zaproponować ciotce, by wynajęły jakiś na czas jej pobytu w Londynie. Jednak Mariannę, usłyszawszy tę sugestię, potrząsnęła głową.

- Nie mam stajni, w której mogłaby się pomieścić para koni, ani stajennego, który by ich doglądał. Pociągnęłoby to za sobą mnóstwo niepotrzebnych wydatków. Nie chcę do tego stopnia uszczuplać twego funduszu powierniczego, Louiso.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko temu!

- Doskonale sobie poradzimy, wynajmując od czasu do czasu powóz na parę godzin - oświadczyła ciotka tak stanowczym tonem, że panna zamilkła. Postanowiła jednak wrócić do tego tematu nieco później. Może gdy się pogoda popsuje?

Na razie jednak nie przejmowała się tym, bo wszystko inne układało się po jej myśli. Markiz był nią wyraźnie oczarowany... gdybyż jeszcze udało się skłonić go do większego udziału w życiu towarzyskim! Miałby przecież zawsze w zasięgu ręki ją-cudowny balsam na zranioną męską dumę. Z pewnością taka zmiana wyszłaby mu na dobre! Louisa była pewna, że nie zniosłaby samotności na odludziu. A poza tym im więcej ludzi (w tym pewien głupi młody

baronet) dowie się, jak wspaniałą zrobiła konkietę, tym lepiej!

Następnego ranka Louisa znów obudziła się bardzo wczesnie. Od przyjazdu do Londynu tryskała wprost energią i nie mogła uleżeć w łóżku, wylegując się jak większość młodych dam. Wstała więc i ubrała się, a potem, zjadłszy grzanką i jajko na miękko, udała się znów z pokojówką do miniaturowego parku pośrodku skweru.

Tego ranka - o dziwo - prócz niańki z kilkorgiem podopiecznych, bawiących się na trawniku, Louisa ujrzała czekającego na nią eleganckiego młodzieńca. Na jego twarzy malowała się determinacja.

- Sir Lucas?! - wykrzyknęła ze zdumieniem. - Co pan tu robi o tak wczesnej porze?

- Dzień dobry, panno Crookshank.

Skłonił się jej, wytworny w każdym calu. Czyżby to był ten chłopak, którego znała od tylu lat, z którym bawiła się jeszcze w dzieciństwie? Ten

młodzieniec, który nie tak dawno wyznawał jej swoje uczucia? Louisa przygryzła wargę.

- Ja... Wczoraj po południu chciałem złożyć pani wizytę, ale nie zastałem pani w domu. Dowiedziałem się od służby, że lubi pani poranne przechadzki .

Louisa nadal się w niego wpatrywała.

- Nie zostawił pan karty wizytowej.

- Nie, bo... Ja tylko... No, cóż... to takie krępujące, kiedy na siebie wpadamy, a od przyjazdu do Londynu człowiek na każdym kroku spotyka znajomych. Pomyślałem więc, że powinniśmy szczerze porozmawiać. Nie chcę, byś czuła się skrępowana.

- Ja? Skrępowana? - wykrzyknęła Louisa nieco za głośno. - Skąd ci to przyszło do głowy?! Za wiele sobie wyobrażasz, mój panie! Twoja obecność czy nieobecność nie robi na mnie najmniejszego wrażenia!

Niańka spojrzała w ich stronę. Louisa umilkła. Lucas, odpowiadając jej, starał się mówić nieco ciszej, ale jego oficjalny ton zniknął bez śladu.

- Dajże spokój tym szopkom, Louiso! - odparł, wracając automatycznie do dawnej poufałości.

- Jeżysz się na sam mój widok, zwłaszcza jeśli jestem w damskim towarzystwie!

- Nic podobnego! - zaprzeczyła gwałtownie, po czym nieco ściszyła głos. - Jeśli ci odpowiada taka czy inna... dama, cóż mnie to może obchodzić? - Pilnowała się tym razem i zdołała przybrać ton wyniosły i obojętny. Zepsuła jednak cały efekt, dodając: - Choć może powinnam ostrzec tę pannę, by nie spodziewała się po tobie stałości ani lojalności! Ale oczywiście powstrzymam się od tego.

- To vis fair i Louiso! - zaprotestował i bez zmruczenia oka wytrzymał jej gniewne spojrzenie.- Ja mógłbym powiedzieć to samo o tobie, i pewnie miałbym do tego więcej powodów!

- Ty? O mnie?! Czy to ja znikam bez słowa, całkiem zapominam o... o... przyjaźni od lat dziecinnych?! I to tylko dlatego, że się roześmiałaś, gdy się rozciągnąłeś jak długi? Że zraniłam twoją głupią dumę? Czekałam i czekałam. .. dzień po dniu...

Louisa z trudem powstrzymała się od dalszych oskarżeń, które z rozkoszą cisnęłyby mu w twarz. Od tamtej pory nigdy już nie odwiedził jej w domu stryja, nie zostawił nawet karty wizytowej! Nie pojawił się na następnym wieczorku tanecznym w pijalni wód, choć wcześniej towarzyszył jej na wszystkich imprezach tego rodzaju! Ba, nie pokazał się nawet w swoim powozie na ulicach Bath! Była zaskoczona, przerażona i straszliwie upokorzona... Podejrzewała, że inne panny śmieją się pod osłoną wachlarzy z rejterady jej amanta.

- Louiso, wskutek tego upadku nie tylko moja duma doznała szwanku -odpowiedział, spochmumiawszy nagle. - Zanim odwiozłem cię razem z pokojówką do domu, a potem wróciłem do swojego, noga tak mi spuchła, że dwóch lokajów musiało wyciągać mnie z powozu.

Louisa spojrzała na niego z przerażeniem. Owszem, pamiętała, że Lucas trochę utykał po tym, jak potknął się na tym kamieniu i przewrócił podczas spaceru nad brzegiem rzeki. Ale myślała, że umyślnie przesadza, by ją przestraszyć, zwłaszcza że chichotała, gdy wywalił się

jak długi. To naprawdę komicznie wyglądało! Nawet jej nie przyszło do głowy, że mu naprawdę coś dolega!

- Matka wezwała natychmiast lekarza, a ten dokładnie zbadał moją opuchniętą nogę. Możesz sobie wyobrazić, jak to bolało! I stwierdził, że złamałem kość śródstopia. Nie pozwolił mi ruszyć się na krok z domu. Byłem tak uwięziony ponad miesiąc. Leżałem w swoim pokoju z nogą na wysokiej podpórce, bezradny jak niemowlę. Nie była to łatwa próba, możesz mi wierzyć.

- Czemu mnie nie powiadomiłeś? - spytała oskarżycielskim tonem. - Nie miałam o niczym pojęcia!

- Nie dawałaś znaku życia. Ani razu nie spytałaś o moje zdrowie - odparł i wyczuła w jego głosie prócz niegasnącego gniewu bolesną urazę. - Wiedziałaś, że się przewróciłem. Mogłaś się domyślić...

- Ale się nie domyśliłam! - Louisa usiłowała odpędzić od siebie narastające poczucie winy. - Skąd miałam wiedzieć?! Nie słyszałam od nikogo o twojej chorobie... a przecież w Bath wystarczy kichnąć, by wszyscy wiedzieli, że masz katar!

- Myślisz, że chciałem, żeby się to rozniosło?! Kategorycznie zabroniłem mojej matce wspominać o tym komukolwiek! Uznaliby mnie za ostatniego ofermentę! - odparował Lucas. - Potknął się na równej drodze i od razu złamał nogę! Ale ty przy tym byłaś! Wiedziałaś, że miałem wypadek!

- Jesteś zawsze taki silny i zdrowy, Lucasiu, że nawet mi do głowy nie przyszło, że coś ci dolega! Myślałam... myślałam, że dąszasz się na mnie. Nie mogłam pojąć, czemu ni stąd, ni zowąd przestałaś mnie odwiedzać.

Spoglądali na siebie z bliska. Ich twarze znajdowały się w odległości najwyżej trzydziestu centymetrów jedna od drugiej. Louisie nagle przypomniła się jedna z ich dzieciennych kłótni. Miała wtedy osiem lat, a Lucas dziesięć. Pospierali się o puste ptasie gniazdo; każde z nich chciało je mieć. Ale tym razem chodziło o coś znacznie ważniejszego. Czyżby z powodu głupiego nieporozumienia zaprzepaściła swą pierwszą miłość?

- Teraz, kiedy wiem, że naprawdę byłeś chory... - zaczęła ostrożnie, gotowa do przeprosin. Nie miała jednak okazji ich wygłosić. Lucas odsunął się, a ona zamilkła.

- Nie po raz pierwszy myślałaś wyłącznie o sobie, Louiso. Zawsze obchodzi cię tylko to, żeby stanęło na twoim!

Poczerwieniała.

- A ty ciągle jesteś taki obraźliwy! Dżentelmen powinien być rycerski wobec damy!

- Wobec damy? Owszem. Ale z ciebie zawsze była i jest rozpuszczona jak dziadowski bicz smarkuła! Gdyby twój ojciec nie ustępował ci we wszystkim.

- Nie waż się mówić takich rzeczy o moim ojcu!

Louisa tupnęła nogą i rzuciła rozmówcy mordercze spojrzenie. Sir Lucas zamilkł na chwilę, po czym z uporem kontynuował.

- Nie mówię nic złego o twoim ojcu. Dobrze wiesz, jak go opłakiwałem. Ale dopiero teraz pojąłem, jaka jesteś płytką i samolubną!

Tym razem cofnęła się ona. Czuła się tak, jakby ją spoliczkował.

- Jak możesz wygadywać takie okropne, takie niesprawiedliwe rzeczy?!

- Francis zawsze powtarzał, że taka jesteś. Nieraz mnie ostrzegał przed tobą! Uprzedzał, że złamiesz mi serce, ale go nie słuchałem...

Lucas odwrócił wzrok. Zacisnął usta.

- Mówisz o Lacklandzie? Przecież to półgłówek! - zaprotestowała. - Osądzasz mnie na podstawie jego widzimię?!

- To mój przyjaciel! Mówił to wyłącznie dla mojego dobra i nie bez podstaw. Kiedyś napisał dla ciebie wiersz, w którym wyjawiał swe uczucia. A tyś powiedziała, że rytm jest kulawy i nazwałaś go grafomanem - przypomniał jej Lucas.

- Miałam wtedy piętnaście lat! - wrzasnęła. - Teraz jestem starsza, bardziej dojrzała i nigdy bym nie postąpiła tak nielitościwie!

- Mniejsza z tym. Francis drugi raz już nie popełni tego błędu. Ja również! - odparł Lucas chłodno i stanowczo.

Poczuła, że serce w niej zamiera. Więc to ona zraziła do siebie Lucasa! Nie był jej niewierny, jak sądziła. Przypadkowy, nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Lucas przywiązywał zbyt wielką wagę do ich minionych sprzeczek! Gdyby tylko zechciał jej wysłuchać...

Ale on nie wykazywał najmniejszych chęci do wysłuchiwanie jej argumentów.

- Teraz już wszystko rozumiesz, mam nadzieję. Moja obecność nie powinna wprawiać cię w zakłopotanie, gdy przypadkiem znów się spotkamy w towarzystwie.

- Pewnie że nie! - skłamała Louisa, usiłując zachować spokój. - Niech cię o to głowa nie boli, sir Lucasia! Mam nowych przyjaciół, którzy nie oceniają tak krytycznie mego charakteru. I wszystko wskazuje na to, że te więzi wkrótce się utrwalą jeszcze bardziej.

- Moje gratulacje - odparł sucho.

Miała ochotę dać mu po głowie, ale zamiast tego wyprostowała się dumnie i z godnością skinęła mu głową.

- Muszę wracać, zanim moja ciotka zacznie się o mnie niepokoić - powiedziała. - Życzę miłego dnia, sir Lucasia, i wszelkiej pomyślności.

Nie czekając na odpowiedź (dość się już nagadał), obróciła się na pięcie i pospieszyła do domu ciotki Mariannę. Eva biegła za nią co sił w nogach. Louisa wpadła do środka i drzwi zatrzasnęły się za nią i pokojówką. Zasłoniła rękoma twarz, czując, że spływają po niej łzy.

Masters krążył w pobliżu, lecz nie zwracając na niego uwagi, popędziła po schodach i schroniła się w zaciszu swego pokoju.

- Panienko! - dopytywała się biegnąca za nią Eva. - Czy to głowa rozboleła? Może coś panience przynieść?

- Tak... Nie... - bąknęła Louisa. - Daj mi spokój!

Wobec tego pokojówka zasłoniła okno i wymknęła się po cichu, zamykając za sobą drzwi. Louisa padła na łóżko i wtuliła twarz w poduszki, by nikt nie słyszał jej łkań.

Znacznie później, gdy wyplakała już wszystkie łzy, wyczerpana zapadła w niespokojny sen. Kiedy się obudziła, spostrzegła, że Eva przyniosła jej filiżankę herbaty i pokrojony na plasterki ogórek.

Znów muszę likwidować opuchliznę i plamy na twarzy! —pomyślała Louisa. Głowa nadal ją bolała, w piersi czuła nieznośny ciężar.

Lucas powiedział, że złamała mu serce (czy rzeczywiście tak było?), i postanowił zdławić w sobie resztę uczuć do niej. Wobec tego o pojednaniu nie ma chyba mowy?

Wszystko na to wskazywało.

Wypiła łyk letniej herbaty. Ledwie przeszła przez ściśnięte gardło.

W porządku! Ma teraz o wiele szacowniejszego konkurenta; dojrzałego mężczyznę, a nie obraźliwego smarkacza, który dopatruje się zniewagi tam, gdzie wcale jej nie było! Czemu więc przejmować się tym, że niedowarzony młokos uznał jej naturalne reakcje za dowód nieczułości serca?

Poczuła, że jeszcze jedna łza ścieka jej po policzku i otarła ją gniewnym ruchem. Nie będzie więcej przelewać łez spóźnionego żalu! Zebrała wszystkie siły i sięgnęła po plasterki ogórka.

Kiedy Mariannę bez pośpiechu ubrała się i wypita poranną herbatę, zeszła na dół. Zdumiała się, stwierdziwszy, że Louisa nie opuściła jeszcze swojego pokoju. Nieobecność siostrzenicy dała jej jednak okazję do przejrzenia korespondencji. Kolejne dwa zaproszenia, list od przyjaciółki, na który należało odpisać od ręki, i rachunek za jedną z najnowszych kreacji Louisy. Odłożyła go na bok, by zapłacić pieniędzmi z konta podopiecznej, i siadła przy biurku, żeby odpisać przyjaciółce, która ze względów zdrowotnych wyjechała na kilka tygodni na południe Francji. Zastanowiła się przez chwilę nad zaproszeniami, sprawdziła daty

w terminarzu i wiedząc, jak Louisa lubi wszelkiego rodzaju spotkania towarzyskie, odpisała na oba, przyjmując z podziękowaniem w imieniu własnym i siostrzenicy.

Gdy zjawiła się Louisa, wyglądająca dość mizernie, Mariannę powiadomiła ją o zaproszeniu na obiad i na wieczór w operze. Jednak siostrzenica nie okazała spodziewanego entuzjazmu.

- Tak? To naprawdę miło, że nas zaprosili - powiedziała bez zwykłego ożywienia.

Dopiero wtedy, gdy Mariannę wspomniała o dzisiejszej przejażdżce z markizem, wykazała prawdziwe zainteresowanie.

- Tak, bardzo się cieszę! Jak to dobrze, że znalazłyśmy wczoraj kapelusz, który tak idealnie pasuje do tej nowej zielonej sukni. Muszę ją raz jeszcze przymierzyć i upewnić się, czy mogę się w niej pokazać o tej porze w Hyde Parku. Słyszałam, że właśnie wtedy spotyka się tam cały wielki świat.

- Rzeczywiście, prawie cały - potwierdziła Mariannę. - A to oznacza, że powinnaś zadbać nie tylko o strój, Louiso, ale i o nienaganne zachowanie. Tyle oczu będzie cię obserwować. Stanowczo, nie możesz się zachowywać zbyt swobodnie!

- Czyżby sir L... Czy ktoś ostrzegał ciocię, że zachowuję się nieodpowiednio i zrobię jej wstyd? - spytała ze wzburzeniem Louisa; oczy jej błysnęły gniewnie. - Jeśli tak, to muszę kategorycznie...

- Nikt mnie nie ostrzegał, a ja nie przywiązuję wagi do niczyich oszczerczych uwag - uspokoiła ją Mariannę. - Ale sama wiesz, że sposób, w jaki nawiązałaś znajomość z lordem Gillinghamem był wysoce niewłaściwy. Wolałabym, żebyś na przyszłość powstrzymała się od podobnych wyskoków.

- Ależ ja musiałam się z nim zapoznać! - broniła swego Louisa. - A gdy ujrzałam go kilka kroków przed sobą, jak mogłam przepuścić taką okazję?!

Mariannę potrząsnęła głową.

- Możesz mi wierzyć: takim zachowaniem nie zyskasz aprobaty wielkiego świata.

Panienka spokorniała, choć w jej oczach nadal tlił się bunt.

- Rozumiem, oczywiście... I obiecuję cioci, że będę się zachowywać bez zarzutu!

Mariannę miała nadzieję, że podopieczna wytrwa w tym postanowieniu przynajmniej do wieczoru. Czuła, że z Louisa coś jest nie w porządku, choć nie umiałaby dokładnie określić, na czym polega zmiana. Miała jednak wrażenie, że za uroczą fasadą wdzięku i naturalności młodej panny kryje się wulkan gwałtownych, tłumionych emocji. Oby tylko nie wybuchnął w miejscu publicznym!

Ten niesprecyzowany niepokój był tak silny, że Mariannę zastanawiała się nawet, czy nie odwołać lub przynajmniej nie odłożyć na jakiś czas tej wyprawy. Kiedy jednak o tym napomknęła, Louisa zaprotestowała gwałtownie.

- Ależ dlaczego?! Nie jestem przemęczona ani zbyt podekscytowana! Czuję się znakomicie! - odparowała niebezpiecznie podniesionym głosem.

Mariannę przyjrzała jej się uważnie. Nie uwierzyła ani trochę w doskonałe samopoczucie Louisy, ale byłoby okrucieństwem pozbawienie jej - bez konkretnych powodów - spaceru, do którego przywiązywała takie znaczenie. Może dziewczyna jest po prostu wytrącona z równowagi mnogością rozrywek i tempem londyńskiego życia? Choć, prawdę mówiąc, na razie nie udzielały się zbyt. Czy to oznaki nagłej, gwałtownej miłości do markiza? Urągało to zdrowemu rozsądkowi, ale na każdą wzmiankę o ryzyku związanym z podejmowaniem pochopnych zobowiązań reagowała wręcz agresywnie.

- To moja sprawa, komu oddam swoje serce! - twierdziła z uporem. — Nie jestem dzieckiem! Mariannę postanowiła zaprzestać dalszych uwag na ten temat, przynajmniej na razie, ale bacznie obserwować Louise, póki nie odgadnie, co też kryje się za niewinnym spojrzeniem niebieskich oczu podopiecznej.

Kiedy więc markiz stawiał się punktualnie o piątej, damy były już gotowe do wyjścia. Louisa miała na sobie nową zieloną suknię i doskonale do niej

dobrany kapelusik. Mariannę ubrała się w nie najnowszy, ale zawsze miły jej sercu kostium spacerowy śliwkowego koloru. Markiz ukłonił się.

- Wyglądacie, łaskawe panie, tak uroczo i promiennie jak wiosenne kwiaty! - oświadczył.

Louisa uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej.

- Zbyt pan dla nas łaskaw, milordzie - odpowiedziała łagodnym głosem, bez cienia zuchwalstwa.

Zerknęła przy tym na ciotkę, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Jak zechcą, potrafię być dobrze wychowana!”

Mariannę uznała komplement lorda Gillinghama za nieco sztuczny. Markiz -jej zdaniem - nie należał do mężczyzn, którzy sypią kwiecistymi słówkami na każdym kroku. Nie ulegało jednak wątpliwości, że robił, co mógł. Pozwoliła sobie na chwilę iście kobiecej satysfakcji: jak to dobrze, że nie ubrała się w starą ciemnobrązową suknię spacerową, znacznie mniej szykowną! Oczywiście, markiz nie przybył tu po to, by podziwiać jej toalety! Zapewne jest zauroczony Louisą w takim samym stopniu jak ona nim. Chcąc ukryć te uczucia, Mariannę pozostała nieco w tyle za siostrzenicą, która właśnie z wdziękiem przepływała przez drzwi frontowe. Za progiem czekała ją miła niespodzianka.

- Co za чудо! - wykrzyknęła panna Crookshank. - Nowy powóz! W dodatku brek. Są ostatnio najmodniejsze!

- Wynająłem go dziś rano na cały okres mego pobytu w Londynie - wyjaśnił markiz. - Doszedłem do wniosku, że jest bardziej odpowiedni na przejażdżki po parku i powinien być w guście pięknej damy.

Pięknej i młodej, z niezbyt jeszcze wyrobionym gustem.

Mariannę aż osłupiała na widok tego cuda. Powóz stanowił rzeczywiście ostatni krzyk mody i od razu rzucił się w oczy. Nawet za bardzo. Miał składany dach, który można było opuścić przy pięknej pogodzie, zapewniając pasażerom doskonałą widoczność (w obu znaczeniach tego słowa) podczas przejażdżki parkowymi alejami. Cały powóz został pomalowany na butelkowo zielony kolor i ozdobiony dyskretnymi złoceniami. Wszystkie cztery koła były za to grubo pozłacane. Brek ciągnęły dwa płowe rumaki zachwycające swą mleczno-złotawą maścią. Wszystko razem przypominało zaczarowaną karetę Kopciuszka. Mariannę starała się powstrzymać śmiech, który ogarnął ją na tę myśl. Zakryła usta ręką i udała atak kaszlu.

Nagle napotkała wzrok markiza. Uniósł jedną brew i rzucił jej kpiące spojrzenie. Mariannę wydawało się, że odgadł jej myśli, a co więcej, jest tego

samego zdania. Przez króciutką chwilę przeżywali wspólnie radość doskonałego zrozumienia. Nie kryła już uśmiechu.

Potem markiz podszedł, by pomóc damom wsiąść do powozu. Stajenny stał przy koniach, pilnując, by się nie spłoszyły. Nikt by teraz nie mógł markizowi zarzucić, że nie zaleca się w wielkim stylu. Pomyślał o wszystkim z wyjątkiem własnego ubioru, który nadal był niedbały i niemodny.

W powozie były dwie ławeczki. Markiz posadził panie przodem do kierunku jazdy, a sam usiadł naprzeciw nich plecami do stangreta. Mariannę podejrzewała, że jej podopieczna wolałaby siedzieć obok swego wielbiciela, ale po ostatnim kazaniu ciotki na temat właściwego zachowania widocznie wolała nie ryzykować. Nie domagała się więc natychmiastowego spełnienia jej zachcianek i uśmiechnęła się do Gillinghama, gdy odwróciwszy się, dał znak woźnicy, by mszał. Stajenny zajął miejsce w tyle powozu, stangret trzepnął lejcam i baśniowy ekwipaż włączył się w wartki strumień kursujących po Londynie pojazdów.

Gdy dotarli do parku, alejki okazały się niemal równie zatłoczone jak ulice miasta, Dostosowali się do tempa pozostałych powozów i jeźdźców i powolutku wjechali na Ringpromenadę wiodącą dokoła parku. Jak łatwo było przewidzieć, mnóstwo elegancko ubranych spacerowiczów gapiło się na nich; od czasu do czasu Mariannę, spotkawszy przyjaciół lub

znajomych, witała ich gestem ręki lub skinieniem głowy. Kilkakrotnie poprosiła o zatrzymanie powozu i dokonywała prezentacji. Louisa uśmiechała się i pozdrawiała nowo poznanych słodkim głosikiem. Markiz pochwycił kilka zdumionych spojrzeń, ale zniósł to po stoicku. Kłaniał się i rozmawiał uprzejmie, acz zwięźle.

W przerwach pomiędzy zawieraniem nowych znajomości Louisa paplała na temat uroków Londynu i napomykała o następnej wyprawie do Vauxhall. Nie mogła się powstrzymać od wypatrywania w tłumie młodego ciemnego blondyna średniego wzrostu. Jednakże sir Lucasa nie było tego dnia pośród spacerowiczów w parku; w każdym razie żadna z pań go nie spostrzegła.

Mariannę poczuła ulgę, gdy siostrzenica zaproponowała, by pospacerować trochę pieszo. Markiz polecił woźnicy stanąć i sam pomógł damom przy wysiadaniu.

Louisa pierwsza znalazła się na ziemi i z promiennym uśmiechem przeszła kilka kroków, po czym przystanęła, by rozpiąć parasolkę.

Schodząc po schodkach powozu, Mariannę czuła siłę podtrzymującej ją ręki. Miała wrażenie, że markiz stara się przedłużyć ten przelotny kontakt.

Podniosła na niego oczy i przez chwilę stali tak bez ruchu, bardzo blisko siebie. Zabrakło jej tchu. Jego postać emanowała ogromną siłą - pod żelazną kontrolą. Widziała, jak pierś jej towarzysza wznosi się i opada pod niemodnym surdudem. Czy i on oddychał nieco szybciej, czy tylko tak się jej zdawało? Ocienione szerokim rondem kapelusza i przysłonięte powiekami ciemne oczy wydawały się nieodgadnione, a jednak... Potem rozległo się wesole wołanie Louisy:

- No, chodźże, cioteczko! I czar przysł.

Bez wątpienia, mówiła sobie Mariannę, doszukuję się ukrytych znaczeń w zwykłej uprzejmości. Nie mogła zachować się równie bezpośrednio jak Louisa, nie miałyby na to żadnego usprawiedliwienia: ani dziewczęcej głupoty, ani braku obycia. Nie pozwoliła więc sobie na dalsze spoglądanie markizowi w oczy i rezolutnie skierowała wzrok na kwitnące krzewy i kwiaty rosnące po obu stronach szerokiej alei, po której się przechadzali.

Przez jakiś czas szli wszyscy troje obok siebie. Louisa zachwyciała się kwiatami, lord Gillingham uprzejmie jej potakiwał, a Mariannę ograniczyła się do słuchania.

Nawet jeśli obecność przyzwoitki leżała w najlepiej pojętym interesie Louisy, Mariannę chwilami czuła się w obecności tej pary jak piąte koło u wozu. Toteż, gdy panna przystanęła, by pogawędzić z inną młodą damą, z którą zawarła znajomość pamiętnego wieczoru w Vauxhall, jej opiekunka znów postanowiła zostać nieco w tyle. Jednakże markiz, ku jej zdziwieniu, zatrzymał się obok niej. Może nie miał ochoty na rozmowę z jeszcze jedną nieznaną osobą?

- Tęskni pan za wiejską ciszą? - spytała pod wpływem nagłego impulsu. Zwrócił na nią ciemne oczy, ona zaś popełniła błąd, ośmielając się znowu

w nie spojrzeć, Łączyło ich zbyt wyraźne powinowactwo duchowe, jakby ich umysły nastrojone były na jeden ton, a oni mogli porozumiewać się bez słów. To nie mój konkurent! - powiedziała sobie stanowczo Mariannę i, odwróciwszy oczy, zaczęła z niezwykłym zainteresowaniem wpatrywać się w dość odległe drzewo.

- To dąb - powiedział markiz z rozbawieniem w głosie. - Jeśli chodzi o wiejską ciszę, to rzeczywiście za nią tęsknię. Brak mi wielkowiejskiego polom.

Ta uwaga zirytowała Mariannę.

- Już pan o tym wspomniał, milordzie. Jeśli coś ma nabrać poloru, na przykład stołowe srebra, trzeba się do tego nieźle przyłożyć. Nic nie przychodzi bez wysiłku.

- Więc uważa pani, że powinienem się bardziej... hm... przyłożyć?

Stwierdziła z irytacją, że czerwieni się jak debiutantka, choć nie bez powodu! Louisa zapewne doszukiwałaby się w jego uwadze podwójnego znaczenia, podczas gdy markiz z pewnością nie bawiłby się w dwuznaczniki. To tylko jej - Mariannę - myśli zbaczały na manowce!

- Uważam, że przy odrobinie wysiłku mógłby pan zdobyć tyle poloru, ile trzeba, jeśli nawet taki sposób bycia wydaje się panu nienaturalny. Oczywiście pod warunkiem, że pan naprawdę tego chce, milordzie.

W tym sęk! Czego ten człowiek naprawdę chce? Po co przybył do Londynu i od razu ruszył w konkury do zupełnie obcej panny? Ale w gruncie rzeczy znała odpowiedź na to pytanie. Plotkarze nie na darmo trąbili, że zależy mu na synu, który odziedziczy rodowy tytuł.

I znów odczytał jej myśli aż nazbyt łatwo.

- Przecież to nie grzech, że chcę doczekać się wkrótce potomka, choćby dla zachowania ciągłości rodu?

Rozsądny powód. Ale czemu ten pośpiech? Ponownie w jego słowach można było doszukać się ukrytego znaczenia. Tym razem jednak nie było w nich ani cienia wesołości.

- Chyba nie jest pan chory? - spytała bez namysłu. Potrząsnęła głową.

- Czuję się znakomicie, pani Hughes.

Zrobiło jej się głupio. Czy tak się zachowuje szacowna przyzwoitka?! I gdzież się podziała Louisa? Niech sama sobie radzi z tym przebrzydłym markizem! - pomyślała Mariannę. Rozejrzała się za siostrzenicą, która nadal gawędziła z nową znajomą.

W alejce było coraz bardziej tłoczno. Tu trzech elegantów kroczy razem, tarasując drogę: kołnierzyki nieprawdopodobnie wysokie, głowy zadarte jeszcze wyżej, surduty wulgarne i tandetne, choć zapewne kosztowne. Jeden lustruje damy przez lorgnon, dwaj inni gołym okiem, ale wszyscy dosłownie rozbierają wzrokiem każdą jako tako przystojną kobietę.

Za nimi kroczy powoli starsza pani. Dama do towarzystwa trzyma nad nią parasolkę, osłaniając przed słońcem pomarszczoną, upudrowaną twarz. Z tyłu skromnie ubrana dziewczyna z oczyma wbitymi w ziemię. Dalej matrona w średnim wieku, ubrana według najnowszej mody, przechadza się, gawędząc z przyjaciółką. Trzyma w objęciach pokojowego pieska, który spogląda z tych wyżyn na kłębiący się wokół tłum z miną władcy dokonującego przeglądu swych włości i poddanych. Mariannę dostrzegła wśród spacerowiczów znane jej twarze i biła się z myślami, czy jest to odpowiednia pora

na prezentację siostrzenicy. Odwróciła głowę i udało jej się pochwycić spojrzenie Louisy. Wezwała ją prawie niedostrzegalnym gestem.

Panna Crookshank pożegnała się ze znajomą i obróciła się na pięcie, by wrócić do ciotki i markiza. I wówczas Mariannę spostrzegła jeszcze jedną znaną jej twarz. O Boże! Tylko nie on! - pomyślała. Był to sir Lucas, oczywiście znów w towarzystwie młodej damy. Mariannę modliła się w duchu, by Louisa nie zauważyła swego dawnego amanta, ale tych dwoje widocznie przyciągało się nawzajem na podobieństwo pary magnesów. Zupełnie jakby łączyła ich jakaś niewidzialna więź. Louisa podniosła głowę i jej spojrzenie padło wprost na sir Lucasa.

Skinął poważnie głową i odwrócił oczy. Mariannę wstrzymała dech.

Louisa lekko się zarumieniła, ale zachowała spokój. Ciotka pomyślała z ulgą, że nie dojdzie do żadnej kompromitacji towarzyskiej, która przyciągnęłaby ogólną uwagę. I rzeczywiście mogłoby się na tym skończyć, gdyby piesek przytulony do łona przechodzącej obok matrony nie dostrzegł nagle gołębia beczelnie spacerującego po trawie. Postawił uszy, uniósł łebek i zeskoczył z objęć swej pani na ziemię.

- Heros! Wracaj natychmiast!

Zwierzę nie zwracało najmniejszej uwagi na to wołanie. Mknąc jak strzała ku upatrzonej zdobyczy, wpadło prosto pod nogi Louisy, która niechcący nadepnęła mu na łapkę, tracąc przy tym równowagę. Piesek zaskowyczał, dziewczyna omal nie upadła.

Mariannę wiedziała, że siostrzenica musi czuć się w tej chwili straszliwie upokorzona, zwłaszcza że sir Lucas i jego nowa sympatia widzieli wyraźnie jak macha rękami, upuszcza parasolkę i chwieje się na nogach.

W dodatku parasolka (na szczęście lekka) upadła prosto na głowę pieska, który znów

zaskowyczał.

Louisa - zazwyczaj miłośniczka zwierząt - tym razem warknęła:

- Cicho, głupi zwierzaku!

Jej postawa wywołała oburzenie właścicielki psa, która nerwowo wymachiwała chusteczką.

- O Boże! - jąknęła Mariannę i pospieszyła na ratunek Louisie. Zagroził jej jednak drogę tłum zbiegający się wokół głównych bohaterów tej

sceny. Z najwyższym trudem przedarła się przez ciżbę. Na szczęście spostrzegła, że siostrzenica stoi znów pewnie na nogach. Chcąc pogłaskać poszkodowanego psa, pochyliła się nad nim, ale wyszczerzył na nią zęby i warknął.

- Uspokój się! - ofuknęła go. - Nie zrobiłam tego umyślnie. Pokaż łapkę!

- Próbowала ją obejrzeć, ale pies znów zawarczał.

- Znowu znęca się pani nad moim psem?! - wrzasnęła jego właścicielka i rzuciła się na ratunek ulubieńca; szkarłatne strusie pióro - ozdoba kapelusza - opadło jej na czoło, a twarz poczerwieniała od krzyku.

- Wcale się nie znęcam!

- I w dodatku krzyczy pani na to kochane biedactwo! Jak można być tak pozbawioną ludzkich uczuć?! Heros, mój maleńki, bardzo cię boli?

Wzięła znów pieska na rękę.

- Ależ widziała pani przecież, że to nie moja wina! Pies wpadł mi prosto pod nogi - protestowała Louisa.

- Gdyby pani uważała, gdzie idzie, nie nadepnęłaby na łapkę mego maleństwa! Cóż za niezdarne ruchy! Doprawdy, zwykła wiejska dziewczka ma więcej zręczności i gracji!

Piskliwy głos właścicielki psa był doskonale słyszalny. Grono zainteresowanych widzów powiększało się z każdą chwilą.

- Nie jestem wiejską dziewczką! Wypraszam sobie podobne porównania! - Być może widok tyłu wlepionych w nią oczu sprawił, że Louisę ostatecznie zawiodły nerwy. - Jestem panną z dobrego domu i uważam pani wypowiedź za gruby nietakt!

- Pani śmie robić uwagi na temat mego zachowania?! Pozwalać sobie na uszczypliwości wobec osoby znacznie lepiej znającej świat i z pewnością zajmującej o wiele wyższą pozycję?!

W głosie nieznanym dźwięczała jawna groźba i Louisa miała dość rozumu, by dalej się nie wyklócać.

Mariannę brutalnie odepchnęła grubą jejmość w brązach i fioletach, która za żadne skarby nie chciała ruszyć się z miejsca tuż obok sceny tego niezwykle spektaklu.

- Louiso! - rzuciła ostrzegawczym tonem do podopiecznej. - Jestem przeświadczona, lady Jersey, że moja siostrzenica nie chciała skrzywdzić pani słodkiego pieska! Przykro nam, że doszło do tego nieszczęśliwego wypadku. Mam nadzieję, że pani ulubieniec nie doznał poważniejszych obrażeń?

Modnie ubrana dama w średnim wieku nadal była wściekła.

- Ja też mam taką nadzieję, pani Hughes, ale natychmiast po powrocie do domu wezwę mojego osobistego lekarza, by zbadał to kochane maleństwo. A pani radzę jak najszybciej udzielić swej krewnej lekcji dobrego wychowania ze specjalnym uwzględnieniem kontaktów z osobami zajmującymi nieporównanie wyższą pozycję w hierarchii społecznej!

Louisa zbladła jak ściana.

- Jestem niepokieszona, lady Jersey! Nie wiem, jak przeproszać... Ja tylko... Ale hrabina Sally Jersey znana była z tego, że długo żywi urazy. Żadne spóźnione przeprosiny nie mogły jej ułagodzić. Przytuliła pieska do łona i oddaliła się majestatycznym krokiem.

Oczy Louisy poczerwieniały; wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem, Ale wytworny tłum, który zebrał się wokół nich, nadal przyglądał się bacznie i przysłuchiwał. Jej

histeryczny atak dołałyby tylko oliwy do ognia, a plotki bez wątpienia rozeszłyby się błyskawicznie po całym mieście. Mariannę wzięła więc podopieczną za rękę.

- Wracajmy do powozu - powiedziała łagodnie.

Przez chwilę wydawało się, że nigdy tam nie dotrą. Wówczas jednak markiz przedarł się przez tłum, jak pływak fale rozgarniając wytwornie odzianych gapiów, i podał pannie Crookshank ramię.

Nareszcie otwarła się przed nimi droga do powozu!

Mariannę była rada, że siostrzenica kroczy z dumnie podniesioną głową, choć wargi jej drżą tak, że najbliższej stojący mogli to dostrzec. Z prawdziwą uigą wszyscy troje ujrzeli stojący na wprost nich, po drugiej stronie okrążającego cały park Ringu, brek markiza. Jego barwy nie wydawały się im już baśniowe, tylko wulgarne i nie na miejscu. (Jak moje zachowanie... — pomyślała w duchu Louisa).

Mariannę pozostała w tyle, by siostrzenica mogła pierwsza skryć się we wnętrzu powozu. Jednak w chwili, gdy Louisa, chcąc tam czym prędzej dotrzeć, wbiegła na Ring, z tyłu ktoś krzyknął ostrzegawczo:

- Uwaga!

6

Koń bez jeźdźca galopował prosto na nich. Louisa znajdowała się bezpośrednio na jego drodze.

Mariannę zaparło dech. Była tak przerażona, że nie mogła nawet krzyknąć. Schodki powozu nie zostały jeszcze opuszczone i Louisa nie zdołałaby schronić się w jego wnętrzu. Nie mogła cofnąć się przed szarżującym wierzchowcem, nie mogła uskoczyć z toru jego szaleńczego biegu. Jeszcze tylko kilka sekund, a nastąpi nieuchronna katastrofa.

Mariannę patrzyła z przerażeniem na nadciągającą zagładę. Czas jakby stanął. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Widziała rozszerzone trwogą źrenice Louisy i jej usta otwarte w niemym krzyku. Koń dziko wywracał oczami, cugle zwisały luźno z jego szyi. Wydawało się, że zwierzę nie dostrzega żywych przeszkód na swej drodze.

Nagle markiz z szybkością błyskawicy rzucił się w stronę rozhukanego konia. Nie zważając na dziko wymachujące kopyta, które mogły go bez trudu wdeptać w ziemię, przyskoczył do zwierzęcia i uczeplił się jego karku. Mimo że koń przewyższał go co najmniej pięciokrotnie masą ciała, dzięki swej potężnej posturze i sile masykularnych ramion zdołał odciągnąć zwierzę nieco na bok, zmieniając kierunek jego pędu. Koń usiłował się wyrwać, włócił go nawet przez kilka kroków, ale nie zdołał się uwolnić. Podczas tej szamotaniny markizowi spadł kapelusz i porządnie ucierpiał jego surdut.

Mimo to przypiął się do konia z ponurą determinacją, aż wreszcie wierzchowiec dał za wygraną: zwolnił, parsknął i w końcu się zatrzymał.

Podbiegł do nich krzykliwie ubrany młodzieniec z przekrzywionym fularem i przerażoną miną.

- Jakże mi przykro! O włos od katastrofy! Cóż za szczęśliwy traf! Dobra robota, mój pocziwcz!

Sięgnął do kieszeni, chcąc najwyraźniej dać markizowi parę groszy. Wielkie nieba! Czyżby wziął Gillinhgama za służącego?

Jeśli tak było, markiz szybko wyprowadził go z błędu. Zmierzył pechowego jeźdźca groźnym spojrzeniem i wycedził lodowatym tonem:

- Radzę lepiej pilnować swego konia, mój panie! Młody człowiek zaczerwienił się.

- Zsiadłem tylko na chwilę, by porozmawiać ze znajomą damą... A to bydle, mi się wyrwało, nim zdołałem je powstrzymać! - Wyciągnął liliową, chustkę, otarł czoło i trajkotał dalej. - Chyba diabeł w nie wstąpił, że tak się rozbrykało! To wynajęta szkapa, nie miałem pojęcia, jakie sztuczki wyprawiał

Mariannę odwróciła się do Louisy, by sprawdzić, jak się czuje. Dziewczyna była bardzo blada.

- Wsiadaj do powozu, kochanie! - szepnęła do niej, gdy stajenny pospiesznie opuścił schodki. Zerknęła na markiza i spostrzegła wyraz jego twarzy. W tej chwili nie czuła ani krzty litości dla bezmyślnego młodego jeźdźca, którego Gillingham beształ.

Reprimenda wygłoszona niemal szeptem sprawiła, że młodzian zbladł równie silnie jak Louisa. Rozprawiwszy się z nim, markiz podniósł kapelusz, wsiadł za damami do powozu i dał znak woźnicy, by ruszał.

- Ani ręki do konia, ani oleju w głowie! - podsumował burkliwie. - Czy pani czuje się już troszkę lepiej, panno Crookshank?

Louisa nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego. Wyglądała żałośnie, oddech jej się rwał.

- Zaraz po powrocie do domu powinna jej pani dać kieliszek koniaku - poradził markiz Mariannę.

- Tak, musimy jak najszybciej wrócić do domu! - Mariannę wzięła siostrzenicę za rękę. - Oprzyj się o mnie, kochanie, jeśli ci słabo.

Louisa nadal milczała. Ciotka próbowała podnieść ją na duchu.

- Zaraz będziemy w domu, moje dziecko, i od razu się położysz. Wiem, że przeraziłaś się śmiertelnie, ale - Bogu dzięki! - nic ci się nie stało.

Louisa wzruszyła ramionami; jej myśli najwidoczniej błędziły gdzie indziej.

- Czy ta dama - spytała wreszcie drżącym głosem. - Ta z pieskiem... to była lady Jersey? Ta sławna lady Jersey?

- Jedna z protektorek decydujących o prawie wstępu do Almack's? Obawiam się, że tak - potwierdziła Mariannę, zrozumiawszy, jakim torem biegną myśli jej podopiecznej.

Louisa wybuchnęła płaczem.

Markiz wydawał się kompletnie zdezorientowany, ale Mariannę nie kwapiła się do wyjaśnień. Przepęniała ją wdzięczność do markiza, a zarazem niepokój. Louisa była o krok od śmierci, a lord Gillingham ocalił ją z narażeniem własnego życia. Mariannę nigdy jeszcze nie widziała równie bohaterskiego czynu. Na samą myśl o tym brakło jej tchu. W dodatku wizja siłacza wstrzymującego w biegu rozpędzonego konia i niezwalniającego chwytu nawet wtedy, gdy zwierzę usiłowało go strząsnąć, wizja napiętych muskularnych ramion, widocznych mimo fatalnie skrojonego surduta, uparcie jej towarzyszyła. Stanowczo zbyt długo!

I chociaż rozsierdzenie przez debutantkę jednej z dam rządzących niepodzielnie w Almack's było dla nieostrożnej panienci niemal katastrofą towarzyską, w porównaniu ze śmiercią lub kalectwem, których jej siostrzenica cudem uniknęła, niewarte było doprawdy uwagi.

Wiedziała jednak, że Louisa, ocierająca oczy zwiewną chusteczką i usiłująca powstrzymać dalsze łzy, nie zgodziłaby się z nią w tej kwestii.

W milczeniu dojechali do domu Mariannę. Markiz wszedł z paniami do wnętrza, wspierając ramieniem cichutką Louise. Był uosobieniem uprzejmości i troskliwości. Tym razem jednak Louisa zdawała się tego nie dostrzegać. Uśmiechnęła się blado, gdy doradzał jej, by położyła się i postarała zasnąć. Rzęsami zatrzepotała tylko raz, gdy przyrzekł odwiedzić ją nazajutrz.

- Idź, Louiso, na górę i połóż się. - Mariannę wezwała pokojówkę siostrzenicy, skoro tylko weszli do domu. - Jestem pewna, że nasz gość wybaczy nam ten brak ceremonii. Za chwilę zajrzę do ciebie i sprawdzę, jak się miewasz.

- Proszę się mną nie krępować - rzekł lord Gillingham. - Zaraz się z paniami pożegnaj; wyobrażam sobie, jak jesteście wyczerpane! Nigdy nie przypuszczałem, że nasza wyprawa będzie obfitowała w tak silne wrażenia!

Mariannę to określenie wydało się stanowczo za słabe. Powierzyła siostrzenicę opiece Evy i odprowadziła markiza do drzwi.

- Milordzie... - zaczęła pod wpływem nagłego impulsu. Gillingham przystanął i zwrócił na nią swe ciemne oczy. Niegdyś wydały

się jej niezgłębione. Teraz pomyślała, że na ich dnie drzemą gwałtowne emocje, którym markiz nigdy nie pozwala wypłynąć na powierzchnię. Milczenie przedłużało się i z trudem przypominała sobie, co chciała powiedzieć swemu gościowi.

- Ponieważ panna Crookshank ze zrozumiałych względów nie jest w stanie tego uczynić, proszę pozwolić, bym w jej imieniu podziękowała panu, milordzie, za ocalenie jej. Gdyby nie pański bohaterski czyn, zginęłaby pod kopytami. To dowód niesłychanej odwagi zagrozić drogę rozhukanemu koniowi!

- Każdy na moim miejscu tak by postąpił - burknął Gillingham, usiłując zbagatelizować jej pochwałę.

- O, nie! Bardzo wątpię, by znalazł się drugi taki śmiałek! - obstawała przy swoim Mariannę. Chcąc podkreślić wagę tych słów, położyła mu rękę na ramieniu. Bicepsy miał rzeczywiście twarde, niczym dąb! A siła, jaką wykazał...

Twarz mu się zmieniła. Zbliżył się o krok; stali teraz niemal jedno przy drugim.

Mariannę nie mogła złapać tchu. Był taki wysoki, taki barczysty... Oczy miał ciemne i tak przepastne, że mogłaby do reszty zatracić się w ich głębi. Ogarnęła ją fala gorąca. Od lat nie zdarzyło jej się coś takiego! Czy kiedykolwiek odczuwała coś podobnego?

W głowie się jej kręciło. Wiedziała, że powinna się cofnąć, ale chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej. Chciała...

On również miał przyspieszony oddech, a w oczach pierwotne, niepokojące błyski. Małżeństwo Mariannę nie trwało zbyt długo: mąż wcześniej ją odumarł. Potrafiła jednak wyczytać w męskich oczach pożądanie.

Co ona robi? Boże święty!

Tuż za nimi rozległ się wysoki głos i czar prysnął.

- Milordzie! Podeszła do nich Louisa.

John zauważył, że pani Hughes aż podskoczyła. Pospiesznie odsunęła się od niego na przyzwoitą odległość. Przeklął w duchu każdy centymetr, który ich dzielił. Przecież to nie o nią się staram! - usiłował wbić sobie do głowy. Ta kobieta należy do innego. Jest więc dla niego nieosiągalna, choćby nawet nie starał się o rękę jej podopiecznej.

Jakby ściągnięta myślami markiza Louisa Crookshank stanęła tuż przy nim. Uśmiechnęła się i popatrzyła na niego swymi wielkimi, niebieskimi oczyma.

- Okazałam się bardzo niewdzięczna, panie markizie! Uprzytomniłam to sobie i nie mogę pozwolić, by odjechał pan, nie wysłuchawszy moich podziękowań. Zawdzięczam panu życie!

- Ja... doprawdy... nie zrobiłem nic wielkiego! - wydukał.

Położyła mu rękę na ramieniu tak samo jak przed chwilą pani Hughes. Opiekunka Louisy odsunęła się i odwróciła plecami do nich. Wydawała polecenia lokajowi, nie zwracając na nich uwagi. Ale - o dziwo! - dotyk pięknej młodej panny nie wywarł na markizie równie silnego wrażenia. Louise pragnął głaskać po główce, skłonić do uśmiechu... Jednak początkowe zauroczenie jej osobą błyskawicznie minęło. Gdy stała teraz obok niego, jej bliskość nie doprowadzała jego krwi do wrzenia. A zdradzieckie bicie serca i ból w łędźwiach, które go nawiedzały, nie miały nic wspólnego z tym uroczym dzieckiem, mimo że Louisa była naprawdę śliczna. Jego ciało dawało o sobie znać z powodu innej kobiety. Kobiety o szarobłękitnych oczach i ciemnych włosach. Kobiety z charakterem, pełnej temperamentu. Kobiety dla niego nieosiągalnej. Oczywiście, takie odczucia nie stanowiły o wszystkim. Powinien zawsze mieć w pamięci, po co przybył do Londynu!

- Przecież ocalił mnie pan od rozszałatego konia, niczym rycerz zabijający smoka! - Louisa uśmiechnęła się do niego z jawnym uwielbieniem.

John omal nie jęknął. Ani myślał kraść jej serca, ani zostawać bohaterem jej pensjonarskich marzeń, których jako mąż nie byłby w stanie spełnić!

Wielki Boże, ależ się wpakował w kabałę! Co innego znaleźć sobie bardzo dobrze wychowaną i miłą dla oka żonę, a całkiem co innego odgrywać romantycznego kochanka!

Długo by w tej roli nie wytrzymał... i tragedia gotowa!

Gdy wyruszał do Londynu na poszukiwanie żony, jego plany były takie rozsądne, tak wyraźnie określone. Stanowczo powinien nadal się ich trzymać! Przemknęło mu przez myśl wspomnienie rodziców: brutalnego ojca i nieszczęśliwej matki. Starał się myśleć o nich jak najrzadziej. Jako nastolatek napatrzył się dość na niedole niedobranego stadła. Wiedział, co to ból znoszony przez całe lata, zatruwający goryczą wszystko dokoła. Gdy Louisa nadal wychwalała jego bohaterskie cnoty, ogarnęła go przemożna chęć ucieczki.

- Musi pani wypocząć - powiedział, siłąc się na stanowczość. - Przeżyła pani nie lada szok!

- Ale przyjdzie pan jutro? - spytała znów z tym niesamowitym uwielbieniem. - Nie zawiedzie mnie pan?

- Przyjdę - zapewnił.

- Wiedziałam, że mogę na pana liczyć, milordzie!

- Oczywiście, że może pani na mnie liczyć - odparł z pewnym roztargnieniem. - Zawsze.

- Zawsze? - Otworzyła szeroko swe niebieskie oczy. - Czy to ma znaczyć? Och, milordzie, jakież to dla mnie zaszczyt!

Gdyby nie martwił się tak swymi odczuciami do niewłaściwej damy, może połapałby się od razu w tym, co powiedział, a raczej, czego dopatrzyła się w jego słowach ta wrażliwa panienka.

- To przecież nic takiego... to znaczy...

Dostrzegł jej roziskrzona oczy i policzki okryte ciemnym rumieńcem.

- Nic takiego?! Ależ to rzecz największej wagi! Spędzić życie u pana boku. Przysięgam, że nie pożałuje pan wyboru, milordzie!

- Dobry Boże! - wymamrotał. - Przecież ja... wcale nie to... - Urwał. Czyżby osiągnął swój cel... i to tak łatwo? Nie musiał nawet padać na

kolana ani wygłaszać kwiecistych mów, do których młode panny miały szczególne upodobanie. Okropnie bał się całej tej komedii! Mimo to nadal się jąkał.

- Ja tylko... Oczywiście, każdy byłby szczęśliwy, mogąc pozyskać pani... pani względy.

- Dziękuję! Dziękuję, milordzie! Taka jestem szczęśliwa! - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek.

I nagle John uświadomił sobie w pełni, że osiągnął właśnie to, po co przybył do Londynu: zdobył narzeczoną - i to w rekordowym czasie! Spodziewał się, że ogarnie go zaraz uczucie satysfakcji, ale czuł tylko niejasny niepokój.

Louisa znów coś do niego szczebiotała. Skupił się, by zrozumieć, o co jej chodzi.

- Zechcesz przyjść do nas jutro na obiad, milordzie?

- Nie chciałbym nadużywać gościnności pani opiekunki. Może raczej obie, pani i pani Hughes... i jej mąż, oczywiście, także... pozwolicie się zaprosić na obiad do eleganckiego hotelu?

Panna Crookshank uśmiechnęła się promiennie.

- Jak pan sobie życzy! Najważniejsze, by pan był z nami, milordzie. Musimy uczcić to szczęśliwe wydarzenie!

Czemu tak nagle zaschło mu w ustach?

- Wobec tego zamówię obiad dla czterech osób.

- Tylko trzech - poprawiła go.

Uniósł brwi.

- Moja ciotka jest wdową - wyjaśniła pogodnie panienka. - Obie będziemy zachwycone pańskim towarzystwem!

Pani Hughes jest wdową?

- Ale poprzednio wspomniała pani o swoim opiekunie, wuju czy stryju - przypomniał.

- O tak, będzie pan musiał porozmawiać z moim stryjem. Mieszka z rodziną w Bath. Ale jestem pewna, że stryj Charles nie będzie miał żadnych obiekcji!

John spojrział na damę odwróconą do nich plecami. Wydawała nieprawdopodobnie długie dyspozycje służącemu. Jest wdową. Nie należy do innego. Nie wiąże jej małżeńska przysięga. Nic nie stoi na przeszkodzie, by wolny mężczyzna...

Poczuł na ramieniu dotyk drobnej dłoni. Tak silny, że powstrzymał go niczym kotwica statek, który chce odcumować. Z miną nieszczęśnika, który właśnie złapał się we własne sidła, John spoglądał w uśmiechniętą twarz „niezrównanej panny Crookshank”.

- Będziemy czekały na pana jutro o siódmej.

Po odejściu markiza, który - sądząc z wyglądu - był wykończony tak samo jak ona, Mariannę zadzwoniła na służbę i kazała przygotować dla Louisy herbatę solidnie wzmocnioną koniakiem. Następnie udała się ze swą podopieczną do pokoju gościnnego, który siostrzenica zajmowała.

- Musisz koniecznie położyć się na godzinę. Przeżyłaś prawdziwy szok! - powiedziała.

Tym razem Louisa nie protestowała.

- To był naprawdę niesłychanie męczący dzień - odparła z westchnieniem. - A byłby cudowny, gdyby nie moja głupota! Pomyśleć tylko, że ze wszystkich mieszkańek Londynu musiałam obrazić akurat jedną z protektorek!

- Nie, nie! Miałam na myśli przygodę z galopującym koniem. - Mariannę sama już nie wiedziała, czy się śmiać, czy irytować. - Wszystko jedno! Odpędź od siebie wszelkie myśli o tym katastrofalnym popołudniu i pomyśl o czymś przyjemnym!

- Z miłą chęcią! Bogu dzięki, że mogę zawsze liczyć na markiza! - westchnęła panna. - Gdyby mi się nie oświadczył, doprawdy nie wiem, jak bym to przeżyła!

- Nie bądź śmieszna! - ofuknęła ją Mariannę ostrzej, niż zamierzała. (Ta dziewczyna gotowa już obstałować ślubną suknię!) - Nie przywiązuj aż takiej wagi do tego, że cię uratował: nie mógł przecież stać beczynnym i patrzeć, jak koń cię traktuje! Ale to wcale nie znaczy, że ci się oświadczy, a przynajmniej nie od razu. Nie powinnaś na to aż tak liczyć!

- Ależ on już mi się oświadczył, ciociu! Przed chwilą- odparła stanowczym tonem, z wielką pewnością siebie.

- Oszczędź mi tych żartów! - Cierpliwość Mariannę wyczerpała się. - Ja się odwracam na pięć minut, a ty się przez ten czas zaręczasz?!

Louisa była zawsze skora do łez. Teraz też napływały już do jej wielkich niebieskich oczu; zaraz poleją się strugami po policzkach.

- Myślisz, że wcale mu na mnie nie zależy? Chyba nie szydziłby ze mnie w taki sposób?

Mariannę z trudem otrząsnęła się po kolejnym szoku.

- Chcesz powiedzieć, że lord Gillingham naprawdę poprosił cię o rękę? Louisa skinęła głową.

- O mój Boże! - Mariannę musiała przysiąc na brzegu łóżka. - Nie sądziłam.. . Zrozum, Louiso, przecież dopiero co poznałaś markiza Gillinhgama. O wiele za wcześnie na przyjęcie jego oświadczeń! Twój stryj nigdy nie wyrazi zgody.

- Musi! - przerwała jej dziewczyna. - To wspaniała partia. Jak stryj Charles mógłby nie aprobować takiego małżeństwa?

- Może z czasem przystanie na to, ale nie tak na chybcika, Louiso!

- Ależ ja przyjąłam już oświadczenia markiza! Nie możesz mi zabronić wyjść za niego, ciociu!

Louisa wysunęła brodę do przodu z wyrazem uporu, który Mariannę znała aż za dobrze. Niebawem skończy dwadzieścia jeden lat i nie będzie już potrzebowała niczyjego pozwolenia! Mariannę z trudem zebrała myśli i postanowiła grać na zwłokę.

- Oczywiście, że ci tego nie zabronię. Napisz do stryja Charlesa i zasięgnę jego rady. Przecież to on jest twoim opiekunem! Sądzę jednak, że zgodzi się ze mną. Powinnaś spędzić więcej czasu w towarzystwie markiza i upewnić się co do swoich uczuć. Nie chcę, byś żałowała tego kroku poniewczasie!

- Z pewnością nie będę tego żałowała! - Louisa uśmiechnęła się. Mariannę odniosła nagle

wrażenie, że przeżywa tę scenę po raz wtóry. To

ona była niegdyś tak pewna swoich uczuć do Harry'ego. Równie młoda i równie przeświadczona o swojej słusności. Dobrze to pamiętała, choć minęło tyle lat.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła. - Ale na razie nie ogłaszajmy waszych zaręczyn oficjalnie, zgoda? Ani nie publikujmy zawiadomienia na łamach „Times'a”.

- No... dobrze. Niech będzie! Ale i tak uczymy to szczęśliwe wydarzenie. On nas zabiera na obiad!

- Na obiad?

- Tak, do jakiegoś eleganckiego hotelu. Powiedział, że nie chce nadużywać naszej gościnności. Ale my i tak zaprosimy go niebawem na obiad. Prawda, najdroższa cioteczko? Może nawet wydamy małe przyjęcie?

- Być może - przytaknęła Mariannę.

Głos jej brzmiał głucho, czuła w sobie dziwną pustkę. Zasłoniła okno i pozostawiła podopieczną pogrążoną w rozmyślnościach. Nie była nawet pewna, czy Louisa zauważyła jej odejście.

Wreszcie i ona mogła udać się do swojego pokoju! Położyła się na nierozesłanym łóżku i zapatrzyła w bladoniebieskie zasłony wokół niego. Próbowwała zwrócić myśli w stronę dobrze znanych, przyjemnych spraw, tak jak radziła Louise. Był to wyjątkowo męczący dzień. Jak to dobrze, że nie czekał ich dziś żaden proszony obiad.

Louisa... zaręczyła się... z Gillinghamem...

Ten człowiek doprawdy nie tracił czasu! Czy naprawdę jest w niej zakochany? A czemuż by nie? W każdym razie jest zauroczony jej pięknnością, młodością i żywością jej usposobienia. Większości mężczyzn to wystarcza. Aż nadto! A Louisa w dodatku wniesie mężowi pokaźny majątek. Czemu rozsądny dżentelmen nie miałby dążyć za wszelką cenę do takiego małżeństwa?

Któż przedłożyłby nad piękną, młodą, bogatą pannę znacznie starszą wdowę ze skromnym funduszem, zmarszczkami wokół oczu i sercem pełnym trosk?

Mariannę nie zapomniła jednak iskry wzajemnego pożądania, która przeleciała między nimi, gdy znajdowali się we frontowym holu. Z pewnością nie był to wymysł jej wyobraźni! To wydarzyło się naprawdę i było takie potężne, zdumiewające, nieoczekiwane... Od początku Mariannę wyczuwała w markizie wielką siłę, ujętą w żelazne karby. Nie spodziewała się jednak tak silnego pociągu, takiego pożądania... Tęskniła za jego dotykiem, pragnęła, by zdarł z siebie ten staroświecki surdut i żałośnie wytartą koszulę, by mogła wpatrywać się w jego tors, który - sądząc z łatwości, z jaką osadził rozpędzonego konia, musiał być równie potężny i muskularny jak u kowala.

Przygryzła dolną wargę. Nie, to doprawdy nie ma żadnego sensu! W jej sytuacji nie może być mowy o czymś takim. Ten mężczyzna starał się o jej siostrzenicę. Nawet się jej oświadczył! Mariannę jest dojrzała, bardziej doświadczona. Nie może sobie pozwolić na uleganie nagłym cielesnym porywom. W gruncie rzeczy tego rodzaju związki - patrząc z perspektywy czasu - są trwałe. Na małżeństwo składa się znacznie więcej czynników. A dla Louisy to znakomita partia, gdyż - acz piękna i bogata - nie pochodzi ze starej ani znanej rodziny, toteż poślubienie lorda Gillinghama (pomyśleć tylko: markiza!) zostanie uznane przez cały świat za jej wielki triumf.

Mariannę próbowała sobie wyobrazić Louise w roli markizy. Oto stoi przed ołtarzem, Gillingham uśmiecha się do niej, bierze ją za rękę... Ta wizja była tak bolesna, że czym prędzej odpędziła ją od siebie.

Starając się myśleć o innych sprawach, zaczęła się zastanawiać nad zaniedbanym wyglądem markiza. Czemu przywiązuje aż tak mało wagi do swej powierzchowności? Czy to możliwe, by wcale nie był bogaty mimo plotek na temat jego olbrzymiej fortuny? Po ślubie wszystko, co stanowi własność żony, przechodzi w posiadanie męża.

Marianne ani rusz nie mogła wyobrazić sobie Gillinghama w charakterze łowcy posagów. Mimo to jako sumienna opiekunka (choćby tymczasowa!) postanowiła, nim zaręczyny zostaną oficjalnie ogłoszone, przeprowadzić dyskretny wywiad w tej materii. Podjęła się tych obowiązków, więc postara się je wypełnić.

Właśnie: obowiązki! Poczucie obowiązku nakazywało jej wspomagać poczynania Louisy. Nie mogła mieć już żadnych obaw co do charakteru Gillinghama. Nie dostrzegła w nim skłonności do okrucieństwa, egoizmu ani hulaszczego życia, choć pośpiech, z jakim rozpoczął i uwieńczył sukcesem konkury, wydawał się jej nieco dziwny. Pod głęboką rezerwą markiza z pewnością kryły się gwałtowne uczucia, ale była przekonana, że nie jest on z gruntu złym człowiekiem. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że uważa się za znacznie gorszego, niż jest w rzeczywistości, i zdumiewała ją ta nietypowa sprzeczność między prawdą a samooceną.

Uczucia, które ona sama żywiła do markiza, uznała za haniebne, niemoralne i żalosne. Jakąż trzeba być idiotką, żeby w jej wieku łudzić się, iż mogła wzbudzić głębsze zainteresowanie kogoś tak wysoko postawionego!

Nawet jeśli sądząc z powierzchowności, można go było wziąć za podrzędnego handlowca, póki nie spojrzano się w te głębokie, ciemne oczy o władczym spojrzeniu...

Stanowczo trzeba coś zrobić z tym jego wyglądem! Louisa jest markizem zbyt zauroczona (na razie), żeby przywiązywać do tego wagę, ale z czasem zacznie się tym przejmować. Mariannę nie chciała, by jej młoda podopieczna musiała się rumienić z powodu opłakanego stroju i nieokrzesanych manier narzeczonego. Tłumaczyła już Gillinghamowi, że przy odrobinie wysiłku można zyskać wielkomięjski polor. Była pewna, że markiz obdarzony inteligencją, zdrowym rozsądkiem i dobrym smakiem bez trudu tego dokona. Może z dyskretną pomocą...

Dokonując w myśli przeglądu najlepszych mistrzów krawieckich i kupców galanterijnych, odłożyła na bok własne uczucia. Potem, leżąc samotnie w łóżku, usiłowała sobie wmówić, że jest szczęśliwa i nie pragnie niczego więcej.

7

*Być nieszczęśliwą w wielkim domu jest trochę przyjemniej niż w małym,
Nawet jeśli bywa w nim mniej kłopotów ze służbą*

Margery, hrabina Sealey

Następnego dnia Mariannę zadbała o to, by Louisa spędziła spokojny ranek. Jednak po lekkim drugim śniadaniu, kiedy obmyślały, jak się ubiorą na obiad w towarzystwie markiza, nerwy Louisy znów dały o sobie znać. Nie była to opóźniona reakcja po wczorajszym wypadku. Wzburzył panną do głębi niezwykle istotny problem odpowiedniej wstążki do włosów.

- Łudziłam się, że wstążka, którą kupiłam w zeszłym tygodniu, będzie w sam raz! Ale kiedy ją przyłożyłam do mojej nowej sukni wieczorowej... Chyba to zupełnie zrozumiałe, że chcę prezentować się jak najlepiej, prawda? Przecież to mój obiad zaręczynowy, nawet jeśli nie ogłosiliśmy ich oficjalnie i nie podaliśmy do gazet. Tak czy inaczej, porównałam wstążkę z suknią i wyobraź sobie, ciociu, ona jest w zupełnie innym odcieniu różu! -obwieściła rozpaczliwym tonem Louisa.

Damy znajdowały się w pokoju gościnnym i wpatrywały w łóżko zasłane mnóstwem elementów damskiej garderoby, także takich, o których nie wspomina się w towarzystwie. Jak widać, Louisa bardzo gruntownie zajęła się kompozycją idealnej całości.

Marianne poczuła, że dłużej już nie wytrzyma tej niekończącej się gadaniny o fatałaszkach.

- W takim razie wykorzystaj białą wstążką - podsunęła. - Masz różowe różyczki, które przysłał ci dziś rano twój szczodry wielbiciel. Możesz kilka z nich wpleść we włosy. W połączeniu z białą wstążką powinny, wyglądać bardzo efektownie.

- Ale wyglądałyby jeszcze efektowniej, gdyby wstążka była różowa, tylko w odpowiednim

odcieniu! - obstawała przy swoim panienka.

- Mówiłam ci przecież, Louiso, że jesteśmy zaproszone do hrabiny Sealey na herbatę.

- Krótka wyprawa do sklepiku z pasmanterią na Bond Street zajmie najwyżej kilka minut! - przekonywała ją Louisa błagalnym tonem.

Mariannę zmarszczyła brwi. Zdążyła już poznać obyczaje siostrzenicy i wiedziała doskonale, że jej wizyta w jakimkolwiek sklepie trwa znacznie dłużej niż kilka minut. Ale nie ulegało wątpliwości, że zależy jej na tej wyprawie równie mocno jak jej ciotce na tradycyjnej herbatce u hrabiny z gronem starych przyjaciół.

- Zgódź się, cioteczko! Chciałabym prezentować się bez zarzutu! Niebieskie oczy młodej panny były takie przejrzyste! I nie otaczała ich

siateczka mimicznych zmarszczek. Cerę miała nieskazitelną. Mariannę pragnęła wytłumaczyć siostrzenicy, że markiza oczaruje przede wszystkim młodzieńczy urok jej świeżości, a na wstążki w ogóle nie zwróci uwagi. Wiedziała jednak, że siostrzenica jej nie uwierzy.

- Możesz oczywiście iść do sklepu, weź tylko ze sobą Evę i Mastersa - powiedziała z rezygnacją. - A ja udam się do lady Sealey, jak obiecałam.

- Dzięki, najdroższa ciotciu! - rozpromieniła się Louisa.

Tak więc, gdy przybyła zamówiona dorożka, drogi obu pań się rozeszły. Louisa pod opieką służby pojechała na Bond Street. Mariannę z pokojówką wyruszyła pieszo. Po drodze do okazałej rezydencji hrabiny, znajdującej się niezbyt daleko, przy pięknym skwerze, Hackett odważyła się na komentarz.

- Ta pannica ciągle by tylko latała po sklepach! - burknęła.

- Jest młoda - odparła Mariannę. - I wyznaczono jej hojną pensję. Niech się cieszy, póki może!

Pokojówka znów mruknęła coś pod nosem, ale Mariannę wpatrzona w rabatę prześlicznych żonkili udała, że tego nie słyszy.

Kiedy zbliżyły się do frontowych drzwi hrabiny, otoczonych z dwóch stron białymi kolumnami, nastrój wyraźnie się jej poprawił. Skinęła głową lokajowi, który im otworzył, powierzyła Hackett okrycie i rękawiczki, a następnie po szerokich schodach wspięła się na piętro, do salonu.

Pani domu - urocza w lawendowej sukni, obrzeżonej lamówką srebrną jak jej włosy, upięte dziś wysoko w nieco staroświeckim, ale bardzo twarzowym stylu - powitała ją uśmiechem.

- Mariannę, moja droga! Jakże miło cię widzieć! Sądziłam, że zabawisz w Bath jeszcze kilka tygodni.

- Takie miałam zamiary, ale oddano mi pod opiekę młode dziewczę i musiałam wrócić, by nurzać się w uciechach londyńskiego sezonu.

Mariannę dygnęła przed hrabiną, ta zaś pocałowała ją w policzek.

- I to cię tak przygnębia? Nie lubisz być zmuszana do uciech życia, co? - spytała hrabina niby to surowym tonem, ale jej bładoniebieskie oczy skrzyły się jak zwykle humorem.

Mariannę roześmiała się z przymusem.

- Ależ skąd! To znaczy... zazwyczaj nie biorę tak żywego udziału w życiu towarzyskim, bo...

- Bo nie potrafisz korzystać z niego w pełni.

Lady Sealey gestem wskazała jej miejsce obok siebie. Mariannę usiadła i przyjęła filiżankę herbaty i talerzyk drobnych ciasteczek z rąk lokaja we wspaniałej szkarłatnej liberii.

- Od lat ci powtarzam, drogie dziecko, że powinnaś wreszcie okazać trochę zainteresowania dżentelmenom, którzy rzucają ci zachwycone spojrzenia. A są ich naprawdę całe tłumy! - Hrabina spojrzała na nią ni to kpiąco, ni to karcąco. - Bawiłabyś się znacznie lepiej na tych wszystkich balach i przyjęciach, gdybyś znalazła sobie jednego czy dwóch partnerów do flirtu.

- Czemu nie trzech lub czterech? - Mariannę odgryzła kawałek ciasteczka. - Albo od razu cały pułk!

- Nie żartuj, moja droga! - ofuknęła ją hrabina. - Jestem zdania, że nie należy rozmawiać o sprawach tak osobistych, ale nie ulega wątpliwości, że bywają w życiu słodczye bardziej ponętne niż ptifurki!

Marianne przełknęła ciastko i popiła herbatą.

- Bez wątpienia, ale ptifurki spotyka się znacznie częściej.

- Dajże spokój, Mariannę! - skarciła ją znów starsza dama. - Gdybyś rozejrzała się bacniej po swym otoczeniu, z pewnością dostrzegłabyś wielu interesujących dżentelmenów!

- Takich jak stary sir Roderick, który staje na paluszkach, by zajrzeć mi w dekolt, ilekroć znajdę się w pobliżu? Albo ten... jak mu tam? Ten gruby wierszokleta z pękatym brzuszyskiem, który plątał się koło mnie po śmierci Harry'ego? - pokpiwała sobie Mariannę. Cóż to za ulga porozmawiać od czasu do czasu szczerze z inną kobietą! Obcowanie z mężczyznami wymagało specjalnych umiejętności - perswazji i taktu. Tak przynajmniej sprawy się miały z jej mężem. Potrafił dąsami tak jej uprzykrzyć życie, że obchodziła się z nim jak z nieświeżym jajkiem! - Doprawdy, flirt z kimś takim wcale mnie nie kusi!

- Zupełnie zrozumiałe. Ani mi w głowie namawiać cię, byś spojrzęła łaskawym okiem na takie okazy... Ale nie brak znacznie ciekawszych mężczyzn - zapewniała ją lady Sealey między jednym a drugim łykiem herbaty

Ni stąd, ni zowąd stanął Mariannę przed oczami markiz Gillingham. Pospiesznie odpędziła od siebie tę zjawę.

- To nie dla mnie! - mruknęła.

Hrabina uniosła brwi.

- Chcę przez to powiedzieć - tłumaczyła się Mariannę - że mam pełnić rolę przyzwoitki wobec młodej krewniaczki debiutującej w tym sezonie. Muszę skupić całą uwagę na jej adoratorach! Przyszłaby tu dziś ze mną, ale obiecała już przedtem odwiedzić swoich znajomych. Bardzo bym chciała przedstawić Louise pani hrabinie, jeśli można.

- Ach, tak? - Lady Sealey skinęła głową. - Z przyjemnością poznam tą pannę. Oczywiście, każdy ma swoje obowiązki. Ale nie zapominaj o własnych potrzebach, drogie dziecko. Jesteś zbyt młoda, by wyrzekać się całkowicie radości życia i poświęcać bez reszty spełnianiu dobrych uczynków. Powinnaś mieć u swego boku dobrego męża.

- Miałam dobrego męża - przypomniała jej Mariannę. - I szczerze opłakiwałam jego stratę.

Hrabina wiedziała o tym doskonale. Poznały się dobrych kilka lat temu, wkrótce po śmierci Harry'ego. Starsza dama również straciła męża i miała wiele serca dla podobnie osamotnionych kobiet. Mogły znaleźć u niej radę i wsparcie, jakże pomocne w powrocie do normalnego życia. Kilka najserdeczniejszych przyjaciółni Mariannę zawarła właśnie w salonie hrabiny. Nie wszystkie spotykające się tam niewiasty były wdowami, ale większość. Z tego właśnie powodu uczestniczki cotygodniowych herbatek u hrabiny Sealey niekiedy zwano żartobliwie „wesołymi wdówkami”.

- Ale musiałam sobie poradzić bez niego i radzę sobie do dziś. I, mówiąc szczerze, życie samotnej kobiety jest znacznie prostsze.

- Powiedziałam, że powinnaś znaleźć oparcie w dobrym mężu, droga Mariannę. O ile wiem, miałaś u boku tylko miłego chłopca - kontynuowała łagodnie hrabina. - Pobraliście się bardzo młodo, nieprawdaż? Nie masz chyba pojęcia, czym jest miłość prawdziwego mężczyzny.

Marianne przez chwilę nie wiedziała co odpowiedzieć. Czy wyznać swe skomplikowane uczucia do narzeczonego siostrzenicy? Nie, nie! Wyszłaby na kobietę pozbawioną wszelkich zasad moralnych! Na szczęście do salonu wszedł następny gość i uwaga hrabiny skoncentrowała się na nowo przybyłej.

Marianne opuściła miejsce obok pani domu i obeszła pokój, gawędząc to z tą, to z ową ze swych przyjaciółek. Therese LaSalle, pełna życia rudowłosa, która była w Vauxhall tamtego pamiętnego wieczoru, zagadnęła ją o Louise.

- Jakże się miewa twoja czarująca siostrzenica? Nadal zafascynowana wyrafinowanymi

ucieczkami Londynu?

- O, tak - odparła Mariannę i dodała w duchu: zwłaszcza zalotami lorda Gillinhgama, ale nie wypowiedziała tego na głos. - Wydarzyło się jednak coś niemiłego, nad czym szczególnie ubolewa. - Mariannę opisała incydent z pieskiem. Była przekonana, że trąbią już o tym po całym mieście. Mogła jedynie wprowadzić do obiegu wersję mniej krzywdzącą dla siostrzenicy. -To doprawdy wyjątkowo przykre wydarzenie, ale Louisa w niczym nie zawińła. Biedna psina wpadła jej prosto pod nogi. Na szczęście, nic złego się nie stało.

Therese, wielka miłośniczka zwierząt, skinęła głową.

- Le pauvre chien! Cieszę się, że nie doznał żadnych obrażeń. Ale fatalnie się złożyło, że to akurat ulubieniec Sally Jersey! Wiem, że niektórzy za nią nie przepadają, bo taka z niej gaduła i czasem zbyt pochopna w swoich sądach. Jednak nie jest bez serca. Gdy po raz pierwszy przybyłam do Londynu, okazała mi wiele życzliwości.

Stojąca w pobliżu wysoka, jasnowłosa piękność o klasycznych rysach najwidoczniej usłyszała, o czym mówią, i włączyła się do rozmowy.

- Ale, niestety, jest bardzo pamiętliwa! Gdyby moja ciotka była w Londynie, może zdołałaby ją ugłaskać. Ciocia Sophie to jedna z nielicznych dam, z których zdaniem Sally Jersey naprawdę się liczy. Ale w obecnej sytuacji pani siostrzenica pewnie będzie musiała długo czekać na kartę wstępu do Almack's.

Mariannę skinęła głową.

- Zgadzam się z panią. I sądzę, że nie należy zabiegać o pomoc którejś z pozostałych protektorek. Lady Jersey uznałaby to za spiskowanie za jej plecami i zawzięłaby się jeszcze bardziej. Być może nigdy nie wybaczy biednej Louisie. Zresztą w przypadku debutantki potrzebne jest zgodne poparcie dwóch protektorek, jeśli dobrze pamiętam.

Mariannę usiłowała sobie przypomnieć, jak nazywa się jej rozmówczyni, owa wytworna blondynka. Na poprzednich herbatkach u hrabiny parokrotnie zamieniały ze sobą kilka słów. Nie jest, zdaje się, wdową. Nie wszystkie uczestniczki tych spotkań straciły mężów. Nagle Mariannę przypomniało się nazwisko blondynki; lady Gabriel Sinclair. Sinclair?!

Ależ tak! Markiz wspomniał przecież w Vauxhall Gardens o swej bratowej! Mariannę przyjrzała się jej z jeszcze większym zainteresowaniem.

- Mam wrażenie, że znam kogoś z pani rodziny, a raczej z rodziny pani męża.

Lady Sinclair uniosła idealnie zarysowane brwi.

- Doprawdy?

- Chodzi o markiza Gillinhgama -wyjaśniła Mariannę. - Zawarliśmy znajomość w Vauxhall Gardens. Od tego czasu lord Gillingham odwiedza nas i... okazuje wiele względów mojej siostrzenicy.

Lady Sinclair zamyśliła się głęboko, ale po chwili skinęła głową.

- No tak, oczywiście! Zdziwiłam się w pierwszej chwili, gdyż brat mojego męża bawi od niedawna w Londynie, i sądziłam, że nie nawiązał zbyt wielu znajomości. Bardzo się cieszę, że okazał pod tym względem więcej inicjatywy, niż przypuszczałam - odpowiedziała.

Oczy Therese rozbłysły.

- To pani czarujący mąż ma brata? Czy jest równie przystojny i uroczy jak on?

Piękna blondynka zawahała się.

- Każdy z nich reprezentuje inny typ urody.

Therese właściwie zinterpretowała tę uwagę.

- Wielka szkoda, że nie jest taki urodziwy jak lord Gabriel, ale tak to już bywa z rodzeństwem. Jednemu dostaje się cała śmietanka, reszta musi się kontentować zbieranym mlekiem! Ale z pewnością jest równie wytworny jak brat i obyty w świecie, nieprawdaż? Ach, nie powinnam zadawać takich pytań młodej mężatce! Gdzieżby mogła porównać kogoś obiektywnie z ukochanym mężem!

Lady Sinclair uśmiechnęła się.

- Prawdę mówiąc, nie znam zbyt dobrze mego szwagra. Dotąd nie był w Londynie, ale mam nadzieję, że zaprzyjaźnię się z nim bliżej podczas tego sezonu.

- Bez wątpienia lord Gabriel jest bardzo rad z przyjazdu brata - wtrąciła domyślnie Mariannę. Podsunęła filiżankę do ponownego napełnienia i wzięła jeszcze jedną bułeczkę ze srebrnej tacy, którą jej podał lokaj.

- Hm... - Lady Sinclair pospiesznie odwróciła się w stronę tacy podsuwanej przez lokaja. - Bez wątpienia. Jakie pyszne ciastka piecze kucharz lady Sealey!

- Nic dziwnego, to przecież Francuz - odparła Therese, ale nie dała się odwieść od tematu. - Czyżby darli z bratem koty? - Palnęła, jak to ona, prosto z mostu.

- Mój mąż spędził wiele lat za granicą, toteż przez dłuższy czas nie widywali się. Mam nadzieję, że teraz nadrobią te zaległości - odparła lady Sinclair.

Therese najwyraźniej zamierzała drążyć temat, ale przykuła jej uwagę konwersacja kilku dam w najbliższym sąsiedztwie.

- Nie mów mi tylko, Lucy, że twój mąż naprawdę odmówił przyjęcia tego tytułu z rąk księcia regenta! - perorowała dama obdarzona przenikliwym głosem i nienaganną dykcją. - Słyszałam, że książę jest niewymownie wdzięczny Richmondowi za wyświecenie afery z tym przeklętym rubinem i rad by go obsypać wszelkimi zaszczytami!

- Bądźże cicho, Julio! Dobrze wiesz, że Richmond nigdy by się nie zachował tak niestosownie względem przyszłego monarchy! - odparła filigranowa blondynka, Jej oczy uśmiechały się szelmowsko, jakby we wspomnianej „aferze” kryło się znacznie więcej, niż podano do publicznej wiadomości.

- Przecież i ty masz coś do powiedzenia w tej sprawie! - obstawała przy swoim jej przyjaciółka.

- Uważasz, że nie wystarczy mi do szczęścia tytuł wicehrabiny? - Blondynka zachichotała. - Zapewniam cię, że sama świadomość, iż jestem żoną Nicholasa, napawa mnie wystarczającą dumą i radością.

Brwi Therese uniosły się. Widać było, że wzbiera w niej ciekawość. Przsunęła się nieco do tamtych kobiet, by nie przepuścić nic z ich dalszej rozmowy.

Teraz Mariannę miała okazję porozmawiać swobodniej z kobietą, której opinii pragnęła zasięgnąć.

- Nie chcę być wścibska, lady Sinclair, ale mam powody sądzić, że... to znaczy moja siostrzenica uważa, iż lord Gillingham żywi w stosunku do niej poważne zamiary.

- Doprawdy? Moje gratulacje! Jego pozycja i majątek mogłyby zadowolić najbardziej wymagającą damę.

- Znacznie bardziej interesuje mnie jego charakter. - Mariannę również potrafiła mówić bez ogródek, jeśli sytuacja tego wymagała. - Nie chcę, by Louisa żałowała swego wyboru. Zna pani z pewnością zdanie lady Sealey na temat nieprzemyślanych decyzji.

- Hrabina ma całkowitą rację, że należy zachować najdalej posuniętą ostrożność w podejmowaniu decyzji, pani Hughes. Będę wobec pani całkiem szczerą: nie słyszałam o markizie nic, co by przemawiało na jego niekorzyść, poza twierdzeniem mego męża, że starszy brat tyranizował go w dzieciństwie. Ale to zjawisko bardzo często spotykane wśród chłopców.

Widać było, że ma jeszcze coś na języku, ale się powstrzymała. Mariannę zawałała się przed zadaniem następnego pytania.

- A teraz, gdy obaj są dorośli, czy lord Gabriel nadal dostrzega u brata tyrańskie zapędy? Proszę mi wierzyć: tylko troska o los siostrzenicy skłoniła mnie do postawienia tego pytania.

- Nie bardzo umiem na nie odpowiedzieć - odparła po namyśle jej rozmówczyni. - Nie kontaktowali się od lat i dopiero ostatnio spotkali się raz czy drugi.

Cóż mogło być powodem tak definitywnego zerwania stosunków? - zaciekała się Mariannę. Uznała jednak sprawę za zbyt osobistą, by o nią wypytywać. Mimo to

niewypowiedziana kwestia jakby zawisła między nimi.

- To wina ich ojca - wyjaśniła lady Sinclair. - Nie był wzorem cnót ani kochającym rodzicem. Kiedy mój mąż w młodzieńczej nierozwadze minął się z prawem, został wygnany i wydziedziczony. Jego brat, obecny markiz Gillingham, nie wystąpił w jego obronie. I to męża boli do dziś.

- Zupełnie zrozumiałe - zauważyła Mariannę i westchnęła. - Sama już nie wiem... Spędziłyśmy trochę czasu w towarzystwie markiza i zrobił na mnie raczej dobre wrażenie. Czuję jednak, że ukrywa wiele problemów, którymi z nikim nie chce się dzielić. A Louisa jest bardzo naiwna, jeszcze bardziej niż większość debiutantek.

- Na szczęście ma oparcie w pani. Niektórym matkom czy ciotkom wystarczyłoby całkowicie, że lord Gillingham ma wielkie dobra, fortunę i tytuł. Proszę mi wybaczyć zbytnią szczerość, ale cieszę się, że zawarł znajomość z panną, która nie kieruje się wyłącznie chciwością czy ambicjami towarzyskimi.

Mariannę uśmiechnęła się niezbyt wesoło.

- Louisa ma swoje wady jak każdy z nas, ale nie jest wyrachowana. Nie wyszłaby za mąż dla pieniędzy. - Uznała, że lepiej nie wspominać, iż tytuł markiza zrobił duże wrażenie na jej siostrzenicy. - A ja, odpłacając szczerością za szczerość, powiem, że według mnie wielu trapiących świat nieszczęść i rodzinnych nieporozumień można by uniknąć dzięki otwartej wymianie zdań.

- Zgadza się z panią w zupełności. - Rozmówczyni skinęła jej głową. - I proszę mówić do mnie Psyche, dobrze? Mam wrażenie, że będziemy się częściej spotykać, i już się na to cieszę!

Mariannę ogromnie przypadły do gustu rozsądek i bezpośredniość tej kobiety.

- Wobec tego proszę nazywać mnie Mariannę, zgoda?

Żegnając się z hrabiną Sealey, Mariannę miała miłe wrażenie, że spędziła to popołudnie przyjemnie i pożytecznie. Pozbyła się wątpliwości co do stanu majątkowego markiza, a co za tym idzie - obaw, że zależy mu jedynie na posagu Louisy. Pozostawała już tylko jedna najistotniejsza kwestia dotycząca jego charakteru. Nadal się tym niepokoiła, choć jej zdaniem Gillingham nie mógł być z natury zły. Wisiała jednak nad nim jakaś ciemna chmura i dużo by dała, by odkryć, jakiz to cień od czasu do czasu przesłania mu twarz.

Czy interesuje się tym ze względu na dobro Louisy, czy z potrzeby własnego serca?

Idiotyczne pytanie! Oczywiście, że chodzi jej o siostrzenicę. Cóż mogłyby mieć z tym wspólnego jej osobiste uczucia?! Jeżeli zatem nie ma żadnej konkretnej przeszkody, obowiązek nakazywał jej doradzić swej podopiecznej, by czym prędzej zapewniła sobie tak korzystny mariaż. Ale mimo wszystko nie mogła pozwolić, by siostrzenica bez należytego zastanowienia podjęła decyzję wiążącą ją na resztę życia.

Tak więc, uzbrojona w lodowaty pancerz przyzwoitości, szykowała się na ów uroczysty obiad. Wyprawa Louisy po wstążkę została uwieńczona powodzeniem, aczkolwiek musiała odwiedzić aż trzy sklepy z pasmanterią, nim znalazła dokładnie taki odcień różu, jaki sobie wymarzyła. Z zapałem opisywała cioci zapamiętałe poszukiwania wstążki idealnej, a Mariannę potakiwała z wyrazem należytego zainteresowania. Wszystko ma swoje dobre strony: polując na wstążkę, dziewczyna przynajmniej nie zapłakiwała się z powodu tragicznego zderzenia z pieskiem lady Jersey!

Damy były już gotowe, kiedy markiz przyjechał po nie swoim nieco zbyt ozdobnym powozem. Tym razem dach był podniesiony, ponieważ po zachodzie słońca wyraźnie się ochłodziło. Pojechali do hotelu wybranego przez markiza. Nie ulegało wątpliwości, że zasięgnął rady w tej materii, gdyż było to modne miejsce wytwornych spotkań. Zostali wprowadzeni do prywatnego gabinetu, gdzie ogień wesoło trzaskał na kominku, a stół był nakryty śnieżnobiałym obrusem. Właściciel hotelu giął się w pokłonach, wprowadzając tam swoich znamienitych gości.

Marianne pozwoliła, by lokaj zabrał jej okrycie, i ściągnawszy rękawiczki, przyjęła kieliszek wina. Sącząc je, przysłuchiwała się, jak Louisa w czarujący i piękny sposób konwersuje z markizem, on zaś odwzajemnia się jej równą grzecznością. Z Mariannę przywitał się bardzo uprzejmie, ale poza tym niewiele miał jej do powiedzenia. Czowała się więc dziwnie opuszczona i strofowała się w duchu za niemądre myśli.

Było to całkiem zrozumiałe i w najwyższym stopniu właściwe, że lord Gillingham zwraca przede wszystkim uwagę na jej siostrzenicę - pannę, której dopiero co się oświadczył. Gdyby umizgał się do nich obu, z pewnością Mariannę nie nabrałaby do niego szacunku! Nie znosiła uwodzicieli i donżuanów wszelkiej maści. Toteż była bardzo rada, że markiz wykazuje takt i dyskrecję. Tak przynajmniej sobie wmawiała. A jeśli zachowywał wobec niej pewien dystans, było to całkiem zrozumiałe. Niełatwo jednemu mężczyźnie bawić równocześnie rozmową dwie kobiety, zwłaszcza jeśli jest małomówny z natury i nie przywykł do roli gościnnego gospodarza,

W pomieszczeniu oświetlonym łagodnym blaskiem świec markiz zdjął szerokoskrzydły kapelusz, którym zazwyczaj osłaniał twarz przed ciekawskimi spojrzeniami. Niestety, jego ubiór nadal był niemodny i źle na nim leżał. Czyż ten człowiek nie pojmuje, jak bardzo jego atletyczna postać zyskałaby w dobrze skrojonym i starannie uszytym ubraniu? Mariannę przysięgła sobie, że takim czy innym sposobem skłoni go do obstalowania nowej garderoby. Teraz już nie miała wątpliwości, że go na to stać.

Choć jedzenie było wyśmienite, obiad dłużył się nieznośnie. Mariannę z westchnieniem pozwoliła nałożyć sobie na talerz porcję pieczonej gęsiny i wbiła widelec w chrupiącą brązową skórkę.

John obserwował ją przez chwilę kątem oka, po czym znów skoncentrował uwagę na osobie Louisy, która trajkotała jak najęta. Czy to dziecko nie zamilknie ani na sekundę, choćby po to, by włożyć do ust odrobiną jedzenia i przełknąć? Czy ten obiad będzie włókł się w nieskończoność, aż mróz zwarzy wiosenne kwiaty i powrócą zimowe chłody?

Johnowi wydawało się to bardzo prawdopodobne. Zostawił właścicielowi hotelu wolną rękę co do menu, domagając się tylko, by zadowolilo wybredne gusta dwóch dam z towarzystwa. Właściciel zaś postanowił uraczyć ich prawdziwą ucztą, żeby wykazać w pełni talenty szefa kuchni i wystawić astronomiczny rachunek. Głównych dań było mnóstwo, a przekąski wystarczyłyby w zupełności na wykarmienie szwadronu kawalerii.

Na dobitkę John musiał koncentrować całą uwagę na osobie panny Crookshank. Wyglądała zresztą niezwykle uroczo w bladuróżowej sukni, z pączkami róż, które jej przysłał, w jasnych włosach. Śmiała się, rumieniła i szczebiotała, a on musiał, chcąc nie chcąc, słuchać jej opowieści o londyńskich sklepach, wielkowiejskich rozrywkach i zbliżających się balach.

Ku swej konsternacji odkrył, że w rzeczywistości pragnie spoglądać jedynie na jej towarzyszkę. Był pewien, że pod maską jej uprzejmej obojętności kryją się znacznie bardziej interesujące myśli. Suknia w kolorze nasyconej, rubinowej czerwieni podkreślała urok jej ciemnych włosów i ślicznego oblicza i zmuszała jego serce do szybszego bicia. Nie mógł jednak poświęcić jej tyle uwagi, ile by chciał, z powodu siedzącej obok niego dziewczyny. Młodej damy, z którą nieopatrznie związał się z bezmyślnym pośpiechem i która wpatrywała się w niego z jawnym uwielbieniem. Markiz przeklinał w duchu swoje wygodnictwo, chęć uwolnienia się za wszelką cenę, jak najszybciej, od nieznośnych wielkokwiatowych rygorów, od wścibskich oczu i złośliwych języków śmietanki towarzyskiej. Pośpiech, z jakim podjął decyzję, a raczej zaakceptował pomyłkę wynikającą z głupiego nieporozumienia, sprawił, że był związany z osobą mu całkowicie obcą, z którą na pewno nie znajdzie wspólnego języka.

Louisa znowu go chwaliła i dziękowała. John zmieszał się okropnie, gdy zwróciła się do niego per „mój zbawco”.

- Nie ma o czym mówić - zaprotestował. - To była drobnostka. Jej niebieskie oczy stały się jeszcze większe.

- Drobnostka? Zagrozić drogę pędzącemu rumakowi?! To najbardziej szlachetny, najbardziej bohaterski czyn, jaki kiedykolwiek widziałam! Rycerz zmagający się ze smokiem w obronie uciśnionej dziewczicy nie okazałby większego męstwa! Ryzykował pan dla mnie życie, milordzie!

John poruszył się niespokojnie.

- Proszę mi wierzyć, nic wielkiego mi nie groziło!

- To był niezwykle dowód odwagi! Nigdy tego nie zapomną! Wiem, że przy panu, milordzie, jestem i zawsze będę całkowicie bezpieczna. -Louisa uśmiechnęła się do niego z anielskim wyrazem twarzy.

Markiz zdecydowanie by wolał, żeby wlepiła te swoje wymowne oczy w gęsinę na talerzu albo w homara. Ale Louisa prawie nic nie jadła. Zależało jej przede wszystkim na tym, by przykuć jego uwagę. Wyjaśniła mu już wcześniej, że na prośbę ciotki zgodziła się na odłożenie oficjalnego ogłoszenia ich zaręczyn na pewien - niezbyt długi! - czas.

- Musimy napisać do stryja i prosić go o błogosławieństwo - powiedziała. - Ale jestem pewna, że nie będzie miał żadnych obiekcji!

- Oczywiście - przytaknął markiz. - Powinienem był najpierw z nim porozmawiać. Nie zdawałem sobie sprawy, że pani opiekunem jest ktoś inny niż... Byłem przekonany, że jest nim mąż pan Hughes.

Nadal uśmiechając się, Louisa skinęła głową. Jego nowa narzeczona najwidoczniej nie domyśliła się podtekstu ostatnich słów, choć John uznał to za największy nietakt, jaki popełnił w życiu.

Zamiast się oburzyć, zaczęła paplać o weselu. John starał się nie krzywić, słuchając jej planów. Nie zdając sobie widać sprawy z tego, co robi, pochylił się w jej stronę, jakby nie chciał uronić ani jednego słowa, Kieliszek w jego ręku przechylił się niebezpiecznie. Rubinowy trunek splamił bladą różową suknię. Panna Crookshank pisnęła z przerażenia.

- Najmocniej przepraszam! - pokajał się natychmiast John. Odsunął się z krzesłem i skinął na czekającego w kącie na rozkazy lokaja. - Zawołaj natychmiast pokojówką! Niech zaprowadzi jaśnie panią do osobnego pokoju i postara się naprawić tę katastrofę.

Słodki uśmiech narzeczzonej zniknął definitywnie. Spojrzała na plamę i jęknęła;

- Zniszczona raz na zawsze!

- To wyłącznie moja wina - przyznał markiz. - Moment niewybaczalnego roztargnienia... tak się zaszukałem w to, co pani mówiła. Raz jeszcze najgoręcej przepraszam, panno Crookshank! Musi pani pozwolić, bym wynagrodził jej tę stratę równie piękną toaletą!

Louisa zaczęła się wzbraniać, bohatersko usiłując odzyskać poprzednią pogodę ducha.

- To doprawdy nie ma znaczenia, milordzie! Proszę się tym nie kłopotać. Zjawiała się pokojówka.

- Zrób, co w twojej mocy, by uratować toaletę tej damy - polecił jej markiz, Służąca spieszenie dygnęła.

- Och, panienko, taka piękna suknia! Zaraz toto spluczemy wodą z ociupinką sody i będzie jak nowa! Ani się panienka obejrzy, a po plamie nie będzie śladu!

Pani Hughes również odsunęła się z krzesłem od stołu i zamierzała wyjść za podopieczną z pokoju. John wyciągnął rękę i upewniwszy się, że pozostałe osoby zbyt są zajęte, by zwracać na niego uwagę, szepnął do Marianny:

- Nie, nie... Proszę zostać.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Na szczęście jednak miała szybki refleks: nie skomentowała jego wypowiedzi, co zwróciłoby ogólną uwagę. Kiedy jednak panna Crookshank z pokojówką, zapewniającą ją bezustannie, że muślinową suknię można uratować, znikła za drzwiami, jej opiekunka odsunęła się nieco z wyrazem niepokoju na twarzy.

Co to ma znaczyć, na litość boską? Mariannę nie odrywała oczu od markiza, który wrócił na poprzednie miejsce u szczytu stołu. Przez chwilę milczał, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

Wobec tego ona pierwsza przerwała milczenie.

- Pan to zrobił naumyślnie! Podniósł na nią wzrok.

- Chlapnął jej pan winem na suknię z premedytacją! Tylko dlaczego? Rozumiem, że te jej nieustanne pochwały mogły być nieco nużące, ale chyba nie do tego stopnia?!

Obdarzył ją jednym ze swych rzadkich uśmiechów, ale nie zaprzeczył oskarżeniu. Zamiast tego sięgnął do kieszeni surduta, wyjął rękawiczkę i podsunął ją Mariannie. Spoglądała na nią kompletnie zdezorientowana.

- O co panu chodzi?

Wskazał ciemniejszą plamę na cienkiej skórcie.

- Niech się pani uważnie temu przyjrzy - poprosił. - Zauważyłem to dopiero po pożegnaniu z paniami. Proszę to obejrzeć z bliska, dokładnie, a z pewnością zrozumie pani, co mnie tak zaniepokoiło.

Mariannę dotknęła rękawiczki. Ciemniejsza plama była jakby nieco lepka... Z trudem chwytając dech, spytała:

- To... krew?...

8

Krew?

Markiz nie odpowiedział, ale nie musiał. Wystarczyło spojrzeć na posępny wyraz jego twarzy.

- Zranił się pan, poskramiając tego rozpędzonego konia, milordzie? Wcale mnie to nie dziwi! Obawiałam się tego od chwili, gdy rzucił się pan na to oszalone zwierzę. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Wyciągnął ku niej obie dłonie, by mogła je dokładnie obejrzeć. Nie dostrzegła ani śladu rany czy nawet zadrapania.

- Dorobiłem się tylko kilku siniaków - powiedział. - Krew na mojej rękawiczce jest końska. Myślę, że zwierzę zostało zranione czymś ostrym - odłamkiem skały albo nawet nożem.

Mariannę zmarszczyła czoło, jakby to pomagało myśleć logicznie. Markiz mówił poważnym tonem, przyczyna jego niepokoju nie była dla niej jasna. Może chodziło o sposób, w jaki zwierzę zostało zranione?

- Myśli pan, milordzie, że jakieś dziecko rzuciło kamieniem, przypadkiem trafiło w konia i dlatego się spłoszył?

- Niewykluczone. Albo ktoś zranił zwierzę z rozmysłem - odparł. - Być może robię z igły widły. Przyznaję, że leży to w mojej naturze. Ale proszę mi powiedzieć, czy jest ktoś, kto chciałby wyrządzić krzywdę panie Crookshank?

W pierwszej chwili Mariannę omal nie wybuchnęła śmiechem. Cóż za absurdalne posądzenie! Ale poważny wyraz twarzy Gillinhgama osłabił nieco tę pewność.

Potrząsnęła głową, ale poczuła dziwną miękkość w kolanach. Usiadła na najbliższym krześle.

- Nie, to niemożliwe! Jest taka młodziutka, prawie dziecko... Skąd mogłaby mieć tak zajadłych wrogów? Jedna czy druga z rówieśnic zazdroszcząc jej urody, nieraz pewnie pozwoliła sobie na uszczypliwe uwagi przy herbatce. Ale dybać na jej życie?! Trudno to sobie wyobrazić!

- Zgodziłbym się z panią w zupełności - powiedział, przyciągając krzesło i siadając tak blisko, że mógł jej z łatwością, spojrzeć w oczy. Nadal na jego twarzy malował się niepokój. - Widziałem jednak konia pędzącego prosto na nią, a teraz mam powody do podejrzeń, że zwierzę zostało umyślnie spłoszone. Jakże łatwo w razie tragedii przypisać winę kamykowi ciśniętemu nieopatrznie przez jakiegoś dzieciaka! Nawiasem mówiąc, nie spostrzegłem

wówczas żadnych dzieci w pobliżu, a pani?

Marianne wytężyła pamięć. Ona również nie zauważyła żadnych dzieci, ale w parku było tak tłoczno, że jakiś łobuziak mógł skryć się w ciżbie i stamtąd rzucić kamieniem.

- Ależ to z pewnością był zwykły przypadek.

Zamilkła, ale markiz zdążył zauważyć, że twarz jej się zmieniła.

- Co się stało?

- Właśnie przypominałam sobie o czymś. Nikt z nas wtedy nie przywiązywał do tego wagi. Otóż, kilka miesięcy temu Louisa, jej stryj i sir... jeden z jej ówczesnych przyjaciół, wybrali się na wędrowkę wśród wzgórz w pobliżu Bath. Ze szczytu jednego z nich stoczył się głaz i omal nie przygnoił Louisy i jej znajomego. W pierwszej chwili sparaliżował ich strach, ale ów młody człowiek miał szybki refleks i zdążył odciągnąć ją na bok. Skończyło się na kilku siniakach. Sądziłam wszyscy, że po prostu kamień się obluźował, bo grunt rozmiękł po ulewnym deszczu. Ot, zwykły...

Głos jej się załamał.

- Jeszcze jeden zwykły przypadek? Wygląda na to, że panna Crookshank ma do nich wyjątkowe szczęście! - zauważył ponuro markiz.

Marianne z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wierzę, by ktoś mógł jej aż tak źle życzyć! I to całkiem bez powodu!

Zapadło długie milczenie. Słyszał tylko trzaskanie ognia na kominku. Wreszcie markiz znów się odezwał.

- Nie chcę wścibiać nosa w takie sprawy... Nie mają zresztą dla mnie żadnego znaczenia, ale jak przedstawia się sytuacja finansowa panny Crookshank?

- Mniej więcej za rok, gdy skończy dwadzieścia jeden lat, odziedziczy cały majątek po ojcu.

Gillingham uniósł brwi.

- Pięćdziesiąt tysięcy funtów nawet trochę więcej - dodała Marianne z pewnym wahaniem.

- Pokażna sumka.

Było to bardzo łagodne określenie. Dla większości ludzi to prawdziwa fortuna! A zabijano nieraz dla znacznie mniejszej kwoty. Mój Boże, wystarczyło zapuścić się lekkomyślnie w jedną z zakazanych dzielnic Londynu, by rozstać się z życiem z powodu kilku szylingów, które miało się w kieszeni! Nasuwało się nieuchronnie bardzo konkretne pytanie. Postawił je lord Gillingham.

- A gdyby panna Louisa... gdyby coś się jej stało... Komu przypadłyby te pieniądze?

- Nie znam dokładnie ustaleń z ostatniej woli jej ojca, ale przypuszczam, że część przeszłaby na własność mojego szwagra, młodszego brata ojca Louisy. Ale Charles nie byłby zdolny do popełnienia zbrodni! A poza tym nie potrzebuje tych pieniędzy.

- Ma własny okazały majątek?

- Może nie jest bogaczem, ale z pewnością żyje w dostatku. Ma dom na przedmieściach Bath. I jest wziętym adwokatem. - Pomyślała z pewnym niepokojem o jego licznym i ciągle powiększającym się potomstwie. Córki trzeba będzie wyposażyć, synów wysłać na uniwersytet albo... Czy to możliwe, by Charles uległ diabelskiej pokusie?

- Nigdy w to nie uwierzę! - wykrzyknęła Marianne. - Z pewnością pan się myli, milordzie! Z moją szwagierką przyjaźniłyśmy się od dzieciństwa, nigdy by jej nawet przez myśl nie przeszło coś równie potwornego! A jej męża znam, odkąd się zaczął zalecać do Caroline. Tuzin lat z okładem. Nigdy w to nie uwierzę!

Markiz nie spierał się z nią.

- Czy oprócz pani szwagra nikt nie mógłby rościć sobie pretensji do spadku?

Marianne usiłowała skupić myśli.

- Jest jeszcze starszy krewny ojca Louisy, jakiś wuj, ale nigdy go nawet nie widziałam. Nie utrzymywano z nim kontaktów z powodu jakiejś waśni rodzinnej. Mieszka w Szkocji.

- Nie zna pani dokładnego adresu?

- Nie - odparła niemal szeptem. - Nie przypominam sobie.

Czy to możliwe, by w jakimś zakątku Szkocji nieznany mężczyzna snuł plany zamordowania Louisy, żeby dorwać się do jej pieniędzy? Cóż za przerażająca myśl!

Mariannę zadrżała.

Markiz pochylił się ku niej i wziął ją za rękę.

- Możliwe, że się mylą - powiedział uspokajająco. - Może po prostu dałem się ponieść wyobraźni i niepotrzebnie napędziłem pani stracha.

Akurat! Wcale nie wygląda na fantastę, powiedziała sobie w duchu Mariannę. Miała zaufanie do tego człowieka. Gdyby nie był naprawdę zaniepokojony, nigdy by nie poruszył tego tematu.

- Widzi pan... Chodzi oto, że Louisa po raz pierwszy przyjechała do Londynu, a ja jestem tutaj jedyną jej opiekunką. To ogromna odpowiedzialność... i gdyby coś jej naprawdę groziło, ja... ja chyba bym sobie nie poradziła w tej sytuacji.

Umilkła.

Nie było jej winą, że w tym właśnie momencie brzemień odpowiedzialności tak strasznie jej zaciążyło. Nie zamierzała bynajmniej nabierać Gillinhgama na litość, dopraszać się jego pomocy, aczkolwiek sam dotyk jego ręki podziałał na nią kojąco. Jak to możliwe, że za pomocą tak przelotnego kontaktu używał jej swojej siły i energii?

- Pewnie panna Louisa nie zgodziłaby się wrócić do Bath?

- Nie ma pan pojęcia, milordzie, jak gorąco Louisa marzyła o przyjeździe do Londynu! W żadnym wypadku nie zgodzi się wyjechać stąd przed czasem. Nie mamy zresztą żadnej pewności, jedynie podejrzenia. A poza tym, jeśli oba te dramatyczne wydarzenia nie były dziełem przypadku, a założę się, że były, to pierwszy incydent miał miejsce w Bath, więc i tam nie byłaby bezpieczna.

Mariannę przymknęła oczy. Wstrząsnął nią dreszcz niepokoju.

- Z pewnością przesadzam - łagodził sprawę markiz. - Tak mi przykro, że panią zatrwożyłem!

- Takie zagrożenie wydaje się nieprawdopodobne, ale nie możemy zbyć sprawy machnięciem ręki! - odparła z westchnieniem. - Napiszę do szwagierki i postaram się zdobyć więcej informacji o tym krewnym. - A jeśli okaże się, że to stary, słabowity duchowny, który nie opuszcza Edynburga, to co wtedy? - dodała w myśli.

Przeważnie doceniała zalety wdowieństwa. Mogła prowadzić dom, jak chciała, żaden mężczyzna jej się do tego nie wtrącał. Mogła podróżować po Anglii -w granicach swych możliwości finansowych. Spokojnie też znosiła drobne niedogodności samotnego życia. Zrezygnowała z ambitnych marzeń, które niegdyś snuła, a to, że nie zostały zrealizowane, bardzo rzadko mąciło jej poczucie ogólnego zadowolenia. A przynajmniej próbowała sobie to wmówić.

Jednak w krytycznych momentach mimo woli przychodziło jej na myśl, że dobrze byłoby mieć obok siebie drugą osobą dorosłą i wspólnie podejmować decyzje w najbardziej istotnych sprawach. Co prawda, w domowych kłopotach na Harry'ego nie mogła specjalnie liczyć, a w czasie ich krótkotrwałego małżeństwa nigdy nie stanęli w obliczu poważnego zagrożenia. Ale zawsze...

Markiz pochylił się ku niej jeszcze bardziej; ich twarze znalazły się w odległości zaledwie kilku centymetrów od siebie. Na jego obliczu malowała się troska, ciemne oczy przypominały mroczne, bezdenne studnie, gdzie na powierzchni wody migoczą czasem jakieś światełka. Mariannę wydawało się, że dostrzega w nich szczerą troskę o nią i inne, trudne do rozszyfrowania uczucia, ale ani śladu pogardy dla jej słabości.

Uścisk palców markiza stał się mocniejszy. Wyczuła ich ciepło na swej ręce, nieosłoniętej rękawiczką - i nagle zabrakło jej tchu. Był tak blisko... Docierał do niej wyraźnie jego zapach: całkiem przyjemna kompozycja woni toaletowego mydła, dopiero co wypranego, wykrochmalonego i wysuszonego żelazkiem cienkiego płótna oraz zdrowego męskiego ciała

kryjącego się pod źle dopasowanym ubraniem.

Jak łatwo mogłaby zatracić się w jego oczach. Zapomnieć o reszcie świata, zatonać w ich ciemnej głębi, cieplej i kojącej, która - zdaniem poetów - stanowi siedlisko duszy. Jakaż ona jest, ta jego dusza? Mariannę wyczuwała instynktownie, że dawno temu została okrutnie poraniona. Czy markiz zgorzkniał od cierpień, które tak starannie ukrywał, czy też łaknie pełnego miłości dotyku kobiety, którą... Och, cóż to za szaleństwo!

Z wysiłkiem oderwała wzrok od ciemnych, przyciągających ją magnetycznie oczu. Jej spojrzenie przesunęło się po kształtnych hakach brwi, po wysokim czole, na które opadał niesforny kosmyk ciemnych włosów. Światło słoneczne rozpalalo w nich złote błyski. Oceniała wydatny nos i wargi. Wydawały się twarde, lecz czy istotnie takie są w dotyku? Zorientowała się, że jej własne usta rozchylają się i zamknęła je natychmiast.

Obawiając się zdradzić swoje uczucia rumieńcem, pochyliła głowę jeszcze niżej. Mocna broda z ledwie widocznym dołkiem znamionowała silną wolę i władczy charakter. Przyjrząwszy się tak dokładnie twarzy markiza, uświadomiła sobie, że prawie nie dostrzega śladów po przebytej ospie. Każdy, kto zapoznał się bliżej z tą twarzą, pojmował, jak mało istotny jej element stanowiły te dawne oszpeccenia. Cerę miał śniadą zapewne od częstego przebywania na świeżym powietrzu. Gdyby zapuścił brodę, pewnie i w niej pojawiałyby się złote błyski.

Myśli Mariannę zbaczały stanowczo na niewłaściwe tory! Chcąc nadać im inny bieg, znów spuściła oczy. Gapiła się teraz na szerokie bary i potężne ramiona, których się zdążyła już ocenić. Nie, nie! To równie niebezpieczne! A jeszcze niżej znajdowała się atletyczna pierś wznosząca się i opadająca w rytm oddechu. Chyba przyspieszonego, podobnie jak u niej. Mariannę poczuła dziwny ucisk w klatce piersiowej i dawno zapomniany ból w dole brzucha. Serce jej waliło jak młotem, w prywatnym gabinecie hotelowym zrobiło się nieznośnie gorąco. Nie z powodu ognia na kominku, lecz zbyt bliskości tej muskularnej, męskiej postaci.

Zapragnęła dotknąć jego twarzy. Poczuć znów jego rękę na swoim policzku, na wargach. Pragnęła, by nachylił się jeszcze bardziej i dotknął jej ust swoimi ustami. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję.

Na kominku trzasnął przepalający się węgiel i Mariannę aż podskoczyła.

- Miła moja... - szepnął markiz takim głosem, jakim nigdy dotąd nie przemawiał. Jego ręka, jakby w odpowiedzi na niemą prośbę Mariannę, powędrowała ku jej twarzy.

Mariannę potrząsnęła głową, starając się wyzwolić od czaru, który ją omotał.

- Musimy przede wszystkim myśleć o Louise! - powiedziała trochę za głośno, jakby chciała przywołać na pomoc rozsądek i poczucie obowiązku, żeby ich rozdzielili; jakby chciała przypomnieć markizowi o pięknej, młodej dziewczynie, której oświadczył się z własnej woli i o której tak rychło zapomniał. - Nie wiemy przecież nic pewnego, więc chyba lepiej nie mówmy jej, że... że coś jej zagraża.

Markiz opuścił rękę, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, za plecami Mariannę rozległ się szmer. Odwróciła się natychmiast w tamtym kierunku.

W drzwiach stała Louisa, przyciskając serwetkę do wilgotnej jeszcze sukni w tym miejscu, gdzie niedawno znajdowała się plama. Pokojowa zdołała ją usunąć. Na twarzy młodej panny malowało się przerażenie.

- Coś mi zagraża?

Mariannę cofnęła się raptownie razem z krzesłem, starając się odsunąć jak najdalej od markiza. On zaś natychmiast wstał. Pozostawało im tylko mieć nadzieję, że na ich twarzach nie maluje się wyraźnie poczucie winy, które dręczyło ich oboje. Co prawda nie popełnili żadnej podłości, ale mogło się wydawać... I gdyby Louisa pomyślała, że...

Ale dziewczyna nie żywiła żadnych podejrzeń. Skoczyła ku nim, przebiegła przez pokój i rzuciła się w ramiona zaskoczonych markiza.

- Och, milordzie, niech mnie pan ratuje! Co mi grozi? Ukryła twarz na jego piersi i wybuchnęła płaczem.

Zaskoczony Gillingham znad głowy płaczącej narzeczonej spojrzął w stronę Mariannę. Odetchnęła głęboko i, choć kolana nadal się pod nią ugiwały, wstała również i pospieszyła utulić podopieczną, którą markiz niezręcznie głaskał po piecach.

- Nie obawiaj się, Louiso - zapewniła ją ciotka. - Bardzo możliwe, że to jakaś pomyłka; a my zawsze będziemy przy tobie.

Przysięgam, że nigdy nie sprzeniewierzę się swym obowiązkom! -mówiła sobie w duchu. Przed chwilą opętało mnie jakieś szaleństwo... nie byłam sobą... a markiz chciał mi okazać zrozumienie, i tyle... Nie mam prawa, najmniejszego prawa dopatrywać się czegoś więcej w tym incydencie!

- O, moja najdroższa ciociu! - chlapała Louisa, chwytając Mariannę za rękę, ale nadal obejmując markiza.- Wiem, że ty... że wy oboje... nigdy mnie nie zawiedziecie!

Mariannę z trudem przełknęła ślinę.

Mężczyzna, którego tak kurczowo obejmowała Louisa, spoglądał ponad jej głową w oczy Mariannę. Tym razem nie mogła w jego wzroku niczego złego wyczytać.

Wkrótce potem, ponieważ żadne z nich nie miało apetytu na deser, markiz Gillingham odwiózł panie do domu. Louisa była niezwykle milcząca. Mariannę po raz nie wiadomo który czyniła sobie wyrzuty, że wypowiedziała tak głośno te złowróżbne słowa, i żałowała, że siostrzenica wróciła w najbardziej nieodpowiednim (z wielu względów!) momencie. Panna jednak nie zauważyła ani markiza pochylonego ku ciotce, ani płonących policzków Mariannę. Ta zaś przysięgała w duchu, że podobnie żenująca scena nie może się już powtórzyć. I nie powtórzy!

Zapewne i markiz borykał się z wyrzutami sumienia. Tak czy owak, żadne z nich nie powiedziało ani słowa ponad to, czego wymagała elementarna grzeczność. Gdy Gillingham odprowadził damy do drzwi ich domu i życzył im dobrej nocy, Louisa uczepiła się jego ręki.

- Wkrótce nas pan znowu odwiedzi, Prawda, milordzie?- powtarzała głosem porzuconego dziecka. Mariannę ogarnęło znów dojmujące poczucie winy.

- Stawię się jutro, słowo honoru! - Markiz poklepał zasmuconą panienkę po rękę.

Louisa westchnęła, a Mariannę musiała przygryźć wargi, żeby jej nie zawtórować. Choćby miał przydziewek jak strach na wróble, od razu było widać, że to nie byle kto! Przy nim czuła się bezpieczna, a od lat nie pozwalała sobie na podobną słabość. Życie ją nauczyło, że nie należy pokładać nadziei w męskiej sile, gdyż bywa niekiedy tylko pozorna -jak w przypadku jej młodego, niezaradnego, lekkomyślnego męża. Stanowczo lepiej zadbać o wszystko samej, ufać tylko sobie. Ale jeśli chodzi o Louisę, sprawy przedstawiały się inaczej. Mariannę wzięła na siebie ogromną odpowiedzialność, podejmując się tymczasowej opieki nad siostrzenicą, a teraz wszystko wskazuje na to, że ciężar tej odpowiedzialności przekracza wszelkie przewidywania.

Czy to możliwe, by ktoś chciał tą dziewczynę zabić?

- Szklanka ciepłego mleka przed snem dobrze ci zrobi.

Mariannę potrząsnęła głową, spojrziała tylko raz na bladą twarz panny i odezwała się wyjątkowo energicznym i rzeczowym tonem.

- Nie mam już dziesięciu lat, cioteczko! - Louisa roześmiała się mimo woli.

- Istotnie. Ale ciepłe mleko pomaga zasnąć osobom w każdym wieku. Z odrobiną gałki muszkatołowej powinno być całkiem smaczne i uspokoi ci nerwy.

- Wypiję, ale tylko wtedy, jeśli przyjdiesz do mego pokoju, ciociu, i chwilę ze mną porozmawiasz - odparła Louisa nieco drżącym głosem.

- Przyjdę - obiecała Mariannę.

Złeciwszy Mastersowi przygotowanie mleka, ze znużeniem weszła na górę, by przebrać się w szlafrok. Hackett pomogła swojej pani zdjąć dopasowaną wieczorową toaletę i wyjęła jej

szpilki z włosów.

- Dopilnujesz, by mleko było ciepłe. Nieprawdaż, Hackett? - poprosiła. Nim Mariannę dotarła do gościnnego pokoju, Louisa również pozbyła się wieczorowej sukni i siedziała teraz przed toaletką. Pokojówka rozczesywała jej lśniące jasne loki, Mariannę nie musiała długo czekać: wkrótce Hackett wkroczyła z dwiema szklankami mleka na srebrnej tacce.

- Pozwoliłam sobie przynieść mleko i dla jasnie pani- zwróciła się do Mariannę z wyrazem troski na swej zazwyczaj kamiennej twarzy.

Czyżbym wyglądała aż tak okropnie, jak się czuję? - pomyślała Mariannę. -

- Dziękuję, Hackett. Możesz odejść - powiedziała. - I nie czekaj na mnie w sypialni.

Pokojówka skinęła głową i wyszła. Louisa również odprawiła swoją służącą. Eva wyslizgnęła się z pokoju i po chwili ciotka i siostrzenica zostały same.

Mariannę, wymyślając sobie w duchu od tchórzy, odwlekała, jak mogła, chwilę ostatecznych wyjaśnień.

- Pij póki ciepłe, Louiso - powiedziała, wskazując na tackę. - Jest całkiem smaczne i ukoi ci nerwy po tak wyczerpującym dniu.

Louisa jak grzeczne dziecko wypita mleko i odstawiła szklankę.

- Ciociu Mariannę...-zaczęła.

Mariannę zebrała wszystkie siły.

- Dlaczego uważacie, że coś mi grozi?

Ciotka wypuściła z płuc powietrze, które bezwiednie wstrzymywała. Drżenie w głosie siostrzenicy zdradzało jej niepokój, może nawet strach.

- To nic pewnego, Louiso. Markiza Gillinhgama bardzo zaniepokoił ten wypadek z koniem. A mnie przypomniawszy tamten obluzowany gład w Bath, pamiętasz? Może to był zwykły przypadek. Takie rzeczy się zdarzają.

- Ale aż dwa nieszczęśliwe wypadki... - zauważyła sceptycznym tonem Louisa.

- Między jednym a drugim minęły trzy miesiące - przypomniała jej Mariannę. — I każde z tych wydarzeń miało zupełnie inny charakter. Być może nic się za tym nie kryje. Nie należy przywiązywać do tego zbyt wagi.

Jeszcze przed zaśnięciem napisała do szwagierki. List wyruszy do Bath nazajutrz. Tymczasem trzeba będzie zachować specjalne środki ostrożności. Mariannę postanowiła nie spuszczać Louisy z oczu. Po prostu na wszelki wypadek, gdyby to, co nieprawdopodobne, okazało się jednak realne i nieznanym wrogom istotnie ciał się w ukryciu, by wyrządzić dziewczynie krzywdę.

Lęk nie pozwolił Mariannę spokojnie zasnąć. Drzemała tylko i zbudziła się wcześniej. Nadal kotłowały się jej w głowie myśli, które trwożyły ją podczas bezsennych godzin nocnych, kiedy to nawet cień niebezpieczeństwa

przybiera monstrualne rozmiary. Niektóre z obmyślonych w nocy metod postępowania musiała odrzucić, acz z żalem. Choćby nawet wynajęcie agenta z Bow Street, by czuwał nad jej skromnym domkiem i chodził jak cień za siostrzenicą, nie przekraczało jej możliwości finansowych - znacznie rozszerzonych dostępem do funduszu powierniczego Louisy-zwróciłoby na nie ogólną uwagę i spowodowało lawinę plotek, które z pewnością rozstroiłyby jej podopieczną. Poza tym myśl o zwalistym aniele stróżu, towarzyszącym im na każdej proszonej herbatce, wydawała się wprost groteskowa. W dziennym świetle tego rodzaju metody postępowania robiły wrażenie przesadnych. Nie można było również trzymać Louisy wiecznie zamkniętej w domu, choć Mariannę poprzysięgła sobie ani na chwilę nie tracić jej z oczu. W końcu z pewnością dowie się czegoś więcej o tym zagadkowym krewniaku. List do Caroline był już w drodze: zaraz po przebudzeniu kazała go wysłać.

Skoro tylko siostrzenica zeszła na dół, Mariannę wymogła na niej obietnicę, że tego ranka pozostanie w domu. Dziewczyna przyrzekła nigdzie nie wychodzić, acz bardzo przy tym

utyskiwała.

- Taka dziś piękna pogoda. Myślałam, że wybierzemy się do parku-mówiła z wyraźnym żalem.

- Nie dziś - odparła stanowczo Mariannę. - Zostaniesz w domu i przewertujesz od deski do deski ostatni numer „La Belle Assemblee”. Znajdziesz w nim z pewnością pomysł na następną toaletę wieczorową. Pora pomyśleć o naszym proszonym obiedzie!

- Naprawdę? - Louisa od razu się ożywiła. - Ile osób zaprosimy?

- Ile tylko zdoła się pomieścić w mojej skromnej jadalni - zapewniła ją Mariannę. - I możesz być pewna, że będą z najlepszego towarzystwa.

Louise całkiem poprawił się humor.

- Tak się bałam, że ciocia zechce odwołać wszystkie nasze zobowiązania towarzyskie! - wyznała, - I to wyłącznie z powodu zagrożenia, które być może w ogóle nie istnieje! Takie mi się to wydaje nieprawdopodobne. Wiem, że markiz obawia się, by nie spotkało mnie coś złego. Jestem wzruszona jego troskliwością! Cóż to będzie za wspaiały mąż, nieprawdaż? Ale jego obawy są doprawdy przesadne!

Mariannę skinęła głową i tym sposobem wymigała się od odpowiedzi na zasadnicze pytanie.

- Z pewnością nie będziemy cię trzymać pod kluczem przez resztę twego pobytu w Londynie. Zadbamy o to, żebyś się dobrze bawiła.

Louisa dała się ugłaskać i przyrzekła, że nie wymknie się z domu, gdy ciotka będzie załatwiała rozmaite sprawy na mieście.

Tak więc z drugą filiżanką herbaty panna przeniosła się do salonu, usadowiła się wygodnie z żurnalem na kolanach i zawezwała do siebie pokojówkę, każąc jej przynieść niezastąpiony koszyk do robótek ręcznych, pełen ścinków rozmaitych materiałów, nici wszelkich kolorów oraz kawałków koronki. Dziewczęta mogły więc dobrać różne zestawienia barw i tkanin a także debatować nad krojem sukni.

Mariannę była pewna, że młodej pani i jej jeszcze młodszej służącej zejdzie cały ranek na doborze materiału, koronek, lamówek, wstążeczek oraz odpowiednich dodatków do sukni. A ona choć raz nie będzie musiała tego

wysłuchiwać! Zauważywszy z okna sypialni, że wierzchołki drzew kołysał się na wietrze, związała mocno pod brodą wstążki kapelusza i naciągnęła rękawiczki.

Kiedy jednak wyruszyła dzielnie na piechotę z wiernie towarzyszącą jej Hackett, dobrze jej znany, nieco zbyt okazały powóz zatrzymał się tuż przed nią. I Markiz!

Zaczekała, aż stajenny otworzy drzwiczki, a lord Gillingham zejdzie po schodkach. Ukłonił się, ona zaś dygnęła w odpowiedzi.

- Dzień dobry, pani Hughes - powitał ją dość oficjalnie.

John wiedział, że nie może, absolutnie nie może zdradzić się z tym, jak gwałtownie bije mu serce na sam jej widok. Policzki miała zaróżowione od wiatru, kilka ciemnych loczków wymknęło się spod kapelusika, tworząc niezwykle wdzięczne obramowanie twarzy. A pod dopasowanym płaszczykiem i spacerową suknią jakże obiecująco rysowały się pełne piersi.

Zapanował nad myślami w samą porę, by usłyszeć, co mówiła: wybierała się właśnie po sprawunki.

- Ale mogę to odłożyć na potem, jeśli chce się pan zobaczyć z panną Crookshank, milordzie - zapewniła. - To nic pilnego!

Oczywiście, młoda panna nie powinna przyjmować dżentelmenów pod nieobecność swej opiekunki. Jednak John bez namysłu potrząsnął głową i oświadczył:

- Mogę złożyć wizytę pannie Crookshank nieco później. W domu nic jej nie grozi. Czy wolno mi będzie podwieźć panią, i pomóc w ten sposób w zakupach? - zaproponował. - Dzień jest zbyt wietrzny na długie piesze spacery, zwłaszcza dla damy!

- Nie chciałabym zabierać panu czasu... - zaczęła, ale John przełamał wszelkie jej obiekcje.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność.

Marianne przez chwilę rozważała propozycję.

- W takim razie, Hackett, nie musisz mi towarzyszyć. Pod opieką pana markiza z pewnością nie stanie mi się żadna krzywda.

Pokojówka zacisnęła wargi w grymasie dezaprobaty, ale nie mogła otwarcie przeciwstawić się chlebodawczyni.

- Jak sobie jaśnie pani życzy.

John pomógł pani Hughes wsiąść do powozu, którego dach był dziś podniesiony z powodu silnego wiatru. Ośmielił się zająć miejsce obok niej, zamiast naprzeciwko.

Popatrzyła na niego i ani się nie odsunęła, ani - oczywiście! - nie przysiadła bliżej. Nawet nie marzył o takim szczęściu! Musiał sobie nieustannie powtarzać, że przybył do Londynu z zamiarem znalezienia chętnej, dobrze wychowanej młodej damy, z którą mógłby się czym prędzej ożenić. Zamierzał zabrać ją do swej ustronnej siedziby i żyć tam z nią bez waśni, ale i bez romantycznych uniesień. Grunt, by od czasu do czasu dzieliła z nim łożę i urodziła mu syna. Taki powziął plan i udało mu się go zrealizować. Czemu więc teraz ta perspektywa wydaje mu się taka mdła i niewesoła? Śliczna panna Crookshank odpowiada pod każdym względem obrazowi żony, jaką pragnął przywieźć z Londynu, ale to było przedtem, nim poznał bliżej panią Hughes! To dlatego uwieńczona sukcesem kampania straciła cały swój urok.

Nie warto deliberować nad ironią losu. Niebawem poślubi pannę Crookshank, jak sobie zaplanował. Ale dziś, w tej chwili, siedział obok Mariannę Hughes, wdychał subtelny zapach jej różanych perfum, słyszał szelest jej spódnic, gdy unikając jego wzroku, układała starannie fałdy sukni. Czyżby i ona czuła się nieswojo?

Marianne odchrząknęła i odezwała się pierwsza.

- Ja... specjalnie odesłałam pokojówkę. Nie chcę, by służba dowiedziała się o naszych strasznych podejrzeniach.

Tłumaczyła się tak gęsto, jakby mógł wziąć jej za złe to cudowne sam na sam!

- Wpadła pani na pomysł rozwikłania sprawy?

- Nie, ale napisałam do szwagierki, prosząc ją o podanie nazwiska i adresu tego tajemniczego krewniaka, który mógłby upomnieć się o część spadku, gdyby... gdyby zdarzyło się jakieś niewiarygodne nieszczęście. Nie zwierzyłam się Caroline z naszych obaw. Spodziewa się dziecka i nie czuje się najlepiej. Postanowiłam jej więc nie martwić, tym bardziej że przysporzyłoby to jej niepokojowi, a nie przyniosło żadnego pożytku. Markiz skinął głową,

- Czy jednak nie zdziwi jej to wypytywanie o kogoś całkiem obcego? Mariannę przygryzła wargę.

- Mam nadzieję, że nie. Napisałam Caroline, że planujemy wieczorek tańczący dla uczczenia towarzyskiego debiutu Louisy, jak tylko zostanie przedstawiona u dworu. Dla niewielkiego grona wybranych gości. Byłoby rzeczą całkiem naturalną zaprosić na tę uroczystość wszystkich jej krewnych, nawet mało znanych, gdyby przypadkiem znajdowali się w Londynie.

Owszem, to miało ręce i nogi! Wiele osób przybywało do stolicy na londyński sezon, nawet z najdalszych krańców Szkocji.

- Bardzo jestem ciekaw, co szwagierka pani odpisze - powiedział z aprobatą, starając się oderwać wzrok i myśli od delikatnego profilu pani Hughes,

Być może wydał się jej roztargniony, gdyż powiedziała z jeszcze większym naciskiem:

- Te informacje mogą się okazać bardzo przydatne!

- Zgadza się, że ustalenie nazwiska i adresu jest bardzo ważne. Nadal miał trudności z koncentracją, a raczej z oderwaniem myśli i oczu

od delikatnego zarysu warg i doskonałego kształtu brwi swej sąsiadki. Co zaś dotyczy rozkosznej wypukłości biustu, smukłej talii i kobiecej okrągłości bioder, to jego ciało w

każdej chwili mogło w żenujący sposób zdradzić żywe zainteresowanie tymi przymiotami. Założył nogę na nogę, odwrócił wzrok i usiłował skoncentrować myśli na czymś zgoła nieszkodliwym. Mijali właśnie wóz z węglem ciągnięty przez niezdarne woły, które zawzięcie obszczekiwał jakiś kundel.

- Czy nie obrazi się pan, jeśli pozwolę sobie na sugestię, milordzie? - odezwała się znów pani Hughes.

- Ależ skąd!

Skupił wzrok na jej twarzy, przysięgając sobie w duchu, że nie spojrzy niżej i nie będzie zwracał uwagi na jej uroki osobiste.

- W przyszłym tygodniu chcę wydać proszony obiad. Mnie... nam... to znaczy pannie Crookshank szczególnie zależy na pańskiej obecności. Czy możemy na pana liczyć, milordzie?

Skinieniem głowy wyraził podziękowanie i akceptację, choć na myśl o spotkaniu pozostałych gości, którzy będą gapić się na niego, nie czuł większego entuzjazmu.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

- W takim razie... ośmielę się przedstawić moją sugestię. Proszę mi wierzyć, że czynię to jedynie w trosce o pańskie dobro - powiedziała z wyraźnym wahaniem.

John czekał na dalszy ciąg, nie mając pojęcia, o co tu chodzi.

- Ponieważ bawi pan po raz pierwszy w Londynie, milordzie, może mogłabym polecić dobrego krawca? Zdąży uszyć panu strój wieczorowy jeszcze przed naszą małą uroczystością. John wzdrygnął się,

- Chce mi pani dać taktownie do zrozumienia, że panna Crookshank byłaby zażenowana moim brakiem elegancji?

- Jestem pewna, że w domowych warunkach strój wieczorowy nie odgrywa większej roli - odparła pospiesznie pani Hughes ugodowym tonem - zwłaszcza gdy mieszka się na wsi i odwiedza wyłącznie przyjaciół i najbliższy sąsiedów.

Nawet sobie nie wyobraża (na szczęście!), jaki pustelniczy żywot prowadzi! - pomyślał kwaśno John. Podejrzewał, że panna Crookshank przyzwyczajona jest do nieustannych rozrywek. Jak ta dziewczyna zniesie monotonną egzystencję na głuchej wsi? Odsunął jednak od siebie te obawy i spróbował skoncentrować się na tym, co mówiła pani Hughes.

- .. ale w Londynie czułby się pan... swobodniej, upodobniwszy się strojem do otoczenia, choćby kaprysy mody wydały się panu komiczne. Mam nadzieję, że nie uraziłam pana swymi uwagami, milordzie.

W jej głosie brzmiał szczerzy niepokój. John odetchnął głęboko.

- Muszę przyznać, że nie przywiązuję wagi do stroju i mody. Nigdy się tym nie interesowałem.

Potarł machinalnie ślad ospy na brodzie i od razu pożałował tego zbyt wymownego gestu.

Wiedział, że pani Hughes go obserwuje, i przygotował się na najgorsze: błysk litości, tej beznadziejnej litości, w dymnym błękicie jej oczu.

Kiedy jednak odważył się spojrzeć na nią, ujrzał coś, czego przestał już szukać w twarzach swoich rozmówców: szczerzy, ciepły uśmiech i spojrzenie wyrażające pełną akceptację, bez cienia krytyki.

Doznanie to było tak upajające, że musiał raptownie zaczerpnąć tchu.

Powóz stanął. Widocznie dotarli na Bond Street. O wiele za wcześnie, jak na jego gust! Już sobie wyobrażał, jak krawiec zacznie nad nim wydziwiał! Sama myśl o tym napełniła go niesmakiem, ale dla pani Hughes... nie, nie:

dla panny Crookshank, oczywiście, powinien zdobyć się na takie poświęcenie. Mariannę ruchem głowy wskazała mu renomowany zakład krawiecki.

- Woli pan, milordzie, żebym, panu towarzyszyła? Czy też mam przez ten czas załatwić swoje sprawunki, a potem się spotkamy? Muszę też wpaść do krawcowej i dowiedzieć się, co z

suknią, którą Louisa obstałowała u niej kilka dni temu.

- Wolę zmierzyć się sam z moim katem. Serdeczne dzięki - odparł sucho. Nie próbowała go odwozдить od tego zamiaru. Mądra kobieta! Ustalili więc, o której się spotkają.

Stajenny otworzył drzwiczki powozu. John wysiadł pierwszy i sprowadził towarzyszkę po schodkach, ciesząc się, że choć przez chwilę trzyma ją za rękę. Pani Hughes uśmiechała się do niego przyjaźnie, lecz bezosobowo. Bliskość, którą rozkoszował się podczas wspólnej jazdy powozem, nie zaspokoiła go, tylko znacznie wzmogła w nim pragnienie dalszych podobnych przeżyć. Pod wpływem niemądrego impulsu najpierw nie chciał puścić jej ręki, a chwilę potem, gdy piękna pani zniknęła już za zakrętem, omal nie wrzasnął na cały głos: „Wracaj!” Weźże się w garść, człowieku! — ofuknął się surowo w duchu. Wyprostował się i wszedł do pracowni krawieckiej.

Na spotkanie klienta pospieszył młody elegancik. Ujrzawszy Johna, zmarszczył jednak brwi i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów z taką pogardą, jakby miał do czynienia z natrętnym żebrakiem.

- Czy nie pomylił się pan w adresie? Sklep żelazny jest dwa domy dalej — wycedził.

John pohamował się, choć do wybuchu niewiele brakowało. Może rada pani Hughes nie była taka głupia? Miał już dość tych pomyłek! To go brano za pacholka, to znów za prowincjusza, który przybył na jeden dzień na zakupy do miasta.

- Zechciej powiadomić właściciela tego zakładu, młodzieńcze, że markiz Gillingham zamierza skorzystać z jego usług. O ile, oczywiście, jego kunszt krawiecki dorównuje dobrej opinii, jaką się mistrz cieszy. I o ile jego personel... - tu John przeszył stalowym wzrokiem młokosa, który miał czelność okazać wżgardę potencjalnemu klientowi - zna swoje miejsce i potrafi się przyzwoicie zachować.

Młodemu człowiekowi aż dech zaparło.

- Oczywiście, szanowny panie... to znaczy wasza lordowska mość. Zawiadomię go bezzwłocznie, milordzie. Może wasza lordowska mość raczy przejść do pokoju zarezerwowanego dla naszych najdostojniejszych gości i spocząć wygodnie? Czy mogę służyć kieliszkiem wina, milordzie?

Markiz przeszedł za podlizującym mu się bezwstydnie młodzieńcem do niewielkiej przymierzalni, usiadł na wyściełanym krześle i skosztował znośnego wina przyniesionego na srebrnej tacy.

Mistrz krawiecki nie dał na siebie czekać i zachowywał się chyba jeszcze bardziej służalczo niż jego pomocnik. Jeśli nawet przeżył szok na widok stroju swego nowego, utytułowanego klienta, nie zdradził się z tym i nie pozwolił sobie na żadne komentarze. Za to z wyraźną aprobatą zmierzył wzrokiem dorodną postać Johna.

- Jaki rozum, jaką dalekowzroczność wykazał pan, milordzie, zwracając się z zamówieniem właśnie do nas. Z taką postawą... A jakie proste plecy! I te ramiona... Piękna pierś... Co za tydki! Obejdzie się bez wszelkiego tuszowania i wатовania. Obyśmy mieli tylko takich klientów! Wasza lordowska mość nie pożałuje swego tak dla nas zaszczytnego wyboru, przysięgam!

Krawiec wydawał się pogrążony w rozkosznym śnie o idealnym kliencie, który nie tylko zamówi całą nową garderobę, ale zechce za nią zapłacić.

- Wasza lordowska mość dopiero co przybył do Londynu, nieprawdaż? Tak, tak, od razu się domyśliłem. Raczy pan zapewne zamówić, milordzie, strój wieczorowy, zwykły wizytowy, spacerowy. Kilka surdutów, spodnie długie i krótkie, kostium do konnej jazdy. Służymy też dodatkami. Bo ta chustka na szyję... - Spojrzał na byle jak związany fular Johna takim wzrokiem, jakby ten widok rozdzierał mu serce. - A jeśli chodzi o koszule w pierwszym gatunku, to dam waszej lordowskiej mości adres znakomitego bieliźniarza.

- Niech się sam do mnie pofatyguje - warknął John. Zauważył z ulgą, że ani mistrz krawiecki,

ani jego pomocnik nie zwracają najmniejszej uwagi na jego twarz. Ich przerażenie budził wyłącznie jego ubiór. - Albo jeszcze lepiej: proszę mu przesać moje wymiary. Nie znoszę przymiarek!

- Jakoś to załatwimy po myśli waszej lordowskiej mości. Wszystko będzie tak, jak pan sobie tego życzy, milordzie. Z pewnością panu markizowi przypadnie do gustu nowe, doskonale dopasowane i uszyte ubranie, w najlepszym tonie, zgodne z obecną modą.

Tak, tak... Wszystko dla klienta. Żeby miał najmodniejsze ubranie i żeby mu się zrobiło lekko w kieszeni, gdy za to wszystko zapłaci, pomyślał kwaśno John. Co prawda, w jego wypadku wysokość rachunku nie grała roli, a jeśli nowe stroje spodobają się pani Hughes... to znaczy pannie Crookshank, to warto je zamówić.

Pomocnik mistrza już czyhał z miarką krawiecką w ręku dziwnie przypominającą węża zwiniętego i gotowego do skoku.

John westchnął z rezygnacją i po raz pierwszy zgiął kolana przed ołtarzem mody.

Po godzinnym kartkowaniu żurnała Louisa była znużona jego zawartością. Już miała polecić pokojówce, by przyniosła inne czasopismo podobnej treści, gdy w drzwiach pojawił się Masters.

- Jakiś dżentelmen z wizytą do panienki, panno Louiso. Czy mam go poinformować, że nie przyjmuje pani dziś rano?

Ton głosu lokaja wyraźnie sugerował, że tak właśnie należało uczynić. W żadnym wypadku nie przyjmować panów pod nieobecność ciotki!

Ale Louisa nagle uświadomiła sobie, jak okropnie jej się nudzi. A poza tym... Z nadzieją w głosie spytała:

- Czy to markiz Gillingham?

- Nie, panienko. Sir Lucas Englewood. Serce Louisy zamarło na sekundę.

- Wprowadź go natychmiast do salonu! Gdy Masters zawahał się, zmarszczyła brwi.

- Jest ze mną moja pokojowa! - powiedziała z naciskiem.

Z tonu Louisy wyraźnie wynikało, że żaden lokaj nie będzie jej dawał lekcji dobrego wychowania.

- Jak pani sobie życzy, panno Louiso. Masters skłonił się i zręcznie odwrócił na pięcie.

- Evo! - spiesznie poleciała pokojówce Louisa. - Zabierz ten koszyk, usiądź tam w kącie i zajmij się czymkolwiek!

- Ale czym, panienko? - spytała Eva. - Wszystko, co trzeba, naprawiłam wczoraj wieczór!

- Wszystko jedno czym! - odparła niemal błagalnie Louisa. - Tylko udawaj bardzo zapracowaną!

Młoda służąca zabrała więc koszyk i powędrowała w najdalszy kąt pokoju. Zaanonsowano sir Lucasa. Louisa wstała na powitanie gościa. Ukłonił się, ona dostojnie dygnęła.

- Jak to miło, sir Lucasio, że pan zajrzał - powiedziała oficjalnym tonem. - Proszę siadać.

Z dość niewyraźną miną przycupnął na brzeżku kruchego krzeselka.

- Chciałem się tylko upewnić, czy przyszła już pani do siebie po wczorajszym przerażającym incydencie - oświadczył.

- To bardzo ładnie z pańskiej strony - odpowiedziała, bacząc pilnie, by nie okazać, jak ucieszyła ją ta wizyta. - Przeżyłam istotnie straszliwy szok. Ale markiz Gillingham i moja ciotka okazali mi tyle troskliwości i dobroci, że dziś czuję się o wiele lepiej.

- To doskonale.

Boże święty! Czyżby już chciał odejść?! I to ma być wizyta! Ogarnęło ją coś bardzo podobnego do paniki. Na myśl o jego odejściu poczuła nieznośną pustkę. Wezbrał w niej znów bezmierny żal, który nękał ją po nagłym zniknięciu Lucasa z jej życia. Wpatrywała się w gościa, usiłując przykuć go siłą wzroku.

- I niechże się pan o mnie nie martwi. Nie przywiązuję większej wagi do podejrzeń markiza - dodała szybko.

- Oczywiście, ale nie będę pani dłużej niepokoił - odparł sir Lucas. - Komu w drogę, temu czas. Mam jeszcze wiele spraw do załatwienia, pani rozumie.

- Gillingham obawia się, że ktoś chce mnie zabić! - wyjaśniła pospiesznie Louisa, mając wrażenie, że młodzieniec opacznie zrozumiał jej wzmiankę o podejrzeniach markiza. To zdumiewające oświadczenie poskutkowało. Sir Lucas, który miał się już uklonić i odejść, stanął jak wryty.

- O czym ty mówisz, Louiso?! Co za bzdury! Urojenia dzieciniałego starca!

- Starca?! - obruszyła się Louisa. - On nie jest wcale stary!

- Młodo nie wygląda- obstawał przy swoim Lucas. - Ale jeśli chcesz wyjść za starego piernika, to nie moja sprawa.

- Co ty wiesz o prawdziwych mężczyznach? Jak śmiesz ich krytykować?! Smarkacz, co ledwie odrósł od ziemi!

- A to dobre! - oburzył się jej ekswielibiciel. - Mam dwadzieścia dwa lata, Louiso! Czyżbyś zapomniała? - dodał z godnością.

Panna Crookshank zmarszczyła brwi.

- Dowiedz się zatem, mój drogi, że markiz jest w kwiecie wieku i jego umysł pracuje niezwykle sprawnie. Lepiej niż u niektórych! Zauważył krew na końskim karku i wydedukował, że ktoś z rozmysłem spłoszył to zwierzę, by wyrządziło mi krzywdę.

- Dziwna metoda mordowania ludzi! Ta szkapa mogła równie dobrze pogalopować w przeciwnym kierunku! - zauważył całkiem inteligentnie Lucas.

Louisa pociągnęła nosem i przyłożyła do oczu koronkową chusteczkę.

- To zaledwie cząstka skomplikowanego spisku przeciwko mnie... Ale ciebie to oczywiście nic nie obchodzi!

- Przestań się zgrywać, Louiso! Nie nabierzesz mnie na te sztuczki. Za dobrze cię znam! - oznajmił pozbawiony uczuć džentelmen.

- A ja myślę, że nie znasz mnie ani trochę.

Tym razem łzy, które napłynęły jej do oczu, były jak najszczersze i nieproszone. Sir Lucas widocznie wyczuł zmianę w jej głosie, gdyż odpowiedział niepewnym tonem:

- No, no! Nie dąsaj się!

- Kiedyś myślałam, że ci na mnie zależy... - mówiła Louisa. - Dobrze wiem, że to już przeszłość, ale mógłbyś się zdobyć na trochę współczucia, gdy ktoś dybie na moje życie!

Lucas usiadł z powrotem i pochylił się ku pannie, by spojrzeć jej w oczy.

- Dobrze wiesz, że ci zawsze życzę jak najlepiej, Louiso! Nie, nie zaprzeczaj! Ale kto, na litość boską, miałby dybać na twoje życie?!

- Wiesz, że jak tylko skończę dwadzieścia jeden lat, odziedziczę wszystkie pieniądze tatusia - wyjaśniła, bardzo zadowolona, że Lucas nareszcie słucha jej z uwagą. Dręczący ją ból odrobinę zelżał. Kto wie, może pomimo szorstkich słów i tych swoich nowych przyjaciółek dawny wielbiciel nie jest wobec niej całkowicie obojętny?

Opowiedziała mu szczegółowo o podejrzeniach markiza, a Lucas w dalszym ciągu słuchał. I choć nadal nie mógł uwierzyć w tajemniczy spisek przeciw niej, został na herbacie. A ją przepełniało szczęście, jakiego nie zaznała od miesięcy.

Mariannę wróciła o umówionej porze i przekonała się, że lord Gillingham już na nią czeka. Gestem polecił stajennemu, by odebrał od damy paczkę i schował je do wnętrza powozu. Kiedy się uśmiechnęła, rada, że pozbyła się brzemia, markiz zaproponował:

- Słyszałem, że jest tu cukiernia niejakiego Guntera, który słynie ze swych wyrobów. Może byśmy tam zajrzeli i skosztowali tych smakołyków?

Mariannę zawahała się. Co też by powiedziała Louisa, dowiedziawszy się o tete-a-tete ciotki z narzeczonym? To, że podwiózł ją, gdy szła po sprawunki, to nic zdrożnego, ale...

- Chyba że wstydzi się pani pokazać ze mną publicznie, póki sobie nie sprawię nowych eleganckich strojów? - dodał niewinnym tonem.

Mariannę ubodło do żywego, że mógł uznać ją za tak płytką kobietę. Zaprzeczyła pospiesznie.

- Skądże znowu! Myślałam tylko... ale co tam! Z przyjemnością skosztuję tych frykasów razem z panem, milordzie.

John zamienił słówko ze stangretem, po czym podał ramię Mariannę. Udali się na piechotę do cukierni, gdzie najprzejmiej wprowadzono ich do środka i posadzono przy niewielkim stoliku.

- O, tam siedzi dżentelmen, którego strój z pewnością spotkałby się z pani aprobatą- zauważył markiz. - Ale za kilka dni w swoich nowych szatach zaćmię z pewnością tego biedaka. Nikt już nawet nie spojrzy na niego!

Kiedy usługująca w cukierni dziewczyna przyniosła im filiżanki dymiącej herbaty, Mariannę zdjęła rękawiczki i dyskretnie spojrzała na rzekomy wzór elegancji. Wytworniś, który przyciągnął uwagę lorda Gillinghama, okazał się młokosem w jaskrawozielonym surducie, w kamizelce w szerokie chabrowe pasy i w kołnierzyku koszuli tak wysokim i sztywnym, że nie mógł obrócić głowy. Chustka na szyję została związana w jeden z najbardziej skomplikowanych węzłów tak ciasno, że wyraźnie utrudniała mu picie herbaty.

W ostatniej chwili powstrzymała się od zgoła nieprzystojnej reakcji: miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- To ma być w moim guście, milordzie?! Skierowałam pana do cieszącego się najlepszą sławą krawca, a nie do producenta cyrkowych kostiumów! Mam nadzieję, że nigdy nie upodobni się pan do tego zadufanego w sobie przebierańca!

Gillingham uniósł brwi.

- Kamień spadł mi z serca.

- Jeśli uważa pan, że wtrącam się w nie swoje sprawy, najmocniej przepraszam! - odparła z godnością. - Chciałam tylko...

- .. żeby pani siostrzenica nie musiała się wstydić z powodu asystującego jej stracha na wróble - dokończył za nią. - Zupełnie zrozumiałe.

- Nigdy nie mówiłam czegoś podobnego! - zaprotestowała Mariannę. -Zauważyłam tylko, że... że...

- Że co? - Utkwił w niej podejrzanie niewinne spojrzenie.

- Że większości osób, które dopiero co przybyły do Londynu, przydałoby się nieco wielkowiejskiego poloru. Sam pan powiedział...

- No tak... W Londynie nikomu bym nie zaimponował. Może w Derby byłbym bardziej popularny. Potrafię przygotować znakomity kompres na spuchniętą, pęcinę. Z mąki owsianej i gorzkiej soli.

- Dziękuję pięknie! Moje pęciny... to znaczy kostki wcale nie są opuchnięte!

- Zdążyłem zauważyć.

Konwersacja schodziła na całkiem niewłaściwe tory. Mariannę rzuciła rozmówcy mordercze spojrzenie. Podniósł filiżankę do ust, by ukryć szeroki uśmiech.

- A niech tam! Nie zamierzam się z panem sprzeczać, milordzie - powiedziała, przysięgając sobie, że nie da się sprowokować. - Chciałam tylko ułatwić panu aklimatyzację w Londynie. Czy naprawdę przymiarka u krawca jest dla pana taką męczarnią? A może woli pan zachować anonimowość i nie chce, by każdy po stroju domyślił się pańskiej wysokiej pozycji?

Gillingham spojrzał na nią i znów mogła zajrzeć w mroczne głębie jego oczu. - Chyba trafiła pani w sedno.

- Proszę nie myśleć, że oceniam ludzi wyłącznie po wyglądzie! Nie jestem aż taka płytka. Dobrze wiem, że prawdziwą miarą człowieka jest to, co kryje się w jego wnętrzu. I choć nie znam pana zbyt dobrze, zaczynam wierzyć, że walorów umysłu i serca każdy mógłby panu pozazdrościć.

Wypowiedziała te słowa pod wpływem nagłego impulsu i umilkła, niepewna, czy zbytnio się

nie zagalopowała. Ale rozmawiała jej się tak swobodnie z markizem, który kiedyś wydawał się taki groźny... Usługująca w cukierni dziewczyna przyniosła im bogaty wybór smakołyków i rozmowa z konieczności się urwała. Mariannę ukradkiem zerknęła na towarzysza. Nie wydawał się zgorszony jej bezpośredniością. Spoglądał na nią z nieodgadzionym wyrazem twarzy, zamknięty w sobie, a równocześnie tak bezbronny, że zabrakło jej tchu, a serce zaczęło gwałtownie bić. Czyżby temu człowiekowi nikt dotąd nie powiedział, że jest godny szacunku i podziwu?

- Ale trudno wymagać - dodała, pragnąc raz na zawsze wyjaśnić motywy, które skłoniły ją do ingerowania w jego sprawy osobiste - by wszyscy ludzie wstrzymali się z wydawaniem opinii o bliźnich do czasu, gdy poznają ich zalety. Z konieczności kierują się pierwszym wrażeniem. Nie należy więc zrażać ich na wstępie. Ma pan przecież w ręku wszystkie atuty, milordzie: pieniądze, pozycję, dobre zdrowie i trzeźwość sądu. Proszę potraktować zamówienie modnego stroju jako rozsądną inwestycję, podobnie jak kupno dobrego konia. Służy właściwym celom. Ułatwia życie.

- Kupno dobrego konia gwarantuje, że dojadą, dokąd tylko zechcą - próbował się jeszcze spierać.

- A w odpowiednim stroju wejdzie pan, milordzie, dokąd tylko zechce.

- Poddają się. Znów mnie pani pokonała. Mariannę roześmiała się.

- Skończyłam kazanie i nigdy już do niego nie wrócę. Może pan robić ze swą powierzchownością, co się panu żywnie podoba. Choćby zjawił się pan na moim proszonym obiedzie w stroju tureckiego baszy, nie pisną ani słowa!

- Wielka szkoda! - mruknął. - Przywykłem już do pani kazań. Komplement był tak podejrzany, że postanowiła go zignorować. ,

- Pyszne te ciastka. Nieprawdaż, milordzie? - zmieniła temat.

Prawdę mówiąc, John nie bardzo wiedział, co je. Jedynym źródłem radości była dla niego obecność Mariannę. Bez względu na to, czy prawiła mu morały z otwartością i taktem, czy opowiadała o nowych londyńskich ekspozycjach, które powinien zwiedzić, radował się po prostu tym, że ma ją obok, wyłącznie dla siebie, że może skoncentrować się na jej słowach, twarzy, postaci. Czas upływał zbyt szybko. Gdy wracali do tego groteskowego powozu, który wynajął, by zrobić przyjemność Louisie, a następnie jechali do domu Mariannę, czuł przepełniającą go radość. Wiedział jednak, że obowiązek nakazuje mu wejść do środka i złożyć obiecaną wizytę pannie Crookshank.

Młoda dama zbiegła ze schodów, usłyszawszy ich głosy we frontowym holu.

- Jesteś już, cioteczko! Miałam właśnie... O, lord Gillingham! Jak miło znów pana widzieć! - Dygnęła, a John złożył ukłon.

- Prosimy do salonu, milordzie! Jaki pan dobry, że nas odwiedził! Louisa była przekonana, że spotkali się przypadkiem z panią Hughes

u drzwi frontowych. John czuł na sobie spojrzenie Mariannę. Bez cienia zmywy, nawet bez świadomej intencji wprowadzenia kogokolwiek w błąd, oboje powstrzymali się od relacji ze wspólnej wyprawy do miasta.

Kiedy jednak panna Crookshank żartobliwie wypomniała markizowi, że zjawił się tak późno, wyjaśnił jej, że postanowił odwiedzić krawca. Wzdrygnął się lekko, widząc, że na tę wieść aż się rozpromieniła. Brnął jednak dalej:

- Chciałem zamówić strój wieczorowy na proszony obiad u pań. Louisa obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

- A więc zaszczyci nas pan? Cudownie! Jaki termin wybrałaś, najdroższa cioteczko?

- Przyszły piątek - odparła spokojnie pani Hughes. - Muszę niezwłocznie rozesłać zaproszenia. Jeśli państwo wybaczą, zaraz się do tego zabiorę.

Zasiadła przy stoliku w drugim końcu pokoju i markiz był zmuszony skupić uwagę na pannie Crookshank.

Być może zachęcona wieścią o jego wizycie u krawca Louisa zaczęła drobiazgowo opisywać toaletę, w której zamierzała wystąpić na tym przyjęciu - suknię oraz wszelkie dodatki. Temat był w zasadzie ten sam co podczas rozmowy z jej ciotką, ale tym razem John czuł, że ogarnia go coraz większa nuda.

Nie wiadomo dlaczego, zamiast gruchać z piękną Louisa, wołał po stokroć przekomarzać się z panią Hughes. W jej towarzystwie nigdy się nie nudził. Ona nigdy nie spoglądała na niego w oszołomieniu - co pannie Crookshank czasem się zdarzało - nie mając pojęcia, o czym on mówi. Jej nigdy nie trzeba było tłumaczyć, na czym polegał dowcip.

Może dlatego, że pod jej łagodnym spokojem wyczuwał głębię uczuć, skomplikowaną naturę i bogactwo myśli, z których sienie zwierzała, rosła w nim pewność, że prócz uroku osobistego Mariannę Hughes ma znacznie więcej zalet, tylko się z nimi nie obnosi. Pragnął poznać ją bliżej i był pewien, że nie dozna przy tym rozczarowania.

Czyż ona nie powiedziała czegoś podobnego o nim? Jej przychylna ocena jego charakteru sprawiła mu ogromną radość. Prawdę mówiąc, przejęła go do głębi. I gdyby nie to, że zbyt pochopnie związał się już z jej siostrzenicą, z pewnością rozważałby właśnie...

Nagle uświadomił sobie, że spogląda tępym wzrokiem na pannę Crookshank, która przestała szczebiotać i wyraźnie oczekuje od niego odpowiedzi. Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówiła!

- Tak pani sądzi? - odpowiedział na chybił trafił.

- A pan nie sądzi, milordzie, że następna wyprawa do Vauxhall byłaby uroczą rozrywką? - spytała z nadzieją w głosie.

- Ależ tak! - przytaknął z zapalem, starając się usilnie wynagrodzić jej swe niewybaczalne roztargnienie.

Louisa rozpromieniła się..

Mariannę starała się nie zwracać uwagi na swobodę i bezpośredniość, z jaką Louisa i markiz odnosili się do siebie. Zaciśnęła zęby i pochyliła się znów nad pisaniną, koncentrując się na planowanym obiedzie i liście zaproszonych gości. Wpisała już nazwiska kilku przyjaciółek i postanowiła wysłać zaproszenie hrabinie Sealey, choć wiedziała, że zajmuje ona znacznie wyższą pozycję w towarzystwie i jest tak rozrywana, że wszystkie niemal wieczory ma zarezerwowane z dużym wyprzedzeniem. A poza tym trzeba zwrócić uwagę na to, by do stołu nie zasiadło zbyt wiele pań. Nie może zabraknąć panów! Wpisała więc na listę, dobrego znajomego, który - o ile miał jeszcze wolny piątkowy wieczór - z pewnością zechce przybyć i będzie miłym, nie-krępującym gościem.

Najważniejsze jednak, by lord Gillingham i jego narzeczona, oczywiście, dobrze się czuli na proszonym obiedzie. Kogóż by tu zaprosić, z kim markiz czułby się swobodnie? W Londynie zna tak niewiele osób!

Ależ oczywiście! Mariannę pospiesznie dodała do listy nazwisko Sinclairów - lorda Gabriela i jego żony. Obecność członków rodziny z pewnością ułatwi markizowi przebrnięcie przez proszony obiad, mówiła sobie, bardzo zadowolona z pomysłu. Mimo że nie była blisko zaprzyjaźniona z lady Sinclair, a jej męża dotąd nie miała przyjemności poznać, oboje z pewnością jej nie odmówią ze względu na obecność markiza.

Po zamęcie ostatnich kilku dni ten pogodny, cichy wieczór powinien stanowić miłą odmianę - stwierdziła, biorąc znów pióro do ręki.

9

Równie trudno jest przewidzieć zachowanie rodziny, jak określić zawartość kosza z owocami: jedne jabłka mają plamki inne bywają obtłuczone, a niektóre o wiek bardziej cierpkie niż reszta.

Margery, hrabina Sealey

Przez następny tydzień Mariannę nie spuszczała Louisy z oczu. Razem chodziły po sprawunki, razem odwiedzały znajome damy, razem spędziły wieczór w operze, zaproszone do prywatnej łoży jednej z przyjaciółek pani Hughes. Za każdym razem Mariannę lustrowała baczny wzrokiem otoczenie; nigdy też nie wychodziły na miasto bez lokaja. Ani razu nie wydarzyło się nic niepokojącego i w miarę upływu dni nerwowe napięcie słabło i Mariannę dochodziła znów do wniosku, że to wprost niewiarygodne, by ktoś chciał wyrządzić krzywdę Bogu ducha winnej dziewczynie.

Odpowiedź Caroline na jej list niewiele dała. Ów krewniak Louisy, jej stryjeczny dziadek, nazywał się Alton Crookshank. Był najmłodszy z braci

i skutkiem tego niewiele straszny od swego bratanka, ojca Louisy. Tak oto rozwiął się zrodzony w wyobraźni Mariannę obraz słabowitego, absolutnie nieszkodliwego staruszka.

Caroline nie miała pojęcia, czy krewny bywa w Londynie. Od dawna nikt z rodziny nie utrzymywał z nim kontaktów. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć powodów tego rozłam. „Zdaje się, że za młodu trochę za wiele brykał - pisała Caroline. - Wiódł podobno hulaszczę życie, trwonił ojcowskie pieniądze, a na dodatek uciekł z jakąś dziewczuchą z oberży czy kimś w tym rodzaju. Potem się chyba rozstali, bo ożenił się z ciepłą wdówką po szkockim kupcu i osiadł w jej mająteczku w pobliżu Edynburga”.

Ogólnie rzecz biorąc, niezbyt kryształowy charakter, pomyślała Mariannę. Ale to jeszcze nie dowód, że byłby zdolny do morderstwa!

Podczas jednej z wizyt markiza podzieliła się z nim uzyskanymi informacjami. Zapisał sobie nazwisko i adres.

- Postaram się dowiedzieć czegoś więcej - powiedział i ku rozczerowaniu Louisy odmówił stanowczo zabrania pań na przejażdżkę po Hyde Parku; jego alejki były ostatnio najmodniejszym miejscem spotkań londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

- Z tym musimy się jeszcze wstrzymać - oświadczył swej młodej narzeczonej, która westchnęła i dała za wygraną.

Uległość Louisy nie była jednak spontaniczna, lecz wymuszona. Mariannę czuła, że w dziewczynie wzbiera bunt przeciw krępowaniu jej wolności i ograniczaniu aktywności towarzyskiej, zwłaszcza kontaktów z mężczyznami. Markiz odwiedził je dwukrotnie, nie bawił jednak długo; kiedy zaś Louisa usiłowała go namówić, by towarzyszył im w jakiejś wyprawie, wykręcił się innymi zobowiązaniami.

Mariannę starała się, jak mogła, rozerwać siostrzenicę, ale największa z atrakcji - wieczór w operze - nie okazała się sukcesem. Słynna sopranistka była istotnie obdarzona pięknym głosem, ale nim spektakl rozpoczął się na dobre, Mariannę zauważyła, że Louisa sztywnieje, odwraca głowę i przygryza wargi. Pełna niepokoju opiekunka spojrzała w tę samą stronę i od razu spostrzegła dobrze znaną twarz, która spowodowała taką reakcję siostrzenicy. W jednej z dalszych łóż siedział oczywiście sir Lucas.

Popatrzyła więc znowu na Louise, która nie odezwała się ani słówkiem i najwyraźniej walczyła ze łzami. Opera była już w toku, gdy sir Lucas dostrzegł wreszcie obie damy. Ukłonił się, ale nie zajrzał w antrakcie do ich łoży. Był w towarzystwie innej dziewczyny, filigranowej osóbkki o rumianych

policzkach, oraz dojrzałej matrony (zapewne jej mamusi) i dwóch innych par. Mariannę była przygotowana na wszystko, z historycznym atakiem włącznie, ale nieszczęsna awantura w parku skłoniła widać Louise do większej powściągliwości. Odpowiedziała uprzejmie na ukłon byłego konkurenta, potem zaś nie odrywała oczu od sceny, pozornie zafascynowana grą wykonawców. Po zapadnięciu kurtyny z ożywieniem dyskutowała z ciotką o zaletach spektaklu.

Kiedy jednak wracały do domu wynajętym powozem, dziewczyna milczała ponuro, budząc szczere współczucie ciotki.

- Louiso - powiedziała cicho - z czasem będzie ci coraz lżej, zobaczysz!

- Masz na myśli zrozumienie włoskich tekstów? - spytała z roztargnieniem Louisa, zerkając na mijające ich powozy.

- Nie, mam na myśli pogodzenie się z pierwszym zawodem miłosnym. Oczywiście trochę to jeszcze potrwa, ale przecież nie wiecznie!

Umilkła na widok łez, które zabłyśły w oczach siostrzenicy. ,

- Ani mi się śni płakać po nim! - oświadczyła panna nieco za głośno. - Myśli o mnie wszystko co najgorsze! Miałabym tęsknić za kimś, kto ani mnie nie ceni, ani mi nie ufa?!

- Nie powinnaś, oczywiście - przytaknęła Mariannę.

- Nigdy w życiu nie będę taka naiwna! - oznajmiła z przekonaniem Louisa i zepsuła cały efekt rozpaczliwym chlipnięciem.

- Z pewnością nią nie będziesz - zapewniła ją Mariannę i poklepała swą podopieczną po rękę. Wyglądało na to, że Louisa rozpoczęła wreszcie zmuśną podróż w krainę prawdziwej dorosłości. - Z czasem pozostanie już tylko wspomnienie, które przyćmią następne, bardziej godne zapamiętania.

- To prawda, mam markiza - odparła Louisa nieco jeszcze drżącym głosem. - On przynajmniej potrafi mnie docenić!

Mariannę znów się zawahała.

- Jeśli już o tym mowa... to chyba nie zaręczyłaś się z nim na złość sir Lucasowi? Nie wyszłoby z tego nic dobrego ani dla ciebie, ani dla Gilinghama.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Louisa, lecz nie zachnęła się na takie przypuszczenie.

- Powinnaś myśleć o szczęściu nie tylko swoim, ale i markiza - ciągnęła dalej Mariannę. - Inaczej twoja decyzja co do zaręczyn byłaby ogromnie egoistyczna.

Louisa otwierała jeszcze szerzej swe niebieskie oczy.

- Ależ ja go z pewnością uszczęśliwię, ciociu Mariannę. Dołożę wszelkich starań!

Mariannę westchnęła. Jaka szkoda, że nie potrafi czytać w sercu tej dziewczyny! Czy naprawdę w nim kiełkuje, a może już urosło, szczere przywiązanie do markiza? Gdyby tak się sprawy miały, rozdzielenie tych dwojga byłoby rzeczą haniebną, choćby nawet mogła tego dokonać, Nie, nie! Nie będzie się w ogóle zastanawiać nad czymś takim! Przygotowania do proszonego obiadu były w toku. Lady Sealey, niestety - jak Mariannę przewidywała - nie miała wolnego piątku i z prawdziwym żalem musiała odmówić. Reszta przyjaciół przyjęła zaproszenie i tylko od lady Sinclair nie było jeszcze wiadomości. Być może Sinclairowie mają już wieczór zajęty, mówiła sobie Mariannę, nie mogąc uwierzyć, by Psyche z rozmysłem wyrządziła jej afront. Młode małżeństwo wiodło z pewnością bujne życie towarzyskie.

Nie wspomniała ani Louisie, ani markizowi, że zaprosiła jego krewnych, by nie sprawić im zawodu w razie odmowy Sinclairów.

Kiedy w następną środę udała się na tradycyjną herbatkę do rezydencji lady Sealey (tym razem w towarzystwie siostrzenicy), udało się jej pogawędzić w cztery oczy z hrabiną, a Louisa zawarła znajomość z jeszcze jedną młodą damą. Psyche, niestety, tym razem się nie zjawiała,

Hrabina raz jeszcze wyraziła żal, że nie może odwiedzić Mariannę w piątek.

- Fatalnie się złożyło, że już wcześniej przyrzekłam odwiedzić panią Cowling - mówiła, popijając herbatę. - Jestem pewna, że twój obiad będzie prawdziwym sukcesem!

- Mam nadzieję - przyznała Mariannę. - Kucharka codziennie wypróbowała jakieś nowe wymyślne sosy, a lokaj dwukrotnie wyczyścił srebra... co prawda jest ich niewiele, więc niezbyt się natrudził. - Roześmiała się. - Nic dziwnego, że robią tyle szumu: od dawna nie mieliśmy gości na obiedzie. Kiedy człowiek jest sam, robi się zbyt wygodny na takie imprezy. Hrabina przyjrzała się jej uważnie, ze skupieniem.

- Uważaj, moja droga Mariannę, żebyś się nie zmieniła w pustelnicę! Jesteś stanowczo za młoda na samotne wieczory przy kominku. A poza tym, obracając się więcej wśród ludzi,

może w końcu znajdziesz kogoś, kto przypadnie ci do gustu!

Nieraz już o tym dyskutowały i Mariannę nie miała ochoty znowu do tego wracać. Chcąc zmienić temat, wspomniała o wysłaniu zaproszenia dla lady Sinclair i jej męża.

- Nie otrzymałam jeszcze odpowiedzi, ale jeśli uda im się przyjść, mam nadzieję, że lord Gillingham się ucieszy.

Filizanka hrabiny znieruchomiła w połowie drogi do ust. Potem stara dama ją odstawiła.

- No, cóż... jeśli o to chodzi, z braćmi nigdy nic nie wiadomo.

Jakby się zawahała. Mariannę odniosła wrażenie, że hrabina nie bardzo wie, co powiedzieć.

- Czyżbym niechcący popełniła faux pas? - spytała.

Lady Sealey zacisnęła usta.

- Nie mogę zdradzać cudzych sekretów - powiedziała.

- Oczywiście, żenię! - przytaknęła spieszenie Mariannę. - Nigdy bym nie nalegała na coś podobnego!

Ogólnie podziwiana dyskrekcja hrabiny sprawiała, że przyjaciele zwierzali jej się chętnie i bez obawy. '

- Ostrzegam cię tylko, byś nie obiecywała sobie zbyt wiele po tym spotkaniu.

- Nie bardzo rozumiem - zdziwiła się Mariannę.

- Niektóre rodziny są ze sobą zżyte, inne nie - odparła hrabina. - Jeśli Psyche będzie musiała ci odmówić, nie uczyni tego z powodu głupstwa.

- Jestem tego pewna- zgodziła się Mariannę, przeczuwając, że lady Sealey ma na myśli coś więcej niż wcześniejsze zobowiązania towarzyskie.

Proszony obiad wydawał się takim prostym, skromnym przedsięwzięciem! Jedyne problemy mogły stanowić zbyt wybujałe ambicje kulinarne kucharki, która porwie się na wymyślne sosy. Skąd więc ten nagły nerwowy skurcz w żołądku?

W czwartek przyszedł króciutki liścik od Psyche. Obiecywała, że przyjdą oboje z mężem. Mariannę z ulgą spojrzała na arkusik o pozłacanych brzeżkach. Niepokoił ją brak odpowiedzi, ostrzeżenie hrabiny... Jak widać, martwiła się bez potrzeby.

Udała się więc do kuchni, by podać pani Blount ostateczną liczbę gości. Gdy tylko weszła, poczuła gryzący dym i swąd przypalonego masła.

- Czy wszystko w porządku? - spytała, udzieliwszy ostatecznych informacji na temat liczby gości.

Pani Blount stała w wojowniczej niemal postawie przed piecem kuchennym, zasłaniając szerokimi biodrami to nowoczesne urządzenie, które Mariannę kazała kilka lat temu zainstalować. W przeciwległym kącie jej pomocnica wachlowała się energicznie fartuchem, chcąc widocznie rozprężyć obrzydliwy zapach.

- Nic się nie stało, jaśnie pani. Próbuję tylko nowego sosu do leguminy.

- Jestem pewna, że wszyscy spiszecie się doskonale- zwróciła się do służby. - Zresztą, to tylko skromny obiadek, nie ma się czym przejmować.

Kucharka otarła pot z czoła.

- Pewnie, że nie, jaśnie pani! Ale zawsze co markiz, to markiz. No i pierwszy raz od niepamiętnych czasów mamy gości w domu.

Mówi o nich jak o egzotycznych drapieżnikach! - pomyślała Mariannę, z trudem powstrzymując uśmiech,

- I po mojemu nie może się obejść bez przystawek! - oświadczyła kucharka z determinacją, chcąc za wszelką cenę utrzymać honor domu.

- Doskonale! - zgodziła się Mariannę - Ale proszę sobie nie zaprzętać głowy kulinarnymi nowinkami, pani Blount! Lepiej trzymać się wypróbowanych przepisów. Jak ten pani karmelowy sos... palce lizać!

- Miło coś takiego usłyszeć - rozpogodziła się pani Blount. - Niech i tak będzie!

Mariannę uznała za stosowne wymknąć się dyskretnie. Miała nadzieję, że w kuchni wszystko

wróci do normy. Gdy weszła na górę, na korytarzu czekała już na nią Louisa. A prawda! Obiecała jej spacer po maleńkim parku pośrodku skweru.

- Taki dziś piękny dzień! - zaklinała ją siostrzenica. - A my wiecznie siedzimy w domu, ciociu.

- To prawda - przyznała. - Wezmę tylko kapelusz i rękawiczki.

Gdy wreszcie wyszły (z Mastersem postępującym kilka kroków za nimi), powiadomiła Louise, że na obiedzie będą również Sinclairowie.

- Cudownie! - zwołała panienka. -Nareszcie poznam brata i bratową lorda Gillinhgama. Ale się markiz ucieszy!

Mariannę skinęła głową, dzielając jej opinię.

John również wybrał się na spacer ze swym niepozornym spanielem u nogi. Zaraz po przybyciu do Londynu Mała przejawiała niepożądaną skłonność do obszczekiwania wszelkich pojazdów oraz pieszych. W końcu jednak przywykła do wartkiego strumienia powozów i furmanek, a nawet do stad bydła, które pędzono co tydzień na targ.

Teraz dreptała posłusznie przy nodze swego pana, wężąc z zainteresowaniem, gdyż minął ich właśnie z turkotem wóz węglarza.

- Dobry pies! pochwalił ją John. - Jeszcze się wdrożysz do miejskiego życia. Ze mną chyba nie pójdzie tak łatwo.

Zsunął kapelusz niżej na czoło. Była to jedyna część dawnego stroju, z której nadal korzystał. Miał teraz, niech to diabli, cały pokój zapchany nowymi ubraniami, koszulami, butami i wszystkimi innymi bzdurami, które ten cholerny krawiec uznał za niezbędne. Wiele zachodu, mało pożytku - dumiał. -A co gorsza, muszę teraz wołać fagasa, bo się bez niego nie wcisnę w te wymyślne fraki!

Nie zawsze zadawał sobie tyle fatygi. Dzisiaj z ulgą wskoczył w stary sut-dut i gdy szedł teraz z psem, nikt nie zwracał na niego uwagi. Johnowi to zdecydowanie odpowiadało. Bynajmniej nie pragnął przyciągać ludzkich oczu - ani strojem, ani okaleczoną twarzą.

A jednak ogromna tęsknota za wsią nie dawała mu się aż tak we znaki jak zaraz po przyjeździe do stolicy. Krótkie wizyty w domu pani Hughes sprawiały mu prawdziwą przyjemność. A jeśli rozmowa z opiekunką narzeczonej dawała mu więcej satysfakcji niż słuchanie niewinnego szczebiotu panny Crookshank, to... to wołał się nad tym nie zastanawiać. Londyn okazał się mniej straszny, niż przypuszczał. Co zaś dotyczy wrażeń, jakie robiły na nim wdzięki pani Hughes, może po prostu zbyt długo się obywatel bez kobiety? Przechadzał się zatopiony w myślach, gdy nagle jakaś dorożka skręciła tak raptownie, że omal go nie przejechała. Uskoczył instynktownie i gwizdnął na psa. Spaniel zaskowyczał.

- Jak jedziesz, durniu?! - wrzasnął do woźnicy markiz. - Chodź no tu, Mała!

Przesunął rękoma po całym ciele roztrzęsionego psa, ale nie znalazł żadnych obrażeń. Widać suczka tylko się przestraszyła.

- Nie moja wina, panie szanowny, koń mi się spłoszył - odkrzyknął z kozła dorożkarz i ściągnął lejce.

Mała wykręciła się zadkiem do bezczelnego pojazdu i kilka metrów dalej obszczekała Bogu ducha winnego przechodnia. Widać było, że próbuje odzyskać swą godność, okazując, jak mało ją obchodzi niebezpieczeństwa grożące na londyńskich ulicach porządnemu psu.

- Wiem, wiem! - zapewnił ją John, gdy dorożka znikła z pola widzenia. -Chodźmy stąd. Najlepiej będzie wrócić do zajazdu. Jeszcze jeden spokojny wieczór, zanim znów wpadnę w ten salonowy zamęt!

Pies szczeknął w odpowiedzi, a John uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Łatwo ci mówić! Ty nie musisz udzielać się towarzysko.

Byli już w pobliżu oberży, gdy z uliczki biegnącej na tyłach domów wyłoniła się niepozorna figurka.

- Chcesz się zabawić, panie ładny? Prawie darmo, za szylinga!

Zsunąwszy jeszcze niżej kapelusz na twarz, John przyjrzał się dziewczynie. Nie uległo wątpliwości, że to prostytutka. Chuda, w niechlujnej kiecce, z rozkudłanymi włosami. Kiedyś musiała być ładniutka. Teraz wyglądała staro, choć zapewne nie dobiła jeszcze do trzydziestki.

- Jestem dobra, zobaczysz! - zapewniła przysuwając się bliżej, widocznie ośmielona jego wahaniem. Poczul woń potu i najtańszej gorzałki.

Nieraz myślał o zaspokojeniu swoich fizycznych potrzeb, ale ani kusicielski uśmiech ulicznicy, ani jej przepastny dekolt nie wzbudziły w nim nawet cienia pożądania. Nie chciał tej kobiety. Nie chciał byle jakiej kobiety! Chciał tylko...

- Dziękuję, ale nie - powiedział.

Na jej chudej twarzy ujrzał bolesny zawód. Pewnie jest głodna - pomyślał - ale jak jej dam parę groszy, zaraz przepuści na wódkę. Dostrzegł na rogu ulicy sprzedawcę pasztecików i skinął na niego.

- Dwa najlepsze, jakie masz dla tej młodej osoby - powiedział, wręczając mu monetę.

Dziewczyna była zaskoczona, ale czując smakowity zapach, oblizła się.

- Dobry z ciebie chłopak, panie ładny!

A John, niemile zaskoczony odkryciem, którego właśnie dokonał, pospieszył do swego zajazdu.

W piątek Mariannę obudziła się cała w nerwach. W pierwszej chwili zdziwiło ją. Z trudem próbowała uprzytomnić sobie, co ją tak niepokoi. Potem sobie przypomniała: dzisiejszy obiad!

Siadła na łóżku, wracając natychmiast myślą do drobnych spraw, które rozważała tuż przed zaśnięciem. Obrus i serwetki wyprasowane, srebro stołowe wypolerowane, cały dom wysprzątany - choć bardzo wątpliwe, by ktoś z gości zechciał przeprowadzić, na przykład, inspekcję jej sypialni! I nagle wyobraziła sobie taką oto nieprawdopodobną sytuację: jakiś kataklizm zmiotł wszystkich innych uczestników owego obiadu (z Louisą włącznie), oni zaś z markizem znajdują się w tym właśnie pokoju... ciemne oczy Gillinhgama błyszczą, a jej serce bije coraz mocniej...

Wielkie nieba! Co też się jej roi?! Pospiesznie skierowała myśli na bardziej przyziemne tory. Cięte kwiaty zamówione. Kucharkę udało się wreszcie przekonać o wyższości tradycyjnego, od dawna wypróbowanego menu. Trzeba już tylko sprawdzić, czy przyniesiono świeżą, rybę i czy naprawdę jest świeża.

Mariannę wstała i zadzwoniła na pokojówkę. Zdążyła się już częściowo ubrać, nim wkroczyła Hackett ze śniadaniem na tacy.

- Niechże pani pozwoli!

Służąca pospiesznie odstawiła tackę i zabrała się do zapinania guzików na plecach, których Mariannę nie mogła dosięgnąć.

- Dostarczono już kwiaty, Hackett?- spytała po chwili Mariannę, gdy pokojówka wzięła szciotkę do włosów i ruchem głowy wskazała swej pani miejsce przy toaletce.

- Ajakże! Prymulki jak się patrzy i te cieplarniane też, ale połowę żonkili trzeba było wyrzucić: brązowiwały na brzeżkach.

- O Boże! -jęknęła Mariannę, odwracając się mimo woli.

- Niechże pani siedzi spokojnie! - fiknęła wierna sługa, jakby pani Hughes była jeszcze wiercipiętą w krótkiej sukience.

Mariannę posłusznie znieruchomiła.

- Nie chciałabym, żeby to wyglądało zbyt ubogo...

- Nie ma obawy - uspokoiła ją pokojówka. - Już posłałam Mastersa, żeby dokupił. A panienska układa te, co się nadają.

- To doskonale! - Mariannę uśmiechnęła się w duchu. Po raz pierwszy zachowanie Louisy przypadło Hackett do gustu. W takim razie jej starania nie poszły na marne, choćby nie wiem,

co się wydarzyło!

Jaka zresztą nieprzewidziana katastrofa mogłaby się wydarzyć? To przecież tylko skromny obiad w gronie przyjaciół! Mariannę uspokajała siebie argumentami podobnymi do tych, jakich użyła wobec kucharki. Coś ją jednak niepokoiło... tylko co? Może rezerwa okazana przez hrabinę, która wyraźnie nie chciała rozmawiać na ten temat?

Nie, nie! Wszystko będzie dobrze! Uczepiła się tej myśli i postanowiła zachować optymizm. Gdy tylko Hackett zakończyła szczotkowanie i upina-nie jej włosów, pospieszenie zbiegła na dół.

Zajrzała do jadalni, by pochwalić troskę Louisy o kwiaty. Panienka siedziała przy stole, trzy wazony stały przed nią na politurowanym blacie, a na podłodze czekała w wiaderkach i cebrzykach masa kwiatów, zarówno ogrodowych, jak i polnych.

- Ślicznie to wygląda! - pochwaliła podopieczną.

Mała rozpromieniła się. '

- Dziękuję, ciociu! To dekoracja na stół, tamte kwiaty do salonu, a ten wazonik do frontowego holu. Trzeba było dokupić żonkili, ale reszta kwiatów i zieleni jest całkiem świeża. Jak ciocia myśli, może by tu dodać coś różowego?

- Owszem, jakiś drobny akcent... z tej strony. Doskonale ci idzie! -zapewniła ją Mariannę. - Wybacz, ale muszę zejść do kuchni.

- Powodzenia! - odparła panienka, marszcząc nos. - Zajrzałam tam raniutko i omal nie oberwałam garnkiem w głowę!

- O Boże! - wymamrotała Mariannę, kierując się w stronę suterenu.

Gdy jednak dotarła do kuchni, wszystko tam wyglądało normalnie. W wielkim kotle coś perkotało, podkuchenna siedziała pod ścianą, skrobiąc jarzyny. Kucharka była umęczona po łokcie i twarz jej poczerwieniała od kuchennego żaru, ale nerwy jej chyba nie dokuczały; wydawała się w optymistycznym nastroju.

- Wszystko w porządku, jaśnie pani - oświadczyła w odpowiedzi na pytanie Mariannę. - Ryba jest jak należy, prosto z wody. Żółt też. Już go wsadziłam do garnka, będzie dobra zupa. Wołowina na rostbef jeszcze w chłodni, moczy się w marynacie. Kurczak już ma nadzienie w środku; wystarczy go wsadzić do brytfanki, jak przyjdzie pora.

- Znakomicie! -pochwalała ją Mariannę. -Już tu smakowicie pachnie!

- Ciasto też zaraz pójdzie do piecyka, a choć ze mnie zwykła angielska kucharka, nie żaden tara francuski szef kuchni, do ciasta - nie chwałę się -zawsze miałam lekką rękę.

Tu kucharka mocno klepnęła wyrabiane w wielkiej misce ciasto i uśmiechnęła się wojowniczo.

- Pani owocowe ciasto jest doprawdy niezrównane, pani Blount - przytaknęła pospieszenie Mariannę. - Widzę, że wszystko znakomicie się zapowiada i pod okiem kogoś tak doświadczonego jak pani pójdzie jak z płatka!

Podkuchenna uśmiechnęła się szeptycznie za plecami kucharki, ale pani Blount pęczniała z dumy.

- Święte słowa jaśnie pani! Nigdy żem jeszcze nie gotowała obiadu dla markiza, ale nie będzie się miał na co skarżyć, ręczę głową!

Mariannę wygłosiła jeszcze jedną podbudowującą mowę dla całego personelu i pozostawiawszy wszystko (z honorem domu włącznie) w jego sprawnych i biegłych rękach, powróciła na górę.

Gdy znalazła się na parterze, Louisa przywołała ją, by uważnie przyjrzała się jeszcze raz dekoracji kwietnej, a raczej temu, co z niej zostało, gdyż

w dążeniu do perfekcji zniszczyła niema! całkowicie poprzedni układ i zaczynała od nowa.

— To było stanowczo za ciężkie, prawda? - kłopotowała się panna. - Dekoracja nie powinna przytłaczać stołu, stryjenka Caroline zawsze to powtarza!

Mariannę usiadła obok siostrzenicy, by jej pomóc. Po godzinie wszystkie wazony były pełne,

a Louisa uznała, że prezentują się należycie. W samą porę, gdyż pokojówka czekała już, by nakryć do drugiego śniadania.

Masters przyniósł pocztę i Mariannę przejrzała korespondencję. Jeden z listów przybył z Bath od Caroline; był jednak poświęcony wyłącznie sprawom domowym i nie zawierał najmniejszej wzmianki na temat Altona Crookshanka.

Obie z Louisą zanosły wazony do salonu i frontowego holu. Podano drugie śniadanie i Mariannę zdołała namówić podopieczną, by coś zjadła. Louisa jednak paplała bez przerwy o wieczornym przyjęciu, więc niewiele zdołała przełknąć.

- Jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze - starała się ją przekonać ciotka - i wszystkim przypadnie do gustu zarówno kuchnia, jak i konwersacja.

— Ja też mam taką nadzieję — odparła dziewczyna, podnosząc do ust kawałek gruszki i znów go odkładając. — Ale tak się denerwuję, że całkiem mi odebrało apetyt!

- Musisz się lepiej postarać przy obiedzie - ostrzegła ją z uśmiechem Mariannę. - Inaczej kucharka, która tak się napracowała, będzie ciężko obrażona.

Gdy wstały od stołu, zjawiła się pokojówka Louisy i zameldowała, że odżywcza maseczka ogórkowa dla panienki jest już gotowa. Mariannę odesłała więc podopieczną na górę, by poleżała z tym mazidłem na twarzy. W duchu była nawet rada, że dziewczyna przez chwilę nie będzie jej się plątać pod nogami.

Reszta dnia minęła w zamęcie drobnych, ale niezbędnych czynności i zanim Mariannę się obejrzała, słońce zaszło i trzeba się było przebrać przed przybyciem gości.

Zdecydowała się na prostą jedwabną suknię w kolorze pastelowoniebieskim; wiedziała, że w tym odcieniu błękitu jest jej do twarzy. Gwiazdą wieczoru będzie oczywiście Louisa, ale i jej opiekunka nie powinna wyglądać jak pomiotło, prawda? Mariannę potrząsnęła głową nad własną próżnością i sięgnęła po naszyjnik z pereł.

Louisa nadal stroiła się w swoim pokoju, gdy Mariannę zeszła na dół, by przed nadejściem pierwszego gościa po raz ostatni sprawdzić, jak prezentują się pokoje. Stół w jadalni, nakryty śnieżnobiałym obrusem i zastawiony porcelaną i kryształami, robił doskonałe wrażenie i czekał już tylko na arcydzieła sztuki kulinarnej pani Blount. Dekoracja kwietna wyglądała wdzięcznie, a całe wnętrze zdawało się czekać z utęsknieniem na miłych gości. Mariannę skinęła głową z aprobatą i przeszła do salonu.

Siadła na jednym z krzeseł gdy - niemal równocześnie - rozległo się stukanie do frontowych drzwi i do pokoju wbiegła Louisa.

- Och, ciociu! Czy to markiz? Już się bałam, że nie zdążę na czas! - szepnęła wyraźnie zdyszana.

- Kimkolwiek jest nasz pierwszy gość, Masters zaraz go tu przyprowadzi - odparła Mariannę.

- Odetchnij głęboko. Nie chcesz chyba wyglądać na zdenerwowaną?

- Oczywiście, żenię! - przytaknęła panna, rzucając się na kanapę ze zwykłą impulsywnością. - Nie powinni myśleć, że aż tak się przejmuję. To byłoby w złym guście!

Mariannę uśmiechnęła się w duchu i powiedziała szczerze:

- Wyglądasz prześlicznie, moja droga!

Louisa rozpromieniła się. Przygotowana przez pokojówkę maseczka ogórkowa... a może po prostu młodość i doskonałe zdrowie sprawiły, że jej nieskazitelna, porcelanowa cera świeciła różanym blaskiem. Oczy błyszczały. Zaczesane do góry włosy opadały kaskadą jasnych loków, a biała suknia rozszywana cieniutką różową wstążeczką była idealnym strojem dla debutantki u progu pierwszego sezonu. Ciotka nie miała wątpliwości, że Louisa będzie się doskonale bawić i oczaruje wszystkich z kretesem, a przede wszystkim markiza.

I tak właśnie być powinno! - powiedziała sobie stanowczo.

Masters zaanonsował przybycie państwa Denver i gospodyni wstała, by powitać pierwszych gości.

- Jestem zachwycona - zwróciła się do zaprzyjaźnionego małżeństwa - że znaleźliście czas dla

mnie i mojej siostrzenicy, Louisy Crookshank, która przyjechała do Londynu na tegoroczny sezon. Poznaliście ją państwo w Vauxhall Gardens, nieprawdaż?

- Jak najbardziej! Czy nadal jest pani tak oczarowana Londynem, moje dziecko? - spytała pani Denver, siadając obok Louisy.

Pokojówka podsunęła gościom kieliszki wina na srebrnej tacy i pan Denver się skusił.

- Dopiero co wróciłem do miasta - zwierzył się pani domu. - Musiałem na kilka dni wyjechać do Salisbury.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku? - spytała uprzejmie Mariannę.

- Moja ulubiona wierzchówka dostała kolki - wyjaśnił i zagłębił się w szczegółach końskiej kuracji; jego monolog przerwało dopiero przybycie następnego gościa,

- Pan James McNair - zaanonsował Masters.

Zza pleców lokaja wyłonił się dżentelmen w średnim wieku, którego niebezpiecznie poszerzającą się talię tuszował nienagannie skrojony surdut, i z pogodnym uśmiechem zatrzymał się na progu.

Mariannę przeprosiła Denverów i podeszła, by go powitać.

- A więc, moja droga, wreszcie zmuszono cię do wzięcia udziału w sezonie! - zwrócił się do niej z szerokim uśmiechem. - Najwyższy czas! Jeśli nawet nie zgodzisz się_ wreszcie wyjść za mnie, przynajmniej będziemy cię widywać częściej w towarzystwie!

Mariannę ze śmiechem wysunęła rękę z jego uścisku.

- Doskonale wiesz, Jamie, że rozkosze małżeńskie wcale cię nie pociągają. Zemdlałbyś chyba z przerażenia, gdybym przyjęła twoje oświadczenia! Nawiasem mówiąc, w ubiegłym roku oświadczyłeś się aż trzem różnym damom, ani razu nie traktując tego poważnie.

- Musisz jednak przyznać, że oświadczenia doskonale robią każdej kobiecie - przekonywał ją stary przyjaciel, biorąc kieliszek wina. - Propozycja małżeństwa sprawia, że każda z was po prostu rozkwita.

- Ale co poczniesz, jeśli któraś z nas potraktuje ten miły komplement na serio? - spytała Mariannę.

- Nie ma obawy! Dobrze wiem, komu składać podobne propozycje - odparł Jamie. - Gdyby jednak (Boże broń!) do czegoś takiego doszło, musiałbym pewnie zaszyć się w dzikich ostępach północnej Szkocji, co by mi wcale nie dogadzało. Warto tam od czasu do czasu wybrać się na ryby, ale zapłakałbym się z tęsknoty za moim krawcem.

- Tylko za krawcem?

- I oczywiście za tobą, czarodziejko - poprawił się natychmiast, ostentacyjnie całując ją w rękę.

Mariannę znowu się roześmiała. Jamie był nieco podstarzałym dandysem i całkowitym egoistą, ale miał wiele uroku i umiał być świetnym kompanem.

Następny gość stanął w drzwiach, a Masters obwieścił głębokim głosem:

- Markiz Gillingham!

Mariannę podniosła na niego oczy. Jak wspaniale się prezentował w nowym stroju wieczorowym! Dopasowany surdut podkreślał szerokość ramion i korzystnie uwydatniał muskularną pierś. Gillingham postarał się nawet związać fular, jak należy. I kiedy jednak spojrzała mu w twarz, zobaczyła na niej nieoczekiwanie groźny wyraz.

Znów podeszła, by przywitać nowo przybyłego.

- Tak się cieszę, że zechciał pan przyłączyć się do nas, milordzie!

Skłonił się, ale minę nadal miał pochmurną i wargi zaciśnięte. Nim Mariannę zdążyła powiedzieć coś więcej, Louisa też pospieszyła na spotkanie gościa.

- Ależ pan wytwornie wygląda, milordzie! Tak się cieszę, że pana widzę. Nie widzieliśmy się całe wieki!

- Co najmniej dwa dni - odparł z przekąsem.

Mariannę uniosła brwi. Cóż spowodowało tę cierpkość tonu? Chyba nie zirytowały go umizgi

Jamiego McNaira? To by przecież znaczyło... Poczwała, że serce bije jej żywiej. Odsunęła od siebie niemądre przypuszczenie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że markiz spogląda na Jamiego mniej przychylnym okiem niż na pozostałych gości, z którymi witał się uprzejmie, gdy dokonywała prezentacji.

Na szczęście pan Denver wspominał znów o swej chorej klaczy. Okazało się, że temat jest bliski sercu markiza. Panowie dyskutowali zatem o koniach; Roberta Denver od czasu do czasu dorzucała słówko, a siedząca w pobliżu Louisa robiła niezwykle dekoracyjne wrażenie. Jamie McNair poczęstował się znów winem, a Mariannę zerknęła na zegar nad kominkiem. Gdzie pozostali goście? Co prawda spóźnianie się było modne, ale wołała nie denerwować kucharki, zwlekając zbyt długo z obiadem. Kurczę będzie przesuszone, a wołowina zbyt wysmażona.

Ale otóż i oczekiwany dźwięk kołatki! Masters wyslizgnął się dyskretnie, by wprowadzić ostatnich gości na górę.

Wszystko już w porządku! Lokaj wkrótce powrócił i zaanonsował z nienaganną dykcją:

- Lord i lady Gabriel Sinclair!

Nastąpiła chwila ciszy. Lady Sinclair weszła do pokoju - piękna jak zawsze, z jasnymi włosami zebranymi w prosty kok z tyłu głowy, z brylantami w uszach i na szyi, w eleganckiej sukni z bladzielonego jedwabiu. Na jej widok Mariannę poczuła, że nie dorasta tej wytwornej damie do pięt. Lord Gabriel, którego nie miała dotąd przyjemności poznać, okazał się tak niewiarygodnie przystojny, jak głosiła fama, choć jego uśmiech był ponury, a spojrzenie niebieskich oczu twarde. Włosy ciemne, sylwetka smukła i wysoka. To ma być brat markiza Gillinhgama?! Ani krztyny podobieństwa!

Mariannę spojrzwała na markiza i dostrzegła w wyrazie jego twarzy coś, co ją zmroziło. Mimo płomieni wesoło tańczących na kominku temperatura w pokoju raptownie spadła. Z zamierającym sercem pomyślała, że być może popełniła niewybaczalny błąd. Miłe rodzinne spotkanie? Bracia spoglądali na siebie jak wrogowie na polu bitwy.

Automatycznie dokonała prezentacji, zapoznając nowo przybyłych z tymi, którzy zjawili się wcześniej. Gdy doszła do markiza, z trudem opanowała drżenie głosu.

- Lorda Gillinhgama państwo oczywiście znają.

Lord Sinclair skłonił się ledwo dostrzegalnie, bez słowa. Nie był to jawny afront, ale niewiele brakowało. Lady Sinclair okazała się znacznie łaskawsza.

- Jak miło znów cię widzieć, milordzie - zwróciła się do szwagra i wyciągnęła do niego rękę.

Markiz pochylił się nad jej dłonią i odparł sucho:

- Doprawdy nieoczekiwana przyjemność.

Mariannę ogarnęły wyrzuty sumienia. Mój Boże! Czemu nie skonsultowała się z Gillinghamem, zanim zaprosiła jego krewnych? Ale miłe rodzinne spotkanie wydało się jej czymś tak naturalnym.

Lady Sinclair uśmiechnęła się i zaczęła rozmowę z markizem i Louisą. Lord Gabriel wziął kieliszek wina z tacy podsunętej przez lokaja i zaczął przyglądać się obrazowi wiszącemu nad kredensem.

- Widzę, że wetknęłaś nos w gniazdo szerszeni, moja droga. - Jamie McNair przysunął się do Mariannę i mówił niemal szeptem. - Czyżbyś miała nadzieję zażegnać rodową waśń?

- Jeśli się w coś wpakowałam, to nieświadomie - odparowała. - Chyba nie sądzisz, że chciałam zniszczyć własne przyjęcie?

- Nie, nie! Ale wyczuwam wyraźny konflikt w stylu Kaina i Abla -wyjaśnił. - To może być ogromnie interesujący wieczór! Bardzo się cieszę, że przyjąłem to zaproszenie.

- Przyjmujesz każde - odparta, obserwując pozostałych gości. - Wszyscy wiedzą, że nigdy nie jadasz w domu.

- Oczywiście, że nie jadam! Nie mam przecież kucharza. Doskonale wiesz, jak skromne są moje dochody - zgodził się z nią, bynajmniej nieobrażony. -No i w moim kawalerskim

mieszkanek nie ma warunków do przyjmowania gości. Ale lubię odwdziżyć się gospodyni smakowitą anegdotką, a dzisiejszy wieczór może mi dostarczyć mnóstwo materiału.

- Ani się waż! - Spiorunowała go wzrokiem. - Bo powiem pani Carabell, kto rozpuścił tę obrzydliwą dykteryjkę na temat popisów pianistycznych jej córki!

- Będę miał to na uwadze - obiecał. - Ale teraz...

- Teraz choć raz zachowaj się przyzwoicie i pomóż mi ugłaskać gości, żeby nie skoczyli sobie do gardła! - błagała go Mariannę. - Bądź taki miły i opowiedz kilka zabawnych historyjek, byle nie skandalicznych!

- A znasz jakieś zabawne, żeby nic były skandaliczne?! No dobrze już, dobrze. Spróbuję wylać trochę oliwy na wzburzone fale - zgodził się, widząc jej pochmurną minę. - Ale ostrzegam, że niekiedy sprawa jest przegrana od początku!

Mając nadzieję, że nie są to prorocze słowa, Mariannę zdobyła się na odwagę i podeszła do lorda Gabriela.

- Tak się cieszę, że mogłam pana poznać - zaczęła. - Z lady Sinclair miałam przyjemność zaznajomić się na środowych herbatkach u lady Sealey.

- Wiem, Psyche mi opowiadała. Hrabina Sealey to niezwykła kobieta: ostry dowcip, żywy umysł i takie postępowe poglądy! Przyjaźniła się ze zmarłą matką mojej żony.

Mariannę poczuła się nieco swobodniej i skinęła głową.

- Lady Sealey jest wyjątkowo życzliwa dla strapiionych. Ogromnie mi pomogła po śmierci męża.

- Straciła pani męża? Bardzo mi przykro. Czy to jego portret?

' Mariannę spojrzała na obraz przedstawiający sympatycznego młodzieńca o ciemnoblond włosach i piwnych oczach, ujmującym uśmiechu i podbródku znamionującym słabość charakteru.

- Tak, to Harry. Zmarł bardzo młodo.

- Chyba nie miałem przyjemności go znać - powiedział lord Gabriel, sącząc wino i nadal wpatrując się w portret. - Ale nic dziwnego: przez dobrych kilka lat nie było mnie w Anglii.

- Rodzina mojego męża pochodzi z West Country - wyjaśniła Mariannę. - Choć Harry po dojściu do pełnoletności osiadł na stałe w Londynie.

W innej sytuacji zdziwiłoby ja to zainteresowanie gościa osobą jej byłego męża, z którym się nigdy nie zetknął. Podejrzewała jednak, że lord Gabriel wykorzystuje ten pretekst, by odizolować się od reszty gości, a nawet obrócić do nich tyłem. Boże, cóż to będzie za wieczór!

Ujrzała, że Masters pojawił się znów na progu. Pochwyił jej spojrzenie, ona zaś niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

- Obiad podany, jaśnie pani - oznajmił.

- Może przejdziemy do jadalni? - zaproponowała.

Czekała, aż najwyżej postawieni goście ruszą przodem. Lord Gabriel podał ramię żonie.

Markiz, który zajmował oczywiście najwyższą pozycję, dziwnie się ościągał. Na cóż on czeka, u licha?!

- Nie kaźcie się państwo prosić! - powiedziała stanowczym tonem i brat markiza z żoną otwarli pochód i udali się do jadalni. Państwo Denver poszli w ich ślady.

- Widzę, że przypadł mi zaszczyt prowadzenia do stołu najpiękniejszej z tegorocznych debiutantek! - Jamie McNair z uśmiechem podał ramię Louisie.

Panna wyraźnie liczyła na to, że to markiz poprowadzi ją do stołu. Nie miała jednak dość obycia towarzyskiego i doświadczenia, by wykręcić się McNairowi, ruszyła więc razem z nim do jadalni.

I tak oto pozostał tylko lord Gillingham, by dotrzymać towarzystwa pani domu.

- Milordzie - zwróciła się do niego cicho. - Myślałam, że sprawię panu przyjemność zapraszając na kolację pańskich krewnych. . . ,

- Całkiem naturalne przypuszczenie - przyznał.

Poczuła nieprawdopodobną ulgę: a więc nie gniewa się na nią! Ale twarz markiza była nadal bez wyrazu, ona zaś nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju.

Zeszli piętro niżej i wkroczyli do jadalni, gdzie markiz -jako gość honorowy - zajął miejsce obok pani domu. Mariannę wiedziała, że taki układ nie spodoba się Louisie, ale każde inne rozwiązanie byłoby zniewagą dla markiza. Na szczęście jednym z sąsiadów Louisy okazał się lord Gabriel. Z pewnością nie miała nic przeciwko towarzystwu tak czarującego i przystojnego dżentelmena.

Podano pierwsze danie. Wszystko wskazywało na to, że pani Blount przeszła samą siebie. Wymieniane przez biesiadników uwagi zlały się w kojący poszum swobodnej konwersacji, a bracia mogli się ignorować, nie zwracając ogólnej uwagi.

Mariannę początkowo rozmawiała z lordem Gabrielem, którego miała po lewej ręce; potem zaś odwróciła się do markiza. Ten najwyraźniej skoncentrował całą uwagę na talerzu z zupą. Można było tylko żywić nadzieję, że jego druga sąsiadka, lady Sinclair, nie weźmie mu tego za złe.

Widocznie jednak poczuł na sobie wzrok Mariannę, gdyż zerknął na nią, gdy lokaj zabrał talerz po zupie i podał mu porcję ryby.

- Czy ten McNair to jakiś stary przyjaciel? - spytał.

Mariannę spojrzała na miejsce zwyczajowo przeznaczone dla pana domu, które zajmował Jamie.

- Chyba można to tak określić - odpowiedziała ostrożnie, nie bardzo wiedząc, o co markizowi właściwie chodzi, - Był przyjacielem mego zmarłego męża, toteż znam go od lat. Przeważnie zapraszam go, ilekroć goszczę u siebie kilka osób, gdyż jest bardzo towarzyski i prawie zawsze można na niego liczyć, chyba że ma już wieczór zajęty.

- Ale nie jesteście zaręczeni? - spytał prosto z mostu. Zdumiała ją taka obcesowość.

- Nie, oczywiście, że nie. Jesteśmy tylko w przyjaznych stosunkach. Wątpię, czy pan McNair kiedykolwiek się ożeni - dodała. - Nie jest chyba stworzony do rodzinnego życia.

Spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę. Cóż go mogło obchodzić, jakie stosunki łączą ją z Jamiem?

- Nie ma rodzinnego majątku, o który powinien się zatroszczyć?

- Chodzi panu o to, czy musi starać się o syna i spadkobiercę jak pan? Przyglądała mu się bacznie, zastanawiając się, czy spytać o przyczynę napiętych stosunków z bratem. Jednak nie zdobyła się na to.

- Właśnie - odparł na jej pytanie, ale ku rozczarowaniu Mariannę nie wyjaśnił powodów swego zainteresowania McNairem.

- O ile wiem, to nie — powiedziała z roztargnieniem i nadal głowując się nad przyczynami tak jawnej wrogości między markizem a jego bratem, zmieniła temat. - Lord Gabriel powiedział mi, że spędził dłuższy czas za granicą.

- Nie wyjechał z Anglii dla rozrywki, tytko z konieczności - odparł, zniżając głos Gillingham. Cóż to miało znaczyć, u licha? Mariannę z impetem ułamała kawałek chleba. Chętnie by nim cisnęła w siedzącego obok niej mężczyznę.

- A pana, milordzie, nie kusiły podróże?

- Cóż by mi z nich przyszło? Nie ma to jak we własnym domu.

- Bez wątpienia, ale jest tyle cudów, które warto obejrzeć...

- Tak, tak... Już pani o tym wspominała. Ciągnie panią w świat?

Do diabła! Ten człowiek jest jak na jej gust zbyt spostrzegawczy! Mariannę uświadomiła sobie, że w jej głosie zabrzmiała tęskna nuta, gdy wspomniała o zamorskich cudach. Pospiesznie skierowała rozmowę na mniej osobiste tory, mówiąc z ożywieniem:

- Jest tyle różnych sposobów poznawania świata! W tym tygodniu w Instytucie Sztuki otwarto wystawę malarstwa włoskiego i francuskiego. Przede wszystkim pejzaże.

- Miałaby pani ochotę ją obejrzeć'? Z radością będę towarzyszył pani... i oczywiście pannie Crookshank.

Siedząca z dala od nich Louisa podniosła głowę. Czyżby z tej odległości usłyszała własne nazwisko? Bez wątplenia!

- Jestem pewna, że i jej, i mnie sprawi to ogromną przyjemność-odparła Mariannę. (Nie natkniemy się chyba na żadnych niepożądanych krewnych! -dodała w duchu).

John nie pozwolił sobie na nic więcej niż okazanie uprzejmego zainteresowania. Obiad dłużył mu się nieznośnie. Miał jednak obok siebie panią Hughes, dzięki czemu niemiłą, obecność tamtych dwóch - po jej drugiej ręce i po przeciwnej stronie stołu - mógł spokojnie ignorować.

W końcu jednak nadeszła pora, by panie opuściły jadalnię. John zauważył niespokojne spojrzenie, jakim obrzuciła go pani domu, nim wstała, by wyprowadzić damy (niczym stadko eleganckich i nadobnych kwoczek) do salonu. Mężczyźni pozostali przy porto i nieskrępowanej męskiej pogawędce - teoretycznie. John wlepił wzrok w kieliszek ciemnoczerwonego trunku, ignorując pozostałych dżentelmenów. Denver i ten cholerny McNair, jak mogli, podtrzymywali konwersację, gędząc o zbliżających się wyścigach. Młodszy z Sinclairów był też zdumiewająco małomówny. Gdzież jego słynny dowcip i zabawne anegdotki? Gdzież się podział ten fircyk, ten czaruś Gabriel, którego John z całego serca nienawidził? I to nie bez powodu! -powtarzał sobie w duchu. Nie bez powodu!

Po kilku minutach wymuszonej konwersacji nawet tamci dwaj zaniechali dalszych wysiłków i zapadło milczenie. McNair wypił potężny łyk wina.

- Żal zostawiać takie dobre porto, ale mam wrażenie, mój stary, że obaj jesteśmy wyraźnie de trop. Wygląda na to, że pozostali dżentelmeni chętnie by wszczęli rodzinną dyskusję.

Ma błyszczące oczka jak wścibska sroka! - pomyślał John i znów wezbrała w nim niechęć. Podły sukinsyn!

Wiedział jednak dobrze, że jego gniew nie jest skierowany przeciw McNairowi, choć poufałość, z jaką odnosił się do pani Hughes, była niezwykle irytująca. Ale to nie jego, tylko tamtego milczącego człowieka, który też nosił nazwisko Sinclairów, John chciał chwycić za gardło i...

Markiz zacisnął wargi i nie odezwał się ani słowem. Mały grubas kiwnął na kompana.

- No to jak? Przejdziemy do pań? Ale porto zabieram ze sobą! - Dolał sobie portwajnu i z kieliszkiem w ręce skierował się ku drzwiom, rzucając jeszcze przez ramię: - Tylko bez rozlewu krwi, panowie, bo zniszczycie dywan!

Wyszli, ostentacyjnie zamykając za sobą drzwi.

Zostali tylko we dwóch - John i Gabriel - siedząc w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie przy tym samym stole. Służba zdjęła obrus jeszcze przed deserem i John oparł się ramieniem o polerowany blat.

Nie miał bratu nic do powiedzenia. A może jednak?

Nadal wpatrywał się w swój kieliszek.

- Przysięgłem sobie, że już nigdy nie zasiądę z tobą przy jednym stole -burknął, nie podnosząc oczu.

- Ja też - odparł sucho Gabriel.

- Więc skądś się tu wziął? - Pytanie zagrzmiało jak trzaśnięcie z bicia. John odetchnął głęboko i zdołał zapanować nad głosem, nim znów się odezwał. - Z pewnością wiedziałeś, kogo tu spotkasz. Ja nie miałem pojęcia!

- Jak wiesz, jestem żonaty - odpowiedział po chwili Gabriel.

- I żona tak cię wytresowała, że idziesz za nią wszędzie jak grzeszny piesek?

Była to grubiańska uwaga i John dobrze o tym wiedział, ale nie mógł już powstrzymać goryczy, która w nim wezbrała. Gabriel miał żonę... piękną, inteligentną, podniecającą żonę, z jakiej każdy mąż byłby dumny. Nie chodziło zresztą o to, że John pożył swej jasnowłosej, eleganckiej bratowej, tylko o to, że Gabriel zawsze dostawał, czego chciał, że kobiety zawsze

się do niego garnęły, że zdobywał bez wysiłku ich podziw i miłość, podczas gdy on... John powściągnął swe zbuntowane myśli i czekał na gwałtowną ripostę Gabriela. W tej chwili porządna kłótnia sprawiłaby mu ulgę: mógłby ciskać ostrymi jak noże słowami w gładką, nieoszczędną, bezczelnie piękną gębę swego braciszka.

Ale młodszy Sinclair odezwał się bez pośpiechu, z rozważą.

- Mam żonę, która mnie kocha, wierzy we mnie i jest pewna, że zawsze będę kierował się honorem. Staram się jej nie zawieść, sprostać jej oczekiwaniom. I dzięki temu odkrywam w sobie siły i szlachetne porywy, o jakich mi się nawet nie śniło. Kto wie? Może i ty kiedyś tego doświadczysz?

- Kto wie?! Może i ja?! Myślisz, że nie potrafię sobie znaleźć żony?! - rzucił z gniewem ugodzony do żywego John.

Gabriel spojrzął na niego ciemnoniebieskimi oczyma, którymi umiał zawojować każdą kobietę. W tej chwili nic nie można było z nich wyczytać.

- Możesz oczywiście znaleźć kobietę, która zgodzi się wyjść za ciebie. Nie brakuje takich, co wszystko zrobią dla tytułu i bogactwa.

- Żebyś z piekła nie wyjrzał, podły zarozumialcu! - John trzasnął tak mocno kieliszkiem o stół, że wino rozlało się po wypolerowanym blacie. - Myślisz, że żadna mnie nie zechce? Bo nie jestem... Bo nie mam...

Nie mógł skończyć. Słowa były zbyt gorzkie i bolesne, by je wykrztusić.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie sztuka ożenić się z byle kim, ale by znaleźć właściwą żonę, trzeba mieć rozum i serce. Taką, do której człowiek pędzi, nie zważając na wszelkie pokusy. Taką, która rozjaśnia mu każdy dzień i rozpala każdą noc. Taką, dzięki której po raz pierwszy w życiu ma się naprawdę dom.

Urwał, bo poczuł widocznie, że zbyt się zagalopował. John nie był jednak w nastroju do sondowania duszy swego brata. W jego własnej odezwał się dawny ból; cierpiał do tego stopnia, że refleksje Gabriela docierały do niego przez gęste opary gniewu i gorzycy.

W słowach młodszego brata było, niestety, zbyt wiele prawdy. Czyż John zbyt pośpiechem nie zniszczył swych szans na osobiste szczęście? Czy nie wpakował się w narzeczeństwo, które legło mu na karku nieznośnym brzemieniem? Na samą myśl o słodkiej, ślicznej pannie Crookshank chciało mu się wyć!

Gabriel nadal bacznie go obserwował.

- Nawet ci nie mogę szczerze życzyć, byś znalazł taką żonę i takie szczęście - powiedział jakby z żalem.

Przez ułamek sekundy John miał wrażenie, że zamiast zwykłego szyderstwa dostrzega w jego oczach litość.

Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość i próbował się opanować. Nie mógł przecież popełnić morderstwa w jadalni pani Hughes i narobić jej piekielnego kłopotu! I tylko ta myśl powstrzymała go przed szaleńczym wybuchem.

- Nie potrzebuję twoich dobrych życzeń, szczerych czy nieszczerych!

- .. .ponieważ - kontynuował Gabriel - nie wierzę, byś ją dobrze traktował... a nie chciałbym, żeby jakaś kobieta musiała cierpieć tak jak nasza matka, .

John zaczerpnął gwałtownie powietrza. Zrywał się już od stołu, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał lokaj - niewiarygodnie dzielny lub niebotycznie głupi.

- Może jaśnie panom czegoś jeszcze trzeba?

Katowskiego miecza, żebym mógł odrąbać łeb mojemu bratu! - pomyślał John, zaciskając oczy, by nie patrzeć na tego matoła i nie zdradzić się z przemożnym pragnieniem. Jeszcze tak nisko nie upadł, by w obecności służby ujawniać własne uczucia i czarną rodziną, nienawiść.

- Niczego, możesz odejść.

Lokaj skłonił się i zamknął drzwi.

John wstał i demonstracyjnie odwracając się od brata, oświadczył (choć prawdę mówiąc,

Gabriel nie zasługiwał nawet na takie wyróżnienie!):

- Przyłączę się do pań. A ty idź, gdzie chcesz, najlepiej do diabła!

- Dzięki za braterską troskę - odparł sucho Gabriel. - Możesz mi wierzyć, że w pełni odwzajemniam twoje uczucia. Niestety, zasady dobrego wychowania i względy należne naszej gospodyni zmuszają mnie do zachowania pozorów uprzejmości. Nie wyobrażasz sobie, z jaką przyjemnością potraktowałbym cię całkiem odmiennie!

John mruknął coś, lecz w obawie, że nie zapanuje nad językiem, nie próbował nawet odpowiadać. Nie zważając na brata, otworzył drzwi i ruszył ku schodom wiodącym na górę, do salonu.

Tam rozdrażnił go jeszcze bardziej widok McNaira siedzącego obok pani Hughes, którą bawił jedną ze swych zręcznych anegdotek. Przez sekundę czuł straszliwą nienawiść do gładkich światowców, którzy potrafią wszystkich oczarować i wywołać uśmiech na ustach damy. Cóż po nowych eleganckich strojach, kiedy człowiekowi brak swobody i gracji?

Na twarzy markiza musiały malować się wszystkie te uczucia, gdyż po jego wejściu do pokoju zapadła cisza; nawet panna Crookshank, która najwyraźniej zamierzała podbiec do niego, nie zdecydowała się na to.

Ostatecznie więc to pani Hughes, obdarzona niegasnącą odwagą ruszającego do bitwy rycerza, podeszła do markiza i cicho spytała:

- Czy mogłabym coś dla pana zrobić, milordzie?

Powinien być na nią zły za to, że zaprosiła tego przekłętą drania, jego brata! Powinien, ale spoglądając w jej niespokojne szaroniebieskie oczy i wiedząc, że podziela jego zdenerwowanie, ani rusz nie mógł wyładować na niej wściekłości. Co więcej, trawiący go jad i gorycz nieco słabły, gdy miał ją przy sobie, wdychał subtelny zapach jej różanych perfum, wpatrywał się w jej delikatne rysy i marzyło tym, by jej dotknąć...

Ktoś z pozostałych gości zwrócił się do pani Hughes; nie mogła, oczywiście, zajmować się tylko nim! John podszedł do kominka i zapatrzył się w ogień. Można by pomyśleć, że chciał się ogrzać, choć w rzeczywistości gniew w nim płonął i krew kipiała mu w żyłach.

Gabriel tymczasem po cichu konferował z żoną. Po chwili lady Sinclair podeszła do gospodyni.

- Mam nadzieję, że wybaczysz nam, Mariannę, ale głowa mnie rozbolała i musimy się chyba pożegnać. Serdeczne dzięki za pyszny obiad i uroczy wieczór.

Uroczy wieczór?! John omal się nie roześmiał. Spojrzał na swego brata żegnającego panią Hughes wytwornym ukłonem. Po chwili pięknej pary już nie było. Bogu dzięki!

Ponieważ John nie miał już nadziei na choćby najkrótszą prywatną rozmowę z panią Hughes (a tylko to mogło sprawić mu przyjemność i osłabić palący go ból i gniew), a nie był po prostu w stanie włączyć się do ogólnej salonowej konwersacji, postanowił pójść za przykładem brata i bratowej.

Pożegnał się więc najwytworniej, jak potrafił, udając, że nie dostrzega zawiedzionej miny panny Crookshank. Wyrazu twarzy pani Hughes nie mógł zgłębić, ale w jej oczach wyczytał troskę.

- Stawię się jutro-obiecał.

Przeszedł do frontowego holu i odebrał od lokaja kapelusz i rękawiczki. Czekał na dziedzińcu, aż zajedzie wynajęty przez niego powóz. Wsiadł do mrocznego wnętrza i odetchnął z ulgą: nie musi już stroić uprzejmych min, by kogoś nie obrazić!

Niech sobie Gabriel jedzie do domu ze swą śliczną żoną, niech spędza z nią tyle czasu, ile chce i jak chce... A on jak zawsze wróci sam i nikt go nie powita prócz Małej.

Ten trawiący gniew i ta bolesna samotność będą mu widać towarzyszyć do śmierci. Nawet gdyby poślubił... kiedy poślubi pannę Crookshank, nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia. Odetchnął głęboko. Potrafi znieść po męsku swój los, nie będzie się użalał nad sobą! Gabriel

od początku odznaczał się urodą wdziękiem, a on w towarzystwie swego podbijającego wszystkie serca braciszka zawsze czuł się gorszy i niezgrabny. Potem zaś dopadła go straszna choroba, przemieniając raz na zawsze w ohydny potwora, godnego może litości, ale na pewno nie miłości wytwornej i wrażliwej damy. I nagle towarzyszący mu nieustannie wstręt do samego siebie stał się jeszcze straszliwszy i bardziej palący.

Droga do spokojnego zajazdu wydawała mu się wyjątkowo długa, ciemność roiała się od wspomnień bardziej przerażających niż wszelkie opowieści o upiorach, wampirach, potępieńcach.

Kiedy powóz zatrzymał się wreszcie przed oberżą, John wysiadł i kazał woźnicy jechać natychmiast do stajni. Niecierpliwym gestem odegnał służącego, który wyjrzał z ogólnej izby z szynkwasem, i samotnie powędrował na górę do swego pokoju.

Mała wybiegła mu natychmiast na spotkanie, skakała, drapiąc niezbyt czystymi łapkami jego nieskazitelnie czyste pończochy i szczełała radośnie.

- Spokój! Zmitygował ją John, ale pochylił się, by pogłaskać psiaka po głowie. - Dobrze już, dobrze. Ja też się za tobą stęskniłem. Chodź, przejdziemy się troszkę przed snem.

Pies, który przez kilka godzin siedział w zamknięciu, radośnie zbiegł ze schodów i wypadł na ulicę. Na szczęście o tej porze nie było prawie ruchu.

John oparł się o ścianę sąsiedniego budynku i czekał, aż pies załatwi swe potrzeby. Potem wróca do domu i napije się wina. Kieliszek albo i dwa... Kto by się przejmował tym, że jutro będzie go bolała głowa? Znacznie gorszy ból, który od czasu, gdy pogodził się ze swym losem, zaledwie tlił się w jego sercu, wybuchnął z nową siłą, podsycony obrazem małżeńskiego szczęścia brata, a przede wszystkim urokiem cudownej, kuszącej pani Hughes, której John pragnął ciałem i duszą, nieustannie, coraz bardziej ... i nie mógł nawet uczciwie się do niej zalecać, uwikłany w te bzdurne zaręczyny z jej siostrzenicą. Jak można uwolnić się od takiej niewinnej młodej panienki? Z pewnością, krzywdząc ją, nie pozyskałby względów jej ciotki!

Przymknął na chwilę oczy, starając się odpędzić od siebie myśli, które wisały nad nim jak chmura czarnego dymu. Nagle usłyszał ostre szczekanie psa.

- Do nogi, Mała! - rozkazał surowo. - Żadnego ganiania za kotami w środku nocy!

Pod ścianą oberży przemknął jakiś cień. To nie kot, tylko coś znacznie większego! John zmrużył oczy, by przyjrzeć się dokładniej. Słyszał warczenie psa i stuk jego pazurków na bruku. Ruszył w tamtym kierunku, pochylając nieco głowę, by przywołać Małą do siebie.

Usłyszał szelest... dostrzegł ruch... poczuł lekki zapach...

A potem mocne uderzenie w głowę - i zapadł się w wirującą ciemność.

10

To było doprawdy ogromnie zajmujące - oświadczył Jamie McNair.

Mariannę spiorunowała go wzrokiem. Po wyjściu połowy zaproszonych gości poprosiła Louise, by zagrała na fortepianie, by sprawić przyjemność pozostałym. Panienka - jak zawsze - zgodziła się chętnie i z temperamentem wykonała jakiś utwór. Bóg tylko wie, jak bardzo przydała się im wszystkim ta odrobina wesołości!

Mariannę podejrzewała jednak, że słowa McNaira, który miał skłonność do intryg, nie odnoszą się do występu Louisy.

- Uważaj, Jamie! - mruknęła do siedzącego obok niej dandysa, po czym odwróciła się do siostrzenicy i przyłączyła do oklasków. - Brawo, Louiso! Zagraj nam coś jeszcze.

- Może balladę? - wtrącił swoje trzy grosze Jamie. - Znam jedną o dwóch braciach, którzy pozabijali się nawzajem... '

Mariannę bez wyrzutów sumienia potraktowała go jak powietrze.

- Może ten nowy utwór Haendla, który kupiliśmy w sklepie z nutami w zeszłym tygodniu? A jeśli ballady są teraz w modzie, to wykonaj którąś z twego repertuaru i koniecznie poproś

pana McNaira, by zaśpiewał z tobą w duecie. Znakomity tenor!

Jamie wydawał się lekko zażenowany.

- Doprawdy, zbytek łaski...

Ale Louisa uśmiechnęła się promiennie do podstarzałego tenora.

- Proszę się zgodzić! Bardzo bym chciała zaśpiewać razem z panem! Pusząc się nieco, Jamie podszedł do fortepianu i przebijając w nutach, znalazł jakąś nieszkodliwą balladę. Mariannę odetchnęła z ulgą. Boże, co za wieczór! Czemu nie ostrzegła markiza, że zamierza zaprosić jego brata? Wydawało się jej to czymś tak prostym i naturalnym... Ale uczucia rodzinne nie zawsze bywają proste i naturalne. Nieraz przypominają kłębek splątanych nici.

Louisa i Jamie popisywali się w duecie, a Mariannę starała się okazywać im należną uwagę. Wreszcie wieczór dobiegł końca i zarówno Denverowie, jak i Jamie pożegnali się.

- Nie zapomnij mnie zaprosić i następnym razem, gdy będziesz gościła u siebie braci Sinclairów - szepnęła Jamie z kpiącym spojrzeniem, składając ukłon i ściskając rękę pani domu. - Ubóstwiam familijne waśni! O ileż więcej w nich zajadłości niż w innych, zwykłych sporach! Mariannę trzepnęła go wachlarzem po ramieniu.

- Radzę ci, bądź dyskretny. Pamiętaj, co ci obiecałam! - ostrzegła go. Jamie zachichotał i wziął kapelusz z rąk lokaja.

Kiedy drzwi się wreszcie zamknęły za McNairem, Mariannę pokazała mu język. Nie mógł już tego oczywiście zobaczyć, a Masters bardzo się zdziwił. Poczuli się nagle śmiertelnie znużona i ruszyła po schodach na górę. Louisa pobiegła za nią.

- Ciociu Louiso, czemu markiz i jego brat tak dziwnie się zachowywali? Lord Gillingham był ponury jak noc! Sama już nie wiedziałam, o czym z nim rozmawiać.

- W każdym razie o bracie lepiej mu nie wspominać - ostrzegła ją Mariannę. - Nie wiem, o co im poszło, ale bez wątpienia mają ze sobą na pieńku.

- Lord Gabriel jest taki przystojny, że aż dech zapiera! Ale przy obiedzie, ilekroć spytałam o ich wspólne dziecinne lata, zaraz zmieniał temat. Opowiadał mi bardzo zabawne anegdotki o swych podróżach, aleja tak się chciałam dowiedzieć, jakim chłopcem był markiz Gillingham! Może lord Gabriel wcale nie jest taki miły, na jakiego wygląda? W każdym razie, jeśli się kłóć, to na pewno nie z winy markiza! - stwierdziła jak przystało na lojalną narzeczoną, Mariannę była zbyt znużona, by pokusić się o rozwiązanie tej zagadki, zwłaszcza że nie miała pojęcia, o co chodzi. Wzruszyła więc ramionami.

- Ale w końcu markiz obiecał, że jutro przyjedzie, prawda? - spytała Louisa, zatrzymując się przed drzwiami swego pokoju.

- Tak, obiecał, że zabierze nas na wystawę włoskiego malarstwa - potwierdziła Mariannę i przypomniawszy sobie o tym, poczuła się spokojniejsza. - Śpij dobrze, Louiso!

- Z pewnością tak będzie - odparła panienka. - Dziękuję ci, najdroższa ciociu, że zechciałaś wydać dla mnie ten obiad! Jakaś ty dobra! - Uściskała pospiesznie swą opiekunkę.

Taka z niej kochana dziewczyna, myślała Mariannę, idąc do swego pokoju. Zasluguje na dobrego męża, ale czy to musi koniecznie być markiz?!

Z niezwykłą gwałtownością sama zaczęła wyciągać szpilki z włosów, wrywając za każdym razem cieniutkie pasemka. Potem, pocierając obolałą głowę, odetchnęła głęboko parę razy i pozwoliła Hackett porozpinać guziki i uwolnić się od wieczorowej sukni.

John otworzył oczy i przekonał się, że leży twarzą w błocie, które w dodatku cuchnęło końskim moczem. Mała zawzięcie lizała go po policzku mokrym językiem.

- No, no... Dość już tego. - John podniósł się i siadł prosto, Był niezbyt przytomny, głowa go bolała jak diabli. Co się właściwie stało? Potknął się i upadł?

I nagle pamięć mu wróciła. Uderzono go czymś w głowę. Pamiętał, jak pies szczekał i warczał. Pewnie chciał go ostrzec przed napastnikiem. Z pewnością ktoś czał się w mroku.

Szkoda, że nie zdążył przyjrzeć się temu draniowi!

Z bijącym mocno sercem dźwignął się na nogi. Ktoś go uderzył. Kto wie, czy nadal nie ukrywa się w pobliżu? Może niebezpieczeństwo wcale nie minęło?

Zachował się głupio, nie zwracając uwagi na otoczenie. To nie ustronna wieś, nie jego własna posiadłość! To przedmieścia Londynu rojące się od kryminalistów gotowych w każdej chwili zaatakować lekkomyślną ofiarę. Przecież właśnie dlatego wybrał niewielką gospodę jak najdalej od centrum miasta i oto, co go za to spotkało.

Całkiem już oprzytomniawszy, rozejrzał się dokoła. Ale tylko samotna furmanka turkotała po bruku. Poza tym ulica i dziedziniec zajazdu wydawały się puste.

Wyciągnął chustkę i otarł błocko z twarzy. Jego nowy elegancki kapelusz leżał na ziemi. Schylił się po niego i aż jęknął, gdy pod wpływem nagłego ruchu pod poszkodowaną czaszką znów zaczęło wirować. Wyprostował się powoli i stwierdził, że trzymane w ręku nakrycie głowy nadaje się już tylko do wyrzucenia. Wytworny kapelusznik z pewnością by nie poznał swego arcydzieła. Jednak sztywny kapelusz stracił fason w dobrej sprawie: osłabił siłę ciosu, może ocalił mu życie. To ważniejsze niż elegancja!

Mała też zachowała się po bohatersku: ujadła, warczała na napastnika. John sięgnął do kieszeni surduta. O dziwo, niczego nie brakowało. Czyżby pies swą zjadłością odstraszył niedosłanego rabusia? John zrobił kilka kroków po omacku, usiłując coś wypatrzeć. Mała ochoczo ruszyła za nim i zatrzymała się, by poniuchać strzępek cienkiego sukna.

Choć wiedział, że ten ruch spowoduje kolejny zawrót głowy, John schylił się i podniósł znalezisko suki. Strzępek był wilgotny i pachniał krwią. Nie ulegało wątpliwości: zęby Małej zapoznały się z czyjąś łydką!

- Dobra sunia! - pochwalił jaj miał nadzieję, że rzezimieszek czuje się w tej chwili równie fatalnie jak on. - A teraz do domu! Mieliśmy dość wrażeń jak na jedną noc!

Godne zakończenie pechowego wieczoru! - pomyślał. Wrócił na dziedziniec zajazdu i zastanawiał się, czy nie powiadomić kogoś o tym napadzie. Doszedł jednak do wniosku, że niewiele by to dało. Winowajca dawno uciekł, a jego mdliło na samą myśl o słuchaniu niekończących się przeprosin i biadoleń oberżysty.

Kieliszek wina, zimny okład na bolącą głowę, a potem kąpiel i do łóżka -oto wszystko, czego pragnął. No, niezupełnie, ale to było wszystko, na co mógł Uczyć. Tym, czego pragnął najbardziej, była urzekająca kobieta o ciemnych włosach i szaroniebieskich oczach, których spojrzenie przenikało mu do wnętrza duszy, ale ona była dla niego nieosiągalna. Przynajmniej na razie.

Cichym gwizdnięciem przywołał do siebie psa i razem z Małą wrócili do pokoju.

Następnego dnia powóz lorda Gillinhama zgodnie z obietnicą zajechał przed frontowe drzwi. Louisa, która przez cały ranek go wyglądała, popędziła do salonu zawiadomić ciotkę.

- Już jest! - oznajmiła bez tchu. - Chodźmy, cioteczko!

Mariannę zerknęła do lustra i poprawiła kapelusz, po czym zeszła ze schodów bardziej statecznym krokiem niż Louisa. Choć na zewnątrz wydawała się niewzruszona, czuła, że ogarnia ją fala szczęścia.

Markiz pomógł paniom wsiąść do powozu. Mariannę zauważyła, że wyglądał blado. Nie były to chyba skutki wczorajszego nieudanego wieczoru?

- Dzień dobry, milordzie. Mam nadzieję, że dobrze się pan miewa? - wypowiedziała tę utartą formułkę ze szczerym niepokojem.

- Głowa mnie trochę boli - przyznał.

Mariannę odniosła wrażenie, że skrzywił się lekko, poprawiając swój nieodłączny szerokoskrzydły kapelusz.

- Może odłożymy naszą wyprawę? - spytała z troską w głosie. Louisa zrobiła wielkie oczy i już miała zaprotestować, ale lord Gillingham potrząsnął głową.

— Nie, nie! Zaraz mi przejdzie -zapewnił.

Dał znak stangretowi i brek ruszył, włączając się w strumień pojazdów.

Kiedy dotarli do celu, tym razem stajenny pomógł paniom wysiąść. Na wystawie było tłoczno i Mariannę z rozmysłem została nieco z tyłu, by Louisa i markiz mogli trochę ze sobą porozmawiać, przyłączywszy się do tłumu zwiedzających, którzy podziwiali w wielkim skupieniu uroki włoskiej wsi i sielskie pejzaże.

Obrazy były istotnie piękne. W Mariannę znów odezwały się dawne marzenia, nigdy niezrealizowane, od lat ukrywane. Będąc młodziutką dziewczyną, przysięgała sobie, że - zgodnie ze słynnym porzekadłem - musi ujrzeć Wenecję, zanim umrze, i podziwiać piękno zamków nad Loarą, kiedy wreszcie dobiegnie kresu ta niekończąca się wojna z Napoleonem. Chciała na własne oczy zobaczyć piramidy egipskie i słynny mur chiński. Były to bardzo nierealne marzenia, być może nawet niestosowne dla dobrze wychowanej młodej damy. Zdawała sobie z tego sprawę i dlatego bardzo rzadko o nich wspominała, wiedząc, że dostanie tylko burę od matki. Ale podobnie jak jej zamknięty w sobie ojciec, który znajdował szczęście jedynie w świecie książek, tęskniła za czymś więcej niż życie towarzyskie w prowincjonalnej parafii czy nawet na londyńskich salonach.

Przez następne pół godziny pozwoliła swoim myślom błądzić wśród uwiecznionych na obrazach uroków natury, Louisa zaś uśmiechała się do towarzyszącego jej wysokiego mężczyzny, dzieląc się z nim swoją opinią na temat obrazów olejnych i akwrel w ozdobnych złotych ramach. Markiz potakiwał i grzecznie odpowiadał na pytania. Wkrótce jednak panna spostrzegła młodą damę, z którą zawarła znajomość u lady Sealey, i zatrzymała się, by z nią pogawędzić.

Lord Gillingham cofnął się nieco i stanął obok Mariannę.

- Może przysiadziemy na chwilkę? - zaproponował.

— Gdzie? - spytała praktycznie.

Markiz wziął ją za ramię i podprowadził do bocznej ściany sali wystawowej; udało mu się wyczarować dwa krzesła i przyciągnąć uwagę jednego z kelnerów, którego posłał po herbatę.

— Czy głowa nadal panu dokucza? - spytała z niepokojem Mariannę, widząc, jaki jest przygaszony.

- To nic wielkiego - odparł sucho. - Może lekka niestrawność z powodu nadmiaru och jakże pięknych i szczęśliwych wieśniaków.

- Nieraz się zastanawiam, czy rzeczywiście są tak beztroscy i radosni jak się ich zwykło przedstawiać - przytaknęła ze śmiechem. - Podejrzewam też, że prawdziwe wiejskie chatki nie bywają takie przytulne jak na tych ślicznych obrazkach w złotych ramach!

- Na obrazie dach nie przecieka - przyznał. - Chociaż i moim dzierżawcom nie leje się na głowę. Gdybym tylko usłyszał o czymś takim, zaraz by było zreperowane. Osobiście bym dopilnował!

- Jestem tego pewna - przytaknęła Mariannę. Nie wątpiła, że markiz dba o swoją posiadłość i dzierżawców. Choć raczej szorstki w obejściu, aczkolwiek nieco się już ucywilizował, obracając się w kulturalnym towarzystwie, był z gruntu dobrym człowiekiem. Z każdą chwilą umacniała się w tym przekonaniu. Należał do ludzi, którzy pomogą bliźniemu w potrzebie i będą cieszyć się szczerze, gdy mu się poszczęści.

Wróciła na chwilę myślą do swego zmarłego męża. W trudnej sytuacji Harry wrzeszał tylko ramionami i liczył na to, że ktoś go wyciągnie z opresji. To Mariannę musiała ugłaskać rozsierzonego wierzyciela, kiedy Harry przegrał w karty większość ich kwartalnej pensji, a gdy trzeba było wyrzucić kogoś ze służby, to znów Mariannę musiała mu oznajmić, że ma się wynosić. Nieraz czuła się raczej matką czy starszą siostrą Harry'ego niż jego żoną!

Od chwili, gdy opuściła dom rodzinny, by wyjść za mąż, pozostawiając cierpliwego, żyjącego w świecie książkach ojca i zapobiegliwą, wiecznie krzątającą się matkę, nie mogła liczyć na

niczyją- zwłaszcza męską- pomoc. Na początku była rozczarowana, że mąż nie potrafi podjąć decyzji, jest niezaradny i wymiguje się od odpowiedzialności. Ale powiedziała sobie surowo, że złączyła się z Harrym na dobre i na złe. Ukryła rozczarowanie, zrozumiała, że życie to nie bajka, a rycerz spieszący na ratunek damie w opresji to tylko twór poetyckiej wyobraźni. Nieugiętych bohaterów, o których snią podlotki, nie ma co szukać w realnym życiu.

A jednak w głębi serca pozostał cień dawnej wiary w istnienie mężczyzn silnych i łagodnych zarazem, pełnych zrozumienia, a równocześnie stanowczych.

Teraz wydawało się jej, że mogłaby liczyć na pomoc lorda Gillinhgama -napoiłby ją, gdyby była spragniona; podtrzymałby na wyboistej drodze. A uczucia, jakie się w niej budziły, gdy ręce ich się stykały lub gdy opierała się na jego ramieniu, nie były wcale bratersko-siostrzane! Podziękowała kelnerowi, który przyniósł herbatę, ale towarzyszące tym słowom spojrzenie przeznaczone było dla markiza.

Przysięgła sobie, że w rozmowie z nim nie wspomni o wczorajszym nieudanym wieczorze, ale ku jej zaskoczeniu Gillingham sam poruszył ten temat.

- Obawiam się, że zepsułem pani przyjęcie - powiedział dość szorstko. -Jak widać, nie ma ze mnie wielkiego pożytku na salonach.

Już miała go zapewnić, że się myli, gdy przechodząca obok nich okazała jejmość, zerknąwszy na markiza, znieruchomiała i zmieniła się na twarzy.

Lord poczerwieniał i zsunął jeszcze niżej rondo kapelusza, a jejmość ruszyła dalej, szepcząc coś do swej towarzyszki.

Usta Mariannę wykrzywił gniewny grymas. Impulsywnie położyła markizowi rękę na ramieniu.

- Niech pan nie zważa na tych głupców! - wybuchnęła. .

Popatrzył jej w oczy. Nim odgrodził się znów barierą, zdołała dostrzec, jak bardzo go bolały wścibskie spojrzenia bezmyślnych gapiów.

- Trudno mieć im to za złe - odparł szczerze. - Każdy wzdyga się na widok takiej potworności,

- A ja mam im to za złe! - odparowała. - To chamstwo gapić się i otwarcie krytykować czyjąś powierzchowność! Zwłaszcza z powodu takiej drobnostki!

Od dawna przywykła do wyglądu markiza i teraz, patrząc na niego, prawie nie dostrzegała śladów po ospie. Wyraźnie za to widziała jego ciemne oczy, silnie zarysowany nos, usta zbyt wrażliwe, by - mimo wszelkich starań - ukryć wszelkie uczucia, przeważnie ból, niekiedy nagłą wesołość.

- Drobnostki?!

Spojrzał na nią z najwyższym zdumieniem. Już miała mu wytłumaczyć, jak dalece ślady po ospie wyrównały się, gdy nakrył dłonią jej rękę spoczywającą na jego ramieniu.

Ileż miał w sobie siły! Nawet przez podwójną warstwę swojej i jego rękawiczki czuła ciepło jego ciała i energię, która w nim pulsowała, a w niej budziła - niczym iskra elektryczna - natychmiastową reakcję. Poczuła bolesny skurcz pożądania, którego ledwie zdążyła posmakować w czasie zbyt krótkiego małżeństwa, potem zaś -jak sądziła - pożegnała się z nim raz na zawsze,

Coś jej jednak mówiło, że gdyby ten człowiek, od którego emanowała męska siła, pochylił się i pocałował ją w usta, nie przypominałoby to wcale pocałunków, jakimi darzył ją niegdyś młodzieńki mąż. Dreszcze przebiegły jej po skórze, wewnętrzny ból się nasilił. Bezwiednie pochyliła się ku markizowi.

Jakaś kobieta zachichotała i Mariannę nagle uświadomiła sobie, że otaczają ich tłumy ludzi. Cizba zwiedzających wymieniała uwagi, śmiała się i przepychała. Stanowczo nie było to odpowiednie miejsce do snucia niepokojących fantazji. Jak mogła do tego stopnia się zapomnieć? Zaczerwieniła się, wyprostowała i wysunęła rękę z uścisku Gillinghama. Nie bez żalu.

- Największe wrażenie zrobił na mnie ten wielki pejzaż alpejski - powiedziała, sprowadzając rozmowę na bezpieczne tory. - Po prostu zapiera dech.

- Jak każde nieosiągalne piękno - dodał najcichszym szeptem. Mariannę uniosła brwi niepewna, czy dobrze go usłyszała. Co sprawiło, że twarz mu spochmurniała?

- Może ma pan już dość oglądania obrazów, milordzie? Zaraz odnajdziemy Louise i wracamy do domu.

- A niechże Louise... - zaczął gwałtownie, ale spieszył się pod zdumionym spojrzeniem Mariannę. - To znaczy pannę Crookshank... - Urwał. - Niechże panna Crookshank nagada się z przyjaciółką- zakończył dość niezręcznie. - A ja, korzystając z chwili, kiedy rozmawiamy sam na sam, chcę panią o czymś powiadomić. Wynająłem prywatnego detektywa, by udał się do Szkocji i zebrał jak najwięcej wiadomości na temat Altona Crookshanka. Mój agent właśnie wrócił i...

Serce Mariannę zabiło mocniej. '

- I co?

- I nie mógł poznać osobiście Crookshanka. Poinformowano go, że udał się do Londynu na czas nieokreślony.

- O Boże!

Mariannę nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w otaczający ich tłum. Ogromny, kłębiący się tłum. I uświadomiła sobie, że egoistyczne pragnienie obejrzenia wystawy sprawiło, że zapomniała o podstawowych zasadach ostrożności. Jak mogła pozwolić, by siostrzenica oddaliła się od niej, by znikła w tłumie?!

- Musimy natychmiast odszukać Louise i wyjść stąd! - wykrzyknęła z nagłą skruchą.

Markiz skinął głową potakująco i oboje wstali z miejsc.

Louisa spędziła kilka minut na przyjemnej pogawędce z panną Talbert; porównywały doświadczenia dotyczące najzdolniejszych krawcowych, najlepiej zaopatrzonych sklepów z pasmanterią i rozmaitych cudownych drobiazgów odkrytych w niepozornych kramikach na bocznej uliczce. Kiedy znajoma i jej matka pożegnały się, chcąc obejrzeć resztę ekspozycji, poczuła

nagłe rozczarowanie. Powinna wrócić do markiza. Nie chciała, by czuł się opuszczony. Ale szczytna misja uszczęśliwiania go nieco się jej już przejadła. Choćby nie wiem, jak się starała - śmiała się perliście, przekomarzała z nim i pochlebiała mu, nigdy nie potrafiła zarazić go wesołością. Odpowiadał jej bardzo grzecznie i był zawsze uprzejmy, ale nigdy nie bawiła się w jego towarzystwie tak dobrze jak niegdyś z Lucasem. Nie było nawet porównania! Czy tak ma wyglądać jej małżeństwo z markizem?

Była to doprawdy deprymująca myśl. Musiała zebrać wszystkie siły, by przywołać uśmiech na twarz i poszukać w tłumie lorda Gillinghama i ciotki.

Zanim jednak ich znalazła, inna znajoma twarz przykuła jej uwagę.

- Lucas! - wykrzyknęła zdumiona. - Co ty tu robisz?! - Przez cały tydzień nie wpadli na siebie ani razu, powinna przewidzieć, że tu... - To znaczy... -poprawiła się -miło mi pana widzieć, sir Lucasie.

Rozejrzała się dokoła: ani śladu żadnej czepiającej się go panienki!

Przez cudowną chwilę łudziła się, że naprawdę ucieszył się na jej widok. Potem jego twarz zmieniła się znów w obojętną maskę, na którą nie mogła już patrzeć! Piękne piwne oczy Lucasa spoglądały na nią podejrzliwie, ale nie potrafiła oprzeć się urokowi gładkiego czoła i niesforenego kosmyka, który mimo zawziętego szczotkowania zawsze na nie opadał. Niegdyś pozwalała sobie odgarniać go z czoła, ale to należało już do przeszłości. Przeszył ją znów ból rozłąki tak dojmujący, jakby dopiero się rozstali. Coś ją ścisnęło w gardle.

- Dzień dobry, panno Crookshank- powitał ją oficjalnym tonem i skłonił się lekko.

Odpowiedziała wdzięcznym dygiem i zdążyła przez ten czas nieco się opanować. Nie

powinna okazywać radości na jego widok! Nie wyzbyła się przecież dumy, jeśli nawet jego twarz prześladowała ją w snach.

- Doprawdy, zbiegł się tu chyba cały Londyn. Jak się pani podoba wystawa? - spytał z obojętną grzecznością.

- Ogromnie! - odparła. - A panu?

- Ogromnie-powtórzył jak echo.

Diabeł ją podkusił i wypalił;

- Nie przypominam sobie, byś miał takie artystyczne zamiłowania! Kiedy do Bath przybyła objazdowa ekspozycja malarstwa hiszpańskiego, powiedziałeś, że po takim zalewie bohomazów nawet święty urznąłby się do nieprzytomności!

- Byłem wtedy głupim szczeniakiem, Lou... to znaczy panno Crookshank. -Wydawał się nieco zażenowany. - Od tamtej pory znacznie wydojrzałem.

- Właśnie widzę - odparła sucho.

- Ludzie się zmieniają - dowodził. - Staram się poszerzyć swe horyzonty, zdobyć nieco oglądy, rozumiesz.

- I pobić rekordy w zawieraniu znajomości - odburknęła. - Za każdym razem, gdy się spotkamy, wiesz się na tobie inna pannica!

Już miał się gniewnie odgryźć, ale, ku jej rozczarowaniu, pohamował się i odparł z wielką godnością:

- Owszem, staram się poznać jak najwięcej młodych panien. Zamierzam wkrótce się ożenić; mam już za sobą okres młodzieńczych słabostek.

- Ach, tak? - Louisa z wyraźnym trudem zachowała pozorną obojętność. Miała ochotę wrzeszczeć wniebogłosy. Już ona mu pokaże, kto z nich naprawdę umie nad sobą zapanować!

- To istotnie objaw dojrzałości.

- Zresztą, ty się wszędzie afiszujesz z tym szpetnym markizem, jak mu tam...

- To wyjątkowe grubiaństwo robić uwagi o czyjejś powierzchowności, mój drogi! A markiz Gillingham to niezwykle interesujący mężczyzna.

Ostatnie słowa wymówiła z lekkim naciskiem i to, być może, skłoniło jej dawnego wielbiciela do następnej uwagi.

- Nie wątpię. Pewnie ci przypomina tatusia?

- Nie bądź śmieszny! - zaperzyła się. - Taki stary to on nie jest!

- Zresztą, jakie to ma znaczenie? Z takim tytułem, pięknym majątkiem i mnóstwem pieniędzy może być jedną nogą w grobie!

Louisie zaparło dech. Nigdy dotąd, przez te wszystkie lata, Lucas nie zranił jej tak boleśnie. Co go opętało?!

- Nie przyjmuję zalotów markiza ze względu na jego tytuł czy majątek -wybuchnęła, zapominając całkiem, jak jej imponowała na początku wysoka pozycja Gillinghama. Zresztą, kiedy myślała, że warto by zostać markizą, nigdy nie traktowała całkiem serio tej zachcianki.

- Zasługuje na coś lepszego niż idiotyczna ciekawość prostackich gapiów! Cóż on temu winien, że naznaczyła go ta straszna choroba? Jego wewnętrzne zalety są w najwyższym stopniu godne podziwu. A tylko to się naprawdę liczy!

- Oszczędź sobie tych deklamacji, Louiso! - Z sir Lucasa opadły nagle pozory dorosłości, którą tak się przechwalał. -Nie wmówisz mi, że naprawdę ci na nim zależy! On nie jest ani trochę w twoim guście!

- Skąd ta pewność? Dlatego że towarzyszy mi na wystawy i do teatru? Dlatego że przechadza się ze mną po parku, co ciebie zawsze cholernie nudziło? To wyrafinowany, obdarzony doskonałym gustem mężczyzna! Mężczyzna, a nie smarkacz!

m

- Ten smarkacz to niby ja?!

Wesołe zazwyczaj oczy Lucasa zwęziły się z gniewu.

- Tego nie powiedziałam.

- Jeśli ma naprawdę dobry gust, powinien sobie znaleźć coś lepszego niż rozpaskudzoną szelmę, co wypnie się na niego przy pierwszej okazji!

- Tego już za wiele!

Louisa zmagala się ze łzami, które nagle napłynęły jej do oczu.

- Przepraszam, sir Lucasia. - U boku młodzieńca pojawiła się filigranowa panienka o rudoblonde włosach i delikatnych rysach. - Tak długo musiał pan na mnie czekać!

A więc i tu przybył w damskim towarzystwie! Czyż nie powiedział otwarcie, że szuka żony? Dla Louisy była to ostatnia kropla przepełniająca czarę. Usiłowała okiełznać emocje, by nie skompromitować się ostatecznie.

Wyraz twarzy sir Lucasa był niemal groteskowy. On, też zmagał się z burzą, sprzecznych uczuć. Po chwili zdobył się na uprzejmy, choć nieco krzywy, uśmiech.

- Panno Romney, pozwól pani, że jej przedstawię pannę Crookshank? To moja dawna znajoma z Bath.

Louisa dygnęła, pochylając nieco głowę, by ukryć wyraz twarzy. Wymamrotała automatycznie grzecznościowy frazes i dodała:

- Państwo wybaczą, muszę wracać do moich przyjaciół.

Odwróciła się i zaczęła pospiesznie przepychać się przez tłum. Nie miała* pojęcia, gdzie podzieli się markiz i ciotka. W takim tłoku trudno było kogoś znaleźć. Dostrzegła jednak drzwi prowadzące na ulicę i zapagnęła nagle wyrwać się stąd. Jeśli wybuchnie płaczem tutaj, na oczach tego żadnego sensacji tłumu, nigdy nie zmaże tej hańby. Czyż nie zblamowała się już raz w parku, czyż nie przekreśliło to jej najszczytniejszych nadziei?

Przecisnęła się obok grupki plotkujących dam w średnim wieku i wymknęła z sali. Przystanęła na chodniku, tuż za drzwiami.

Musi przemóc ból. Nie ulega wątpliwości, że Lucas nic już do niej nie czuje. A jeśli czeka ją tylko wspieranie starzejącego się męża w ostatnich latach jego życia, niechże i tak będzie, choć ta perspektywa przyprawiała ją o ciężką melancholię. Przynajmniej Lucas przekona się, że to ona potrafi być dojrzała, że wcale nie jest egoistyczna ani godna pogardy, jak uparcie, a niesłusznie myśli! A co dotyczy jego dorosłości, którą tak się przechwalał, to naprawdę dojrzały mężczyzna nie zrywałby przyjaźni z byle powodu, tylko dał jej jeszcze jedną szansę!

- myślała, zagryzając wargi, by nie wybuchnąć płaczem. Gdyby tylko...

Dawniej nie był taki nieczuły. Na wspomnienie Lucasa biorącego ją, delikatnie w objęcia i całującego ją po raz pierwszy całkiem się rozkleiła. Łzy polały się strumieniem. Och, jaka ona głupia: nikt nie powinien widzieć jej w takim stanie! Musi odnaleźć ciotkę i markiza, powiedzieć im, że rozboleła ją głowa.

Zrobiła kilka kroków na oślep i zderzyła się z czymś twardym.

- Oj! Paniusia wybaczy! - odezwał się szorstki głos.

Zamrugła oczyma i ujrzała przed sobą ulicznego sprzedawcę z wózkiem.

- Nic nie szkodzi... - wyjąkała. - To moja wina!

Łzy płynęły jej po policzkach rwącą rzeką. Odwróciła się w przeciwnym kierunku i omal nie wpadła na grubą damę, która spoglądała na nią z wyraźną troską.

- Źle się czujesz, drogie dziecko?

Zażenowana Louisa potrząsnęła tylko głową. Pragnęła uciec stąd jak najprędzej. Gdzież się podziała ciotka?! I co powie markiz, ujrawszy ją w takim stanie?

Zacisnęła powieki i usiłowała wymyślić jakąś bajeczkę, którą mogłaby usprawiedliwić swe zachowanie. Nagle usłyszała znajomy głos.

- Co się stało, Louiso? - pytała ciotka Mariannę wyraźnie zaniepokojona.

Markiz był oczywiście razem z nią. Zbliżył się z pośpiechem, który w innych okolicznościach bardzo by jej pochlebiał, Teraz jednak zaczerwieniła się jeszcze bardziej i próbowała powstrzymać łzy.

- To przez tamtego prostaka! - wtrąciła się kobieta, która przed chwilą ją zagadnęła. - Chciał chyba zrobić krzywdę temu biedactwu! Widziałam, jak ją nagabywał... To było doprawdy przerażające! Nic dziwnego, że biedulka tak się przestraszyła!

- Nie, nie! - zaprotestowała Louisa.

Bez wątpienia ta kobieta miała jak najlepsze intencje, ale wszystko przekreśliła.

- Gdzie jest ten człowiek? - Lord Gillingham chciał się koniecznie dowiedzieć.

Louisa rozejrzała się dokoła, lecz po ulicznym sprzedawcy nie było już ani śladu. Bogu dzięki! Nie mogła przecież pozwolić, by oskarżano bez powodu niewinnego człowieka! Ale nie mogła też wyjawiać prawdziwej przyczyny swego nerwowego załamania w publicznym miejscu.

- No, no! Wymknął się jak piskorz! - zauważyła zbyt uczynna matrona. Ciocia Mariannę wymieniła z markizem znaczące spojrzenie, po czym wzięła Louise za rękę.

- Najwyższa pora wracać do domu!

- Tak, tak! - zgodziła się natychmiast dziewczyna. - Bardzo bym chciała wrócić do domu!

W powozie ciotka próbowała ją taktownie wy badać, ale Louisa tylko potrząsała głową i spoglądała tak błagalnym wzrokiem, że dała temu spokój.

Zanim dotarli do domu, Louisa nieco się opanowała, a żegnając się z markizem, podziękowała mu grzecznie za przejażdżkę i eskortę.

- Nie zasługuję na żadne podziękowania. Ładna ze mnie eskorta! Pozwoliłem, by jakiś drab panią, przeraził - odparł ze szczerą skruchą.

Louisa zaczerwieniła się.

- To naprawdę nie było nic strasznego - wymamrotała. - A pan zawsze taki troskliwy... Przy panu czuję się bezpieczna.

Dygnęła i pospieszyła na górę, zanim znów ją wzięli na spytki.

Znalazszy się w swoim pokoju, zamknęła z impetem drzwi i rzuciła się na łóżko. Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Sir Lucas jest dla niej na wieki stracony. Mogła o to obwiniać tylko siebie! Może naprawdę była taka płytka i egoistyczna, jak twierdził? Tamtego fatalnego dnia w Bath... tak strasznie dawno temu, powinna bardziej się przejąć jego upadkiem. I w ogóle należało więcej myśleć o innych. Przyszedł jej na myśl markiz - może nie tak zabawny jak Lucas, nie taki pogodny i uroczy, ale naprawdę dobry i troskliwy. Małżeństwo z nim nie będzie chyba takie złe! .

Z pewnością nie pogardzi nim z powodu jego wyglądu lub szorstkich niekiedy manier. Tym razem nie będzie egoistką, udowodni, że wyrosła z dziewczęcej próżności, i w końcu na pewno pokocha markiza.

Nagle porwał ją straszny płacz. Ukryła twarz w poduszce i mogła wreszcie bez przeszkód pofolgować łzom.

Na dole Mariannę nie mogła się uspokoić.

- Myśli pan, że to był kolejny zamach na Louise? - pytała markiza. - Musimy odnaleźć tego Altona Crookshanka!

Pragnął scałować jej z czoła zmarszczki niepokoju, ale przecież nie mógł! Wzięłaby go za ostatniego niegodziwca, jeśli w tej sytuacji próbowałby się do niej umizgać. Gdyby miał więcej obycia towarzyskiego, gdyby się tak nie spieszył z wyborem żony, żeby jak najprędzej uciec od ciekawskich spojrzeń i tak dla niego krępujących spotkań wielkowiejskiej elity, nie wpakowałby się w taką kabałę! Mariannę zwróciła nań oczy pełne niepokoju i znów zapragnął chwycić ją w ramiona i...

Z trudem odsunął od siebie te myśli, mimo namiętności, która wzbierała w nim aż do bólu, mimo pożądania, które nigdy jeszcze nie było tak gwałtowne.

- Mariannę! Pani Hughes! - odezwał się pod wpływem nagłego impulsu- Słucham?

Spojrzała na niego i cała odwaga go opuściła. Nie, nie może jej tego powiedzieć. Jeszcze nie

teraz. Jeśli zdoła uwolnić pannę Crookshank od grożącego jej niebezpieczeństwa, może jakoś uda mu się wywikłać z więzów, w które zaplątał się przez własną głupotę.

- Odnajdziemy tego człowieka i przekonamy się, czy pani siostrzenicy naprawdę coś grozi - oświadczył uroczyście. - Nie spoczne, póki tego nie wykryję.

Uśmiechnęła się do niego tak kusząco, że poczuł znów ból w dole brzucha. Gdybyż mógł tylko pochylić się i dotknąć ustami jej pełnej dolnej wargi... Jak słodki byłby jej smak, jak zaspokoił palące go pragnienie... A jednak wiedział, że oszukuje samego siebie. Gdyby raz ucałował te soczyste wargi, nie poprzestałby na tym, pragnąłby całować ją całą- smukłą białą szyję, pełną pierś rysującą się pod zapiętą wysoko jedwabną suknią... Czuł pożar w łydźwiach, a nie mógł jej niczego wyznać ani zdradzić, jak bardzo tęskni za jej dotykiem, jak pragnie jej miłości...

Dotknęła leciutko jego ramienia, a on omal nie wyskoczył ze skóry. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się od pochwylenia jej w ramiona. Coś do niego mówiła... usiłował zrozumieć sens jej słów.

- Jakże jestem panu wdzięczna, milordzie. Bez pańskiej pomocy nie wie[^] działałbym, co począć.

Mógł tylko poklepać ją po ręku jak jakiś siwowłosy dziadek, w którym krew całkiem już wystygła. Wymamrotał kilka słów pożegnania i się od niej oderwał.

Gdy lokaj otworzył drzwi, John popełnił błąd, spojrzawszy przelotnie w ścienne lustro. Poorana bliznami, ohydna twarz, którą w nim dostrzegł, przywróciła go do rzeczywistości, skutecznie niszcząc wszelkie marzenia o miłości i namiętności. Jakaż kobieta mogłaby pokochać takie monstrum?!

Pospiesznie wybiegł na dwór i wsiadł do powozu. Wściekły gniew na niesprawiedliwość losu pokonał wszelkie inne uczucia. Postukał w ściankę, nakazując woźnicy ruszać. Potem w samotności mógł do woli stroić krzywe miny, spoglądając na puste miejsce naprzeciwko.

Jakaż kobieta o zdrowych zmysłach zechce się z nim związać? To prawda, że panna Crookshank zgodziła się wyjść za niego, ale podejrzewał, że to blask jego tytułu i bogactwa ją olśnił i kazał zapomnieć o jego okaleczeniach.

Czemu tak niewiele go to obchodzi? Znacznie bardziej zaboląoby go podobne podejrzenie w stosunku do pani Hughes. Może dlatego, że nie wierzył, by była dwulicowa. Odnosiła się do niego naturalnie i życzliwie. Tak, ale on nigdy nie przekroczył granic przyjaźni.

A gdyby chciał ją pocałować? Wzdrygnął się, wyobraziwszy sobie, jak Mariannę cofa się ze wstrętem przed ohydą twarzą pochyloną, ku niej. Tak samo jak ostatnia wiejska dziewczucha, na którą się skusił, gdy jego ciało zbyt gwałtownie domagało się swoich praw. Jednak widok jej twarzy, pełnej trwogi i odrazy, nie tylko odebrał mu chęć, ale i możliwość jakiegokolwiek zbliżenia. Odesłał biedaczkę do domu i schronił się - jak zwykle - w zaciszu swego gabinetu, w świetle książek. Okna były tam zasłonięte, światła przygaszone, a on nie wystawiony na niczyje spojrzenia.

Panna Crookshank mogła czuć do niego jeszcze większą odrazę, choć nigdy dotąd nie próbował jej pocałować. A jednak nie przejmował się specjalnie na myśl, że być może musiałaby zaciskać zęby, darząc go swymi względami.

Dobrze wiedział, czemu tak jest: po prostu nie zależy mu na niej. Za to nie ośmieli się poddać próbie pani Hughes ani słabiutkiej nadziei, że być może żywi do niego jakiś pociąg, póki nie upewni się, że panna Crookshank jest wolna od wszelkiego niebezpieczeństwa. Dopiero wtedy spróbuje uwolnić się od pęt, które sam w swej bezdennej głupocie nałożył, a wówczas... wówczas...

Nie sposób sobie wyobrazić, co się wówczas stanie. Mamrocząc słowa absolutnie nie nadające się dla damskich uszu, postukał znów w ściankę,, ponagłając stangreta. Ale brek uwiązał w niekończącym się strumieniu pojazdów, co było w Londynie chlebem powszednim, i o zwiększeniu tempa nie mogło być mowy.

John zacisnął zęby i oparł się plecami o skórzane poduszki.

11

*Zgłębianie najskrytszych uczuć mężczyzny bywa równie żmudne
jak otwieranie ostrygi wykałaczką.*

Margery, hrabina Sealey

Człowiek zbierający na zlecenie Gillinghama informacje na temat tajemniczego krewniaka Louisy, który się na dobitkę gdzieś zawieruszył, zjawił się w zajeździe następnego dnia wczesnym rankiem. Prawdę mówiąc, polecił go markizowi właściciel tegoż zajazdu. Zacny oberżysta nie wydawał się wcale zdziwiony, że jego utytułowany klient poszukuje odpowiedzialnego, przyzwoicie wyglądającego prywatnego detektywa, który podejmie się dyskretnego śledztwa. A jeśli nawet założył zbyt pochopnie, że w grę wchodzi jakaś dama... nie mijało się to całkiem z prawdą. ,

John odstawił filiżankę i czekał na raport agenta.

Stojący przed nim z kapeluszem w ręku pan Compton wyglądał przeciętnie i nieszkodliwie w podniszczonym brązowym surducie i oklapniętym fularze, ale pod tą niepozorną powierzchownością John dostrzegł błysk powściąganego triumfu - i poczuł dreszcz podniecenia.

- Mam go, milordzie! - obwieścił detektyw. John odetchnął głęboko.

- Dobra robota! - poinformował już Comptona, że za odnalezienie londyńskiego adresu Crookshanka czeka go sowita gratyfikacja, toteż dodał tylko: - A zatem wywiązał się pan ze swego zadania. Gdzie on mieszka?

Compton podał adres, który John skrzętnie zanotował. Kiedy ustalona kwota przeszła z ręki do ręki, niepozorny człowieczek oddalił się bardzo rad z siebie, John zaś kazał zaprzęgać. Miał do złożenia pilną wizytę.

Następnego dnia Louisa wyglądała blado i mizernie; poprosiła swą opiekunkę, by pozwoliła jej zostać w domu, choć były zaproszone na drugie śniadanie w gronie przyjaciółek ciotki. Mariannę z prawdziwą troską spoglądała na podopieczną.

- Może zostaną w domu razem z tobą? - zaproponowała, mierząc wzrokiem bladą buzię Louisy i jej przygnębioną minę.

- Ależ nie, ciociu! Chcę po prostu poleżeć w spokoju... tak mnie głowa boli! - odparła szczerze panienka. - Jedź, proszę, i baw się dobrze.

Tak więc Mariannę zostawiła siostrzenicę pod troskliwą opieką Evy, a Masters wezwał dorożkę. Po przybyciu do domu Therese Mariannę z radością stwierdziła, że wśród obecnych jest również lady Sealey.

- Jakże się miewasz, moja droga? - zagadnęła ją siwowłosa hrabina. - Wydajesz się dziś nieco rozstrojona.

- I nie bez powodu! - potwierdziła Mariannę nieco cierpkim tonem, myśląc o tajemniczych atakach na Louisę i niejasnym poczuciu zagrożenia. - To był bardzo burzliwy tydzień. Głowę mam zaprzątniętą moją siostrzenicą i..

- I czym jeszcze? - spytała starsza dama, sącząc sherry. - Spostrzegam w twoim oku charakterystyczny błysk. To kochane dziecko nie okupuje bez reszty twoich myśli. Czyżby w końcu zwrócił twą uwagę mężczyzna? Byłby już najwyższy czas, moja droga!

Mariannę odkryła, że się rumieni.

- Skądże znowu! Proszę mi wierzyć, leży mi na sercu tylko szczęście Louisy!

- A własne nie?

Lady Sealey spojrzała na nią znacząco.

- Nie to miałam na myśli... Ale to przecież Louisa chce znaleźć męża, nie ja!

- Panna Crookshank ma mnóstwo czasu na znalezienie odpowiedniego małżonka. Przecież to

jeszcze prawie dziecko! Powinnaś na odmianę pomyśleć trochę o sobie i rozejrzeć się za drugim mężem albo przynajmniej interesującym kochankiem.

Marianne splonęła rumieńcem. Poglądy jej starej przyjaciółki na miłość były doprawdy zbyt francuskie!

- Słyszałam, że lord Gillingham spędza mnóstwo czasu w twoim towarzystwie - mówiła dalej hrabina.

Marianne przyjęła z rąk lokaja kieliszek sherry i umoczyła w nim usta, starając się opanować narastający w niej nerwowy chichot. Od dawna już nie była dzieckiem, nie mogła więc zachować się jak smarkula!

- Nie, nie! On stara się o moją siostrzenicę, a ja jestem jej przyzwoitką... nic więc dziwnego, że często widuje się nas razem, ale wyłącznie z powodu Louisy.

Wyjaśnienie zabrzmiało tak nieskładnie, że wcale się nie zdziwiła, gdy jej rozmówczyni uniosła siwe brwi.

- Jesteś tego pewna? Czasem mężczyzna nie od razu sobie uświadamia, czego naprawdę pragnie. Może mu się zdawać, że ma ochotę na jagnięce kotlety, gdy w rzeczywistości naci go wyłącznie rostbef. Nasi panowie to takie kochane stworzenia, ale czasem irytująco opieszale w rozpoznawaniu własnych uczuć.

Marianne potrząsnęła głową.

- Nie, nie! Pani się z pewnością myli, hrabino! Choć, jeśli mam być szczerą, nie zdarzyło mi się prawie rozmawiać z markizem na tak intymne... to znaczy, na osobiste tematy. W ogóle bardzo rzadko mówi o sobie. Na przykład, nie wiem prawie nic o jego dzieciństwie... nadal nie pojmuję, czemu są z bratem aż tak wrogo do siebie nastawieni.

Zniżyła nieco głos, wiedząc, jak bardzo hrabina ceni sobie dyskrecję, i opowiedziała lady Sealey o proszonym obiedzie, który zakończył się całkowitą klapą.

Hrabina się zamyśliła.

- Myślę, że powinnaś zapytać markiza o kobietę, którą kochał najbardziej w życiu.

Marianne zamrugała oczami.

- Jakże bym mogła?! Jeśli miewał jakieś romanse, nie chciałabym w to wnikać. A zresztą to nie mój interes!

- Miałam na myśli kobietę, która znaczyła dla niego znacznie więcej niż jakaś tam kochanka - powiedziała z naciskiem lady Sealey. - Uważam, że przy najbliższej sposobności powinnaś spytać lorda Gillinghama o jego matkę.

- Ależ... po co?! — zdumiała się Mariannę.

- Ponieważ to, co powie... a nawet to, co przemilczy, może okazać się bardzo znamienne.

Marianne zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zaraz potem podano do stołu i znalazły się na przeciwległych jego końcach. Tak więc nie było mowy o dalszych zwierzeniach na temat lorda Gillinghama i jego sekretów. Jednak ta krótka wymiana zdań z hrabiną wryła się jej w pamięć; powtarzała sobie każdy zwrot, każde słowo, usiłując znaleźć ukryty sens.

Po cóż miałyby wypytywać markiza o matkę? Czemu hrabina uważa, że to coś wyjaśni...i co właściwie? Chyba powinna przestać się niepokoić tym wszystkim, pomóc Louise przy planowaniu wesela... i na tym koniec!

Ale ta konkluzja wydała się jej tak przygnębiająca, że nawet ulubiona zupa z porów straciła dla niej wszelki urok. Ledwie jej skosztowawszy, odłożyła łyżkę.

Markiz zajechał powozem przed niezbyt imponujący budynek, w którym -jak go poinformowano - Alton Crookshank wynajął mieszkanie na czas pobytu w Londynie. Dom był niegdyś ładny, lecz teraz w opłakanym stanie; sam fakt, że Crookshank właśnie tu się zatrzymał, świadczył o tym, iż raczej mu się nie przelewa. Czy jednak gotów był popełnić morderstwo dla poprawienia swej sytuacji finansowej?

Gdy John zastukał do drzwi jego mieszkania na drugim piętrze, nikt mu nie odpowiedział. Odczekał chwilę i zaczął się dobijać z większą energią.

Nadal żadnej reakcji. Gillingham zaklął i zaraz potem usłyszał ciche skrzypnięcie. Włosy zjeżyły mu się na karku. Odwrócił się i odkrył, że ktoś po przeciwnej stronie korytarza uchylił drzwi i obserwuje go przez szparę,

- Gdzie mogę znaleźć Altona Crookshanka? - spytał bez żadnych wstępów.

Już myślał, że drzwi zamkną mu się przed nosem, ale ostatecznie rozwarły się nieco szerzej. Dostrzegł na progu drobną postać starszej kobiety. Wyraz jej twarzy stanowił groteskowe połączenie ciekawości i strachu.

- Jest pan komornikiem?

John omal znów nie zaklął. Koniuch, hreczkosiej, a teraz komornik! Czyżby pieniądze wydane na nową garderobę poszły w błoto?!

- A wyglądam na komornika? Przyjrzała mu się i potrząsnęła głową.

- Chyba nie. Ale nie chciałabym ściągnąć jakiegoś licha na głowę pana Crookshanka. Jest dla mnie zawsze uprzejmy, co się dziś rzadko zdarza młodym ludziom. I nie klnie! - Zmarszczyła brwi z wyraźną dezaprobatą.

- Stokrotnie panią przepraszam - pokajał się John. - Nie miałem pojęcia, że ktoś mnie słyszy, a zwłaszcza dama.

Zaliczyła Altona Crookshanka do młodych ludzi? Czyżby chodziło o kogoś innego? Przyjrzawszy się jednak bliżej wiekowej damie, markiz doszedł do wniosku, że ktoś koło sześćdziesiątki może jej się wydawać niedorostkiem.

- Chciałem tylko złożyć uszanowanie panu Crookshankowi - zapewnił ją.

- Zna go pan?

Nadal mierzyła go podejrzliwym wzrokiem, John potrząsnął głową.

- Nie mam tej przyjemności, ale jestem znajomym jego krewnych. Staruszka zastanowiła się i wyjawiała wreszcie bez pośpiechu:

- Pan Crookshank jest w Akademii. Dziś rano ma tam odczyt. Jest ogólnie znanym naukowcem.

Powiedziała to z dumą, jakby to, że mieszka tu taka znakomitość, dodawało splendoru walącemu się domowi. John uniósł brwi. To było dla niego zaskoczenie.

- W takim razie muszę koniecznie wybrać się na ten odczyt - oświadczył z powagą.

Starsza pani dała się przekonać i poinformowała go, gdzie mieści się Akademia. John podziękował jej i ruszył znów w drogę.

Tym razem szczęście mu dopisało. Wystarczyła odrobina perswazji i został wprowadzony do niewielkiego gabinetu. Zastał w nim siwego dżentelmena siedzącego za biurkiem zawalonym papierzyskami.

Johnowi serce zamarło. Ten człowiek nie miał w sobie nic z mordercy. Wydawał się niewinny jak dziecko. Czyżby zaszła jakaś pomyłka?

- Markiz Gillingham chciał się z panem widzieć - oznajmił odzwierny, który zgodził się wprowadzić tu Johna.

Alton Crookshank spojrział znad papierów.

- Przyszedł pan na mój odczyt? Zacznie się dopiero o dziesiątej, a ja muszę jeszcze przejrzeć notatki.

John potrząsnął głową.

- Nie zajmę panu wiele czasu. Słowo honoru! Chcę się tylko upewnić, czy jest pan stryjecznym dziadkiem panny Louisy Crookshank. Jej ojciec miał na imię Thomas.

Mężczyzna za biurkiem zdjął z nosa okulary, przez które spoglądał na piętrzące się przed nim papierzyska, i przyjrzał się Johnowi z większą uwagą.

- Owszem, aczkolwiek od lat nie utrzymuję kontaktów z tą gałęzią naszej rodziny. - Zamilkł na chwilę. - Nie z ich winy. We wczesnej młodości wiodłem pozałowania godne życie. Ojciec

był na mnie wściekły i ostatecznie doprowadziło to do całkowitego zerwania.

John skinął głową.

- Czemu więc ni stąd, ni zowąd moi krewni postanowili nawiązać znów ze mną stosunki? I kim pan właściwie jest? - zażądał odpowiedzi starszy pan.

- Jestem... Jestem dobrym znajomym panny Crookshank. Przybyła do Londynu na swój pierwszy sezon i niebawem odbędzie się jej debiut towarzyski. Zarówno ona, jak i jej rodzina doszła do wniosku, że byłaby to dobra okazja do ponownego nawiązania stosunków z panem. Starszy pan przez chwilę wpatrywał się w niego.

- Wyciągają ku mnie gałązkę oliwną? Nie mam nic przeciwko temu. Zerwanie stosunków dotyczyło spraw dawno już zapomnianych; wiele się zmieniło od tego czasu. Nie widziałem od lat moich bratanków, choć wiem z gazet o śmierci ojca Louisy. Wielka szkoda, gdy ktoś umiera tak wcześnie.

- Istotnie - przytaknął John, pogodzony już z faktem, że popełnił omyłkę: ten człowiek z pewnością nie dybie na życie Louisy!

Oznacza to, niestety, że muszą zacząć od nowa poszukiwanie napastnika lub uznać, że wszystkie niepokojące wydarzenia nie były ze sobą powiązane ani zaplanowane. Ot, zwykły zbieg okoliczności!

- Poinformuję rodzinę panny Crookshank, profesorze, że przyjmie pan zaproszenie na tę uroczystość - powiedział. - Ogromnie żałuję, że nie mogę zostać na odczycie.

Pan Crookshank podniósł się zza biurka. Przyjrzał się wytwornemu ubraniu Johna i błyskawicznie podjął decyzję.

- Markiz Gillingham, jeśli dobrze zapamiętałem? Nasza Akademia cierpi na brak funduszy... aż przykro o tym wspomnieć, toteż ustawicznie poszukuje sponsorów skłonnych do finansowego wsparcia naszych poczynąń. Gdyby zechciał pan poprzeć rozwój nauki, ośmielam się stwierdzić, że choćby moje badania naukowe zasługują na dotację.

- Obiecuję, że poważnie rozważę tę kwestię - zapewnił go John i wyciągnął rękę, jakby chciał przeprosić za poprzednie podejrzenia.

Kiedy jednak ściskali sobie dłonie, zdumiała Johna krzepa starszego pana. Mimo że po pięćdziesiątce Crookshank był mocno zbudowany i zdrowy, a siła, z jaką potrzęsął jego ręką, świadczyła o doskonałej kondycji. Spojrzenie całkiem bystre... no i sam przyznał, że potrzebne mu są pieniądze, i to spore.

Czyżby zbyt się pospieszył, skreślając Altona Crookshanka z listy podejrzanych? Może podstarzały profesor nie jest tak nieszkodliwy i bezbronny, jak się w pierwszej chwili wydawało?

Ledwie Mariannę wróciła do domu i zdążyła wejść do przedsionka, rozległo się stukanie do drzwi.

- Lord Gillingham - obwieścił Masters.

Jako doskonale wyszkolony lokaj wygłosił tę kwestię całkowicie obojętnie. Mariannę jednak zbyt dobrze znała swoją służbę, by nie dostrzec nutki satysfakcji w jego głosie. Pomyślała z lekkim rozbawieniem, że jej personel jest pod wrażeniem: markiz prawie się tu zadomowił!

Nad tym, że na dźwięk jego nazwiska jej posępny nastrój nagle się rozproszył, jakby wiosenny wiatr rozwiął ciemne chmury, wołała się nie zastanawiać. Podać gościowi rękę i powitać go uśmiechem wydało się jej ze wszech miar właściwe.

- Wpadłem tu, by się przekonać, czy pani... czy panie przyszły już do siebie po wczorajszych przeżyciach - powiedział, ściskając jej dłoń trochę za długo. - i mam nowiny.

Mariannę najchętniej trzymałaby markiza za rękę przez cały czas, ale Masters czekał, by ceremonialnie wprowadzić znakomitego gościa do salonu. Zerknęła na lokaja i oznajmiła:

- Sama wskażę drogę jego lordowskiej mości.

Gdy Masters się ulotnił, dodała, zniżając głos:

- Jakież to nowiny?

- Widziałem się z Altonem Crookshankiem -pochwalił się markiz, -Mój detektyw odszukał go w Londynie, a ja dziś rano złożyłem mu wizytę.

- I co? Czy wyznał, że... Nie, nie! Co ja plotę! Przecież by się nie przyznał, choćby był winny! Jakie zrobił na panu wrażenie?

Lord Gillingham opisał spotkanie z Altonem Crookshankiem. Mariannę zmarszczyła czoło, próbując dociec, co to wszystko znaczy.

- Z pozoru wydaje się całkiem niewinny, ale... - zawahał się markiz.

- Ale uważa pan, że lepiej mieć się na baczności? Zgadzam się, spuszczenie go z oka byłoby zbyt ryzykowne. Przecież chodzi o życie Louisy! - Mariannę westchnęła. - A jeśli już o niej mowa, to uskarżała się dziś rano na ból głowy. Pozwoli pan, że zajrzę do niej i sprawdzę, czy lepiej się czuje i czy zejdzie na dół. Wiem, jak bardzo ucieszy ją pańska wizyta. Zaraz wracam!

Pospieszyła na górę i cicho zastukała do drzwi siostrzenicy. Nie było odpowiedzi. Nacisnęła klamkę i zajrzała do pokoju. Louisa leżała pod lekkim przykryciem. Oczy miała zamknięte, oddech miarowy.

Obudzić ją czy nie? Będzie rozczarowana, jeśli ominie ją wizyta markiza. Ale z drugiej strony wyglądała rano okropnie... powinna chyba wypocząć.

Kiedy się tak zastanawiała, rozległ się szelest spódnic. Mariannę odwróciła się i ujrzała spieszącą korytarzem Evę, pokojówkę Louisy.

- Czy twoja pani czuje się lepiej? - spytała po cichu Mariannę.

- Głowa ją okropnie bolała, proszę jaśnie pani -odparła młoda służąca. -Dopiero przed chwilą zmorzył ją sen.

- W takim razie nie będę jej budzić. - Mariannę podjęła decyzję. Udała się do swego pokoju, zdjęła kapelusz, zerknęła do lustra i zeszła na dół. Ale w salonie nie zastała markiza. Nie wyszedł chyba bez pożegnania? To

byłoby niewybaczalne grubiaństwo! Gdzież się więc podziewa?!

Kiedy pani Hughes udała się na górę, John ruszył za nią w kierunku schodów. Gdy jednak na nie weszła, coś przyciągnęło jego uwagę i sprawiło, że nie poszedł dalej.

Zauważył uchylone drzwi do niewielkiego pokoju na wprost jadalni. Nigdy nie był w tym pomieszczeniu, więc jako dobrze wychowany gość powinien udawać, że nie dostrzega niezwykłego wnętrza, i iść dalej.

Nie będąc jednak obarczony podobnymi skrupułami, markiz otworzył szerzej uchylone drzwi i wszedł do środka. Wyglądało to na niewielki gabinet, z półkami pełnymi książek i artefaktów. John podszedł bliżej, by dokładnie obejrzeć przedmiot, który przyciągnął jego uwagę. Była to statuetka słonia z podniesioną trąbą wykonana z politurowanego drewna. Zwracał uwagę oryginalny styl tej rzeźby. Obok znajdował się oprawny w ramki sztych przedstawiający kobietę w orientalnym stroju, skośnooką, zagadkowo uśmiechniętą.

Markiz przeszedł do półek z książkami i przejrzał ich zawartość. Dzieła historyczne, tomiki poezji, książki podróżnicze, cała kolekcja wspomnień z wypraw do egzotycznych krajów. Nie był to typowy zestaw lektur dla dam z wyższych sfer.

Leżący na podłodze perski dywan olśniewał intensywnością barw. Zarówno na półkach, jak i na dwóch stolikach widniały dziwaczne bibeloty. Wszystko to ukazywało markizowi Mariannę Hughes, jakiej dotąd nie znał, choć zdawał sobie i przedtem sprawę z różnorodności i rozległości jej zainteresowań.

Co prawda te osobliwe przedmioty mogły być własnością jej zmarłego męża albo spuścizną po krewnych... John jednak był przeświadczony, że są to skarby Mariannę, i to wyjątkowo drogie jej sercu. Te wszystkie książki, ryciny,

artefakty stanowiły dowód jej żywego zainteresowania ogromnym światem, którego nie mogła zwiedzać. Z wszystkich tych przedmiotów, którymi się otaczała, wyczuł, jak ciasno jej było w eleganckim świecie londyńskiej elity. Jej swobodny duch rwał się do czegoś bardziej

inspirującego niż rozmówki przy herbatce czy miłosne intrygi na balu maskowym, W tym maleńkim sanktuarium Mariannę Gillingham miał możliwość zajrzeć w głąb jej serca.

Usłyszał cichy szelest i się odwrócił. W drzwiach stała pani domu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Błagam o wybaczenie - powiedział. - Drzwi były otwarte i zapragnąłem nagle obejrzeć z bliska... tego słońca.

Wyjaśnienie zabrzmiało wyjątkowo głupio. Miał nadzieję, że pani Hughes nie jest na niego zła.

Oczy jej błyszczały jak gwiazdy, ale nadal nie miał pojęcia, co myśli i co czuje. Kiedy się odezwała, jej głos był chłodny.

- Nigdy jeszcze nie widziałeś słońca, milordzie?

- Owszem, ale nie w pokoju damy - odparł szczerze. - Widzę, że interesuje się pani dosłownie całym światem.

- Dziwi to pana, milordzie? Nigdy nie kusiły pana zamorskie kraje, gdzie ludzie żyją całkiem inaczej niż my?

Weszła do pokoju i dotknęła ręką rzeźby tak delikatnie, że była to niemal pieszczota. Przez ułamek sekundy zazdrościł jak szalony kawałkowi polituowanego drewna.

Zdawała się nie dostrzegać intensywności jego spojrzenia.

- ...gdzie żyją zdumiewające stworzenia niepodobne do mieszkańców naszych łąk i lasów... jaskrawe ptaki, przy których nikt by nie spojrzął na szaroburego wróbelka, stwory jakby zlepione z okrawków pozostałych po boskim dziele stworzenia?

Wzięła leżącą na stole książkę i przerzucała jej kartki.

- Proszę spojrzeć! Czy to nie fascynująca istota? - Wskazała mu jedną z rycin.

Cóż za potworek! - pomyślał. Zjawia z koszmarnego snu!

- Co to takiego? Uśmiechnęła się ze zdziwieniem.

- Wielki mrówkojad, mieszkaniec Afryki. Jest mnóstwo takich stworów, Dla nas to dziwolągi, ale w rodzimym środowisku czują się swobodnie i nie zwracają niczyjej uwagi. Czy nigdy nie pragnął pan poznać czegoś więcej prócz kraju, w którym się pan urodził i wychował?

Tym razem w jej głosie brzmiało szczerze zaangażowanie.

- Pani z pewnością tego pragnęła - powiedział z namysłem, uradowany, odkryła przed nim to, co tak skrzętnie ukrywała. - Jest pani urodzoną podróżniczką, pani Hughes. Odkrywczynią nieznanych światów! Z pewnością zwiedziłaby pani te wszystkie kraje, gdyby tylko mogła. Stawiłaby pani czoło nieujarzmionym lądom i ich dzikim mieszkańcom, prawda?

Uśmiech rozświetlił jej twarz. Była taka promienna, że zapragnął objąć ją, przytulić, spełnić każde jej życzenie.

- O, tak! - odparła po prostu. - Usłyszeć ryk lwów o zachodzie słońca w afrykańskiej puszczy, płynąć wśród mgły po kanałach Wenecji, podziwiać skarby sztuki sakralnej i świeckiej we Florencji, upajać się groźnym pięknem Alp, poznawać doskonałe proporcje starożytnych greckich świątyń i zgłębiać ich tajemnice... Któż by nie pragnął takich przeżyć? Dawno temu, jako młodziutka dziewczyna, marzyłam o podróżach. Gotowa byłam w każdej chwili z pielgrzymim kosturem w rękę przemierzyć wszcz i wzdłuż cały świat, poznać egipskie piramidy i pustynne bezdroża! Czy nie pragnął pan nigdy dosięść wielbłąda?

Tak go zaskoczyła, że roześmiał się na myśl o podobnej jeździe.

- Nie przyszło mi to do głowy!

Wspominała, owszem, o podróżach do ciepłych krajów, ale nie brał tego poważnie. Teraz przekonał się, że nie była to czeza gadanina.

- Czemu nie wybraliście się z mężem za granicę? - zagadnął, zanim przyszło mu do głowy, że to może zbyt osobiste pytanie.

- Kiedy się pobraliśmy, wojna jeszcze trwała - wyjaśniła. - A później, gdy zaczęto przebąkiwać o zawarciu pokoju, okazało się, że Harry nie jest zainteresowany zagranicznymi

wożaczami. Co prawda dawniej planowaliśmy wspólne safari w Afryce i morskie wyprawy na Daleki Wschód, ale były to dziecinne mrzonki, z których się wyrasta,

Smutek w jej głosie wzruszył go niemal do łez.

- Harry'emu w zupełności wystarczały wyścigi konne, walki kogutów i mecze bokserskie. Miał w Londynie wielu przyjaciół, należał do kilku klubów. - Przesłoniła rzęsami piękne, zbyt wymowne oczy i mówiła rzeczowym tonem; być może żałowała już zbytnej otwartości.

Johna porwał gniew.

- A pani? - rzucił gwałtownie. - Nie wątpię, że pani mężowi wszystko to jak najbardziej odpowiadało! - Nie mógł powiedzieć otwarcie, że uważa Harry'ego Hughesa za niedowarzonego samoluba. Tamten jednak nie żył i nie mógł się bronić. Zresztą, sądząc z tego, co o nim opowiadała, nie miał nawet pojęcia, że źle postępuje. - Ale jakie życie zgotował pani?!

Mariannę unikała jego wzroku.

- Ja miałam prozaine herbatki i śniadania, bale, wyprawy do teatru i przechadzki po parku - wszystko, co raduje serce damy z towarzystwa.

Ale Mariannę nie była przeciętną damą z towarzystwa, lecz kobietą wyjątkową! Oryginalną, jedyną w swoim rodzaju istotą, związaną - niestety - z bezmyślnym młokosem, który w gruncie rzeczy wcale jej nie znał! To zbrodnia, zżymał się w duchu John, skazywać taką istotę na pustą egzystencję i czczą gadaninę nudziarzy!

- Nie musi pan litować się nade mną - odezwała się nagle, podnosząc na niego oczy.

John zdumiał się. Sam aż nazbyt często wzbraniał się przed cudzą litością. Teraz miał okazję spojrzeć na tę sprawę z drugiej strony i zrozumiał bezradność życzliwego obserwatora, który widzi czyjaś niedolę i w niczym nie może pomóc.

Cóż za ironia losu!

- To było bardzo przyjemne życie - mówiła z nutką wyzwania w głosie. - I nawet po śmierci męża los okazał się dla mnie łaskawy: pozostał mi fundusz zapewniający niezbędne wygody, choć...

Urwała, a John dokończył za nią: ' i

- .. niewystarczający na podróże, teraz, gdy Napoleon jest na wygnaniu i można znów spokojnie przemierzać lądy i morza?

Wzruszyła ramionami i raz jeszcze pieszczotliwie dotknęła drewnianego słonia.

- Istotnie. Podziwiam zatem cuda świata za pośrednictwem sztuki i literatury. Nie takie to znów wielkie nieszczęście!

Gillingham wyczuwał emocje kłębiące się pod maską niezmaconego spokoju, którą okazywała światu. Dostrzegał niezaspokojone tęsknoty, które zamierzała zabrać ze sobą do grobu. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Lecz kobiecie takiej jak Mariannę Hughes nie wystarczą złudne marzenia! Była w niej wrodzona ciekawość, chęć poznania świata i zakosztowania wszystkiego, co może jej ofiarować, i namiętność domagająca się zaspokojenia.

Na myśl o jej namiętności odezwała się znów jego własna. Bezwiednie postąpił o krok...

Mariannę spojrzano na niego ze zdumieniem; oczy jej rozszerzyły się. Wpatrywał się w ich zamgloną szaroniebieską głębię podobną do morskiej toni. Gdybyż mógł sprawić, by te oczy rozświeciły się, pojaśniały! Jak dokładnie widział każdą z drugich, czarnych rzęs, delikatny rumieniec na

policzkach, perłową biel szyi... Pierś Mariannę wznosiła się i opadała nieco zbyt szybko... Jego oddech był równie przyspieszony.

Pragnął jej. Krew w nim wrzała, serce biło jak szalone, czuł słabość i ból pożądania. Pragnął ją zdobyć - na zawsze i bez reszty. Pragnął miłością rozjaśnić jej smutne oczy, pobudzić ją do gardłowego śmiechu, który był tak rzadki i tak zachwycający. Pragnął rozpalić w niej krew, by wrzała tak jak jego, choć nie dotknął nawet jej ręki.

Samo powietrze między nimi wydawało się naładowane elektrycznością, jak w parny letni dzień, gdy ciężkie burzowe chmury zalegają nisko nad horyzontem i zaraz rozedrą je błyskawice. John postąpił znów o krok... Ich ciała niemal się stykały, widział wyraźnie pierś Mariannę wznoszącą się i opadającą w rytm przyspieszonego oddechu. Na myśl o dotknięciu tej rozkosznej wypukłości przebiegały go dreszcze. Wydawało się to nieuchronne-, zaraz wyciągnie rękę i...

Cichy szmer od strony drzwi sprawił, że markiz skamieniał.

Stojący na korytarzu lokaj obserwował ich z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Przyniosłem herbatę do salonu, jak jaśnie pani kazała.

John zmełł w ustach przekleństwo; że też służący musiał im przeszkodzić w tej właśnie chwili! Choć, prawdę mówiąc, powinien być wdzięczny temu człowiekowi za udaremnienie postętku, którego oboje pewnie by żałowali.

Nie, do wszystkich diabłów! On by tego nie żałował- bez względu na konsekwencje! Czuł straszliwe rozczarowanie i wydawało mu się, że ujrzał błysk żalu w ślicznych oczach pani Hughes. Czy to możliwe? Nie miał pewności, zbyt spieszenie odwróciła wzrok.

- Dziękuję, Masters - powiedziała.

Odwróciła się i prześlizgnęła obok markiza, a ulotna woń jej różanych perfum podnieciła go jeszcze bardziej i spotęgowała smak goryczy w jego ustach.

Z żalem opuścił gabinet Mariannę i czekał na korytarzu, gdy zatrzaskiwała drzwi do przybytku swych marzeń.

W milczeniu szedł za nią po schodach, zastanawiając się, jak poruszyć problem, który pierwotnie chciał z nią przedyskutować. Ale jego zamiary znów zostały udaremnione. Dotarłszy do salonu na pierwszym piętrze, oboje stanęli jak wryci na widok Louisy.

Włosy miała nieco potargane, jakby zerwała się w pośpiechu, oczy jeszcze senne, ale na jej usta powrócił dawny promienny uśmiech.

- Dzień dobry, milordzie! - powitała Gillinghama. - Kiedy się obudziłam, pokojówka powiedziała mi o pańskiej wizycie. Tak mi przykro, że nie wstałam od razu, by pana powitać! Rano okropnie bolała mnie głowa, ale czuję się już znacznie lepiej.

- Bardzo się cieszę - odparł z przymusem John.

W rzeczywistości miał ochotę kłąć jak szewc. Czuł, że Mariannę odsuwa się od niego, jak to czyniła zawsze w obecności siostrzenicy, nie chcąc widocznie zawadzać narzeczonym. Niech diabli porwą to narzeczeństwo, to bezsensowne, w złą godzinę zawarte narzeczeństwo!

Nie było rady: musiał usiąść i przyjąć z rąk panny Crookshank filiżankę herbaty. Pił ją jak zwykle bez cukru, i jeśli dziś wydała mu się bardziej gorzka niż zwykle, to dlatego, że był w fatalnym humorze. Potem młoda dama zaczęła szczebiotać i chociaż ani on, ani pani Hughes nie włączali się prawie do konwersacji, jakoś tego nie zauważyła.

W końcu markiz poczuł, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej. Odstawił filiżankę na spodek tak energicznie, że brzęknęła porcelana, i wstał. Panna Crookshank spojrzała na niego z wyraźnym rozczarowaniem.

- Musi pan już iść?

John zmarszczył gniewnie brwi, ale zły był na siebie, nie na nią. Pomyślał o tym młodym egoiście, za którego Mariannę wyszła i z którym miała krzyż pański. Powiedział sobie, że nie powinien być równie egocentryczny. Zmusił się więc do uśmiechu.

- Pomyślałem, że dobrze pani zrobi trochę świeżego powietrza — powiedział. Była to troskliwość mocno spóźniona i nieszczerza, ale przynajmniej raz postanowił zapomnieć o sobie. - Może czuje się już pani na tyle dobrze, że odważy się na niewielką przejażdżkę po parku?

Louisa od razu poweselała.

- Z rozkoszą! Wezmę tylko szal.

Gdy podeszła do dzwonnka, by wezwać swą pokojówkę, John miał okazję zamienić kilka słów

z panią Hughes.

- Mam nadzieję, że pani zgodzi się nam towarzyszyć? To powinno być całkiem bezpieczne. Nie opuścimy ani na chwilę panny Louisy, nie pozwolimy jej błąkać się wśród tłumu.

Mariannę zawsze towarzyszyła im jako przyzwoitka, ale miał nadzieję, że pojedzie nie tylko z uwagi na cześć konwenansu. Po olśnieniu, jakiego doznał w jej sanktuarium, John pragnął złożyć jej u nóg cały świat, ale mógł jej zaproponować tylko niezbyt ekscytującą przejażdżkę po Hyde Parku.

- Oczywiście! - Mariannę uśmiechnęła się leciutko.

Wezwwała służącą, by przyniosła jej rękawiczki i kapelusz. Podobnie postąpiła Louisa, ale John spoglądał ukradkiem tylko na Mariannę - zawiązującą wstążki kapelusika, naciągającą rękawiczki, biorącą do ręki parasolkę...

Zeszli na parter i we frontowym holu markiz odebrał swój kapelusz i rękawiczki z rąk lokaja. Osłaniając twarz szerokim rondem, w duchu urągliwie porównywał się z Marianną. On musiał staczać wewnętrzne boje, by wmieszać się w tłum spacerowiczów. Mariannę gotowa była stawić czoło tropikalnej dżungli i lwom. Nie zasługiwał na to, by ubiegać się o jej rękę, choćby zdołał uwolnić się z poprzednich więzów. Cóż ma do zaoferowania takiej kobiecie człowiek, który jak żółw w skorupie kryje się w mrocznym wnętrzu swego domu i w otoczonym wysokim murem ogrodzie?

Ta refleksja sprawiła, że spośpinał i odwrócił twarz od oprawnego w złotą ramę ściennego lustra, w którym panie sprawdziły przed wyjściem z domu swój wygląd.

Bez słowa pomógł damom wsiąść do powozu i zajął miejsce naprzeciw nich. Nie odzywał się także i wtedy, gdy stangret trzepnął lejcami i brek potoczył się po zatłoczonych ulicach Londynu.

Mariannę Hughes zasługiwała na znacznie więcej niż to, co Gillingham mógł jej ofiarować. Właśnie dlatego milczał przez całą drogę.

Gdy dotarli do Hyde Parku, było w nim już rojno i gwarno. Piesi spacerowali po alejkach, powozy wszelkiego rodzaju zataczały kręgi, jadąc po Ringu.

Stangret Johna opuścił dach powozu, mogli więc rozkoszować się łagodnym ciepłem i podziwiać jasnożłote słońce, które przesłaniały niekiedy obłoczki. Wiosenne kwiaty były w pełnym rozkwicie. Nic więc dziwnego, że londyńska śmietanka towarzyska niemal w komplecie wyległa do parku, choć nie wybiła jeszcze godzina, o której wypadało spotkać się tam z przyjaciółmi. Przez kilka minut jechali statecznym tempem; damy gawędziły, John siedział bez słowa, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na Mariannę; oczy jej błyszczały, kąciki ust unosiły się, gdy coś ją rozbawiło. Gdybyż zawsze mogła wyglądać tak spokojnie i pogodnie, on zaś potrafił ją zainteresować i rozweselić, jak cudownie byłoby śledzić swobodną grę uczuć na jej twarzy! Gdyby obdarzyła go zaufaniem, nie miałyby się wiecznie na baczności, w jej oczach nigdy nie byłoby smutku.

Jakiś młodzieńcy głos przerwał jego rozmyślenia.

- Lordzie Gillingham! Panie markizie!

John zdumiał się. Mało kto w Londynie znał jego nazwisko i tytuł. Odwrócił się i prawie natychmiast zorientował się, skąd dochodzi wołanie. Na poboczu Ringu stał elegancki kryty powozik; z półotwartych drzwi wychylała się dziewczynka i wyraźnie dawała mu znaki.

Bez namysłu kazał woźnicy stanąć. Chyba już gdzieś spotkał to dziecko. I nagle przypomniał sobie. Twarzyczka o ostrych rysach, włosy ciemne i proste, bez kokard czy wstążek. Dziwaczna siostrzyczka jego pięknej bratowej. Jak tej małej było na imię? A prawda: Circe. To ona wpatrywała się w niego tak uporczywie podczas koszmarnego obiadu w domu Gabriela. Ale czemu teraz wrzeszczy do niego w publicznym miejscu?! Czyżby nie miała ani krzty dobrego wychowania?

Mariannę również przyglądała się dziewczynce z wyraźnym niepokojem.

- Stało się coś złego - powiedziała cicho. - Zaczekaj w powozie, Louiso. Idziemy, milordzie? W tej sytuacji nie miał innego wyjścia. Pomógł jej wysiąść i pospieszył za nią do tamtego powozu.

Circe rzeczywiście była czymś zaniepokojona. Policzki miała rozpalone, oczy błyszczały, z trudem powstrzymywała łzy.

- Proszę mi pomóc! Moja siostra źle się poczuła. Trzeba jej pomóc wysiąść z powozu, a sama nie dam rady!

Po diabła zatrzymywały się na poboczu parkowej alei?! -pomyślał gniewnie John. Zerknął na zaprzęg i zauważył, że jeden z koni stoi na trzech nogach, z uniesionym kopytem. Zgubił podkowę, a pewnie i okulał! - zawyrokował. Nie miał jednak czasu zastanawiać się dłużej nad końmi. Pomógł Mariannę wsiąść do powozu i wszedł za nią.

Wewnątrz zobaczył jasnowłosą bratową. Była bardzo blada i od razu spostrzegł, że jest w wielkim bólu i strachu, choć ze względu na młodszą siostrę stara się opanować.

- Milordzie... pani Hughes... tak się cieszę... Przepraszam za kłopot... Koń okulał... Woźnica pobiegł po pomoc... a ja zaczęłam... źle się poczułam. .. więc wysłałam i forysia... ale nie wracają... a każda... każda minuta...

- Niech pan zdejmie surdut! - poleciła Mariannę markizowi.

Niczego nie pojmował, ale posłuchał od razu. ściągnął jedno z arcydzieł swego nowego krawca i podał je Mariannę. Dopiero gdy otuliała jego surdudem lady Gabriel - od pasa w dół - zauważył na jasnej spódnicy szkarłatne plamy.

Wiedział, że bratowa spodziewa się dziecka, choć było to jeszcze prawie niewidoczne. Słyszał, jak damy szeptały ojej błogosławnym stanie podczas proszonego obiadu u Mariannę. A teraz stało się coś strasznego.

Nie było łatwo wydobyć chorą z ciasnego wnętrza zamkniętego powoziku, ale razem z Mariannę zdołali tego dokonać. Markiz od razu wziął bratową na ręce i zaniósł do swego otwartego powozu, gdzie znacznie łatwiej było ułożyć ją wygodnie na tylnym siedzeniu. Psyche, choć wydawało się to nieprawdopodobne, jeszcze bardziej zbladła. Ludzie przystawali i gapili się na nich, a jakaś kobieta zawołała:

- Ejże, co się tu dzieje?!

Zajęty ważniejszymi sprawami John zignorował to pytanie.

- Jaki doktor się panią opiekuje? - spytał cicho.

- Sir William Reynolds - odpowiedziała lady Sinclair, krzywiąc się z bólu, i podała adres doktora.

Markiz podsadził do powozu panią Hughes, na którą czekała zaniepokojona Louisa. Mała Circe wsiadła bez niczyjej pomocy i przycupnęła obok siostry. John skinął na swego stajennego, wręczył mu pieniądze i podał nazwisko i adres doktora.

- Łap dorożkę i jedź po sir Williama Reynoldsa. Nalegaj, żeby bezzwłocznie udał się do rezydencji lorda Gabriela Sinclaira. Powiedz, że jego żona jest bardzo chora.

Potem, żeby zapewnić damom więcej miejsca w powozie, a bratowej oszczędzić niepotrzebnego skrępowania, markiz siadł na koźle obok stangreta i powiedział mu, dokąd jechać.

- Jak najszybciej! -dorzucił.

Woźnica trzepnął lejcami i starał się, jak mógł, ale londyńskie ulice były tak zatłoczone, że posuwali się w ślimaczym tempie. Jeszcze nigdy John nie przeklinał tak stołecznych korków jak w tej właśnie chwili.

Czy Psyche straci dziecko? Markiz nie znał się na tych sprawach, ale zarówno jej bladość, jak i niewątpliwy krwotok nie wróżyły najlepiej. Gdyby nie dało się powstrzymać upływu krwi, życie nie tylko dziecka, ale i matki stanęłoby pod znakiem zapytania. Nawet John wiedział, że może się to zdarzyć - ale czy się zdarzy? Nie daj Boże!

Przypomniawszy sobie, że niedawno zazdrościł bratu szczęśliwego małżeństwa. Ogarnęło go

poczucie winy graniczące z rozpaczą. Nigdy i nikomu nie życzyłby takiego nieszczęścia, nawet swemu przekłętemu bratu!

Wydawało się, że ta droga nigdy się nie skończy, ale zajechali wreszcie przed dom, w którym mieszkał Gabriel z rodziną. Zanim jeszcze brek się zatrzymał, John zeskoczył z kozła na chodnik. Otworzył drzwiczki powozu i pochwycił na ręce bratową. Zorientował się, że krwotok nie ustał. Jego surdut nadawał się już tylko do wyrzucenia, ale markiz wcale się tym nie przejął. Niepokoiło go coś znacznie poważniejszego.

Lady Sinclair objęła go za szyję, on zaś ostrożnie wniósł jąpo frontowych schodach. Circe pobiegła przodem i zaczęła dobijać się do drzwi.

Lokaj otworzył je i skamieniał.

- Z drogi, głupcze! - syknął John, nie bawiąc się w ceregiele. - Circe, gdzie jest pokój twojej siostry?

- Na górze! - odparła dziewczynka i biegnąc już po szerokich schodach, wołała: - Simpson, zejdź tu natychmiast! Jesteś potrzebna mojej siostrze!

Do domu weszła Mariannę i nieodstępująca jej Louisa. John nie tracił czasu na wyjaśnianie ogłupiałemu lokajowi, co się stało, tylko pospieszył po schodach za Circe.

Dotarłszy za dziewczynką do właściwych drzwi, markiz wniósł bratową do obszernej sypialni i bardzo ostrożnie położył ją na łóżku.

- Doktor został już powiadomiony i wkrótce tu będzie. Proszę się nie martwić, lady Sinclair!

W tych okolicznościach była to niezbyt mądra uwaga, ale cóż innego mógł powiedzieć? Circe rozkleiła się i zaczęła płakać, ale zaraz nadciągnęły posiłki. Do pokoju wbiegła pokojówka w średnim wieku wyraźnie zaniepokojona. Na widok krwi uniosła ręce w geście przerażenia.

- Wielki Boże! Jaśnie pani!

John miał nadzieję, że służąca nie dostanie ataku histerycznego, co jeszcze bardziej skomplikowałoby sytuację. Na szczęście Simpson się opanowała.

- Trzeba posłać po sir Williama! - wykrzyknęła, najwyraźniej zbyt wzburzona, by spytać, kim jest i czego tu chce obcy mężczyzna.

- Już wysłałem stajennego, by go sprowadził - poinformował ją John. - Mam nadzieję... Jestem pewny, że zaraz tu będzie.

Pokojówka skinęła głową.

- Niech panienska powie lokajowi, że trzeba nam jak najwięcej gorącej wody i czystego płótna

- zwróciła się do Circe. - A potem proszę iść do szkolnego pokoju. Tu nie miejsce dla panienki!

- Zostaną z siostrą!

Nad wiek dojrzała dziewczynka była przerażona i po raz pierwszy zachowała się jak dziecko. Lady Sinclair próbowała się podnieść, ale opadła na poduszki.

- Circe, kochanie... Simpson ma rację. Doktor zaraz będzie. Poślij kogoś po Gabriela, dobrze? Pewnie jest w klubie. I pilnuj z okna salonu, czy nie wraca.

- Pójdę na poddasze, stamtąd lepiej widać - oświadczyła dziewczynka z większą już pewnością siebie. Nagle jednak rozpląkała się i straciła znów panowanie nad sobą. - Psyche, nie umieraj, Psyche!

- Kto mówi o umieraniu? - Lady Sinclair wyciągnęła rękę, której siostra kurczowo się uczepliła. - Ale teraz już idź.

Dziewczynka skinęła głową i wyszła na korytarz.

Ten wysiłek wyczerpał chorą do cna. Zamknęła oczy, jej twarz była biała jak prześcieradło. John obawiał się, że bratowa straciła przytomność. Pokojówka spojrzała na niego znacząco i markiz uświadomił sobie, że nie ma tu miejsca dla mężczyzny, nawet krewnych czy powinowatych.

- Nic tu po mnie, prawda?

Pokojówka skinęła głową. Jej uwagę przyciągnęło coś za jego plecami. John obejrzał się i

stwierdził, że Mariannę Hughes wślizgnęła się za nim do sypialni.

- Jestem dobrą znajomą lady Sinclair - powiedziała cicho do służącej. -I wielokrotnie asystowałam przy porodach mojej szwagierki. Zostanę tu do przybycia doktora.

Na twarzy Simpson odmalowała się ulga.

- Bogu dzięki, bo ja się nie znam na porodach ani na...

-Cięża jest zbyt wczesna, by mogło przyjść na świat żywe dziecko, myślał z zamierającym sercem John. Gdyby u bratowej rozpoczęły się istotnie bóle porodowe, nawet najślynniejszy londyński lekarz nie byłby w stanie zahamować tego procesu.

Cóż to będzie za cios dla Gabriela! - pomyślał i niespodziewanie ogarnęło go współczucie dla młodszego brata.

Zszedł na dół i w odpowiedzi na półprzytomne spojrzenie majordoma oznajmił:

- Zaczekam w salonie. Doktor powinien zaraz tu być. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Majordomus nadal gapił się bezradnie, ale w końcu zaprowadził markiza do wytwornego salonu. Potem wrócił do frontowego holu, pewnie po to, by od razu otworzyć, gdy ktoś zastuka.

John również nastawiał ucha. Siadł na brzegu obitej ciemnoróżowym materiałem kanapy i marzył o kieliszku koniaku lub przynajmniej wina. Nie chciał jednak wzywać służby i oglądać kolejnych zatrwożonych twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że lady Sinclair była przez wszystkich lubiana.

Markiz wrócił myślą do własnego domu. Służba, korzystając z jego nieobecności, urządziła sobie zapewne wakacje. Taka gratka jak dłuższy wyjazd pana zdarzała się niezmiernie rzadko. Podejrzewał więc, że nikt nie wygarnia popiołu z kominków, nikt nie wietrzy pościeli, a kucharz spija jego najlepsze wina. Wszystkie te przypuszczenia go nie dziwiły ani nie gniewały. Nie miał pojęcia, co myśli o nim jego służba, choć nie rzucał butelkami w lokajów, jak to czynił jego ojciec w przystępie złego humoru.

Nagle przypomniał sobie o Louisie. Warto by sprawdzić, co się z nią dzieje. Jakby przywołana jego myślami pojawiła się w drzwiach z nieszczęśliwą miną.

- Myślałam, że się na coś przydam, ale ciocia Mariannę kazała mi wyjść z pokoju - pożałowała się. - Ja naprawdę chciałabym pomóc!

John pokiwał współczująco głową..

- To bardzo ładnie z pani strony - powiedział łagodnie, widząc, że nikt nie poświęcił dziewczynie czasu ani uwagi. - Ale może lepiej, by poszła pani do szkolnego pokoju?...

- Ależ, milordzie! - zachnęła się Louisa.

- .. żeby dotrzymać towarzystwa temu biednemu dziecku, Circe? Powinna być tam... albo na poddaszu. Proszę spytać kogoś ze służby. Biedactwo, bardzo się niepokoi o siostrę i obawiam się, że nie bez powodu. Chybaby się jej przydało towarzystwo.

Louisa westchnęła, zapominając o oburzeniu.

- Ma pan świętą rację, milordzie! Biedne dziecko, taka samiuteńka... Postaram się ją odszukać.

Wyszła z salonu, a John odkrył, że nie może usiedzieć spokojnie. Zerwał się z kanapy i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Co też się dzieje na górze? I jak mógł opuścić Mariannę w chwili tak ciężkiej próby? Zostawił ją samą u boku ciężko chorej kobiety... z wytrąconą z równowagi służbą do pomocy... A jednak... cóż on wie o takich sprawach? W czym mógłby pomóc? Gdyby tam wrócił, Mariannę go wyprosi...

Kiedy wreszcie rozległo się stukanie do frontowych drzwi, wybiegł z salonu na korytarz. Usłyszał mamrotanie majordoma i inny głos, zapewne doktora. Po chwili ujrzał mężczyznę z lekarską torbą spieszącego za służącym na górę. Bogu niech będą dzięki!

Wkrótce potem zjawił się w salonie lokaj z butelką wina na tacy.

- Może kieliszek porto, milordzie?

John skinął głową, wziął kieliszek i opróżnił go duszkiem. Nie należał do tych, co lubią sobie

wypić, ale w tych okolicznościach trunk był niezbędnym lekarstwem. Lokaj nie okazał najmniejszego zdziwienia. Napełnił kieliszek powtórnie, po czym markiz go odprawił.

- Możesz odejść, ale zostaw drzwi uchylone.

John miał poczucie, że z pojawieniem się lekarza sprawy powinny ruszyć z miejsca. Cokolwiek jednak działo się na górze, na dole nadal panowała niepewność. W całym domu zaległa pełna napięcia cisza. Przypominało to pozorny spokój przed nadciągającą burzą.

John otarł czoło chustką i znów zaczął nerwowo krążyć po salonie. Dla nienarodzonego dziecka nie ma chyba ratunku. Dałby Bóg, żeby choć matka ocalała!

Po jakimś czasie drzwi na dole otwarły się z trzaskiem i na schodach zadudniły ciężkie kroki. Odezwał się męski głos, gniewny i przerażony, potem pomruk wyjaśnień. Choć John nadstawiał ucha, nie mógł rozróżnić słów.

Nie zdziwił się, gdy niebawem na progu salonu pojawił się Gabriel.

Chyba jeszcze nigdy nie widział swego wytwornego brata w takim stanie. Chustka pod szyją rozwiązana niedbałym szarpnięciem, ciemne włosy potargane, w ciemnoniebieskich, jakby zapadniętych w głąb czaszki oczach od czasu do czasu pojawiał się ostry błysk. Lord Gabriel robił wrażenie pijanego, ale John domyślił się, że brat jest tylko nieprzytomny z bólu i gniewu, ale równie groźny jak agresywny pijak.

Gabriel wpatrywał się z nienawiścią w starszego brata. Czyżby zwykłe „dziękuję” nie mogło mu przejść przez gardło? Gillingham poczuł, że gaśnie w nim współczucie, i trudno się było temu dziwić.

Gabriel nie wyrzekł ani słowa, lecz rzucił się na brata z drugiego końca pokoju i zanim markiz się spostrzegł, schwycił go za gardło.

Nie mogąc złapać tchu, John starał się odepchnąć mniej zwalistego przeciwnika, ale Gabriel zachowywał się jak szalony i zdawał się obdarzony nadludzką siłą szaleńców. Przez długą chwilę zmagali się w milczeniu, zataczając się, popychając to w tę, to w drugą stronę, wywracając krzesła i stoły, które z trzaskiem waliły się na podłogę.

Gabriel doprawdy zachowywał się jak obłąkaniec, trzymając brata w morderczym uścisku. Johnowi pociemniało nagle w oczach, pojawiły się migoczące iskry. Potem nie widział już nic. Po raz ostatni spróbował rozerwać duszące go palce, lecz siły go opuszczały.

- Nie, Gabrielu! - dotarł do niego z ogromnej dali czyjś okrzyk. - On nam pomógł! Poprosiłam go i pomógł! Puść go natychmiast!

To ta mała Circe... Na ułamek sekundy chwyt Gabriela osłabł i w ostatnim porywie rozpaczliwej energii John zdołał odepchnąć od siebie napastnika. Zaczepnął powietrza. Pokój wirował wokół niego, potem wszystko wróciło do normy.

W drzwiach salonu stała Circe wyraźnie przerażona. Zza jej pleców Louisa rozszerzonymi oczyma spoglądała na obu antagonistów, na wywrócone stoły, na odłamki szkła na dywanie. Z odkorkowanej karafki wypłynęła na podłogę kałuża ciemnoczerwonego wina. Szkoda dobrego trunku! - pomyślał John, jakby nie miał większych zmartwień.

Jego uwaga koncentrowała się jednak na bezpośrednim zagrożeniu. Gabriel nadal stał z wyciągniętymi rękoma, z rozczapierzonymi palcami, jakby nie mógł odżałować, że nie wydusił ze swej ofiary ostatniego tchu. Szczyrzył zęby jak wściekły pies, a słowa, które wyrzucał z gardła, uderzająco przypominały warczenie.

- Znaleźli mnie u White'a. Porwali ci żonę! - krzyczą. Napadli w parku. Wciągnęli do jarmarcznej zielonej budy i porwali! Od razu wiedziałem, że to ty! Jakaś kobieta widziała krew! Zraniłeś Psyche! Jak ty... nawet ty... śmiałeś?!

- To wcale tak nie było! - usiłowała mu przerwać Circe.

- Cicho! - krzyknął John z ręką na posiniaczonej szyi.

Właściwie próbował tylko krzyknąć, bo ze zmaltretowanego gardła wydobyło się żalosne skrzeczenie.

To już szczyt wszystkiego! Został brutalnie zaatakowany przez człowieka, który powinien mu dziękować na kolanach. A teraz ta smarkuła dokonała czegoś, czego on sam nie był w stanie uczynić! Jego ojciec zawsze mawiał, że dzieci i ryby głosu nie mają, zwłaszcza dziewczynki! Już on by wybił łaską z tej smarkuli złe maniere! John nieraz miał okazję poznać siłę pedagogicznych argumentów ojca. Odsunął teraz od siebie mroczne wspomnienia. Nigdy dotąd nie podniósł ręki na bezbronne dziecko i nie miał ochoty tego zmieniać. Ale nie życzył sobie również, by jakaś dziewczynina ratowała go z opresji!

- Nie wrzeszcz na moją siostrę! - ryknął Gabriel. - I w ogóle nie waż się otwierać gęby, kiedy tam, na górze, moja żona walczy o życie! Powiniennem być przy niej, trzymać ją za rękę! Ten cholerny doktor nie wpuścił mnie! Nie chciał ze mną gadać! A ty! Przez ciebie straciłem dziecko! Już za to tylko powiniennem cię zatłuc! Ale jeśli Psyche... - Gabriel przełknął z trudem ślinę. - Wygnaliście mnie jak psa... Ale to byłoby sto, tysiąc, milion razy gorsze!

Może John poczułby odrobinę litości, gdyby gardło go tak nie bolało. Ale bolało. I skończył ze współczuciem raz na zawsze.

- Wysłuchajże mnie, Gabrielu! - błagała Circe.

Ale dla braci nie istniało w tej chwili nic poza wzajemną wrogością. Jakie to ma znaczenie, że w tej akurat sprawie nie ponoszę winy? - myślał John. Ten gniew narastał między nimi od lat. Jeśli nie liczyć szczeniackich

przepychanek, prawdziwe ziarno nienawiści zostało zasiane i weszło, gdy ojciec wygnał i wydziedziczył Gabriela, gdy wyrzekła się go cała rodzina. Chłopak opuścił Anglię i objął się po świecie jak cygan, zarabiał na życie grą w karty. Szuler, banita, wyklęty przez najbliższych. Od tamtej chwili braterska nienawiść rosła i potęgiała. John napotkał wściekłe spojrzenie Gabriela. Tak, ich myśli biegły jednym torem.

- Dla porządku: nie jestem w żadnej mierze odpowiedzialny za wypadek twojej żony - powiedział markiz, usiłując zachować resztki godności. Był starszy od Gabriela, powinien okazać dojrzałość, nawet jeśli brat nadal nie może się pogodzić z odtrąceniem przez rodziną. - Ale zaatakowałeś mnie, więc żądam satysfakcji.

- Milordzie! - Stojąca w drzwiach Louisa zaprotestowała troszkę niepewnym głosem. - Proszę tego nie robić! Pojedynki są sprzeczne z prawem. Nic dobrego z tego nie wyniknie!

Żaden z braci nie zwrócił na nią uwagi. Gabriel odpowiedział na słowa Johna uśmiechem przypominającym raczej śmiertelny grymas niż oznakę dobrego humoru.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - zapewnił. - Obawiam się jednak, że nie możemy zakończyć sprawy tu i teraz.

- Rzeczywiście-warknął John. -Warunki nie są tu najodpowiedniejsze. -Wskazał gestem wpatrzone w nich dziewczęta o przerażonych, niespokojnych twarzach oraz pobojowisko, w które udało im się przemienić nienagannie umeblowany pokój.

- W takim razie może ten mały park pośrodku skweru? - zaproponował Gabriel, wciągając surdut. - Mason! - zawołał do majordoma, który pojawił się w drzwiach za plecami obu panien. - Przynies mi dwie szpady, które wiszą na ścianie w moim gabinecie. To prawdziwe antyki, ale przekonasz się, bracie, że są w doskonałym stanie i bez wątplenia łakną krwi po tych zmarnowanych latach, gdy stanowiły jedynie dekorację wnętrza.

- Przecież nie macie sekundantów! - próbowała ich przekonać Louisa. -Jeśli już musicie walczyć, zróbcie to przynajmniej jak należy!

- Nie potrzeba nam żadnych sekundantów - stwierdził John, po raz pierwszy w życiu całkowicie zgodny z młodszym bratem. - Ich obowiązkiem jest nakłanianie do zgody, o czym nie ma mowy, i ustalenie miejsca spotkania, czego właśnie dokonaliśmy. A jeśli chodzi o inne niezbędne przygotowania, to lekarza mamy pod ręką.

- Nie możemy go odrywać od ważniejszych obowiązków! - zaprotestował natychmiast Gabriel.

- I nie będziemy. Podejrzewam, że gdy ze sobą skończymy, pozostanie mu bardzo niewiele do

zrobienia - stwierdził z ponurą satysfakcją John.

Gabriel zmrużył oczy.

- Jestem tego samego zdania.

Majordomus, którego profesjonalną obojętność nadal zakłócały oznaki niepokoju, powrócił ze szpadami.

Gabriel ruchem głowy przyznał bratu prawo wyboru.

John ściągnął z szyi fular i odrzucił go na bok. Podszedł do majordoma i wziął pierwszą z brzegu szpadę; zważył ją w rękę i wywinął nią w powietrzu. Jedna z dziewcząt jęknęła. Broń była istotnie stara, ale solidnie wykonana i w doskonałym stanie. Przymusowa bezczynność jej nie zaszkodziła.

- Może być - stwierdził.

Gabriel pochwycił drugą szpadę i wskazał nią drzwi.

- Wyjdziemy na zewnątrz - oświadczył. - Nie waż się trwożyć dam na górze, Mason. A jeśli będą jakieś wieści o lady Sinclair, powiadom mnie niezwłocznie. Doktor uprzedził mnie, że upłynie sporo czasu, zanim... -Głos mu się załamał. Na sekundę przymknął oczy. Musiał odchrząknąć, nim dopowiedział zdławionym głosem: -.. .będą znane pełne konsekwencje tego wypadku.

- Tak jest, milordzie - zapewnił go majordomus.

Panienci próbowały protestować, ale zagłuszały się nawzajem. John przeszedł obok nich, jakby ich nie dostrzegał. A jeśli nawet Louisa starała się zwrócić jego uwagę, zupełnie jej się nie powiodło. Gillingham zszedł po szerokich schodach na parter, minął frontowe drzwi, dotarł na drugą stronę ulicy i do otoczonej ogrodzeniem niewielkiej wysepki zieleni. Za sobą słyszał kroki młodszego brata. Szedł tuż za nim, równie ochoczym krokiem. Od iluż to lat czekali na okazję wyrównania porachunków?

Na szczęście największy południowy upał wygnał z parku dzieciarnią. Pod opieką niań malcy wrócili do domów. W parku było prawie pusto. Jedyne na ławeczce pod drzewem siedziała starsza pani z książką w rękę. Spojrzała ze zdumieniem na obu mężczyzn.

- Lepiej niech pani wraca do domu, panno Strickland - poradził jej Gabriel. - Śmierć mego brata nie będzie przyjemnym widokiem.

Kobieta zamknęła książkę, wstała i ruszyła w stronę furtki. Tam jednak zatrzymała się powodowana widocznie ciekawością. Lokaj z jednego z pobliskich domów przeszedł przez ulicę, by sprawdzić, co się dzieje. Jakiś przechodzień przystanął tuż za ogrodzeniem. No, cóż, niech i tak będzie. Widać w centrum wielkiego miasta nie ma mowy o zachowaniu prywatności.

Johnowi było wszystko jedno. Uniósł szpadę w tradycyjnym geście pozdrowienia.

Gabriel poszedł za jego przykładem.

- En garde! (Strzeż się!)- syknął, odpowiadając na twarde spojrzenie Johna lodowatym wzrokiem.

I nagle jego szpada przecięła powietrze z taką szybkością, że ruch był prawie niedostrzegalny. Klinga Johna już czekała, by odparować atak. Metal szczękął o metal. Siła uderzenia była tak wielka, że ostrze zadrżało i markiz z trudem utrzymał broń w rękę.

Usłyszał cichy jęk staruszki, ale nie zaprzętał sobie nią głowy. Została ostrzeżona. Teraz całą uwagę musiał skupić na przeciwniku.

Zamarkował wypad, ale brat nie dał się zwieść i odparował pchnięcie.

Co więcej, nie poprzestał na obronie, lecz zaatakował gwałtownie. I choć szpada Johna zablokowała jego cios, ostrze Gabriela, ześlizgnąwszy się po klindze, zawadziło o rękaw koszuli.

Jakaś kobieta krzyknęła.

John poczuł leciutkie ukłucie, lecz zignorował je całkowicie. Gabriel nauczył się różnych cudzoziemskich sztuczek podczas zagranicznych wojaży, ale to skłania do zbytnej pewności

siebie, A jeśli tak, to John już się z nim rozprawi! Ostatni atak Gabriela był tak zapalczywy i szaleńczy, że niemal nieprzewidywalny, ale brat długo nie utrzyma takiego tempa. Będzie musiał zwolnić.

John skupił się na defensywie - parował każdy sztych, udaremniał każdy cios i czekał na właściwy moment, kiedy Gabriel odsłoni się choćby na mgnienie oka, osłabnie na ułamek sekundy, by zadać mu ostateczny cios.

Niejasno uświadamiał sobie obecność Louisy, Circe i służących, którzy wylegli na skwer, by obserwować walkę, i przyłączyli się do gapiów skupionych wokół ogrodzenia. Obecność tych ludzi nie miała jednak dla Johna żadnego znaczenia. Nic go już nie obchodziło, nawet tak do niedawna bulwersująca go walka o życie, która trwała w wielkim domu. Sam toczył teraz bój na śmierć i życie, który wymagał wszystkich jego sił i całej uwagi.

Gabriel zamierzał go zabić, a John odwzajemniał mu się z równą determinacją.

Mijały minuty kolejnych ataków i obron, sztychów, fint i cięć. Poruszali się po murawie lekko, bez wysiłku, jak w tańcu. Jakiś ptak wyfrunął z zarośli, spłoszony tym zamieszaniem, ale żaden z walczących nawet nań nie spoj - rzał. Klingi przecinały powietrze, zwierzały się, śpiewały. Stal uderzała o stal -równie hartowna i niezłomna.

Tak, broń nie poddawała się zmęczeniu, ale John zorientował się, że jeśli chce pokonać młodszego brata, musi zwolnić nieco tempo. Wiedział, że jego kondycja fizyczna jest równie dobra -jeśli nie lepsza - niż Gabriela. Nie na darmo przemierzał niezmordowanie swoje włości! Ale od lat już nie robił bronią i wymagało od niego całkowitej koncentracji zarówno udaremnianie szaleńczych ataków brata, jak i oddawanie mu wet za wet.

W zakamarku jego umysłu zrodziło się przekonanie, że są parą godnych siebie przeciwników. Przeważnie jednak nie miał czasu na rozmyślanie, tylko na zadawanie i parowanie ciosów, na śmiertelny taniec szpad, które stykały się, okrążały i znów zwierzały ze sobą - raz po raz, bez końca.

Niezwykle dynamiczny styl walki Gabriela stał się również bardziej opanowany. John nie jeden raz próbował przełamać jego obronę; każdy sposób był teoretycznie niezawodny, a jednak za każdym razem braciszek jakoś się bronił. Ataki Gabriela były równie śmiertcionośne, ale John zdołał każdy z nich udaremnić. Tylko raz, kiedy brat poślizgnął się na trawie, Gillingham miał szansę przytknąć mu ostrze do gardła i właśnie wtedy, psiakrew, zawahał się na ułamek sekundy.

Nie chcę wygrać tego pojedynku przypadkowo, powiedział sobie. Musi to być niezaprzeczalne zwycięstwo odniesione dzięki większej sile i umiejętności; nic innego nie będzie wystarczającą rekompensatą za lata upokorzeń, niezliczonych zniewag i cierpień, które musiał znosić z powodu brata.

Tak, to rozstrzygająca walka. Musi być czysta i niewątpliwa, by potem nie czynić sobie żadnych wyrzutów.

Zaczekał więc z uniesioną szpadą, aż Gabriel odzyska równowagę i będzie mógł walczyć jak równy z równym. A potem klingi znów się zwały.

Nie miał pojęcia, jak długo walczyli, ale w którymś momencie Gillingham uświadomił sobie, że promienie słońca padają pod innym kątem, a zmęczenie ogarnia jego ramiona, ręce, całe ciało. Nie było jednak mowy o zaprzestaniu walki, o pogodzeniu się. Przez tyle lat czekał na ten dzień - i dziś wreszcie zemści się na tym przekleństwie całego swego życia!

Ostrza znów się zwały, zadźwięczały... i znów żaden z braci nie zdobył przewagi.

Na koniec John dostrzegł wyczekiwaną szansę: Gabriel uniósł szpadę nieco za wysoko, odsłaniając pierś. Wystarczy jedno pewne, szybkie pchnięcie.

John miał już go dokonać, gdy udaremnił mu to nagły huk pioruna, a zaraz potem ukłucie, nieco podobne do użądlenia przez pszczołę, ale silniejsze. Ktoś krzyknął.

Przekonany, że Gabriel wykorzysta jego chwilową dezorientację, John zaklął i chciał unieść broń, ale ramię odmówiło mu posłuszeństwa.

Gabriel, zamiast nacierać, stał i gapił się na niego z zaniepokojoną, miną i z opuszczoną szpadą.

Co się stało?!

John odważył się oderwać wzrok od przeciwnika i spojrzął na własną koszulę. Widniała na niej ciągle powiększająca się szkarłatna plama. Poczul też ból w ramieniu promieniujący na bark i rękę. Stracił czucie w palcach a szpada, choć ścisnął ją z całych sił, wyslizgnęła mu się z dłoni. Jęknął w bezsilnym gniewie.

Przecież klinga Gabriela nawet go nie drasnęła! Cóż więc się stało?!

Dopiero gdy spojrzenie brata powędrowało w stronę gapiów, John wreszcie zrozumiał.

Ktoś do niego strzelił!

12

Gdy minął pierwszy szok, John rozejrzał się dokoła. Gdzie Louisa? Grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Druga kula zapewne trafi we właściwy cel! Z której strony padł strzał? Rozejrzał się raz jeszcze i zdumiał się na widok gromady ludzi pod drugiej stronie niskiego ogrodzenia. Co za ciżba! Kiedyż oni zdążyli się zbiec?! Dostrzegł pannę Crookshank: stała obok Circe z rękoma uniesionymi do ust w osłupieniu i trwodze.

- Odeślij dziewczęta do domu! - warknął chrapliwie do Gabriela i zdumiał się, nie poznając własnego głosu.

Gabriel bezzwłocznie zwrócił się do szwagierki:

- Circe, wracaj natychmiast do domu i zabierz stąd pannę Crookshank! Przyślij nam lokaja do pomocy!

Circe miała dość rozumu, by bez gadania spełnić rozkaz. Chwyciła Louisę za rękę i popędziła do domu. Kiedy znikły we wnętrzu i drzwi się za nimi zamknęły, John poczuł ogromną ulgę. Teraz mógł zająć się własnym ramieniem.

Nadal krwawiło. Trzeba jakoś zatamować krew i owinąć ranę. Co za pech: akurat jego musiał ten drań postrzelić przez pomyłkę! I co za ironia losu: od krwotoku się zaczęło, na krwotoku kończy!

Po raz pierwszy od rozpoczęcia pojedynku John pomyślał o dramatycznej walce ze śmiercią, jaka toczyła się w domu Gabriela. Co z jego żoną? Młodszy brat zbliżył się ze szpadą zwróconą ostrzem w dół.

- Nie kusi cię, żeby mnie dobić? - spytał arogancko John.

Nie czuł wcale strachu, tylko bezsilną złość, że przerwano im walkę, zanim... Zanim co? Zanim popełnił bratobójstwo?! Trawiącą markiza żądzę mordu chwilowo zagłuszył szok wywołany nieoczekiwanym postrzałem, teraz zaś niemal całkiem go opuściła. Kto wie, może to i lepiej, że im przerwano?

Gabriel obnażył zęby w wilczym uśmiechu zgoła niepasującym do jego cukierkowej urody.

- Ja też wolałbym skończyć nasze porachunki raz na zawsze. Ale co robić, kiedy złośliwy los pomieszał nam szyki? No, idziemy!

- Uważasz, że tylko ty masz prawo mnie zabić? - spytał z przekąsem John.

- Właśnie! - przytaknął Gabriel.

Kiedy objął go ramieniem, John za nic nie chciał się na nim oprzeć, ale stwierdził, że nogi uginają się pod nim. Zacisnął więc zęby i starając się jak najmniej korzystać z pomocy, powlókł się do domu, tłum gapiów rozstąpił się niechętnie. Na ich twarzach malowała się dezaprobatą, a równocześnie niezdrowe podniecenie.

Lokaj wybiegł z domu, spiesząc im z pomocą. Tak niezręcznie schwycił jednak za poszkodowane ramię, że ból przeszył ciało markiza.

- Przeklęty dureń! - wykrztusił John.

- Odsuń się, gamoni! - zawtórował mu Gabriel. - Niech cię diabli, pozbieraj lepiej szpady, bo jeszcze ktoś ukradnie!

Służący pobiegł do parku, a bracia kontynuowali mozolną wędrówkę. Krótka w istocie droga zdawała się nie mieć końca. A jednak dotarli wreszcie do celu.

Znalazłszy się w domu, Gabriel, zamiast wlec rannego po schodach, zaciągnął go do biblioteki. W innych okolicznościach John potrafiłby docenić obite skórą meble i półki pełne książek. Teraz jednak rósł w nim ból, więc pokuścił się w stronę najbliższego fotela.

Od strony drzwi dobiegł szelest. John obejrzał się i zobaczył stojącą na progu Mariannę Hughes. Twarz miała smutną; widać było, że płakała.

Gabriel cofnął nagle ramię, którym podtrzymywał rannego. John osunął się na fotel, a jego brat ze zbielełą twarzą podbiegł do Marianny.

Chociaż John czuł dojmujący ból, nie odrywał oczu od brata. Gabriel chwycił Mariannę za ramiona.

- Jak ona się czuje?

- Milordzie... - Głos Marianny był znużony, a oczy pełne smutku. - Tak bardzo mi przykro... Dziecka nie dało się uratować... To był chłopiec...

Twarz Gabriela pociemniała od bólu, ale skinął tylko głową.

- A Psyche? - wykrztusił chrapliwie i tak cicho, że John ledwie go zrozumiał. - Na litość boską! Co z Psyche?!

Mariannę uśmiechnęła się blado.

- Jest bardzo słaba, ale jak zawsze dzielna, milordzie. Krwawienie ustało. Sir William jest przekonany, że pańska żona wyzdrowieje. A w przyszłości zapewne obdarzy pana zdrowym dzieckiem.

Gabriel wydał jakiś zdławiony jęk i zachwiał się na nogach. Mariannę podtrzymała znacznie wyższego od niej i cięższego mężczyznę, gdy nagła ulga po śmiertelnej trwodze powaliła go niemal na kolana.

John przyglądał się temu z mieszanymi uczuciami. Uradowała go oczywiście wieść, że bratowa nie umarła, a jednak... sam się nie mógł połapać w plątaniu swych emocji.

Kiedy Gabriel odzyskał równowagę, z całej siły uściskał podpierającą go Mariannę i puścił ją natychmiast ze słowami:

- Muszę się natychmiast zobaczyć z żoną!

- Ale tylko na chwilę, milordzie, bo doktor nie pozwala jej niepokoić. Potrzebny jej całkowity wypoczynek! - ostrzegła go Mariannę i po raz pierwszy spojrzała na markiza. Twarz jej zbieleła. - Co się stało, milordzie?

- Nim też doktor powinien się zająć - rzucił przez ramię Gabriel, biegnąc po schodach. - Ale dopiero wtedy, gdy już nie będzie potrzebny mojej żonie!

- Serdeczne dzięki! - burknął John.

Mariannę podbiegła do niego. Przyklękawszy obok fotela, zabrała się do badania rany.

- Jak to się stało? - Spojrzała na lokaja, który wiesział właśnie broń na ścianie. - Niemożliwe! Czyżbyście się pojedykowali, skończeni głupcy?!

John wolał nie patrzeć w jej pełne wyrzutu oczy.

- No, cóż... Powiedzmy, że doszły do głosu długo tłumione emocje.

- Więc to robota lorda Gabriela?

Ta konkluzja Mariannę bardziej zabolęła markiza niż dotyk jej palców obmacujących zranione ramię.

- Skądże znowu! - obruszył się. - To rana od kuli. Nie mam pojęcia, skąd padł strzał. Być może z przeciwległego końca skweru, ale nie zdążyliśmy odszukać w tłumie napastnika.

Ręce Mariannę znieruchomiały, ku wielkiej zresztą uldze Gillinghama.

- A Louisa?

- Zdrowa i cała. Jeśli istotnie ten zbir strzelał do niej, to spudłował. Stała z tyłu za mną w grupie gapiów.

Mariannę przygryzła wargę.

- To już naprawdę nie do zniesienia! Może Alton Crookshank naprawdę jest takim łotrem, za jakiego na początku go uważaliśmy? Tak czy owak, nie możemy dłużej narażać jej życia! Sezon, nie sezon - odwożę ją do domu. Niezwłocznie!

John poczuł w piersi ból znacznie gorszy niż w zranionej ręce. Jeśli Louisa opuści Londyn, to razem z nią wyjedzie jej ciotka. Jak amen w pacierzu! A on nie ujrzy ich nigdy więcej, a przynajmniej przez kilka miesięcy. Usiłował zebrać myśli.

- Naprawdę pani myśli, że w Bath będzie bezpieczna? - spytał takim tonem, jakby głośno myślał.

- Cóż innego mogę zrobić? W Londynie jest narażona na największe niebezpieczeństwo.

- Zgadzam się z panią. I dlatego sądzę, że panna Louisa powinna wyjechać z dłuższą wizytą do Kent. W pani towarzystwie, rzecz jasna. W mojej posiadłości mogę zagwarantować, że nikt niepożądany się do niej nie zbliży, a każdy obcy przybysz zostanie natychmiast dostrzeżony.

Mariannę rozważała właśnie propozycją markiza, a on z zapartym tchem czekał na jej decyzję, gdy przeszkodziło im wejście lekarza.

- Cóż to znowu? - Sławny doktor wyglądał na zmęczonego, ale rzeczowym, profesjonalnym tonem zwrócił się do kolejnego pacjenta, przyciągając krzesło, by usiąść obok niego i zbadać ranę. - Komu się pan tak naraził, milordzie, że próbuje pana ustrzelić?

- „Oto jest pytanie” - zacytował sucho John.

Pani Hughes wstała, by ułatwić doktorowi dostęp do pacjenta, ale Gillingham patrzył tylko na nią. Mariannę musi zaaprobować plan, który tak nagle zrodził się w jego głowie! Nie mógł stracić z nią kontaktu! Zwłaszcza teraz, gdy wszelkie jego wysiłki, mające zapewnić bezpieczeństwa Louisie, a jemu umożliwić wyplątanie się z narzeczeńskiej matni, idą na marne!

Lekarz rozciął koszulę pacjenta i przycisnął mocno do rany tampon z czystego płótna, by zatamować krwotok. John z trudem powstrzymał jęk.

- Bez względu na to, kto wpakował w pana kulę ,milordzie ,trzeba ją wyjąć. Na szczęście utkwiała niezbyt głęboko.

Stanowczo za głęboko jak na mój gust! - pomyślał John. Zgrzytnął zębami, gdy sir William sięgnął do torby, i zmierzył nieufnym spojrzeniem długi metalowy instrument, który doktor stamtąd wydobył.

- Może lepiej - zwrócił się do Mariannę, która nieco się odsunęła, ale nadal była w pobliżu - .. .zostawi nas pani samych?

- Oczywiście, milordzie, skoro pan doktor nie życzy sobie mojej asysty. Spojrzała pytająco na sir Williama Reynoldsa, który pokręcił głową.

- Droga pani spisała się dziś znakomicie i rad jestem, że miałem taką pomocnicę. Ale z tym sam sobie poradzę.

Przynajmniej Mariannę nie usłyszy, jak wrzeszcze albo płacze, pomyślał John. Perlisty pot wystąpił mu na czoło, gdy doktor zajął się raną. O Boże!

Potem ból pokonał go ostatecznie i wszystko rozplynęło się w czerwonej mgle. Słyszał jakieś chrapliwe jęki, ale nie bardzo wiedział czyje.

Znacznie później, gdy kula została wydobyta, a rana oczyszczona i obandażowana, John sączył drobnymi rykami koniak i powoli odzyskiwał wzrok i słuch.

- ...nie radziłbym zbyt wczesnych przenosin...-mówił sir William. Do kogo się zwraca? Czyżby do niego? John próbował mu odpowiedzieć, ale język miał jak z drewna.

- Zaopiekujemy się nim, panie doktorze. I raz jeszcze serdeczne dzięki. To był niewątpliwie głos jego brata. Śmiertelnie znużony, smutny, drżący jeszcze po przeżytych koszmarze.

Miałby się znaleźć pod opieką Gabriela? Zaciągnąć dług wdzięczności wobec niego?!

Usiłował protestować, ale odkrył, że doktor wyszedł, brat także... Został chyba sam. Próbował wstać i stwierdził z przestachem, że nogi mu drżą. Opadł z powrotem na fotel i wtedy od drzwi rozległ się głos Gabriela;

- No i kto teraz jest zdechlakiem zdanym na moją łaskę? Dobry żartowniś z tego losu, co?

John poczerwieniał z gniewu.

- Co ty wygadujesz?! Ani mi w głowie tu zostawać i robić wam kłopot! Brat puścił jego słowa mimo uszu i podszedł bliżej.

- Gdy byłem mały, wyśmiewałeś mnie i dręczyłeś. Czyżbyś zapomniał? Bo ja nigdy tego nie zapomnę!

John zmarszczył brwi.

- Postępowałem tak jak większość starszych braci. Darliśmy ze sobą koty, nieraz ci przylałem. I to ci do dziś nie daje spać?! Jesteś przecież dorosłym mężczyzną i z tego, co widzę, nie najgorzej ci się w życiu powiodło. Czy nie pora o tym zapomnieć?!

Gabriel spiorunował go wzrokiem,

- Twoje szczęście, że nie możesz się utrzymać na nogach. Inaczej wtłoczyłbym ci do gardła to bezczelne gadanie! I większość zębów przy okazji.

John przymknął na chwilę oczy. Nie miał siły na kłótnie.

- Pomóż mi tylko wsiąść do powozu.

- Miałbyś stąd wyjechać? W takim stanie?! Ani moja żona, ani pani Hughes nigdy by nam tego nie wybaczyły! Zawołam dwóch lokajów. Zniosą cię na górę, do łóżka.

- Nie! - sprzeciwił się gwałtownie John. - Muszę wracać do zajazdu!

- Myślisz, że w podrzędym zajeździe będziesz miał większe wygody niż u mnie?

- Zostawiłem tam kogoś... coś... co wymaga mojej opieki. - John usiłował mówić spokojnie.

- Kogoś?! - Gabriel uczeplił się tego słówka jak rzep i najwyraźniej był zachwycony, mogąc mu dogryzać. Niech go diabli! - Nie powiesz chyba, że zainstalowałeś na swojej kwaterze jakąś latawicę, mimo że starasz się o porządną pannę?

- Też coś! - zachnął się John i spiorunował go wzrokiem.

- Ojciec tak zrobił, to i ty możesz!

- Nie jestem ojcem, do cholery!

John zgrzytnął zębami. Nie mógł powiedzieć bratu prawdy. Już i tak dość się przed nim ośmieszył!

- On ma psa - odezwał się od drzwi wysoki głosik.

- Co takiego?! - Gabriel odwrócił się raptownie do stojącej na progu Circe, która baczenie ich obserwowała. - Niemożliwe!

- Ma na spodniach pełno psiej sierści, a na jednej nogawce odcisk ubłoconej łapy; widocznie lokaj nie oczyścił ich, jak należy - odparła takim tonem, jakby tłumaczyła oczywiste sprawy tępakowi.

John jęknął w duchu. Niech lepiej ta smarkula uważa, bo ją okrzyczą czarownicą i spalana stosie!

- Pewnie to kundel oberżysty rzucił się na niego - przekonywał ją Gabriel. - Nasz ojciec nie pozwalał, żeby w domu albo w zabudowaniach gospodarskich był pies. Nie mógł ich znieść!

- Mam spaniela. Sukę. I boję się, że w zajeździe zapomną ją nakarmić i wyprowadzić na spacer. Albo, co gorsza, zostawią drzwi otwarte. Wybiegnie na ulicę i coś ją przejedzie.

Zapadło milczenie. Gabriel wpatrywał się w niego, ale John nic nie mógł wyczytać z jego twarzy.

- Nie przywykła do miejskiego ruchu - próbował tłumaczyć markiz, z najwyższym trudem zachowując spokój. - Czy to tak trudno zrozumieć, do diaska?!

Nie zapominaj, że jest tu ta podfruwajka! - ofuknął się w duchu. Chętnie by cofnął przekleństwo, ale niby jak miał to uczynić? Zresztą, gdyby w domu brata przestrzegano dobrych manier, to ten dzieciak siedziałby teraz w szkolnym pokoju, a nie wymądrzał się

tutaj!

- To niemożliwe, że masz psa! - twierdził z uporem Gabriel, nadal się na niego gapiąc. - Ojciec nigdy by...

- Nie jestem ojcem, rozumiesz?! - powtórzył John.

Bracia mierzyli się groźnym wzrokiem, w powietrzu było gęsto od emocji nieubranych dotąd w słowa. Wielka szkoda, że nie mogliśmy dokończyć tego pojedynku! - pomyślał John.

Gabriel wykręcił się na pięcie i skierował ku drzwiom.

- Poślę kogoś ze służby, żeby przywiózł twego psa i ubrania. I uregulował rachunek w zajeździe. Wynajęty brek kazałem już zwrócić.

- Wszystko w zajeździe mam opłacone co do grosza! - warknął John. - I wracam tam natychmiast.

Gabriel ciągnął dalej, jakby brat w ogóle się nie odezwał:

- Dwóch lokajów przetransportuje cię na górę. Doktor obejrzy cię jutro, gdy przyjdzie sprawdzić, jak się miewa Psyche. A prawda! Zostawił dla ciebie coś na sen. Masz to zażyć.

- Cóż za braterska troskliwość! Zaraz się popłaczę- syknął John przez zaciśnięte zęby.

- Lepiej się zamknij! - poradził mu Gabriel z niemiłym uśmiechem. - Wyjdź stąd lepiej, Circe, zanim usłyszysz coś naprawdę niestosownego.

- Coś naprawdę interesującego, chciałeś powiedzieć - odparowała Circe. Gabriel ostrzegawczo uniósł brwi.

- Dobrze już, dobrze!

Dziewczynka obróciła się jak fryga i znikła z pola widzenia markiza. Potem zjawili się dwóch potężnych lokajów, żeby przenieść Johna na górę,

a on był zbyt słaby, by uniemożliwić te przenosiny, a nawet zaprotestować, gdy zdejmowano z niego ubranie i wkładano mu przez głowę pożyczoną koszulę nocną. Wreszcie wmuszono w niego jakąś odrażającą miksturę, która rzeczywiście podziałała nasennie.

Obudził się po kilku godzinach, otumaniony i rozpalony. Widać rzucał się we śnie, bo pościel miał skotłowaną. Co gorsza, musiał pilnie skorzystać

z toalety. Apodyktyczny kamerdyner zjawiał się wprawdzie od razu, ale nie pozwolił markizowi - szczyt bezczelności! - zejść z łóżka. Poprawił tylko pościel i usiłował przemyć mu twarz.

John zmarszczył brwi i odpędził gąbkę, po czym próbował się podnieść, wsparty na lewej ręce. Druga była spowita w bandażu aż po bark.

- Doktor wyraźnie zabronił waszej lordowskiej mości wstawać.

- Ale ja muszę...

Lokaj przyniósł gliniany dzbanek i wyjaśnił gestem, do czego służy.

John zaklął siarczyście. Ten drab miałby mu pomagać przy siusianiu?! Mowy nie ma. Tylko że nogi nadal się pod nim uginały, a w głowie rozbrzmiewał ryk spienionych fal. Na wspomnienie bieżącej wody parcie na pęcherz jeszcze wzrosło.

- Czy wasz: lordowska mość woli skorzystać z pomocy brata?

Fagas w swe bezbrzeżnej tępocie nie dostrzegał, że szarpie nerwy pacjenta napięte do ostatnich granic i nadużywa jego cierpliwości, z której nie pozostały nawet strzępy!

John zaklął raz jeszcze, ale co miał robić? Własne ciało wymknęło mu się spod kontroli, jeszcze nigdy w życiu nie czuł się takim zdechlakiem. Potrzeba była zbyt nagląca, by ją zignorować. Pozwolił więc, by lokaj podsunął dzbanek. Ale na tym koniec.

- Łapy przy sobie!

Zdawało mu się, że dostrzega w oczach służącego błysk rozbawienia, twarz jednak miał doskonale obojętną.

- Jak wasza lordowska mość sobie życzy.

Kiedy John opróżnił pęcherz, kamerdyner wyniósł dzbanek i zaaplikował choremu kolejną dozę obrzydliwej mikstury. Znowu ogarnęła go senność, a oczy same się zamknęły.

Następnym razem, gdy się obudził, nie był już taki słaby. Z przyjemnością spostrzegł Małą zwiniętą na dywaniku obok jego łóżka. Ledwie jej pan się poruszył, suczka zaskomlała i podniosła głowę.

- Więc jednak cię tu sprowadzili! Spodziewam się, że zdrowo byś Chapmanę mego braciszka, gdyby sam się pofatygował po ciebie. Ale o tym nie było mowy, co

Psina w odpowiedzi pomerdała ogonem.

- Wiem, że byś go ugryzła, gdybym ci kazał - zapewnił ją John.

To śmieszne, ale z Małą czuł się mniej samotny w tej twierdzy wroga. Przymknął na chwilę oczy i zastanawiał się, gdzie jest teraz pani Hughes. Miał nadzieję, że nie w drodze do Bath, dokąd chciała odwiedzić siostrzenicę.

- Bardzo boli? - zagadnął dobrze mu już znany głosik,

John pospiesznie otworzył oczy.

Dziewczynka stała w półotwartych drzwiach.

Uświadomiwszy sobie, że ma na sobie tylko koszulę, i to wypożyczoną, John podciągnął kołdrę pod brodę.

- Nie powinnaś tu wchodzić.

- Wiem. Gabriel mi zapowiedział, żebym nie wchodziła do tego pokoju. I wcale nie wchodzę. Stoję na korytarzu - wyjaśniła z charakterystyczną dla niej godnością. - Ale z moją guwernantką, panną Tellman, trzy razy dziennie wyprowadzam pańskiego psa na spacer.

- Bardzo dziękuję - powiedział z przymusem.

Był wściekły, że musi leżeć w tym domu, że nie może sam zaopiekować się własnym psem.

- Pan bał się o sunie, więc zadbałam o to, by nie wybiegała na ulicę. Jest bardzo posłuszna.

Jak się wabi?

John przymknął na chwilę oczy. Otworzywszy je, zobaczył, że jego pies biegnie do obcej smarkuli i trąca ją nosem w rękę, domagając się głaskania. Wredne psisko! - wściekł się całkiem nielogicznie.

- Mała. Z oczywistych względów.

- Rzeczywiście, jest nieduża. Ale i z tym, i z krzywym uszkiem bardzo jej do twarzy! Zrobiłam jej szkic, całkiem niezły. Pokażę panu, kiedy poczuje się pan lepiej. A w dodatku jest taka łagodna, wierna i ogromnie do pana przywiązana.

- Jak to pies - burknął.

Nie będzie się roztkliwiał nad byle czworonogiem!

Ale Mała popsuka mu szyki, wracając pędem do jego łóżka, stając na zadnich łapkach i popiskując.

John wyciągnął prawą rękę, rad, że siły choć trochę mu wracają, i pogładził psią łepetynę. Ogon Małej omal nie odpadł.

- Leżeć! — rozkazał szorstko. - Podrzesz pościel!

Mała raz jeszcze liznęła go po rękę i posłusznie ułożyła się na dywaniku.

- Jak się pan czuje, milordzie?

Za plecami dziewczynki ukazała się Mariannę Hughes.

Więc nie wyjechała z Londynu! John poczuł taką ulgę, że niemal opuściło go zażenowanie. Potem jednak przypomniał sobie o idiotycznej sytuacji, w jakiej się znalazł, oraz o swym dezabilu. Niech to szlag, gdyby był zdrowy i silny, nękałyby go nie takie myśli! Poczuł, że się rumieni, i przesunął ręką po twarzy. Wszędzie szczecina - na ospowatej brodzie i policzkach. Że też Mariannę musi go oglądać w tak opłakanym stanie!

Na szczęście nie podeszła bliżej, tylko nadal stała w drzwiach.

- Nie chciałam panu przeszkadzać, milordzie, tylko dowiedzieć się, jak się pan czuje.

- To zwykłe zadrapanie, nie ma się nad czym rozczulać - burknął umyślnie szorstko, by nie zdradzić, jak uszczęśliwił go jej widok.

- Gdyby kula odrobinę zboczyła, nikt nie nazwałby tego „zadrapaniem” -dopowiedziała. -

Taka jestem szczęśliwa, że nie jest pan ciężiej ranny, a Louisie nic się nie stało.

Przypomniał sobie o narzeczonej i ruszyło go sumienie.

- Tak, to prawdziwe szczęście - zgodził się z Mariannę. - Myślę, że... -Urwał i spojrzał na smarkulę. - Panno... Sinclair?

- Hill, Circe Hill -podpowiedziała.

- Panno Hill, Małej z pewnością przydałby się spacer, czy byłaby pani tak uprzejma?

Suka, leżąca spokojnie na dywaniku, na dźwięk swego imienia zaczęła merdać ogonem. Circe nie wydawała się jednak przekonana o konieczności spaceru.

- Dopiero co wróciłyśmy z przechadzki po parku - powiedziała dobitnie. - Ale jeśli chcecie porozmawiać w cztery oczy, wyjdę z nią jeszcze raz.

Mariannę omal nie wybuchnęła śmiechem.

John próbował zachować resztki godności. Nic więcej mu nie pozostało.

- Będę bardzo wdzięczny.

Circe zawołała psa i znikła razem z nim. Nareszcie sami!

- Louisa posłała po kwiaty i osobiście ułożyła dla pana bukiet - powiedziała Mariannę Hughes. - Lokaj właśnie wkłada go do wazonu i zaraz tu przyniesie.

- To bardzo miło ze strony panny Crookshank - odparł John, napawając się widokiem ślicznej twarzy Mariannę, jej szaroniebieskich oczu, delikatnie zarysowanych brwi, ściągniętych teraz... czyżby z troski o niego? - Ale proszę mi wierzyć, raz-dwa będę znowu na nogach. I mam nadzieję, że rozważy pani moją sugestię, byśmy wszyscy troje udali się do mego majątku w Kent.

- Przyznaję, że to rozsądny pomysł - powiedziała po zastanowieniu, a jemu serce zabiło żywiej na myśl, że nie odrzuciła z góry takiej możliwości. -Choć nie chciałabym przysparzać kłopotów pańskiej służbie.

- Bzdura! Wszystkim to dobrze zrobi, gdy w domu zjawią się goście. A ja będę najbardziej zachwycony! - zapewnił ją.

- A poza tym Louisa będzie mogła się zapoznać z pańskim... ze swoim przyszłym domem - dodała Mariannę.

O tym markiz nie pomyślał. Serce w nim zamarło.

- No, tak... chyba tak - wymamrotał.

Czy ta wizyta umocni Louise w przekonaniu, że jemu spieszo z nią do ołtarza? Niech to diabli! Ale na myśl o tym, że przez cały czas będzie miał pod bokiem Mariannę, odsunął od siebie wszelkie troski. Upora się z nimi później!

- Ja też bardzo chętnie pojechałabym z panem... To znaczy... mogłabym się przydać, póki nie wróci pan całkiem do zdrowia. Nie wątpię, że służba zrobi co w jej mocy, ale to nie to samo.

Myśl o tym, że miałyby odgrywać przy niej rolę inwalidy, była dla Gillinghama tak odpychająca, że bez zastanowienia potrząsnął odmownie głową.

- Gdzież mógłbym obarczać panią takim ciężarem?!

- Co też pan mówi? Jaki znów ciężar?!

Nie namyślając się, przestąpiła próg, a w jej głosie John usłyszał cieplejsze tony. Czyżby naprawdę przejmowała się jego losem? Czy to możliwe, żeby... nie był jej całkiem obojętny?

Na to przypuszczenie ciało Johna (acz w opłakanym stanie!) zareagowało nad wyraz gwałtownie. Na szczęście e okrywała go kołdra dość gruba, by ukryć tę reakcję.

- Pani Hughes... - Zaczął i urwał na widok lokaja wkraczającego z wazonem pełnym kwiatów, który ustawił na stoliku obok łóżka.

Dopóki służący nie wyszedł, oboje zachowali milczenie. Potem odezwała się Mariannę.

- Pański brat oddał mi do dyspozycji swego lokaja, żebym mogła odwiedzić Louise bezpiecznie do domu. Wróciłyśmy jego zamkniętym powozem, a nie brekiem.

John ujrzał oczyma wyobraźni Mariannę zasłaniającą siostrzenicę własną piersią i włosy stanęły mu dęba. Dobrze, że ta kula dostała się jemu, nie jej!

- Musi pani bardzo uważać! - oświadczył kategorycznie. - Ten łotr może się bardziej rozzuchwalić i lichy wie, do czego się jeszcze posunie!

Mariannę skinęła głową.

- Louisa obiecała mi, że sama nie opuści domu, chyba że za moim pozwoleniem i w moim towarzystwie. Ale nie można przecież trzymać jej wiecznie pod kluczem! Musimy się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za te mordercze zamachy.

- Jeśli chodzi o Altona Crookshanka...

Mariannę skinęła głową.

- Pański detektyw i mój lokaj na zmianę obserwują z mojego rozkazu dom, w którym mieszka. Masters przekazał mi, że według gospodyni pan Crookshank wczoraj prawie przez cały dzień przebywał poza domem. Nikt jednak nie wie, gdzie się podziewał. Mógł więc oddać strzał, który pana zranił. Ale ogólnie rzecz biorąc, prowadzi spokojne życie: nic tylko odczyty i badania naukowe. I nie przejawia morderczych instynktów.

- Gdyby miał takie ciążoty, nie trąbiłby o nich na cały świat. Jak tylko wstanę z łóżka, pewnie już jutro, odwożę panie do Kent. A tam w spokoju, bez pośpiechu zastanowimy się, co robić dalej.

- Biedna Louisa! - westchnęła Mariannę. - Tak się cieszyła, że zakosztuje wreszcie wielkowiejskich uciech, a teraz siedzi jak w więzieniu! Przynajmniej wizyta w pańskiej posiadłości pomoże jej zająć się czymś innym.

John przyglądał się bacznie Mariannie. Czy wybaczyłaby mu, gdyby porzucił jej siostrzenicę? Wydawała się bardzo przywiązana do tej panny. Jakże mógłby jednak ożenić się z jedną, choćby nie wiem jak ładną i miłą, kiedy pragnął innej, ubóstwiał inną? Zamknął na chwilę oczy i ku swemu ogromnemu rozczarowaniu usłyszał słowa swego ślicznego gościa:

- Nie będę pana dłużej męczyć, milordzie. Musi pan wypocząć!

- Nie, nie! -zaprotestował spieszenie, ale gdy znów spojrział w stronę drzwi, zobaczył, że Mariannę odsuwa się, przepuszczając doktora.

- Niebawem znów pana odwiedzę! - rzuciła na pożegnanie i John musiał się tym zadowolić.

Odejście Mariannę przysporzyło mu więcej bólu niż gruntowne badanie świeżej rany przez doktora. Medyk zmienił opatrunek na ramieniu Johna i stwierdził, że nie dostrzega żadnych objawów infekcji.

- Chcę wyjechać do mojej posiadłości wiejskiej - poinformował go markiz. - Jak najprędzej. Jutro,

Myjąc ręce w porcelanowej miednicy i wycierając je w czysty lniany ręcznik, lekarz rozważał sprawę.

- Świeże wiejskie powietrze zamiast londyńskiej duchoty i kurzu z pewnością dobrze panu zrobi, milordzie. Ale z pewnością nie jutro. Może za dwa tygodnie.

- Nie ma mowy! - wyklócał się John, nie mogąc niestety wyjawić, jak rozpaczliwie pragnie się wyrwać z domu brata. - W tym tygodniu!

Ostatecznie uzgodnili termin wyjazdu na koniec tygodnia, jeśli nie nastąpią komplikacje. Doktor spakował do torby instrumenty medyczne, a lokaj wyniósł zakrwawione opatrunki i brudną wodę.

- Jak się czuje lady Sinclair? - spytał John i uświadomił sobie, że należało zadać to pytanie wcześniej.

Sir William, który miał już wyjść, zatrzymał się, by mu odpowiedzieć.

- Jest bardzo słaba. Straciła mnóstwo krwi w trakcie poronienia. Ale i u niej nie dostrzegłem objawów infekcji, milordzie. A to dobrze wróży na przyszłość. Jeśli w ciągu tygodnia nie przypłycze się gorączka, można się spodziewać, że z czasem wróci całkiem do zdrowia.

- Bardzo mnie to cieszy - odparł John z absolutną szczerością.

Doktor odszedł, życząc mu miłego dnia, markiz zaś wrócił do swych rozmyślań. Trzeba będzie wysłać kilka słów do gospodyni, żeby przygotowała dom na przyjęcie gości. Bóg

raczy wiedzieć, w jakim stanie znajduje się przeznaczone dla nich skrzydło domu. Markiz wolał o tym nie myśleć. On sam nigdy gości nie zapraszał, ojciec również nie, przynajmniej za jego pamięci. No, cóż... będzie to dla służby ambitne wyzwanie. Miejmy nadzieję, że się z tego wywiąże i nie przyniesie mu wstydu!

- Przynies mi papier, pióro i atrament! - rzucił rozkazującym tonem, gdy w polu jego widzenia pojawiła się jakaś męska postać.

- Widzę, że czujesz się jak u siebie w domu - padła sucha odpowiedź. Nie był to powracający lokaj, lecz jego brat we własnej osobie. Obawiając się dalszych docinków, nawet bez powodu, John spoglądał

w milczeniu na zbliżającego się brata.

Jednak Gabriel ograniczył się do uniesienia brwi i zmierzenia go krytycznym wzrokiem. ',

- Myślę, że powinieneś się czym prędzej umyć i ogolić. Chyba że ci odpowiada taki... naturalny stan?

- Oczywiście, że me!

Nie bacząc na napięte mięśnie ramion i dającą się we znaki raną, John spróbował skrzyżować ramiona na piersi i stwierdził, że z ręką na temblaku nie jest w stanie tego dokonać. Ujrzał, że druga, zdrowa ręka sama zaciska się w pięść i starał się ją rozewrzeć.

- No to czemu wyrzuciłeś dziś rano za drzwi mego kamerdynera, który sam się zgłosił do pielęgnowania cię w chorobie?

John zmarszczył brwi. Nie miał pojęcia, że kamerdyner dobrowolnie podjął się tak niewdzięcznego zadania; czemu miałby się poświęcać dla kogoś obcego, gdy wystarczyłoby pierwsze lepsze popychadło do wylewania brudów i przynoszenia tacki z jakimś żarciem?

Gabriel widocznie czytał mu w myślach.

- To wyjątkowo wierny i lojalny sługa; przypuszczam, że zrobił to ze względu na mnie. Ale nie okazałeś mu za grosz wdzięczności. Jeśli tak traktujesz własną służbę, aż dziw, że jeszcze jakaś ci została! Nasz ojciec miewał podobne kłopoty, o ile pamiętam.

- W każdym razie nie rzucam w nich pustymi butelkami! - warknął John. Czemu Gabriel wiecznie porównuje go z ojcem?!

- To już coś! - przyznał brat i oczy błysnęły mu wesołością, którą John wziął oczywiście za szyderstwo. - A co z twoim kamerdynerem? Oberżysta twierdził, że nie przywiozłeś ze sobą osobistej służby.

John poczuł się osaczony.

- Nie cierpię kamerdynerów! - wymamrotał, odwracając się, by nie ujrzeć cynicznych błysków w ciemnoniebieskich oczach brata.

- Łatwo to poznać po twym przydzwisku. Choć muszę przyznać, żeś się nieco ucywilizował. Czyżby to był wpływ kobiecej ręki, na przykład panny Crookshank?

John już otwierał usta, by temu zaprzeczyć, gdy przypomniał sobie, że to pani Hughes namówiła go na pójście do krawca. Nie mając ochoty słuchać wykładu na temat ostatniej mody z ust swego niezmiennie eleganckiego brata, pospiesznie zmienił temat,

- A co ze stajennym, stangretem i moim powozem?

- Zostali w zajeździe. W mojej wozowni nie ma miejsca na jeszcze jeden ekwipaż. Wynajęty brek, jak już wspomniałem, został odesłany. Nie miałbyś chyba ochoty płacić za coś, co stałoby bez pożytku?

John skinął głową.

- Dziękuję - powiedział z niejakim trudem i dodał już bez przymusu: -Bardzo się cieszę, że twoja żona wraca do zdrowia.

Twarz Gabriela złagodniała.

- Wraca, wraca, dzięki Bogu! A ja zostałem poinformowany, a raczej pouczony ostrym tonem przez cały chór niewiast, jak bardzo się myliłem w ocenie incydentu w parku. Ale chyba rozumiesz, że nie wysłałem sobie tego z palca! Powiedziano mi...

- ...a tyś bez trudu uwierzył we wszystko co najgorsze - dokończył za niego John, rad, że choć przez chwilę jest górą. - Uznałeś, że jestem zdolny do napaści na Bogu ducha winną kobietę, w dodatku własną bratową!

- Dobrze pamiętam, jak mnie dręczyłeś w dzieciństwie! I wiem, że nadal mnie nienawidzisz - odparł Gabriel beznamiętnym tonem.

- Wcale cię nie nienawidzę! - zaprzeczył bez zastanowienia John.

Gabriel jednak mu nie uwierzył. Po kiego licha miałbym go przekonywać? -pomyślał markiz. I tak już zapędzili się w rozmowie zbyt blisko prawdy. Przeszedł więc na bezpieczniejszy temat.

- Gdyby twój kamerdyner nadal był skłonny mi pomóc, możesz mu powiedzieć, że przyjmę tą pomoc z wdzięcznością. A jeśli już nie chce mieć ze mną do czynienia, przyślij mi, jeśli łaska, jakiegoś lokaja. Moje przybory do golenia powinny być w kufrze, jeżeli kazałeś zabrać moje rzeczy z oberży. No i... zwłaszcza gdy przyślesz mi niewprawnego jeszcze lokaja, możesz żywić miłą nadzieję, że poderżnie mi gardło.

Gabriel znów wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Na to nie licz, bracie - odparował szeptem. - Jeśli ktoś tego dokona, to tylko ja!

13

Przez cały dzień John to zapadał w sen, to budził się i zasypiał z powrotem

Po odejściu brata pojawił się znów jego kamerdyner uzbrojony w komplet oprawnych w kość słoniową brzytwę markiza. Były starannie naostrzone. John zauważył to i poczuł cięć niepokoju. A nuż Gabriel postanowił jednak pozbyć się znienawidzonego brata i zaaranżuje nieszczęśliwy wypadek?

Bzdura! Gabriel nigdy by nie pozwolił wyręczyć się w tym, na co sam miał taką ochotę! - pomyślał posępnie John. Z pozorną obojętnością i w absolutnym bezruchu poddał się więc zabiegom kamerdynera, który ogolił go perfekcyjnie, nie zadrasnąwszy ani razu. A jeśli pod maską bezosobowego profesjonalizmu błysnęło znów rozbawienie, markiz tego nie zauważył. Kolejnym punktem programu było dokładne obmycie gąbką całego ciała i zmiana koszuli, tym razem na własną. I wreszcie John mógł opaść znów na poduszki i zamknąć oczy. Zasnął prawie natychmiast, nawet bez zażywania tego mdlącego świństwa.

Pod koniec dnia zdołał wmusić w siebie trochę zupy. Noc miał niespokojną. Kiedy otworzył oczy, ledwie świtało. Rozglądał się dokoła, dostrzegając tylko niewyraźne zarysy pokoju i mebli. Uświadomiwszy sobie, gdzie jest, zmarszczył brwi.

Suczka leżąca obok jego łóżka uniosła łebek, zerwała się na równe nogi, podskoczyła do swego pana i zaskomlała.

- Zarażcie ktoś wyprowadzi -zapewnił ją John. -Ja nie mogę... i diabli mnie biorą z tego powodu.

Spaniel spojrział na niego smutno i znów się położył. Ciekawe, czy i ja mam taką żalną minę, kiedy leżę tu jak uwiązany i marzę o wolności? -zastanawiał się Gillingham. Kiedyż wreszcie wyrwą się z tego domu? Kiedy przestanę wypatrywać na każdym kroku czających się zbirów? Kiedy wy-plączę się z tego przeklętego narzeczeństwa?!

A na dobitkę tęsknił za Marianną Hughes. Brakowało mu jej melodyjnego głosu, subtelnego zapachu jej różanych perfum, miłego widoku jej pogodnej twarzy i wymownych oczu w kolorze zasnutego dymem nieba. Tęsknił za tym, by skrycie podziwiać jej kobiece okrągłości, które tak rozpalały mu zmysły. Pragnął znów, jak najczęściej, dotykać ręki Mariannę, gdy pomagał jej wsiąść do powozu lub zejść po schodkach. Chciał mieć ją przy sobie i otwarcie zabiegać o jej względy.

Ale o tym nie było mowy, póki nie odnajdzie i unieszkodliwi skrytego wroga. Sfrustrowany tą konkluzją John spróbował się podnieść na łóżku i skrzywił się z bólu, nadwerężywszy chore ramię.

Jeśli nie rozwiąże zagadki tych morderczych ataków, żadne z jego życzeń się nie spełni. Opadł znów na poduszki i próbował zebrać myśli.

Niebawem - wcześniej, niż się spodziewał - rozległo się lekkie stukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał.

Drzwi się otwały i do pokoju zajrzała Circe Hill.

- Przyszłam wyprowadzić Małą- wyjaśniła.

- Ranny z ciebie ptaszek - zauważył markiz.

Widać było, że włosy dziewczynki zostały byle jak odgarnięte do tyłu i pospiesznie związane wstążką; kilka ciemnych kosmyków zdążyło się już wymknąć. Pewnie uczesała się sama.

- Poranne światło jest najlepsze - wyjaśniła. - Dla malarza, oczywiście. John nigdy jeszcze nie zetknął się z takim dziwnym dzieckiem.

- Nie znam się na tych sprawach - odparł - więc nie będę przeczył.

- To byłoby głupie, jeśli nie zna się pan na sztuce - przytaknęła tak rzeczowym tonem, że jej uwaga nie zabrzmiała niegrzecznie.

- A ty się na niej znasz? - spytał cierpko.

- No pewnie, chociaż się dopiero uczę. Bardzo bym chciała studiować jak wszyscy przyszli malarze, tylko kobietom na to nie pozwalają. Ale gdy dorosnę, pokonam tę przeszkodę. - Mówiła pewnym siebie tonem, który -o dziwo - nie brzmiał śmiesznie w ustach niedojrzałej dziewczynki.

- Jestem pewien, że ci się to uda - przytaknął John i sam się zdziwił, że rozmawia z tym dzieciakiem jak równy z równym. Potem uświadomił sobie, że wszyscy bezwiednie traktują Circe jak dorosłą. Nie ma się więc czym przejmować.

- Idziemy, Mała! - oznajmiła dziewczynka.

Spaniel, który zerwał się na widok Circe, teraz żywo podskoczył ku niej, gotów natychmiast wybiec za nią z pokoju.

- Chyba nie wychodzisz z psem sama? - zaniepokoił się Gillingham, który rozważał właśnie niebezpieczeństwa grożące młodym panienkom.

- Na ulicę nigdy, Gabriel mi zabronił. Ale teraz zabiorę Małą na tylny dziedziniec - zapewniła go. - A tam roi się od stajennych i pokojówki biegają po wodę i drwa do pieca. Potem, gdy Telly wstanie, pójdziemy z nią do parku po przeciwnej stronie ulicy.

Gillingham skinął głową i odprowadził wzrokiem dziecko i psa. Po ich odejściu poczuł się niewiarygodnie samotny. Zachowuję się jak głupi smarkacz! - pomyślał, zły na siebie. Najpierw ciało go zawodzi, a teraz nie panuje nawet nad swymi myślami! Tak mu brakowało Mariannę... O Boże, jak za nią tęsknił!

Żeby przerwać te rozmyślania, usiadł znów na łóżku i spróbował spuścić nogi na ziemię. Owszem, usłuchały, ale gdy na nich stanął, okazały się bardzo niepewną podporą. Mimo to, trzymając się zdrową ręką łóżka, przeszedł się kilkakrotnie w tę i z powrotem, aż odzyskał tyle sił i sprawności, że dotarł samodzielnie do nocnika ukrytego dyskretnie w drewnianej komódce. Ten wyczyn utwierdził go w przekonaniu, że powoli odzyskuje dawną energię i władzę nad ciałem.

Gdy zjawił się kamerdyner z ciepłą wodą, ujrzał ze zdumieniem, że jego podopieczny stoi na własnych (co prawda dość chwiejnych) nogach.

- Wasza lordowska mość nie powinien się przemęczać.

Markiz skinął głową potakująco, ale dodał:

- Chcę się dziś ubrać.

Spodziewał się sprzeciwu, ale służący odparł z ukłonem:

- Tak jest, milordzie. Najpierw za pozwoleniem waszej lordowskiej mości sprawdzę, czy opatrunek nie przesiąkł krwią, bo sir William Reynolds zjawi się dziś nieco później. A potem pomyślimy o ubraniu waszej lordowskiej mości. I o śniadaniu.

Ponieważ kamerdyner obstawał przy tym, że pacjent - nawet ubrany - powinien leżeć, a John,

szczerze mówiąc, nie miał nic przeciwko temu, uzgodnili bez trudu, że jego strój będzie się składał ze spodni i koszuli, bez żadnych obcisłych fraków i misternie zapętlonych fularów, w których byłoby niewygodnie leżeć na wznak, z głową na poduszkach.

Potem John uświadomił sobie, że czuje się w środku pusty jak muszla gruntownie wypłukana przez morze i wyrzucona na brzeg. Żołądek głośnie burchaniem dopominał się jedzenia. Solidnego jedzenia, a nie rozcieńczonych bulionów i dietetycznych zupek!

Na szczęście, gdy przyniesiono tacę, markiz znalazł na niej szynkę, jajka, chleb i pudding - potężną porcję pozwalającą zapomnieć o trwającej niemal dobę głodówce. Rozkoszował się każdym kęsem. Kiedy zjawił się znów kamerdyner z wieścią, że ozdrowieniec ma gościa, John pozwolił bez oporu zabrać tacę i spojrzał z nadzieją w stronę drzwi.

Z trudem ukrył rozczarowanie, gdy do pokoju wpłynęła Louisa Crookshank w sukni z pastelowożółtego muślinu, który stanowił idealne tło dla jej złotych włosów i mlecznej karnacji.

- Najdroższy markizie, jakże się pan miewa? - dopytywała się ze współczuciem.

Wiedziony naturalnym odruchem John odszczeknąłby coś z irytacją. Pohamował się jednak, nie bez wysiłku.

- Całkiem dobrze, dziękuję.

- Gdy pomyślę, milordzie, że wziął pan na siebie wymierzoną we mnie kulę... Cóż za oddanie! Czym sobie na to zasłużyłam?

Złożyła ręce i wlepiła w niego oczy pełne uwielbienia.

Gillingham ani rusz nie potrafił w taktowny sposób dać jej do zrozumienia, że jego heroiczna ofiara nie była wcale zamierzona. Gdyby dostrzegł lecący pocisk, mało prawdopodobne, by się umyślnie nadstawił.

- To nic takiego... - bąknął wreszcie, modląc się w duchu, by panienska nie wybuchnęła płaczem; wdzięczność wyraźnie odebrała jej rozum. - Wracam do zdrowia w szybkim tempie.

- Gorąco się o to modlę! - Louisa uśmiechnęła się słodko. - Może pan być pewien, milordzie, że nigdy nie zapomnę pańskiej bezprzykładnej troski o moje zdrowie i szczęście!

Wyśmienicie! Tylko tego brakowało, by panna poczuła się jeszcze mocniej z nim związana! John zaczął się niespokojnie wiercić.

- Bardzo dziękuję, doprawdy, ale nie powinna pani wchodzić sama do mego pokoju. Nie chcę, by nawet cień podejrzenia skałał pani reputację.

- Pan zawsze myśli przede wszystkim o mnie! - oświadczyła. - Ale sama nalegałam na to króciutkie sam na sam, żeby wyrazić swoją wdzięczność,

Proszę się nie obawiać o moją reputację; cioteczka stoi obok, na korytarzu. Ciociu Mariannę, możesz już wejść! i

John powtarzał to wezwanie bezgłośnie, ale ze większą żarliwością.

Błagam cię, Mariannę, ukaż się! Tak mi ciebie brak, najdroższa!

Kiedy się jednak pojawiła, była od niego odgradzona murem rezerwy, za który zawsze się chroniła, ilekroć z rozmysłem schodziła na drugi plan. John miał już tego serdecznie dość.

Nie powinna wtapiać się w ogólną uwagę! Czy zdoła ją kiedyś skłonić do odegrania głównej roli?

- Ciocia powiedziała mi o pana wielkodusznej propozycji - mówiła dalej Louisa. - To kolejny dowód pańskiej troskliwości! Już się nie mogę doczekać chwili, gdy po raz pierwszy ujrzę pana posiadłość, milordzie!

- To nic takiego - powtórzył.

Szczebiotała tak przez kilka minut, a John zachodził w głowę, jak mógł choćby przez chwilę być pod urokiem tej słodziutkiej, ładniutkiej, popisującej się przed nim gąską! Nie, nie... Czuł, że jest wobec niej niesprawiedliwy. Po prostu zakochał się w innej; znalazł kobietę o wiele głębszą i dojrzałą, której ta ślicznotka mimo najszczerzych chęci nie dorasta do pięt!

Zrobiło mu się żal Louisy. I siebie samego.

- Napiszę dziś do mego majordoma i ostrzegę, to znaczy powiadomię go, że zjawimy się pod koniec tygodnia - powiedział, dodając w myśli: a jak doktorowi to się nie spodoba, niech go diabli! - Na razie jednak gorąco proszę, by pozostała pani w domu.

Louisie zrzędała mina.

- Jeśli tak pan nalega, milordzie...

- Jestem pewien, że pani ciotka zgodzi się ze mną - odparł markiz, a Mariannę skinęła głową potakująco. - Wiem, jakie to przykre, ale musimy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

- Jemu taka perspektywa wcale nie wydawała się przykra. Szczerze mówiąc, najchętniej przeniósłby się niezwłocznie do domu, jak najdalej od wielkomijskiego zgiełku i ścisku. Wiedział jednak, że Louisa ma na tę sprawę całkiem odmienny pogląd.

Narzeczona ustąpiła wobec ich nalegań z wyraźną niechęcią.

Kiedy zjawiła się zarządzająca domem Sinclairów z wieścią, że herbata dla pań czeka już w salonie, Louisa pospieszyła za nią. Ku ogromnej radości markiza Mariannę została jeszcze przez chwilę. Wyglądało jednak na to, że chce tylko podyskutować o tajemniczym napastniku.

- Zdobyłam dalsze informacje na temat Altona Crookshanka - powiedziała cicho. - Mój lokaj dowiedział się, że w dniu, kiedy padł ów strzał, profesor

przebywał w swoim gabinecie na terenie Akademii pogrążony w pracy naukowej.

- W takim razie można go skreślić z listy podejrzanych - podsumował John.

Ton jego głosu był równie posępny jak myśli. Czemu, do licha, nie spojrzął we właściwą stronę, by odkryć napastnika z rewolwerem?!

- Nic podobnego! Budynek ma kilka wejść, a on nie rzuca się specjalnie w oczy. Zachowuje się cicho, jak twierdzi portier, i na ogół nikt nie wie, czy profesor jest jeszcze u siebie, a jeśli wyszedł, to dokąd.

Popatrzyła na markiza z cichym triumfem.

- Dobra robota! - pochwalił i ujrzał z radością, jak ucieszyła ją ta pochwała i jak ślicznie się zaczerwieniła. - Myślałem o naszym położeniu, to znaczy o sytuacji Louisy.

- I co?

- Jeśli istotnie godzono na jej życie zarówno w Bath, jak i w Londynie, nie mamy żadnej gwarancji, że wyjazd do Kent odstraszy jej napastnika i zagwarantuje jej bezpieczeństwo - powiedział z namysłem.

- Więc pan uważa, że nie ma sensu tam wyjeżdżać?

Wydawała się rozczarowana. Nie wiedział jednak, czy zmartwiła się jego pesymistycznym poglądem na bezpieczeństwo Louisy, czy też żałowała ich podróży. Miał nadzieję, że to drugie, a przynajmniej jedno i drugie.

- Nie, nie! Jestem zdania, że powinniśmy wyjechać. W każdym razie znacznie mniej tam ludzi, więc ktoś obcy bardziej się będzie rzucał w oczy.

- Ale to by znaczyło, że wykorzystamy Louise w charakterze przynęty! - zaprotestowała. - Jak beczącego kozła uwiązanego do drzewa, by wywabić tygrysa z dżungli!

Uśmiechnął się lekko na to porównanie żywcem wzięte z jednej z jej ulubionych podróźniczych książek.

- Wątpię, byśmy zdołali skłonić pannę Louise do pobekiwania. I z pewnością nie będzie tam bardziej zagrożona niż tutaj. Mam szczerą nadzieję, że znacznie mniej.

- Słusznie - przytaknęła Mariannę, ale mimo to zacisnęła wargi. - Ale czuję, że jeśli stanie się coś złego, będzie to moja wina!

Od zbyt dawna dźwigała na barkach cały ciężar odpowiedzialności, myślał Gillingham. Pragnął usunąć z jej czoła zmarszczkę niepokoju, rozpędzić ją głaskaniem, pocałunkami... A niech to wszyscy diabli! Jak bardzo pragnął jej dotknąć.

Z wysiłkiem wrócił myślą do Louisy.

- Pierwszy zamach miał miejsce, zanim podjęła się pani opieki nad nią - przypomniał.

- Tak, ale teraz jestem za nią odpowiedzialna!

Spojrzała mu prosto w oczy. Wiedział, że równie śmiało spogląda w twarz rzeczywistości. Przez chwilę czuł tylko podziw dla jej nieulekłego ducha i był z niej dumny. Zdumiewające jak urzekła go swą odwagą... jak zresztą wszystkim.

- Będziemy razem się nią opiekować - obiecał.

To skromne przyrzeczenie sprawiło, że oczy Mariannę rozbłyły. Nadejdzie taki dzień, że już wszystko będą robić razem. Musi nadejść!

Uradowany perspektywą rychłego opuszczenia domu brata, a jeszcze bardziej możliwością goszczenia Mariannę Hughes (i oczywiście Louisy) pod swoim dachem, John nie mógł się doczekać końca tygodnia.

Nastał wreszcie dzień, gdy jego rzeczy zostały znów spakowane; tym razem jednak gotowe były do drogi aż dwa powozy. Oprócz czarnej karety podróźnej markiza, która prezentowała się zresztą dość nieciekawie w porównaniu z eleganckim ekwipażem brata, wyruszyć miał jeden z powozów Gabriela wypożyczony dla wygody dam: pomieściły się w nim wszystkie ich bagaże oraz dwie pokojówki, które miały nad nimi pieczę.

John podróżował własnym powozem, a Louisa uparła się, że dotrzyma mu towarzystwa. Wzdrygał się na samą myśl o nieustannej trosce, jaką będzie mu okazywała. Już wzbogaciła wyposażenie powozu o dwie dodatkowe poduszki dla niego oraz gorącą cegłę pod nogi. Na szczęście miała jechać razem z nimi Mariannę jako przyzwoitka siostrzenicy.

Lokaj próbował wsadzić Małą do powozu wiozącego pokojówki i bagaże, ale psina podniosła taki wrzask, że ostatecznie wylądowała w karecie swego pana.

Louisa zmierzyła dość nieprzychylnym okiem spanielka, który zwinął się u nóg markiza.

- Zapewniam cię, że ogrzeje mu stopy nie gorzej niż twoja cegła! - szepnęła jej Mariannę z błyskiem rozbawienia w oczach.

Lord Gabriel postanowił towarzyszyć im konno, toteż kłusował teraz obok powozu. John usiłował wybić bratu z głowy pomysł odprowadzania ich aż do Kent.

- Doskonale wiem, że wolałbyś pozostać z żoną.

- No, no! Aż tak pragniesz się mnie pozbyć? - Gabriel uniósł jedną brew. - Przyznaję, że wolałbym z nią zostać, ale doktor zapewnia, że Psyche nic już nie grozi. Poza tym jedna z przyjaciółek dotrzymuje jej towarzystwa, a Circe jest bardzo rozsądna jak na swój wiek. Dały słowo, że wezwą mnie natychmiast przez specjalnego posłańca, gdybym był potrzebny. Nie mam zresztą zamiaru bawić długo u ciebie, tylko jak najprędzej wracać do Londynu.

John nie wątpił w prawdziwość tych słów: jego brat z pewnością nie poświęci ani chwili więcej niż to konieczne na krępującą dla nich obu wyprawę w krainę dzieciństwa.

- Ale moja żona wyraźnie sobie życzyła, bym pojechał z wami i upewnił się, że panna Crookshank i pani Hughes szczęśliwie dotarły na miejsce, a ja nie zamierzam jej denerwować.

Tak więc udali się w podróż wszyscy razem, a ruszający już z miejsca powóz tylko dwukrotnie trzeba było zatrzymać. Najpierw okazało się, że Louisa zostawiła przez pomyłkę jeden ze swych kapeluszy. Potem Sally - dobrze wyposażona przez naturę, zwinna osóbką - wybiegła, by przekazać odjeżdżającym jeszcze jedno, ostatnie przesłanie od lady Sinclair. Wreszcie stangret strzelił z bata i powóz definitywnie ruszył w drogę.

Dzień był piękny a Johnowi humor wyraźnie się poprawiał, gdy pozostawiali coraz dalej za sobą zatłoczone ulice Londynu, a po obu stronach drogi roztaczał się znów niezrównany wiejski krajobraz. Nawet siedząc w powozie markiz słyszał śpiew wzbijającego się niebo skowronka. Na zielonych łąkach dopiero co urodzone jagnięta brykały pod opieką matek. Prawdziwa angielska wiosna.

John sam miał ochotę śpiewać na całe gardło. Choć Louisa terkotała jak najęta (czy ta dziewczyna nigdy nie zamilknie?), jemu zaś wypadało przytakiwać, mógł zerkać z ukosa na Mariannę i skrycie ją podziwiać.

Do granic włości Gillinghama dotarli późnym popołudniem. John rad był, że jego młodszy brat z wyraźną aprobatą spogląda na należycie wykorzystane grunta i schludne gospodarstwa dzierżawców.

- Wypróbowałaś ten nowoczesny system płodozmianu? - spytał Gabriel, podjeżdżając do okna, przy którym siedział John, i zaskakując go nagłą ochotą do rozmowy. Dotarli właśnie do stróżówki i przystanęli, czekając, aż im otworzą bramę. Stangret, korzystając z postoju, poprawiał na jednym z koni uprząż.

- Owszem. I stwierdziłem, że daje znakomite rezultaty- odpowiedział bratu John.

Zanim woźnica wdrapał się znów na kozioł i wziął do rąk cugle, przeprowadzili krótką, ale rzeczową i uprzejmą pogawędkę na temat nowoczesnych metod uprawy roli. Pierwszy powóz ruszył, drugi potoczył się za nim.

Po przejechaniu mniej więcej dwóch kilometrów minęli ostatni zakręt i na horyzoncie ukazał się dwór, Tym razem Gabriel nie powiedział ani słowa, a John, obserwując go skrycie z powozu, zauważył, że twarz bratu spochmurniała; widać odżyły dawne złe wspomnienia. Ciszę przerwała Louisa, przesadnie wychwalając potężny budynek. John był bardziej zainteresowany opinią drugiej z dam i czekał, co ona będzie miała do powiedzenia. Mariannę przyjrzała się bacznie okazałej rezydencji. - To piękny dom - przyznała - o szlachetnych proporcjach. Markiz uśmiechnął się z wyraźną ulgą. A więc spodobał się jej jego rodzinny dom!

Gdy powóz się zatrzymał, lokaj pospieszył otworzyć drzwiczki i pomóc damom przy wysiadaniu. John spoglądał na niego z zazdrością, żałując, że to nie on usłuży Mariannę. Kiedy następnie sam wynurzył się z powozu, w dobrej właściwie formie, choć zranione ramię- mimo temblaka - nieco ucierpiało w trakcie podróży, przekonał się, że cała służba wyszła na jego powitanie.

Podczas gdy Mała z zapałem obwąchiwała każdy krzaczek, markiz przemówił życzliwym tonem do swych podwładnych. Nie uszło jednak jego uwagi, że gospodyni jest wyraźnie zaniepokojona, kucharz ma kaca, a Pomfroy - majordomus - minę jeszcze bardziej grobową niż zwykle. Niech to wszyscy diabli! Czyżby w domu panował kompromitujący bałagan - właśnie teraz, gdy po raz pierwszy sprowadził pod swój dach gości?! I to osoby, na których aprobacie bardzo mu zależało!

Gdy weszli do frontowego holu, John spojrzał na swój dom całkiem innym, obiektywnym wzrokiem i serce w nim zamarło. Nie ulegało wątpliwości, że na ostatnią chwilę próbowano zaprowadzić tu jako taki ład, ale te desperackie wysiłki nie mogły usunąć skutków wieloletniego zaniedbania. Na marmurowych posadzkach pozostały brudne smugi po ścierce. Z wysokich sklepień to tu, to tam zwisała przeoczona pajęczyna. Nawet salon jego matki, od lat zamknięty, prezentował się nieszczególnie, choć na szczęście służba nie zapomniała zdjąć pokrowców z mebli: na dywanie i po kątach było pełno kurzu i pachniało stęchlizną.

Gabriel na szczęście powstrzymał się od komentarzy, ale spod maski obojętności wyzierała jawna pogarda. Johna ogarnęło głębokie rozgoryczenie.

- Obawiam się, że moja służba nie przykłada się zbyt do pracy - mruknął do Mariannę, której uśmiech podniósł go nieco na duchu.

- Pański dom potrzebuje gospodyni, i tyle! - odpowiedziała, spoglądając mu przyjaźnie w oczy.

To ja potrzebuję ciebie, i to nie tylko do prowadzenia domu! - odpowiedział jej w myśli, ale nie mógł przecież wypowiedzieć tego na głos.

Mariannę zerknęła na siostrzenicę. Louisa rozglądała się po pokoju i najwidoczniej usiłowała znaleźć w nim coś, co mogłaby pochwalić.

- Zastłony są bardzo ładne - oświadczyła w końcu.

Po raz pierwszy od lat John przyjrzał się uważnie wysokim oknom i brokatowym kotarom.

- Kiedyś istotnie były ładne, ale strasznie wyblakły - przyznał. - Wybierała je moja matka,

która od wielu lat nie żyje. Wszystko tu domaga się gruntownych zmian. I dopilnuję, by zostały przeprowadzone.

Jak mógł nawet myśleć o przywiezieniu nowo poślubionej żony do tak zaniedbanego domu?! Sarn prowadził pustelnicze życie i korzystał wyłącznie z sypialni, jadalni i gabinetu. Nawet mu nie przyszło do głowy, że powinien zadbać o stan pomieszczeń, do których nigdy nie zaglądał,

- Mężczyźni z reguły nie znają się na gospodarstwie domowym - usłyszał ciche słowa Mariannę, która przemawiała do Louisy uspokajającym tonem. - Jak zwykła mawiać lady Sealey, panowie lubią w domu porządek, ale nie mają pojęcia, jak o niego zadbać.

John nie mógł zaprzeczyć temu twierdzeniu. W drzwiach ukazała się gospodyni, by zaprowadzić damy do przeznaczonych dla nich apartamentów, lokaj zaś wskazał Gabrielowi pokój gościnny. John odetchnął głęboko; oby przynajmniej tam było wywietrzone, a pościel bez dziur!

Udał się do swego pokoju, gdzie czekał już Pomfroy, by pomóc przy zdejmowaniu płaszcza i surduta.

- Obiad będzie o szóstej, milordzie - oznajmił majordomus. - Robiliśmy co w naszej mocy, ale czasu było mało, a w dodatku dwie pokojówki odeszły i Corey znów się skarży, że kuchenny komin jest zatkany sadzą.

- No to czemu, u diabła, nie kazaliście go wyczyścić? - zirytował się markiz. - Mów szczerze, Pomfroy: kucharz znów się dobrał do mego portwajnu? Kazałem ci przecież...

- Nie, nie, milordzie - zaprotestował majordomus. - Miałem baczne oko na porto. Ale Corey przerzucił się na koniak - dodał z westchnieniem.

Gillingham poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- Już go ostrzegałem! Możesz go poinformować, że jego dni są policzone. Jak tylko znajdę kogoś na jego miejsce, wyleci na zbity łeb.

Przynajmniej tyle mogę zrobić dla mojej przyszłej żony, ktokolwiek nią w końcu zostanie, pomyślał posępnie. Skwaszona twarz Pomfroya jeszcze spochmurniała.

- Oczywiście, milordzie... ale czy mógłbym coś zasugerować?

- Słucham.

- Może by lepiej nie powiadamiać Coreya o jego losie, póki nie znajdziemy nowego kucharza, a on sam... hm... nie będzie już miał dostępu do potraw?

John nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. On się ugania za nieuchwytnymi napastnikami, a ma truciciela we własnej kuchni?!'

- Rozsądna uwaga - przyznał. - Ale zacznij się od razu rozglądać za nowym kucharzem, i to energicznie.

Majordomus skinął głową.

- I wróc tu za godzinę, pomożesz mi przebrać się do obiadu. Zadbaj o to, żeby moi goście mieli gorącą wodę i wszystko, co trzeba.

John położył się na łóżku i zamknął oczy; przekonał się jednak, że o zaśnięciu nie ma mowy. Jak mógł nie zauważyć, że dom jest w okropnym stanie?! Co prawda, był jego właścicielem dopiero od śmierci ojca, niewiele ponad rok, ale mimo wszystko powinien odnowić i wysprzątać rodową siedzibę. Może większość kawalerów nie dba o takie rzeczy, próbował się usprawiedliwić. Ale obawiał się, że damy (inaczej mówiąc - Mariannę) powezmą jak najgorsze mniemanie o jego domu. Był też pewien, że jego młodszy brat uśmiecha się szyderczo, nawet jeśli czynił to tylko w duchu.

A niech to wszyscy diabli! . .

Kiedy lokaj przyniósł gorącą wodę na kąpiel, John ostrożnie, by nie zamoczyć opatrunku, przed czym ostrzegał go lekarz, wszedł do napełnionej do połowy miedzianej wanny i zdołał się umyć dość szybko i przyzwoicie. Następnie wytarł się niezręcznie i ubrał, korzystając z pomocy majordoma przy wkładaniu koszuli, surduta i pantalonów. Zwykle sam wiązał sobie

fular pod szyją, ale jedną ręką nie mógł oczywiście tego dokonać; wyręczył go zatem Pomfroy z wyrazem ogromnego skupienia na twarzy. Dzięki ich wspólnym wysiłkom markiz mógł wreszcie zejść na dół i spotkać się ze swymi gośćmi w salonie.

Stwierdził, że zapach stęchlizny jest o wiele słabszy. Ktoś pomyślał o tym, by pootwierać okna; lekki wieczorny wietrzyk wpadający do wnętrza sprawił, że atmosfera w salonie uległa znacznej poprawie.

Gdy przyłączyły się do niego damy, markiz odkrył, kto wydał owo rozsądne polecenie.

- O, jak przyjemnie! - pochwaliła Louisa, rozglądając się dokoła. Rozsiadła się wygodnie w głębokim fotelu; Krótka drzemka i zmiana toalety przywróciły jej zwykłą pogodę ducha.

- Poleciłam, by otwarto tu okna... Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, milordzie, że się tak szarogęszę - odezwała się półgłosem Mariannę, gdy Gillingham pochylił się przed nią w ukłonie.

- Proszę czuć się jak u siebie w domu i wydawać tyle poleceń, ile uzna pani za stosowne - odpowiedział John i nie był to wcale grzecznościowy frazes, jak można by przypuszczać. - Obawiam się, że nie mam pojęcia o zarządzaniu domem, o czym już pani zresztą napomknęła, w bardzo taktowny sposób.

Policzki Mariannę poczerwieniały.

- Nie powinnam robić takich uwag - pokajała się, ale oczy jej się śmiały,

- Szkoda, że nie mogła pani zobaczyć tego domu, gdy żyła moja matka - powiedział markiz. - Było tu całkiem inaczej!

Gabriel, który wszedł właśnie do salonu, zdążył usłyszeć tę uwagę.

- Istotnie, nasza matka utrzymywała tu idealny porządek - potwierdził. - I dbała, by w każdym pokoju była miseczka z suszoną lawendą, dzięki czemu w całym domu słodko pachniało.

Johna ogarnęła nagle fala wspomnień.

- To prawda! Warto przywrócić ten zwyczaj.

- Będiesz musiał ponownie wyhodować lawendę - stwierdził cierpkim tonem brat. - Wszystkie klomby i grządki naszej matki zarosły zielskiem.

John miał już na języku gniewną odpowiedź, ale się pohamował.

- Widzę, że zwiedzałeś stare kąty - zauważył spokojnie. Gabriel nic nie odpowiedział.

Był na grobie matki! - uświadomił sobie Gillingham. Pochowano ją na rodzinnym cmentarzu przy końcu dworskiego parku. Gniew Johna nieco zelżał. Młodszy brat mógł zobaczyć na własne oczy, że przynajmniej tam panuje wzorowy porządek. O tej powinności nowy markiz nigdy nie zapominał. Ale wyraz twarzy Gabriela był posępny, a spojrzenie mroczne.

Na szczęście w drzwiach ukazał się majordomus i oznajmił, że obiad podany.

John - chcąc nie chcąc - podał ramię Louisie, a jego brat Mariannę. Stół prezentował się całkiem niezłe: biały obrus, rodowa porcelana, srebra i kryształ. Sztućce może nie najlepiej wypolerowane, a kwiaty pośrodku stołu z lekka przywiędłe. Istotnie, powinienem zadbać o ogród kwiatowy, uświadomił sobie markiz, wściekły, że młodszy brat zastał posiadłość w nie najlepszym stanie.

Kiedy John odziedziczył rodzinny majątek i mógł wreszcie dokonać w nim niezbędnych zmian, z przerażeniem, acz nie po raz pierwszy, stwierdził, jakie marnotrawstwo i niedbalstwo panowało tu za rządów jego ojca. Ze względów praktycznych skoncentrował całą uwagę na pastwiskach, gruntach ornych i gospodarstwach dzierżawców. Nie było czasu na przywrócenie do dawnej świetności dworskiego parku, ale powinien zadbać przynajmniej o kwiaty zasadzone przez matkę. Ciekawe, jakie jeszcze niedopatrzienia wyjdą na jaw w trakcie tej wizyty?

Gdy na stole pojawiło się pierwsze danie, kolejny mankament ukazał się jak na dłoni. Zupa była wodnista, pudding twardy jak kamień w zapuszczonym ogrodzie, jarzyny rozgotowane na mazię, a galaretki nie stanęły.

Jeśli chodzi o drugie danie, to ryba (o dziwo!) okazała się jadalna, natomiast pieczeń wołowa

prawie zwęglona, kurczęta zaś łykowate.

Goście nie robili uwag na temat menu, gdyż dobre wychowanie nie pozwala na jawną krytykę, nikt jednak nie miał większego apetytu. Jeśli zaś chodzi o Gabriela, to John obawiał się poważnie, że lada chwila wyskoczy on z jakimś szyderstwem, co doprowadzi do natychmiastowej awantury. Nie miał zaś najmniejszej chęci walczyć z bratem, choćby tylko na języki, w obecności dam.

Nie poprawiło markizowi humoru także to, co zdołał usłyszeć przy stole, mimo nieustannego szczebiotu siedzącej po jego prawej ręce Louisy. Otóż Gabriel bawił Mariannę wspomnieniami ze swych zagranicznych podróży. Rozśmieszał ją anegdotkami o kupcach z Trynidadu i pasterzach z greckich wysp, sprawiał, że oczy jej błyszczały, gdy słuchała opowieści o krajach, których John nigdy nie zwiedzał. Gniew zwinął się jak wąż w jego brzuchu

I usztywnił mięśnie jego ramion.

Niech diabli porwą tego cholernego Gabriela, tego czarusia z anielską, fałszywą gębą! Jakim prawem tak uwodzi Mariannę, że ta wpatruje się w niego jak urzeczona?! Któż mógłby rywalizować o względy damy z tym fircykiem?! Przecież nie on, brzydał i potwór.

Lokaje wnieśli deser - zestaw słodczy, których smak, wygląd i konsystencję lepiej pominąć milczeniem. John wziął do ust jeden tylko kęs brzoskwiнового tortu i omal nie udławił się pestką. Zaklął w duchu i odłożył łyżeczkę.

Kucharz musi odejść. Jak najprędzej! To było nie do zniesienia.

Kiedy Mariannę spojrzała wymownie na Louisę i obie wstały z miejsc, John uprzytomnił sobie, że zgodnie z powszechnym zwyczajem zamierzają przejść do salonu, pozostawiając panów samych.

Perspektywa szczerej męskiej rozmowy przy kieliszku nie odpowiadała ani jemu, ani (mógł się założyć!) jego bratu. Kiedy za kobietami zamknęły się drzwi, zapadła przytłaczająca cisza.

- Mam zamiar wyjechać skoro świt - odezwał się wreszcie Gabriel. - Być może nie spotkamy się rano, więc pozwól, że ci teraz podziękuję za gościnę.

- Sądząc po tym koszmarnym obiedzie, nie masz za co dziękować - odparł John równie sztywno, - To ja winieniem wdzięczność za opiekę w chorobie.

Gabriel zbył machnięciem ręki to zdawkowe podziękowanie.

- Domyślasz się, kto do ciebie strzelał?

John potrząsnął głową. Obiecał Mariannę, że nie wspomni nikomu o ich podejrzeniach, że ofiarą miała paść Louisa. Tylko tego brakuje, by wzięto ją znów na języki!

- Swego czasu miewałem wrogów, nawet śmiertelnych wrogów, ale zawsze wiedziałem, kto na mnie dybie - zauważył Gabriel. - Czyżbyś ostatnio doprowadził kogoś do skrajnej desperacji?

John wzruszył ramionami.

- Jadąc do Londynu, po raz pierwszy od wielu lat opuściłem rodzinne strony. I nie zabawiłem w stolicy aż tak długo, by wyrządzić komuś krzywdę nie do naprawienia. Najwyżej paru damom nadepnąłem w tańcu na nogę.

- Więc szukaj wrogów bliżej domu. Pozbawiłeś kogoś z dzierżawców dachu nad głową?

- A on pojechał za mną do Londynu, żeby tam się ze mną rozprawić? - John pozwolił sobie na lekką ironię. - Nie zrobiłem zresztą nic podobnego. Owszem, zamierzam wyrzucić na zbity łeb kucharza, ale temu pijanicy łapy zbyt się trzęsą, by chciał do mnie strzelać, w dodatku przed otrzymaniem wymówienia.

Gabriel potrząsnął głową.

- W takim razie nic już nie pojmuję. Życzę ci dobrej nocy. Chyba położę się nieco wcześniej do łóżka.

Na pójście do łóżka było o wiele za wcześnie, ale John zdawał sobie sprawę z tego, że brat nie ma ochoty przebywać dłużej w jego towarzystwie. Sam zresztą podzielał te uczucia.

- Dobrej nocy! - powiedział.

Jednak Gabriel, wyszedłszy na korytarz, zatrzymał się nagle.

- Jest tu nadal księgozbiór dziadka? Może mógłbym zabrać na górę którąś z jego książek i poczytać przed snem?

John odpowiedział szerokim gestem.

- Dobrze wiesz, jak trafić do biblioteki!

Gabriel skorzystał z tego niedopowiedzianego przyzwolenia i ruszył korytarzem. Sam nie wiedząc czemu, John podążył za nim. Lokaj wyprzedził ich, by zapalić świece.

W bibliotece było zimno i wilgotno. Psiakrew! Czy służba pod jego nieobecność nie potrafi utrzymać porządku przynajmniej tu?! Wilgoć z pewnością nie wyjdzie na dobre książkom, których było tu pełno. Jutro trzeba pokazać bibliotekę Mariannę, pomyślał mimo woli John. Może znajdzie coś, co jej przypadnie do gustu.

Gabriel odwrócony plecami do brata rozglądał się po półkach.

- Widzę, że dodałeś to i owo do kolekcji dziadka - zauważył uprzejmie.

John wydał nieartykułowany pomruk. Uwaga brata nie wymagała komentarza. Zdawał sobie sprawę z tego, że Gabriel sili się na uprzejmość, ale podejrzewał, że mimo jej pozorów jest równie bliski wybuchu jak on.

Wybierz sobie do cholery jakąś książkę i idźże wreszcie do łóżka! - irytował się w duchu, ale trzymał gębę na kłódkę.

I być może ich rozmowa utrzymałaby się do końca w tym fałszywie uprzejmym tonie, gdyby brat nie otworzył oszklonych drzwi jednej z biblioteczek. Sięgnął po jakiś tom stojący na najwyższej półce i nagle znieruchomiał.

Po chwili wyjął z szafy zamiast wybranej książki niewielki portrecik w owalnej ramce leżący licem do dołu na najwyższej półce. Twarz mu pociemniała.

John zeszytywniał.

- Znam tę miniaturę! Pamiętam, jak do niej pozowałem, choć miałem wtedy najwyżej trzy latka - mówił Gabriel jakby do siebie. - Mama coraz to wkładała mi do buzi cukierek, żebym grzecznie siedział i nie przeszkadzał panu, który nas maluje. Jakie to dziwne! Szkło się rozbiło, ramka pękła.

Gabriel odwrócił się do brata, a John wziął się mocno w garść.

- To był czysty przypadek - skłamał.

Odezwało się w nim znów poczucie winy, jak owego dnia, gdy trzasnęła w miniaturę tak mocno, że spadła z półki.

Wargi Gabriela wygięły się w uśmiechu.

- Nie wątpię - odparł sucho. - Dziwię się tylko, że nie pozbyłeś się tego raz na zawsze.

John spostrzegł, że palce brata nadal zaciskają się kurczowo na miniaturze, i zrobiło mu się głupio.

- Nie mam innych portretów matki - powiedział. - Po jej śmierci ojciec zniszczył prawie wszystkie. - Ta miniatura stała zawsze... - słowa nie chciały przejść mu przez gardło, ale przemógł się i mówił dalej - .. przy jej łóżku.

Kiedy ojciec szalał i niszczył wszystkie pamiątki po matce, jej pokojówka zdołała ocalić ten portrecik, a potem oddała go mnie.

Gabriel skinął głową, nadal jednak wpatrywał się w miniaturę z bólem i gniewem równocześnie.

John przypomniał sobie, jak brat podczas obiadu czarował Mariannę, a jej oczy promieniały. Znów wezbrało w nim oburzenie, a wraz z nim inne, jeszcze bardziej mroczne uczucia. Ręce same zacisnęły mu się w pięści. Zrobił krok w stronę brata, który przyglądał mu się podejrzliwie i nieprzyjaźnie.

- Zabierz i to, niech cię wszyscy diabli! - rzucił John bez ogródek. - Ona by na pewno chciała, żebyś ty to miał!

Gabriel bez słowa ruszył ku drzwiom, ale John, kiedy już raz zaczął mówić, nie mógł przestać.

- Myślała tylko o tobie - mamrotał - jak każda kobieta, na którą spojrzysz. Każdą oczarujesz tą swoją cacaną buźką, tą przymilnością. Żebyś z piekła nie wyjrzał!

Już za progiem, w otwartych drzwiach, Gabriel przystanął i obejrzał się na brata, unosząc brwi.

- Nie wybierałem sobie twarzy, do licha! Taki się urodziłem i już. Czemu tak mnie za to nienawidzisz?

- Bo nigdy nie mogłem się z tobą równać! - John był już zbyt wzburzony, zbyt cierpiał, by zważać na to, co mówi. - Bo tylko ciebie kochała!

Wybiegł za bratem na korytarz i nagle zatrzymał się, z sercem jak otwarta rana, wściekły na siebie, że aż tak się zdradził.

- Ciebie też kochała- powiedział cicho Gabriel. - Pamiętam, jaka zawsze była smutna, gdy ojciec wpadał i zabierał ciebie, ilekroć siedziała w dzieciennym pokoju, objawszy nas ramionami, i coś nam czytała lub śpiewała nam przed snem. „Wara od mego syna i spadkobiercy! - wrzasnął do niej kiedyś. - Nie zrobisz z niego tchórza i zdechlaka!"

John poczuł, że targają nim sprzeczne uczucia.

- Nie pamiętam tego - mówił dziwnie powoli. - No, może jak przez mgłę. Ale prawie zawsze widzę ciebie na jej kolanach, a ja stoję daleko. Niepotrzebny. To prawda, że cię nienawidziłem. Właśnie za to!

Zaczerpnął powietrza.

- Ciebie też kochała - powtórzył Gabriel. - I ojciec cię kochał, a mnie nie mógł znieść. Sam dobrze wiesz! Miałaś miłość ich obojga. Czego było mi zazdrościć?

- Tylko matka naprawdę umiała kochać. Ojciec mógł mnie od niej odciągać, ale nie z miłości. Nie żałował mi tylko jednego: kijów! W gruncie rzeczy ty wygrałeś lepszy los!

Gabriel spojrział na niego szyderczo.

- Zwłaszcza wtedy, gdy mnie wypędził, wyklął, przysiągł poszczuć psami, gdybym się tu zjawił? Wyobrażam sobie, jak się teraz przewraca w wytwornej krypcie - co za satysfakcja!

John odwrócił się. pod jego palącym spojrzeniem.

- Nie od razu się dowiedziałem, że cię wypędził - wymamrotał, dobrze wiedząc, jak licha to wymówka.

- A potem stawałeś na głowie, żeby mnie odnaleźć, co?

- Nie. A powinienem tak zrobić. Upewnić się, czy nie głodujesz, czy nie jesteś samotny... - Przez chwilę czuł wyraźne wyrzuty sumienia, ale później zatriumfowały mniej chwalebne uczucia. - Choć i bez tego nieźle sobie radziłeś - zakończył twardo - sądząc z twoich barwnych opowieści przy obiedzie.

Gabriel zmierzył go przenikliwym - zbyt przenikliwym! - spojrzeniem,

- A więc tak sprawy stoją! Piękna Mariannę, co? Prawdę mówiąc, domyślałem się tego... Kiedy na nią patrzysz, od razu widać, że skoczyłbyś za nią w ogień! Po kiego diabła oświadczyłeś się tamtej drugiej?!

- Prawdę mówiąc, wcale się jej nie oświadczyłem -odparł gorzko John. -Ale ona tak to zrozumiała.

Gabriel parsknął śmiechem, John zbliżył się o krok.

- Na twoim miejscu bym nie zaczynał - ostrzegł go młodszy brat. - Władasz tylko jedną ręką, a i dwiema ostatnim razem niewiele zwojowałeś.

- Gdyby nie ten cholerny strzał, byłbyś już trupem! - odparował John. - I z miłą chęcią w każdej chwili podejmę walkę w punkcie, gdzie ją przerwaliśmy... jedną ręką czy dwiema, wszystko jedno!

Z drugiego końca korytarza dobiegł cichy szmer. Markiz obejrzał się i zobaczył Mariannę. Spoglądała na nich z wyraźnym wyrzutem.

Bracia nieco się opamiętali, choć nie byli w stanie ukryć wzajemnej wrogości. John opuścił uniesione ramię. Gabriel, ściskając nadal w ręku miniaturę, skłonił się grzecznie.

- Dobrej nocy, pani Hughes. Życzę miłego pobytu w Kent!

I bez jednego słowa pod adresem brata skierował się ku schodom, wbiegł na nie i zniknął im z oczu.

- Obawiałam się, do czego może dojść, gdy zostaniecie sami - powiedziała Mariannę, podchodząc do markiza i spoglądając na niego z niepokojem.

- Czy to takie widoczne? - spytał.

Gniew nadal się w nim tlił, ale jej obecność uspokajała go, podnosiła na duchu.

- Jeszcze jak! - odparła. - Wolno spytać, o co poszło tym razem?

Nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć jej prawdy, toteż z najwyższym zdumieniem usłyszał własny głos:

- Znalazł portrecik naszej matki trzymającej go na kolanach.

- I o to się pokłóciliście?

- Bo ja... Bo szkło się stłukło. Gabriel myślał, że zrobiłem to specjalnie, na złość.

- A czemu pan to zrobił, milordzie?

Mówiła to spokojnie, wcale nie oskarżycielskim tonem, ale i tak się wzdrygnął.

- Chyba z zazdrości. Gabriel był jej ulubieńcem, obaj o tym wiedzieliśmy. To zupełnie zrozumiałe: takie piękne dziecko...

Chciał, żeby to zabrzmiało obojętnie, od niechcenia, ale nie był pewny, Czy mu się to udało. Zebrał wszystkie siły, by jakoś znieść ponizającą jałmużnę jej litości.

Ku jego zaskoczeniu Mariannę przysunęła się bliżej i dotknęła jego policzka. Wzdrygnął się, przekonany, że wyczuje pod palcami blizny i cofnie się ze wstrętem. Jednak nie odejmowała ręki, a w nim krew zakipiała z powodu jej bliskości i tego pieszczotliwego dotyku.

- A pan czuł się odrącony...? - dopowiedziała. - Lord Gabriel podczas obiadu trochę ze mną rozmawiał o waszej matce. Myślę, że była ciepła, pełna miłości. I jestem pewna, że pana kochała, Johnie. Był pan przecież jej pierworodnym. Z pewnością zajmował pan specjalne miejsce w jej sercu!

Gillingham nie był w stanie odpowiedzieć. Gardło miał zaciśnięte. Po latach ożyły w nim uczucia zamrożone w pokładach lodowatej beznadziei. Nakrył dłonią rękę Mariannę i zapragnął nigdy już jej nie puszczać, zawsze czuć przy sobie jej bliskość.

Spotkał go ogromny zawód, gdyż Mariannę odsunęła się, choć jej głos był dziwnie zdławiony, kiedy znów przemówiła:

- Louisa będzie zaniepokojona, jeśli natychmiast nie wrócę do salonu. Ale proszę, milordzie, niech się pan pojedna z bratem. Wasza matka bardzo by cierpiała z powodu tej waśni. Więzy krwi są takie cenne, nie wolno się ich wyrzekać z byle powodu!

Prawie biegiem ruszyła w stronę schodów i znikła, nim John zdobył się na odpowiedź.

Czuł jednak, że musi spełnić jej prośbę. Poprosi Gabriela o przebaczenie, choćby miał się udławić tymi przeprosinami! Ruszył więc śladem brata na górę, do części domu przeznaczony dla gości. Ku wielkiej uldze markiza

ominęło go pokorne wyczekiwanie pod drzwiami. Gabriel nadal stał na podeście wpatrzony w wielki portret ich ojca, poprzedniego markiza.

- Był ostatnim bydlakiem, sam wiesz! - powiedział Gabriel takim tonem, jakby w ich rozmowie nie nastąpiła kilkunastominutowa przerwa. - Zmienił moje... nasze... jej życie w prawdziwe piekło!

- Wiem - przyznał John. - Unieszczęśliwił nas wszystkich. W pewnym sensie tobie się naprawdę udało, choć przyszło ci drogo zapłacić za wolność. Ale ja musiałem zostać, wytrzymać z nim.

- Słyszałem, że przez ostatnich kilka lat mieszkalesz na najmniejszym z rodzinnych folwarków i trzymałeś się jak najdalej od starego tyra - zauważył Gabriel.

John skinął głową.

- Ale od czasu do czasu musieliśmy się spotykać. Robiłem, co w mojej mocy, by wszystko się tu nie zmarnowało, nie rozpadło ostatecznie... To był przecież mój obowiązek.

- Tak, tak: powinność starszego syna.

- I spadkobiercy. Miał w końcu tylko mnie. Zrozum, nie dziwię się naszej matce, nie winie jej...

Gabriel odwrócił się raptownie.

- Za co miałbyś ją winić?!

- Że pokochała innego... i urodziła mu dziecko.

14

Zapadła lodowata cisza. Rysy Gabriela wydawały się też wykute z lodu.

- Przecież o tym wiedziałeś! - wybuchnął John. - Musiałeś wiedzieć!

- Skąd miałbym wiedzieć? Nie byłem świadkiem poczęcia... w każdym razie niejako świadoma osoba.

Gabriel mówił z pozorną obojętnością, nie podnosząc głosu. Ale twarz miał jak z kamienia.

- Byłem pewny, że tobie powiedziała... - zaczął John i głos mu się załamał.

- Jak mogłeś brać poważnie wrzaski i obelgi ojca?! - warknął Gabriel. - Był o nią nieprzytomnie zazdrosny. Tak zazdrosny, że zwariował! Gdyby był normalny, czyż więziłby ją tutaj... tak, więził prawie od pierwszej chwili

ich małżeństwa?! Czyż zaszyłby się tu sam pod koniec życia, nie mogąc znieść widoku innych ludzi?!

- Odkąd pamiętam, nie znosił towarzystwa - odparł John. - I miał ataki podagry, a to nie wpływa najlepiej na usposobienie.

- Był z niego zawsze kawał piekielnika i narwańca, z podagrą czy bez podagry.

- Może i masz rację - zgodził się John. - Przyznaję, że był do pewnego stopnia niezrównoważony psychicznie. To przede wszystkim sprawiło, że matka szukała pociechy gdzie indziej, i nie mam jej tego za złe. A poza tym... ale dajmy temu spokój.

Tym razem to Gabriel natarł z podniesioną ręką. John cofnął się instynktownie i omal nie spadł ze schodów. Młodszy brat chwycił go za surdut i przytrzymał, ale nie był to opiekuńczy uścisk.

- Co poza tym? Mów wyraźnie! Bez tych cholernych półsłówek i insynuacji!

- Kiedy raz wszedłem do jej buduaru, pospiesznie ukryła jakiś list wśród poduszek na swym szezlongu.

Cisza. Spojrzenia dwóch par oczu —jaśniejszej i ciemniejszej - zwały się ze sobą, pełne tłumionych emocji.

- Jak śmiesz znieważać matkę na podstawie takiego głupstwa?! Schowała list... i co z tego?

- Oczywiście nic... gdyby chodziło tylko o to. Ale po jej śmierci... i po śmierci ojca jedna ze służących podczas sprząwania znalazła przypadkiem skrytkę w boazerii w sypialni matki. Udałem się tam, by zbadać sprawę i znalazłem w skrytce listy i kilka drobiazgów.

- Listy? Od kogo?

- Od jakiegoś mężczyzny. Podpisywał się zawsze: „Twój na wieki”. Twarz Gabriela wykrzywił grymas gniewu i odrazy.

- Przeczytałeś te listy?

- Ależ skąd! Spaliłem je. To były prywatne sprawy naszej matki! Gabriel gwałtownie poczerwieniał.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć!

Nie dziwota, że młodszy brat nie chciał przyjąć do wiadomości romansu matki. Czyniło go to przecież bękartem, niszczyło jego dotychczasowy wizerunek. Powinienem się cieszyć, myślał John, że życie wreszcie utarło nosa temu zarozumialcowi. Powinienem pękać ze śmiechu,

kiedy całe jego opanowanie i wielkopańska poza rozwiały się w mgnieniu oka z powodu jednego rodzinnego sekretu!

Tymczasem czuł, że zawzięty gniew na brata, podsycany przez całe lata gorzkim rozpamiętywaniem dawnych krzywd i dziecinną zazdrością, zaczyna w nim wygasać. Zostały ledwie tłące się węgielki, które warto by do reszty zdeptać - niech się obrócą w popiół! A ponieważ doradzała mu to Mariannę, John postanowił spróbować. Choć nie był wcale pewny, czy mu się to uda.

- Może... może się pomyliłem-zaczął.

Gabriel obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie gadaj bzdur, w które sam nie wierzysz.

Johnowi wyraźnie przeszkadzał brak doświadczenia w łagodzeniu konfliktów.

- Nie wierzą - przyznał spokojnie. - Ale ty masz pełne prawo nie wierzyć w to, o czym mówiłem przedtem. Nie będę cię na siłę przekonywał. Ona już nie żyje. Była naszą wspólną matką, i to nas powinno łączyć. Wiem, że kochała ciebie. Mam nadzieję, że kochała także i mnie. A resztę zostawmy w spokoju.

Gabriel puścił surdut brata i zasłonił ręką swoją piękną twarz, jakby chciał ukryć odbijające się na niej zmienne emocje. John miał niemal ochotę objąć go i pocieszyć, ale nie zdobył się na to. (Zresztą, Gabriel spuściłby go pewnie ze schodów, gdyby to zrobił!)

Ale czy nie tak właśnie powinien postąpić starszy brat? Być przewodnikiem, obrońcą i pocieszycielem młodszego, w zależności od sytuacji? Nie sprawdził się, psiakrew, w żadnej z tych ról.

- Bardzo mi przykro, że byłem takim złym bratem - powiedział. Gabriel zrobił wielkie oczy; John zresztą był równie zaskoczony. Nie zmusił się do wypowiedzenia tych słów. Wymknęły się same z jakiegoś zakątka jego serca.

- Sam to przyznajesz? - spytał, nie wierząc własnym uszom Gabriel.

- Tak.

Mógłby usprawiedliwić swoje postępowanie młodzieńczą głupotą i wpływem rozgoryczonego, pełnego urazy ojca... Ale żadne wyjaśnienia nie mogły przesłonić oczywistej prawdy: zawiódł z kretesem jako starszy brat, który powinien opiekować się młodszym. ' .

John wcale by się nie zdziwił, gdyby jego przeprosiny - spóźnione o wiele lat - zostały przez brata odrzucone z pogardą. Zaległa między nimi cisza aż ciężka od skrywanych dotąd emocji. W końcu Gabriel skinął głową.

- W porządku.

Było to więcej, niż Gillingham mógł się spodziewać, więcej, niż zasługiwał. Nie odrywał oczu od brata, który odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach. Jednak na następnym podejściu zatrzymał się i spojrzał w dół.

- Mam inną miniaturę matki; jest na niej sama. Nasza dawna gospodyni przechowała ten portrecik z myślą o mnie i przesłała mi po śmierci naszej matki. Circe wykonała akwarelę kopię w powiększeniu, bardzo udaną. Odeślę ci oryginał, bo... pozwoliłeś mi zabrać tę drugą podobiznę.

- Dziękuję- odparł szorstko John, bardzo rad, że Gabriel znów się odwrócił; tylko tego brakowało, by rozpłakał się przy młodszym bracie!

Gillingham miał dziwne uczucie, że odzyskał dziś swą matkę. Wiedział, że to urojenia, ale wiedział również, że od tej pory będzie mógł patrzeć na jej portret, nie czując bólu odtrącenia. Zrozumiał, że to ojciec utwierdzał go w przekonaniu, że został przez nią wzgardzony, nie jest jej potrzebny. Nie pozwolę, przysięgał sobie John, by ojciec manipulował mną nawet z za grobu!

A jeśli matka istotnie go kochała... to... to znaczyło... że mimo wszystko. .. nic znajdował się całkowicie poza nawiasem miłości.

Odetchnął głęboko, zszedł na dół i skierował się do salonu. Stanowczo za długo pozostawili

damy samym sobie! Zatrzymał się przed drzwiami i otarł twarz, by nie pozostał na niej żaden ślad gwałtownych przeżyć. Następnie skinieniem głowy dał lokajowi znak, by otworzył podwójne drzwi - i wkroczył do pokoju.

Obie kobiety siedziały w drugim końcu salonu. Na dworze zapadł już mrok, toteż okna zostały zamknięte i zakryte ciężkimi kotarami. Ale pokój w blasku świec prezentował się jeszcze korzystniej, a ślady długoletniego zaniedbania były prawie niedostrzegalne. Majordomus przyniósł już tacę z herbatą.

— Jest pan wreszcie, milordzie! - wykrzyknęła Louisa, zrywając się na równe nogi. - Już się zastanawialiśmy, gdzie się pan podział. A lord Gabriel nie dotrzyma nam towarzystwa?

- Był bardzo zmęczony całodzienną jazdą i udał się na spoczynek - wyjaśnił John.

Louisa wyglądała na rozczarowaną, w oczach Mariannę malował się niepokój.

Gillingham zasiadł w fotelu i pozwolił Louisie bawić się w anioła miłosierdzia. Podetknęła mu (całkiem bez potrzeby) poduszkę pod plecy i podała filiżankę herbaty.

Ale to Mariannę pamiętała, że należy dolać śmietanki, bo taką markiz lubi najbardziej.

Przez dobrych kilka minut słuchał cierpliwie paplania Louisy i starał się odpowiadać do rzeczy. Nie chciał, żeby i ona - słusznie czy niesłusznie - czuła się wzgardzona i opuszczona. John zrozumiał nagle, jak bardzo liczą się takie błażostki i jak długo tkwią w sercu niczym cierń takie drobne uchybienia.

W końcu Mariannę podszeptała Louisie, by coś dla nich zagrała, I choć fortepian był rozstrojony, panienska starała się, jak mogła, grając i śpiewając żywo i wesoło, jak zwykle. John zaś siedział obok Mariannę i rozkoszował się myślą, że są niemal sami. A w odpowiednich momentach, bijąc brawo Louisie, mógł zerkać ukradkiem na swą sąsiadkę,

- Pogodziłem się z moim bratem - szepnął do niej cichutko pod osłoną muzyki.

Spojrzenie pełne aprobaty, które mu rzuciła, było dla Johna więcej niż dostateczną nagrodą za poniesiony wysiłek.

- Jakże się cieszę! Jestem przekonana, że drzemią w was braterskie uczucia i odezwą się z czasem, kiedy zapomnicie o minionych urazach.

- Możliwe.

- Najważniejsze jest to, że pokonał pan samego siebie, milordzie - zapewniła go. - A lord Gabriel okazał się człowiekiem honoru.

Najwyraźniej zakładała z góry, że intencje markiza są równie chwalebne. Siedząc u jej boku, John również gotów był uwierzyć, że jest człowiekiem honoru, cywilizowanym dżentelmenem, a nie brutalem i sadystą, nieodrodnym synem swojego ojca (czego w duchu zawsze się obawiał), niegodnym miłości nawet przedtem, nim powaliła go i oszpeciła ospa.

Tak więc Louisa ochoczo bębniła na fortepianie, Mariannę spoglądała na markiza z ufnością, on zaś czuł się dzięki temu lepszy i silniejszy.

Jakże różnił się wpływ, jaki wywierała na niego Mariannę, od niszczącej podejrzliwości, która emanowała od jego ojca i udzielała się Johnowi. Czuł się tak, jakby ściany jego domu same się rozsuwały, by można było odetchnąć swobodniej i pozbyć się trujących oparów, które gromadziły się tu od dziesiątków lat... teraz zaś ustępowały pod naporem zdrowszych emocji i szlachetniej szych uczuć.

Gdy Mariannę napomknęła, że już najwyższy czas, by damy także udały się na spoczynek, John poczuł ostre ukłucie żalu. Nie chciał, by odchodziła! Mógłby tak siedzieć przez całą noc - jeśli konwenanse nie pozwalały na żadne bliższe kontakty - po prostu siedzieć przy niej i radować się jej obecnością.

Ukrył jednak swe rozczarowanie, skłonił się damom i pozwolił im oddalić się na górę, do pokojów gościnnych. Nie był przecież tatarskim chanem,

który przerzuca sobie brankę przez siodło i ucieka razem z nią, czego bardzo żałował na początku pobytu w Londynie, gdyż uwolniłoby go to od długich i żmudnych zalotów.

Dzięki Bogu, że wówczas nie uciekł, tylko pozostał! Inaczej nigdy by nie spotkał Mariannę.

Z tą podnoszącą na duchu konkluzją markiz udał się także do swojego pokoju, dość zadowolony z życia. Mała skakała wokół niego, gdy majordomus pomagał mu zdjąć ubranie i włożyć nocną koszulę. Potem kazał Pomfroyowi wracać do siebie, a sam byle jak, jedną ręką umył sobie twarz, zerknął na psa zwiniętego na dywaniku, rzucił się na łóżko i marzył coraz żarliwiej o Mariannę. Jak bardzo pragnął, by leżała teraz obok niego, a potem z własnej woli przyciągnęła się do niego, a może odskoczyła ze wstrętem?

Przypomniał sobie dotyk jej ręki na swojej twarzy i poczuł w całym ciele dreszcz pożądania. Gdyby tylko mógł ją przytulić do siebie.

Trzeba odpędzić od siebie te myśli, bo przez całą noc nie zmrúży oka! Ciekawe, co ona teraz robi w pokoju gościnnym, może myśli o nim? Mógłby przecież wstać, przemknąć się korytarzem.

I co? Zniewolić kobietę, którą gości pod swym dachem? W pokoju obok sypialni jego narzeczonej?

To by dopiero był honorowy czyn!

Trawiony niezaspokojonym pożądaniem, z bólem w podbrzuszu i wszystkimi mięśniami naprężonymi do ostateczności, John nakrył głowę poduszką i próbował zająć swe myśli czymś nieszkodliwym i zgoła niepodniecającym. Zaczął w myśli sporządzać listę niezbędnych napraw w domu.

Nazajutrz wstał wcześniej. Nie zaznał wiele snu, ale tak mu było pilno zobaczyć znów Mariannę, że nie mógł uleżeć w łóżku.

Na korytarzu natknął się na Gabriela, już w jeździeckim stroju, gotowego do drogi.

- Mam nadzieję, że jadłeś śniadanie, a raczej, że udało ci się znaleźć coś jadalnego?

Gabriel uśmiechnął się kwaśno.

- Owszem, grzankę dało się zjeść... po oskrobaniu zwęglonych brzeżków. Ale śledzia bym nie polecał.

John potrząsnął tylko głową i przeszedł do spraw bardziej istotny.

- Bardzo ci jestem zobowiązany za opiekę w chorobie i za to, żeś odprowadził nas aż tutaj. A co do wczorajszego wieczoru, choć pewnie trudno ci w to uwierzyć, moje przeprosiny były jak najbardziej szczere.

Brat skinął głową,

- Ja też miałem szczęście znaleźć kobietę, która wierzy w mój honor i w moją uczciwość, mimo wszystkich grzechów, które popełniłem w niechlubnej przeszłości. W rezultacie zaprzagnąłem sprostać jej oczekiwaniom, stać się takim, za jakiego mnie uważa. Nie dziwię się, że i ty reagujesz podobnie.

John tak był zaskoczony, że całkiem stracił mowę.

- Mam nadzieję, że zdołasz wydobyć się z matni i uterować drogę prawdziwej miłości - dorzucił Gabriel, tym razem z kpiącym uśmiechem. - Niezaspokojone żądze cholernie zakłócają człowiekowi sen!

John zaklął w duchu. Czyżby ten smarkacz czytał w nim jak w otwartej książce?! Wyciągnął jednak rękę do brata, a ten - ku jego zdumieniu - uścisnął ją.

- Nasz ojciec nie żyje - powiedział z naciskiem Gabriel. - Niech spoczywa w grobie, a my nie odgrywajmy dłużej ról narzuconych nam w dzieciństwie.

- Zgoda! - przytaknął John.

Odprowadził brata przed dom i przyglądał się, jak dosiada pięknego wierzchowca, którego podprowadził stajenny. Koń podrzucał łbem i próbował brykać, póki jeździec nie przykrócił mu cugli i go nie poskromił. Powóz Gabriela też był gotowy do drogi, ale brat zdecydowanie wolał wracać wierzchem.

John życzył mu dobrej drogi, uświadamiając sobie nagle wieloznaczność tych słów. Obaj z Gabrielem w ciągu ostatnich dwóch dni przebyli naprawdę szmat drogi! Może kiedyś jego młodszy brat odwiedzi swój rodzinny dom z lekkim sercem, bez bagażu wszystkich złych

wspomnień. A on sam uwolni się od upiórów przeszłości i naprawdę uwierzy, że matka kochała go - mimo wszystko.

John uniósł dłoń w pożegnalnym geście i zdołał się nawet uśmiechnąć do zniechęconego niegdyś brata. Bez względu na to, kto był ojcem Gabriela, mieli wspólną matkę, a to była najcenniejsza część ich dziedzictwa. Może Mariannę ma słuszość co do znaczenia więzów rodzinnych?

Ano właśnie: Mariannę! Kiedy wreszcie zobaczy na jawie kobietę, której twarz ukazywała mu się tej nocy, ilekroć zdrzemnął się choć na chwilę? Miał niejasne wrażenie, że prawdziwe damy nie zrywają się skoro świt. Być może przyjdzie mu długo czekać. Ale sama myśl, że Mariannę znajduje się

pod tym samym dachem co on, sprawiała Johnowi ogromną radość i utrzymywała go w stanie ciągłego podniecenia, które musiał trzymać na wodzy. Pospieszenie wrócił do domu i natknąwszy się w korytarzu na jednego z lokajów, polecił mu:

- Daj mi znać, kiedy pani Hughes wstanie.

- Ale... - Służący przestąpił z nogi na nogę. - Ona już wstała, jaśnie panie!

- Co takiego? Nie widziałem jej w jadalni.

- Chyba jest w pralni na górze, wasza lordowska mość - wymamrotał sługa, unikając (diabli wiedzą czemu) jego spojrzenia.

John zamrugał oczyma.

- Co u diaska? Nieważne, sam się przekonam.

Czyżby ktoś z jego - pożałuj Boże! - personelu zniszczył jedną z toalet Mariannę? Pełen najgorszych przeczuć markiz pospieszył schodami na górę.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się, zaskoczony niezwykłą aktywnością w salonie. Na drabinie stał lokaj z wielkim naręczem spłowiałego brokatu. W kącie, gdzie wczoraj markiz zauważył największe pokłady kurzu, pokojówka szorowała podłogę, sunąc po niej na czworakach i nie żałując ostrej szczotki ani wody z wiadra.

John przyjrzał się im ze zdumieniem, ale doszedł do wniosku, że rozwiązanie tej zagadki może poczekać. Najpierw musi znaleźć Mariannę i upewnić się, czy nie doznała jakiejś szkody, i oczywiście tę szkodę tak czy inaczej naprawić.

Wspinał się więc wyżej. Kiedy dotarł na samą górę, uprzytomnił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie znajduje się pralnia. Na szczęście zderzył się z biegnącą licho wie po co pokojówką, która - choć zmieszana - udzieliła mu potrzebnej informacji.

Gdy markiz dotarł do właściwego pomieszczenia, całkiem mile pachnącego krochmałem i suszącą się tam świeżo wypraną pościelą, ujrzał Mariannę stojącą pośrodku pokoju. Z konsternacją stwierdził, że pani Hughes dyryguje zespołem służących płci żeńskiej.

- A teraz, po pierwsze, trzeba sporządzić listę wszystkich sztuk bielizny pościelowej do wymiany. Te, które można jeszcze naprawić, kładźcie na ten stos, a resztę, nadającą się już tylko na szmaty, rzucajcie tam.

Mariannę podniosła oczy i znalazła pościeli i napotkała zdumione spojrzenie markiza. Spieszenie do niego podeszła.

- Droga pani, czy moja służba wyrządziła jakąś szkodę? Najmocniej przepraszam...

- Nie ma za co - odpowiedziała pogodnym tonem. - Obawiam się, że to raczej ja powinnam się kajać, milordzie. Gość, który rządzi się w cudzym domu i wydaje dyspozycje służbie, zasługuje na najwyższe potępienie, a muszę wyznać, że popełniłam oba te grzechy.

Zaskoczyła go kompletnie i z trudem starał się to ukryć.

- Ależ Mar... droga pani Hughes, proszę wydawać dyspozycje, komu pani tylko zechce! Pragnąłbym zapewnić pani wszelkie wygody, ale obawiam się, że niezbyt mi się to udaje.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Proszę się tak nie spieszyć z dawaniem mi wolnej ręki, milordzie, póki się pan nie dowie, co już zmalowałam! Wiem, że powinnam uzgodnić to wcześniej z panem, ale... - Uprzytomniła

sobie widocznie, że otaczająca ich służba strzyże uszami i zerka ukradkiem to na swego pana, to na nietypowego gościa, gdyż zamilkła na sekundę. - Może porozmawiamy o tym na dole?

John pospiesznie wyraził zgodę. Nie zamierzał oczywiście zaprzęgać Mariannę do prac gospodarskich. Gdyby tak było, miałyby pełne prawo nim pogardzać! Nie mógł również wyznać jej, jak potężna fala czułości i tęsknoty ogarnęła go na jej widok. Jak swobodnie zachowuje się w tej opłakanej ruderze! Całkiem jak pani domu, choć była nią tylko w najskrytszych marzeniach jego właściciela.

Przepuścił ją przodem i pospieszyl za nią do małego salonu, w którym -na razie - nie roilo się od służby. Wkroczyła tam pierwsza i obróciła się twarzą do markiza, ale nie zajęła miejsca.

- Widzę, że zarządziła pani generalne porządki? - zaczął. Przygryzła wargę, po raz pierwszy zbita z tropu.

- Wiem, że obejmowanie komendy nad pańską służbą, milordzie, to rażący brak wychowania z mojej strony, ale...

- Droga pani, nie bawmy się w udawanie! Oboje wiemy, że mojej siedzibie i moim ludziom wiele brakuje do doskonałości. Jeśli zechce pani pokierować całym domem, będę ogromnie wdzięczny, choć przykro mi, że sprawiam pani tyle kłopotu.

- To żaden kłopot! - odparła pospiesznie i twarz się jej rozjaśniła. - Nie chciałam tylko pana urazić albo rozgniewać. Nie ulega wątpliwości, że dba pan o swą posiadłość i czyni to umiejętnie; słyszałam pańską dyskusję z bratem. Ale co dotyczy gospodarstwa domowego, nie wydaje mi się, by którykolwiek z mężczyzn rzeczywiście się na tym znał.

Po jego ustach przemknął łobuzerski uśmiech.

- Ileż wyrozumiałości dla nas, istot niższych...

- Powiedziałam przecież, że przepraszam... - najeżyła się i urwała, bo dotarło do niej, że Gillingham z rozmysłem ją prowokuje. Podjęła więc na nowo, całkiem innym tonem. - Tylko bez śmichów-chichów, mój panie! Żaden mężczyzna - żaden, powiadam - nie jest w stanie ocenić, kiedy pościel rozpada się w kawałki, a pokojówki haniebnie zaniedbują się w obowiązach. Wczoraj Louisa zawadziła stopą o dziurę w prześcieradle i poszło od góry do dołu! Od razu pomyślałam, że całą bieliznę pościelową trzeba przejrzeć i posortować, by ocalić dobre imię gościnnego gospodarza!

Uśmiech markiza zgasł. Tym razem nie zdołał powstrzymać w porę przekleństwa.

- Jasna chol...! To znaczy... bardzo przykro mi to słyszeć...

- Niechże się pan tak nie przejmuje. Trzeba tylko zadbać o lepsze wyposażenie pokoi gościnnych przed następną wizytą, kiedy na przykład lord Gabriel zechce pana odwiedzić ponownie, tym razem w towarzystwie żony. A jestem pewna, że zechce - dodała. - Tak się zdarzyło, że byłam akurat na podeście, kiedy się żegnaliście. I bardzo mnie ucieszył braterski uścisk dłoni ! Jestem z pana dumna, milordzie. Wiem, że niełatwo pierwszemu wyciągnąć rękę do zgody, ale z pewnością nie pożałuje pan tego kroku!

Gdy usłyszał te słowa, zrobiło mu się ciepło na sercu; nie bardzo jednak wiedział, co odpowiedzieć.

- Większość winy spada na mnie, więc wypadało, żebym zrobił pierwszy krok. Nie byłem dobrym bratem - powiedział niemal opryskliwie.

- To nietrudno zmienić - pocieszyła go.

- Może... Obawiam się, że nie mam zadatków na dobrego brata ani na dobrego męża, choć do tego nie powinienem się chyba przyznawać.

Dotknęła znów leciutko jego policzka; identyczne dotknięcie rozplomieniło go wczoraj, a wspomnienie pozostało na zawsze w jego sercu.

- Jestem pewna, że będzie pan doskonałym mężem dla tej, którą los panu przeznaczył, milordzie - odparła zdławionym głosem.

Rzecz w tym, że Louisa nie była przeznaczoną mu przez los wybranką. Oboje o tym wiedzieli. Mariannę na pewno czuła, jak pragnął objąć ją i przytulić. Znów przeleciała między

nimi elektryczna iskra i Johnowi zaparło dech. Po oczach Mariannę poznał, że i ona była tego świadoma. Policzki jej się zaróżowiły, a serce - ukryte pod niebieską, zapiętą pod szyję sukienką - biło mocno w zgodnym rytmie z jego sercem. Taką miał przynajmniej nadzieję.

O Boże! Jak długo jeszcze zdoła oprzeć się rosnącemu w nim wciąż pożądaniu i czy Mariannę, choćby nawet był wolny, zechce odwzajemnić jego namiętność? Zasluguje na kogoś znacznie lepszego niż on. Nie chodzi tylko

o jego szpetotę; miał w sobie złą krew: jego ojciec był sadystą, matka ofiarą przemocy. Gdyby Mariannę wiedziała o nim wszystko, czy odważyłaby się zawierzyć mu swoje życie i serce?

Gillingham zawahał się; tym razem powstrzymywało go coś więcej niż niestosowność takiego zbliżenia, gdy nadal był związany - choćby tylko pozornie - z inną kobietą.

Lokaj, kroczący niezwykle dziarskim krokiem i dźwigający jakiś ciężar, którego markiz nie zdołał zidentyfikować, ukazał się w drzwiach saloniku. Mariannę odruchowo się cofnęła.

Gillingham był wściekły, że przeszkadzono im w takiej chwili.

- Mam wrażenie, że większość domowej służby też należałoby wymienić - odezwał się, byle tylko zatrzymać Mariannę jeszcze przez chwilę, niechby nawet rozmową o niedostatkach personelu.

Mariannę uśmiechnęła się.

- Sądzę, że większość z nich wymaga tylko stałego nadzoru. Jedynie co do kucharza mam poważne wątpliwości.

John roześmiał się mimo woli.

- Lepiej sprawdzę, czy Louisa już wstała. Powinna mieć jakieś zajęcie. Niech dopilnuje przycinania krzewów w ogrodzie. Ma do tego dobre oko - powiedziała Mariannę.

Markiz musiał zacisnąć usta, żeby nie zaprotestować. Nie życzył sobie niczego, co mogłoby umocnić Louise w przekonaniu, że niebawem zostanie panią tego domu. Mariannę może tu robić, co zechce, ale z Louisą sprawy miały się całkiem inaczej!

Czekało go zadanie znacznie trudniejsze niż przyuczenie służby domowej do uczciwej pracy. Jak taktownie zerwać zaręczyny (nawet zawarte skutkiem nieporozumienia) z młodą dobrze urodzoną panią, nie łamiąc jej przy tym serca? Gillingham za żadne skarby nie chciał zranić Louise. Cóż ona winna, że on się tak głupio zaplątał? Gdyby bardziej uważał, co mówi, i nie podejmował nieprzemyślanych decyzji, do niczego by nie doszło. Zresztą, krzywdząc dziewczynę, nie zaskarbiłyby sobie względów jej ciotki.

Sto razy bym wolał szorować podłogi! - wzdychał w duchu John. Poszedł jednak posłusznie za Mariannę do jadalni, gdzie zastali siedzącą przy długim stole Louise. Pogryzała przypaloną grzankę.

- Dzień dobry, milordzie! - powitała go. - Mam nadzieję, że rana panu nie dokucza? Wygląda pan tak, jakby w nocy nie zmrzył oka.

Ponieważ w jadalni nie było lustra, markiz uwierzył jej na słowo.

- Z ręką jest coraz lepiej - zapewnił ją. - Mam nadzieję, że pani dobrze się spało?

- O tak! - potwierdziła.

Unikała jednak jego wzroku i udawała tylko, że je. Nie bardzo wiedział, czym mógłby ją rozweselić.

- Jeśli panie lubią jeździć konno - zwrócił się do oba dam - znajdzie się w stajni kilka wierzchowców przyuczonych do damskiego siodła. Nie radzą jednak zapuszczać się zbyt daleko. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej

O tajemniczym wrogu, który zagraża panie Crookshank, radzę trzymać się w pobliżu domu. Nakazałem lokajom i stajennym, by mieli się na baczności, a zwłaszcza zwracali uwagę na obcych, gdyby kręcili się w pobliżu.

Przynajmniej raz na coś się przydadzą płody manii prześladowczej mojego ojca! - pomyślał Gillingham. Dom i przylegające do niego bezpośrednio grunta zostały na rozkaz

poprzedniego markiza otoczone wysokim kamiennym murem, który dla każdego stanowiłby trudną do pokonania przeszkodę.

Louisa nie wydawała się zachwycona propozycją narzeczonego, ale wyraziła zgodę skinieniem głowy.

- Pomyślałam, że po śniadaniu chętnie spędzisz trochę czasu w ogrodzie -zwróciła się do podopiecznej Mariannę Hughes. - Twoje malarskie oko bardzo się przyda, bo część krzewów wymaga niezwłocznego przy strzyżeni a

I ukształtowania. Jeśli udzielisz ogrodnikom instrukcji i dopilnujesz, by je wykonali, z pewnością ostateczny efekt będzie znakomity!

Louisa wyraziła zgodę.

- Wezmę tylko parasolkę - oznajmiła nieco weselszym tonem.

Ku rozczarowaniu Johna Mariannę postanowiła wrócić do domu, by dopilnować przebiegu rozpoczętych tam prac. Ostatecznie więc Gillingham w towarzystwie drepczącej przy jego nodze Małej udał się do swego gabinetu na parterze.

Po okolicy krążyły już wieści o powrocie dziedzica, toteż zastał w domu dwóch dzierżawców. Czekali na niego, by rozstrzygnął spór o krowę, która zawędrowała do sadu sąsiada. Rozpatrzenie sprawy i podjęcie decyzji zajęło większą część przedpołudnia. Potem markiz postanowił wyprawić się konno i sprawdzić, jak postępują sianokosy, rozejrzeć się po polach i popytać w okolicy, czy nie pojawili się podejrzeni obcy przybysze. Kazał więc osiodłać swego ulubionego wierzchowca i wyszedł na zalany słońcem dziedziniec, żałując, że nie może zabrać ze sobą Mariannę, zamiast zostawiać ją przy żmudnych zajęciach, którymi w ogóle nie powinna zaprzętać sobie głowy. Przerzucił nogę przez siodło i sprawnie dosiadł konia, ale na odjezdnym rzucił jeszcze jedno tęskne spojrzenie w stronę domu.

Mariannę dopilnowała, by kotary w salonie zostały należycie odkurzone i wytrzepane, nim ponownie zawisły na dawnych miejscach. Kazała wynieść z domu nieco spłowiałe, ale bardzo jeszcze porządne dywaniki i usunąć z nich przynajmniej część kurzu i brudu mocno wbitego przez całe lata zaniedbania. Podłogi zostały wyszorowane, meble wyczyszczone i wypolerowane pszczelim woskiem i oliwą.

Tego wieczoru przy obiedzie było znacznie ciszej, brakowało opowieści i żartów lorda Gabriela. Jakość potraw, niestety, nie uległa zmianie.

- Staram się zdobyć nowego szefa kuchni - zapewnił panie John, usiłując odkroić kawałek wysmażonej na podeszwę wieprzowiny. - Wkładam w to wszystkie siły... jak teraz w walkę z kotлетem.

Louisa zachichotała,

Po obiedzie markiz oprowadził panie po bibliotecę, do której Mariannę nie miała czasu zajrzeć przez cały dzień.

Louisa grzecznie kiwała głową w odpowiedzi na wyjaśnienia gospodarza, ale Mariannę rozglądała się z podziwem po wielkim, pięknym pokoju o ścianach wypełnionych aż pod sufit półkami z książkami.

- Cóż za wspaniała biblioteka, milordzie!

John uśmiechnął się uradowany jej pochwałą.

- Mój ojciec nie przepadał za czytaniem, ale dziadek pozostawił po sobie okazały i cenny księgozbiór; ja również dodałem to i owo do jego kolekcji. Bierzcie stąd panie i czytajcie wszystko, co was zainteresuje.

- Może znajdę tu jakąś zajmującą powieść? - spytała Louisa z nadzieją w głosie. - Taką, gdzie nie brak romansowych scen, upiornych zjaw i nawiedzonych komnat?

- Chyba tak - odparł i wskazał jej właściwą półkę.

Louisa zaczęła wertować jeden z tomów, dzięki czemu Gillingham mógł podejść do Mariannę. Stała wpatrzona w wielki globus ustawiony przy bocznej ścianie na mahoniowym stojaku.

- A więc i pana kusi szeroki świat, milordzie? - spytała półgłosem. - Czy książki podróżnicze także pan czytuje?

Uśmiechnął się nieco zażenowany.

- Chyba mniej niż pani, ale i ja odbywam dalekie podróże na kartach książek.

- A więc mamy ze sobą więcej wspólnego, niż chciał pan przyznać, milordzie!

Uśmiechnęła się do niego i tylko obecność Louisy powstrzymała markiza od chwycenia jej w ramiona.

Obie damy wybrały sobie książki według własnego gustu i udały się z nimi do swoich pokojów. Gillingham zaś, dręczony znów niezaspokojonym pragnieniem, krążył nerwowo po bibliotece, póki nie ochłonął na tyle, by wrócić po cichu na górę i położyć się do łóżka.

Dotarłszy do swego pokoju, Mariannę przekonała się, że nie może skupić uwagi nawet na starannie wybranej lekturze: czterotomowej historii imperium otomańskiego. Mimo woli myśli jej biegły do Johna. Pozostawanie z nim w ciągłym kontakcie bez możliwości porozmawiania w cztery oczy okazało się cięższą próbą, niż sądziła. W końcu westchnęła i zgasła świecę. Ale nawet wówczas markiz wślizgnął się podstępnie do jej snów.

Najlepszym lekarstwem była ustawiczna ciężka praca. Toteż dzień po dniu, przez cały tydzień, stojąc na czele armii domowników, Mariannę toczyła zawzięty bój z brudem i bałaganem. Uporządkowawszy salon, wzięła się za pokoje gościnne. Wszędzie brakowało pościeli, przepalone słońcem albo zbutwiałe zasłony rozpadały się, gdzieś na tapetach pojawiła się pleśń. Dowiedziała się od jednej z nielicznych osób, które służyły tu jeszcze za poprzedniego markiza, że ojciec Johna nie pozwalał rozpalać ognia na kominku w żadnym pokoju z wyjątkiem tych, które sam zajmował. Ponieważ zaś gości zapraszał niesłychanie rzadko, a od wielu lat żaden się tu nie zjawił, przeznaczone dla nich skrzydło domu zostało całkowicie zapomniane.

Od czasu do czasu pojawiał się John, by sprawdzić, z czym się teraz Mariannę boryka. Po raz nie wiedzieć który przeproszał za bałagan w domu, zamartwiał się, że jego gość tak się zapracowuje i biadolił, jakim jest złym gospodarzem. W końcu Mariannę oświadczyła stanowczo, że nie chce już słyszeć ani słowa - i odtąd biedny markiz chował się w swym gabinecie lub uciekał z domu, spędzając długie godziny w siodle. Czy doglądał prac polowych, czy też tropił tajemniczych napastników, tego już Mariannę nie wiedziała, prawdę mówiąc, nadzorowanie generalnych porządków okazało się dość skutecznym lekarstwem: nie miała czasu na wieczne zdręczanie się bliskością Johna. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce sto razy na dzień jej myśli

biegły ku niemu. A nieustanny i dogłębny kontakt z jego rodzinnym domem sprawił, że dowiedziała się wiele (zapewne dużo więcej, niż John by sobie życzył) o jego samotnym dzieciństwie i o upokorzeniach, jakich mu nie szczędził wyrodney ojciec.

Słyszała również to i owo o późniejszych latach jego życia. Gdy pewnego razu zauważyła głośno, że w pokojach reprezentacyjnych nie ma ani jednego lustra, gospodyni dodała, że nie ma ich również w apartamentach markiza.

- Nasz pan kazał wszystkie wyrzucić, jak wstał po chorobie. Nie mógł widać znieść widoku własnej twarzy. Przykre, ale i nie dziwota. Chociaż nigdy nie był taki śliczny jak jego młodszy braciszek... Prawdziwy anioleczek! Każdy to powtarzał.

Gospodyni aż się zatchnęła. Mariannę uniosła brwi i zauważyła sucho;

- Rzeczywiście, lord Gabriel jest wyjątkowo urodziwy.

Jakąż udręką dla Johna musiało być to wieczne porównywanie go z bratem! Gospodyni zmieszała się i zaczęła znów mówić z nerwowym pośpiechem.

- Ale i nasz pan markiz był ładnym, krzepkim chłopakiem i wiele dziewcząt w sąsiedztwie wypatrywało sobie za nim oczy. Ale potem dopadła go ta ospa. Bo jego ojciec, świec Panie nad jego duszą, nie kazał szczepić dzierzawców, jak to robiło wielu panów z sąsiedztwa. A potem, jak ludziska gadali, banda cyganów przywlekała tu tę zarazę, i zaraziło się kilku

naszych chłopaków, których te włóczęgi zmamiły karcianymi sztuczkami. A nasz pan zawsze się starał być dobrym dziedzicem, nawet jak jeszcze żył jego ojciec. Odwiedzał chorych, więc i tym zanosił jedzenie.

- O mój Boże! - Mariannę zamarła ze szczotką w ręku. Żeby dać dobry przykład służbie, sama brała czynny udział w tym sprzątaniu stajni Augiasza. - O tym nigdy mi nie wspominał!

- Pewnie że nie! Zawsze krył się ze swymi dobrymi uczynkami - wyjaśniła gospodyni. - Po mojemu, on przez całe życie stara się odrobić zło, które wyrządził jego ojciec. Ale może nie powinnam tego mówić, bo nie moja rzecz osądzać pańskie czyny.

Była wyraźnie zaniepokojona, więc Mariannę skinęła tylko głową, nie udzielając jej żadnej nagany za krytykowanie lepszych od siebie.

Ogarnęło ją ogromne współczucie dla Johna. Ileż on musiał wycierpieć! Odłożyła szczotkę.

- Z tej tapety nie będzie już pożytku. Trzeba ją wymienić - orzekła. - Pomówię o tym z jego lordowską mością. A my w następnej kolejności weźmiemy się za jadalnię.

Gospodyni zgodnie skinęła głową. Choć całe to zamieszanie wytrąciło ją z równowagi, bez sprzeciwu podporządkowała się rozkazom Mariannę.

- Wiem, że wszystko tu strasznie zapuszczone, proszę jaśnie pani - powiedziała nie po raz pierwszy. - Za matki naszego pana markiza to tu był ład, słowo daję! Służyłam wtedy jako młodsza pokojówka, dobrze pamiętam. Ale jak pani umarła, to stary pan nie dbał ani o usługę, ani o dom, tylko żeby miał co pić. I czasem zjeść do tego jaką papraninę. Ale z niego był piekielnik, Boże uchowaj! To, że stąd poszła i dopiero potem znów tu nastalam, jak oczy zamknął.

- Zupełnie zrozumiałe - przytaknęła Mariannę. - Myślę, że jak na taki wielki dom jest tu stanowczo za mało rąk do pracy. Gdyby tak można popytać we wsi... Jego lordowska mość z pewnością pozwoli zatrudnić więcej pokojówek.

Gospodyni dosłownie rozpromieniła się.

- A jakże, jaśnie pani! Pewnie, że to by się przydało. Zaraz się rozpytam. Przedtem trudno było jakąś znaleźć, co by chciała tu służyć. Dziewuchy takie są bojące i słuchają byle czego. Ale jak tu przyjeżdżają goście aż z Londynu, to wszystko musi być w porządku, no nie?

Ostatni argument niezbyt trafiał Mariannę do przekonania; nie rozumiała też niejasnych aluzji gospodyni, lecz zbyt wypytywanie trąciło wścibstwem. Ustaliła więc z gospodynią kolejność następnych prac porządkowych, po czym udała się na poszukiwanie Louisy. Znalazła ją w najbardziej reprezentacyjnej części parku; dyrygowała dwoma ogrodnikami.

- A ten krzew jest już bardzo stary, warto by go czymś zastąpić. Może macie coś odpowiedniego w szklarni? - dopytywała się.

Ogrodnik otarł czoło mocno przechodzoną chustką.

- Ja tam nie wiem, panienko.

- Tak czy owak, trzeba ten krzak wykarczować. W razie czego znajdzie się coś na targu w najbliższym mieście - orzekła Louisa.

Jak ona się tu rozporządza, myślała Mariannę. Jakby już była panią! I nagle poczuła ostry ból, bo tak przecież wygląda prawda. Louisa zostanie tu niebawem panią i z pewnością będzie dbała o posiadłość męża. Louisa wyjęła wachlarz; mimo osłony parasolki wydawała się zgrzana.

- No i co o tym myślisz, cioteczko?

Wskazała gestem na przystrzyżone już krzewy, Mariannę skinęła głową z aprobatą.

- Bardzo to ładnie wygląda. Nie masz ochoty wrócić do domu i ochłodzić się czymś? Nie, nie ochłodzić, ale zawsze ugasić pragnienie. Chciałam zamówić dla nas lemoniadę, ale okazało się, że nie ma cytryn, więc musi nam

wystarczyć herbata. Obawiam się, że kucharz zaniedbuje niektóre obowiązki, na przykład uzupełnianie zapasów w spiżarni.

- Kucharz gwizdże sobie na wszystkie obowiązki - odparowała Louisa - sądząc po tym, co

nam podają do stołu.

Tym razem dobry humor definitywnie opuścił promienną pannę.

Mariannę nie chciała dyskutować z nią w obecności ogrodników. Weszła więc do domu i ruszyła za siostrzenicą do małego salonu na piętrze. Louisa rzuciła się na fotel. Nie wyglądała wcale na zadowoloną.

Mariannę zaczekała aż im przyniosą herbatę, ostentacyjnie zamknęła drzwi za lokajem i usiadła obok Louisy.

- Co się stało, moja droga?

- Och, ciociu! Czy nie możemy wrócić do Londynu? - wybuchnęła dziewczyna.

- Jeszcze nie. Dobrze wiesz, czemu tu przyjechaliśmy: żeby zapewnić ci bezpieczne schronienie-przypomniała jej ciotka.

- Ale ja tak bym chciała wrócić do miasta!

Mariannę pomyślała, z niepokojem, że w przyszłości Louisa będzie tu spędzać większość czasu. Jej obecne niezadowolenie nie wróżyło nic dobrego przyszłemu małżeństwu.

- Spędziłyśmy tu zaledwie tydzień - zauważyła.

- Strasznie mi się tu dłuży! - poskarżyła się Louisa. - Z pewnością można by znaleźć bezpieczne schronienie gdzie indziej, nie na takim odludziu!

Mariannę pomyślała o ranie markiza i z trudem opanowała gniew.

- Bądźże rozsądna, Louiso! Lord Gillingham został ranny, nieprawdaż? Chyba rozumiesz, jak ryzykowny byłby powrót do Londynu. Musimy znaleźć tę osobę, która chce ci wyrządzić krzywdę. To poważna sprawa!

Louisa skrzywiła się.

- Wiem, wiem, ale mam już tego dość: nigdzie się nie mogę ruszyć! Nic się tu nie dzieje! Ile wieczorów można spędzić tylko we trójkę, nad książką albo na dziecinnej grze w karty?

- Zapoznaj się z tym domem - podsunęła Mariannę. - Jest bardzo piękny, mimo całego zaniedbania. Kiedy zostaniesz jego panią...

- Wcale nie wiem, czy mam na to ochotę! - wypaliła Louisa i nagle urwała, przygryzając usta.

Mariannę odetchnęła głęboko, starając się uciszyć rozszalałe serce.

- Cóż to ma znaczyć?

- Bo ja wiem? Czasem mam wątpliwości. Dziewczyna nie patrzyła ciotce w oczy.

- Może powinnaś porozmawiać o tych wątpliwościach z lordem Gillinghamem? - podsunęła Mariannę, siląc się na obojętny ton.

- Może i tak, ale jeszcze nie teraz - odparła Louisa, nie odrywając wzroku od filiżanki.

Potem rozmawiały jeszcze przez chwilę o różnych błahostkach, ale ciotka była dziwnie roztargniona i niebawem odeszła, by dalej doglądać służby.

Pozostawiona samej sobie Louisa dopiła herbatę, która miała kolor mahoni, jakby parzyła się od rana. Czy ten przekłety kucharz wszystko musi spać?! Stokroć wolałaby lemoniadę, ale on oczywiście nie zamówił w porę cytryn. Z pewnością nie brakło ich w najbliższym targowym mieście! Do Londynu codziennie przybywają na statkach różne frykasy z ciepłych krajów. Mój Boże, ależ tęskniła za Londynem! Ledwie go trochę pokosztowała, tylko tyle, by mieć apetyt na więcej, już ją znowu zaciągnęli na wieś. I to do okropnej, zabitej deskami dziury, sto razy gorszej od Bath! Jakże to życie jest okrutne!

Wyszła znów do ogrodu. Jeden z ogrodników poszedł do szklarni sprawdzić, czym można by zastąpić stary krzew, a ten drugi sam się wziął do roboty, jakby mu wcale nie były potrzebne jej instrukcje! Pospiesznie opuściła tę część ogrodu. Kamienny mur przywodził jej na myśl więzienie, i to, że sama była właściwie więźniem. Skierowała się do sadu. Tu przynajmniej miało się złudzenie wolności. Pospaceruje sobie pod drzewami. Kwiaty już opadły, wśród zielonych listków kryły się maleńkie zawiązki przyszłych jesiennych owoców. Tak, tu słońce jej nie dopadnie!

Odkryła pod jedną z jabłoni ławeczkę i przysiadła na niej. Nie powinna zdradzać się przed

ciotką z tymi wątpliwościami... sama jeszcze nie zgłębiła własnych uczuć... A jednak ulżyło jej, gdy wypowiedziała to na głos! Nikt jej nie może zarzucić, że nie starała się pokochać markiza! Doceniała jego dobroć, ale nic więcej nie mogła z siebie wykrzesać. Wdzięczność i przyjaźń. Tylko tyle. Jakie to się wydawało mdłe w porównaniu z podnieceniem i burzą, które budził w niej Lucas. Jej pierwszy adorator.

Gdyby go do siebie nie zraziła... Z westchnieniem zdjęła kapelusik; trzymając go za wstążki i bezmyślnie nim kołyszając, zatonała we wspomnieniach.

Ostry trzask łamanej gałązki nie od razu dotarł do niej. Kiedy jednak pojęła, co to znaczy, cała się sprężyła. Ktoś zbliżał się do jej ławki, starając się nie robić hałasu. Czuła za sobą czyjąś obecność. Jakaś postać nachyliła się nad nią. Strach chwycił ją za gardło.

Nikt z domu, a nawet żaden z ogrodników nie mógł jej tu zobaczyć. Gdyby zaatakował ją ten nieznany wróg, nikt by o tym nie wiedział!

Louisa wciągnęła jak najwięcej powietrza w płuca, zebrała całą odwagą i otworzyła usta, by wrzasnąć wniebogłosy.

15

Louiso... - szepnął znajomy głos.

Ta smukła, zgrabna postać trafiła tu prosto z jej marzeń! Louisie zaparło dech. Zerwała się na równe nogi i bez namysłu rzuciła się w ramiona młodzieńca.

Objął ją i z całej siły przytulił do siebie. Na chwilę znieruchomiała z głową na jego piersi, czując taką ogromną ulgę, że uginały się pod nią kolana. Nie był to żaden tajemniczy wróg, dybiący na jej życie, tylko ktoś, kogo nade wszystko w świecie pragnęła ujrzeć. Jednak po pierwszym wybuchu radości Louisa próbowała się opanować. Pokaże mu, że nie jest tą postrzeloną gąską, którą bez namysłu porzucił!

- Lucas? - Miała ochotę wrzeszczeć jego imię na całe gardło, ale w ostatniej chwili zmieniła ton... i w końcu przypominało to żabi rechot. - Co ty tu robisz?!

- Niepokoiłem się o ciebie. Tak nagle zniknęłaś z Londynu! Słyszałem też pogłoski o strzelaninie, mówiono, że był w to wmieszany markiz i jakieś damy. Wtedy przypomniałem sobie, że opowiadałaś mi o tajemniczym prześladowcy. Powinienem być potraktować serio twoje obawy. Wybacz mi!

Był niesłychanie poważny, więc starała się przybrać odpowiednią minę. Doprawdy nie wypadało okazywać takiego entuzjazmu na jego widok!

- Cieszę się, że troszkę cię to obeszło - powiedziała po prostu.

- Jasne, że mnie obeszło! Musiałem sprawdzić, co się z tobą dzieje! Doszły do mnie różne dziwne słuchy o Gillinghamie. Wiesz, że go tu nazywają Czarny - znaczy tyle co „diabeł” - i straszą nim dzieci? Markiz, nie markiz - nie pozwolę, żeby cię maltretował!

- Maltretował?! Co znowu! - obruszyła się Louisa. - Jest wyjątkowo szlachetny, dobry i wyrozumiały dla mnie.

- Miło mi to słyszeć.

Ton jego głosu wyraźnie przeczył tym słowom. Twarz miał pełną napięcia, a oczy spoglądały ponuro.

- Nie zamierzałem go znieważać, zwłaszcza w rozmowie z tobą. Jesteście przecież zaręczeni. Nie będę cię więcej niepokoił.

Cofnął się o krok, a Louisa mimo wszelkich postanowień wyciągnęła rękę, by go zatrzymać.

- Nie jesteśmy zaręczeni! wypaliła prosto z mostu. - To znaczy... lada chwila nie będziemy. Powiem markizowi, że nie mogę za niego wyjść. Starałam się go pokochać, bo to wspaniały człowiek, ale już wiem, że nigdy nie będę do niego czuła tego wszystkiego, co kiedyś czułam do ciebie.

- Louiso!

Na twarzy Lucasa malowała się taka burza uczuć, że dziewczyna odwróciła oczy, obawiając się, że znów ujrzy na niej wzgardę.

- Wiem, że nic już do mnie nie czujesz - powiedziała cicho. - I od naszego rozstania nawiązałeś mnóstwo nowych przyjaźni.

- Wcale nie! - przerwał jej. - Nie przeczę, że próbowałem. Byłem taki na ciebie wściekły, taki zraniony. Myślałem, że zdołam o tobie zapomnieć. Ale żadna dziewczyna nawet się nie umywa do ciebie! Wszystkie są takie grzeczniutkie i nudne jak diabli! Strasznie mi ciebie brakowało! Jesteś taka... taka pełna życia... No i oczywiście piękna i czarująca!

Louisa myślała, że szczęście ją chyba rozsadzi.

- Och, Lucasie, to ja jestem wszystkiemu winna! Naprawdę byłam samolubna, za wiele myślałam o sobie. Ale zmieniłam się, naprawdę się zmieniłam i staram się być wyrozumiała i cierpliwa.

Lucas potrząsnął głową.

- To nie była tylko twoja wina. Obrażam się o byle co i jestem przeczulony na punkcie swego honoru. Nie powinienem był osądzać cię tak surowo. Wcale nie chcę, żebyś się zmieniła, najdroższa. Kocham cię taką, jaka jesteś!

Ona uniosła głowę, on się pochylił i ich wargi się spotkały. Dreszcz przebiegi ją od stóp do głów. Takiej radości, takiego uniesienia nie czuła nigdy w towarzystwie lorda Gillinghama. Nie mogła sobie nawet wyobrazić podobnych czułości z nim! Przytuliła się mocniej do Lucasa, a ich pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Aż jej się w głowie zakręciło od tych nowych, rozkosznych doznań.

W końcu Lucas oderwał się od niej, choć widziała, ile go to kosztowało.

- Zwrócę się do twego stryja i poproszę go formalnie o twoją rękę.

Louisa skinęła głową, ale zaraz się zawahała.

- Jeszcze nie teraz, Lucasie. Bardzo proszą!

- Nie chcesz za mnie wyjść?

Spojrzał na nią raczej z niepokojem niż z gniewem, toteż zaraz podniosła głowę dopraszając się o nowy pocałunek. Kiedy tym razem oderwali się od siebie, Louisa była jeszcze bardziej zamroczonej, ale musiała się zadowolić ściskaniem ręki ukochanego. Z całej siły!

- Oczywiście że chcę za ciebie wyjść! Ale powinniśmy mieć wzgląd na uczucia markiza, Ogłaszając tak nagle zaręczyny, zranilibyśmy okropnie jego dumę! Wstrzymajmy się z tym parę miesięcy, dobrze? I tak przecież będziemy narzeczonymi, nie musimy o tym trąbić! . .

Lucas spojrzał na nią z nieukrywaniem podziwem.

- Naprawdę wydorostałaś, Louiso! Masz rację, choć diabli mnie biorą, że nie zostaniesz od razu moją żoną.

- Sir Lucas i lady Louisa... - szepnęła z wyraźnym zachwytem.

- Baronet to nic wielkiego, zwłaszcza że mogłaś złapać markiza - powiedział skromnie.

- Ależ ja niczego więcej nie pragnę - zapewniła go. - Chcę ciebie, i kropka! Tylko, Lucasie... czy moglibyśmy od czasu do czasu jeździć do Londynu? Wiem, że osiadziemy w Bath. i gotowa jestem mieszkać tam przez okrągły rok, jeśli...

- Pewnie, że będziemy wyjeżdżać do Londynu, i to często! - zgodził się ochoczo, - Bardzo mi przypadł do gustu. Jak się pobierzemy, rozejrzę się za niebrzydkim domkiem, żebyśmy co roku mieli się gdzie zatrzymać, jak przyjedziemy na sezon.

Louisa uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Och, Lucasie, jakiś ty dobry!

Złożyła znów głowę na jego piersi i poczuła coś szorstkiego pod policzkiem. Odsunęła się nieco i stwierdziła, że jakiś listek przyłgnał do kłapy surduta. I to jej uprzytomniło...

- Jakież się tu dostał, Lucasie?

- Przyjechałem konno - odparł z podejrzaną niewinną miną.

- Nie o to pytam! Chodzi mi o ten wielki mur! Jak, na miłość boską, zdołałeś przez niego

przeleźć?! ,

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Rzeczywiście spory! Za pierwszym podejściem nie powiodło mi się... -Uniósł ramię i zobaczyła rozdarty rękaw. - Musiałem wrócić do wsi i kupić drabinę, W dodatku koń mi się zbuntował i nie mogłem jej przytroczyć do

siodła... więc w końcu trzeba było wlec się na piechotę i ciągnąć to draństwo za sobą... cholernie ciężkie! Dla kogo innego bym się tak nie poświęcił, żebyś wiedziała! Louisa wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję.

Zanim poszła na górę przebrać się do obiadu, Mariannę raz jeszcze obejrzała jadalnię i przygotowała listę niezbędnych zmian. Jeśli ta wizyta potrwa nieco dłużej, zdążę doprowadzić dom do przyzwoitego stanu dla przyszłej markizy, pomyślała z bólem. Ale dzięki tej harówce nie poddawała się rozpacz. Przypomniały się jej narzekania Louisy. Czy to małżeństwo naprawdę dojdzie do skutku? Nie mogła sobie wyobrazić siostrzenicy w tym otoczeniu. Tylko czy ambitna dziewczyna zrezygnuje z tak świetnej partii?

Mariannę wykąpała się i przebrała w prostą czarną suknię wieczorową. Kiedy rozległ się gong obwieszczający obiad, wyszła do ogrodu różanego, lecz nie dostrzegła podopiecznej. Przystanąła na chwilę, by popatrzeć na różę, która dopiero co rozkwitła. W stulonych jeszcze, szkarłatnych, aksamitnych płatkach kryła się zapowiedź pełnego rozkwitu, niedalekiej już doskonałości. Mariannę pochyliła się nad kwiatem, by odetchnąć jego upajającą wonią. Tym właśnie powinna być miłość, mówiła sobie w duchu, rozkwitem ufności, czułości i - nie bójmy się tego słowa! - namiętności, słodkiej jak zapach róży. Pod koniec takich rozważań stawał jej nieuchronnie przed oczyma obraz Johna. Potrząsnęła głową, by odpędzić tę wizję. Lepiej nie rozmyślać o zakazanych rozkoszach!

Po powrocie do domu spotkała Louisę na podeście schodów. Dziewczyna była lekko zarumieniona, zapewne skutkiem upału.

- Mam nadzieję, że nie wyszłaś do ogrodu bez parasolki - zatroskała się Mariannę. - Stryjenka Caroline głowę mi urwie, jeśli pozwolę, byś sobie zniszczyła cerę na słońcu!

- Z pewnością nie będzie taka okrutna! - Louisa się roześmiała.

Na szczęście humor się panie poprawi! i podczas obiadu była wesoła jak ptaszek, choć ani markiz, ani Mariannę prawie się nie odzywali.

Jedynie kuchni nie udało się Mariannę zreformować; posiłki były nadal prawie niejadalne. Kurczęta łykowate, ryba na wpół surowa. Mariannę podejrzliwie trąciła widelcem przywiedłą fasolkę szparagową. Jakim cudem markiz zdołał wyżyć na takim wikcie?!

Poczuła wyraźną ulgę, gdy nadeszła pora, by obie z Louisą opuściły jadalnię. Spojrzała znacząco na siostrzenicę. Gillingham wstał uprzejmie, kiedy damy skierowały się w stronę salonu.

Nim jednak tam dotarły, na korytarzu zastąpił im drogę majordomus z miną jeszcze bardziej grobową niż zwykle.

- Specjalny posłaniec z listem z Bath do jaśnie pani. Tuszę, że nie są to złe nowiny.

Mariannę odebrała od niego gruby pakiet. Cóż to może być, na litość boską?! Usiadła w salonie, złamała pieczęć i spiesznie zapoznała się z treścią przesłania. Twarz jej się widać zmieniła, gdyż Louisa zerknęła jej przez ramię i spytała z niepokojem:

- Chyba stryjence Caroline nic się nie stało?

- Nie, nie... - odparła Mariannę z wyraźną trudnością. - Cała rodzina zdrowa, ale...

Nie mogła mówić dalej.

Do salonu wszedł markiz - czyżby Pomfroy zawiadomił go o dostarczonym właśnie liście?

- Pisałam do twego stryja, Louiso, o naszych obawach o twoje bezpieczeństwo. I zaproponował rozwiązanie, które nie przyszło mi do głowy.

- Jakie rozwiązanie? Możemy wrócić do Londynu? - spytała zaciekawiona Louisa.

- Nie... wręcz przeciwnie. Stryj Charles uważa, że powinniśmy wyjechać do Francji -

wyjaśniła Mariannę bezdźwięcznym głosem. - Natychmiast. Przysłał nam wszelkie niezbędne w podróży dokumenty; prawnicy doskonale się znają na takich sprawach.

- Mamy wyjechać za granicę? - spytała drżącym głosem panna.

Markiz zmarszczył brwi, odwrócił się i utkwiał wzrok w kominku. Mariannę czytała powtórnie list. Czuła się jak ogłuszona.

- Stryj uważa, że musimy za wszelką cenę zapewnić ci bezpieczeństwo. Zanim więc odkryjemy, kto ci zagraża i jak zapobiec nieszczęściu, najwłaściwszym rozwiązaniem będzie spokojny pobyt w ustronnej wsi na południu Francji.

- Wieś? Nie Paryż, tylko jakaś wiocha na odludziu?! - wybuchnęła Louisa, ale zaraz przygryzła usta i zamilkła.

Markiz nie odezwał się ani słowem.

Powiedzże coś! - błagała w duchu Mariannę, wpatrując się w milczącą postać, pochyloną nad kominkiem, z twarzą zwróconą do tłącego się na nim ognia. Powiedz, że nie pozwolisz mi odjechać!

Kiedy jednak Gillingham odezwał się wreszcie, zauważył tylko:

- A więc spełni się pani marzenie, Mariannę.

Głos jego brzmiał chrapliwie, ale nieraz mu się to zdarzało.

- Co takiego?

Mariannę była nadal jak otumaniona, nie mogła pojąć znaczenia tych słów.

- Zwiedzi pani Francję. O ile mnie pamięć nie myli, chciała pani poznać uroki francuskiej wsi. A jeśli ta podróż zagwarantuje bezpieczeństwo pannie Louisie...

- No tak, oczywiście... - wymamrotała Mariannę.

Jej szwagier Charles był prawnym opiekunem Louisy. Podjęcie ostatecznej decyzji należało do niego. Ona zaś w tej sytuacji nie mogła opuścić siostrzenicy. Musi z nią jechać. Nie ma wyboru. Zresztą markiz wcale jej nie próbował zatrzymać.

Louisa nie powiedziała już ani słowa. Twarz miała już spokojną.

- Powinniśmy chyba iść na górę i zabrać się do pakowania - zwróciła się do niej Mariannę ze sztucznym ożywieniem.

- Powóz będzie na panie czekał zaraz po śniadaniu - obiecał markiz. - Stąd do Dover nie jest wcale daleko. Z przeprawą przez kanał też nie powinno być żadnych trudności. Ale chciałbym...

Mariannę wstrzymała dech, lecz John urwał nagle i nie dokończył zdania. Nie pozostawało więc nic innego, jak życzyć mu dobrej nocy i udać się na górę. Milcząca Louisa deptała jej po piętach.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Mariannę poleciła pokojówce spakować rzeczy, z wyjątkiem kostiumu podróżnego, który postanowiła włożyć jutro, oraz niezbędnych przyborów toaletowych.

Sama zaczęła układać w kufrze swoją bieliznę, równocześnie starając się zaprowadzić jakiś ład we własnych myślach i uczuciach, z czym szło jej znacznie gorzej. Każde słowo markiza było zgodne z prawdą. Rzeczywiście chciała zwiedzić Francję. Teraz jednak wszystko nabrało innego znaczenia. Nie podniecała jej wcale myśl o nieznanym widokach i malowniczych krajobrazach, ponieważ nie będzie ich oglądać razem z Johnem.

Kiedy już spakowały z Hackett większość rzeczy i kufer był prawie pełny, Mariannę poleciła pokojówce zostawić resztę pakowania na jutro rano. Przebrała się w nocną koszulę, położyła się do łóżka i odesłała Hackett, każąc jej wyspać się przed podróżą.

Sen jednak nie przychodził. Musiała opuścić Johna... był to bolesny cios. Jednak szwagier miał rację: liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo

Louisy. Jako jej opiekunka nie mogła temu zaprzeczyć i musiała opuścić ten dom.

Ale nie w ten sposób! Zbyt wiele pozostało niewypowiedziane i niewyjaśnione.

Wstała, na cienką koszulę narzuciła szlafrok i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Gillingham

jest związany słowem z jej siostrzenicą, ona więc powinna milczeć. Jednak coraz mniej wierzyła w miłość Louisy do markiza, a nawet w to, że siostrzenica zdecyduje się ostatecznie na to małżeństwo. A jeśli go porzuci, John zostanie taki samotny, taki opuszczony.

Nie mogła już powstrzymać swych długo tłumionych uczuć. Jak po ulewnym deszczu wezbrana rzeka przerywa tamę, tak na myśl o nagłym rozstaniu jej emocje wyrwały się spod kontroli rozumu.

Mimo oszpeconej twarzy i okaleczonej duszy, mimo wczesnej młodości zatrutej przez ojca sadystę i owianej cieniem smutku z powodu cierpień matki John godny był miłości. I Mariannę pokochała go tak głęboko i żarliwie jak nikogo przedtem. Nie mogła więc pozwolić, by znów zaszył się w ukryciu jak zranione zwierzę, by spędził resztę życia samotnie i bez miłości. Miałby unikać kontaktu z innymi ludźmi, miałby zdławić w sobie ciekawość świata i namiętność, którą w nim odkryła? Cóż by to było za marnotrawstwo!

Nigdy na to nie pozwoli!

Wiedziała z grubsza, gdzie znajduje się pokój markiza. I choć był to skandaliczny. .. więcej niż skandaliczny pomysł, musiała się z nim spotkać! Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi swojej sypialni i otworzyła je.

W pokoju obok spała Louisa. Choć dzieliła je ściana, Mariannę wyteżyła słuch. Usłyszała cichy, równomierny oddech podopiecznej.

Na korytarzu było pusto i ciemno. Mariannę owinęła się szczelniej szlafrokiem i zawiązała mocniej pasek. Wzięła stojącą na nocnym stoliku świecę i wymknęła się po cichu na korytarz. Na szczęście ani śladu służby! Zapewne wszyscy znajdują się we własnych pokojach i śpią jak susły.

Dotarła do podestu schodów i tu opuściła ją początkowa determinacja. Nie mogła ot, tak sobie, podejść do drzwi sypialni Johna i zastukać! Uznałby ją za ostatnią rozpustnicę wyzutą do cna ze skromności i czci niewieściej.

Nie, nie! Tak jej nie wolno postąpić! Zaczerpnęła głęboko powietrza i westchnęła z rezygnacją. Musi wrócić do swego pokoju i poczekać do rana. Jutro znajdzie chwilę przed odjazdem, by powiedzieć mu... Ale co właściwie? Sama dobrze nie wiedziała,

A teraz czekały ją długie godziny nocy wlokące się bez końca. W takim zamęciu uczuć nie było mowy o zaśnięciu. Książka! - przyszło jej na myśl. Trzeba zejść na dół i znaleźć sobie jakąś książkę! Co prawda nie wierzyła, że zdoła skupić się nad lekturą, ale może łatwiej znieść tę koszmarnie długą noc?

Odwróciła się więc i po cichutku zeszła po schodach, kierując się tym razem do biblioteki. Ranne pantofle stąpały bezszelestnie po dywanie, gdy dotarła do przestronnego, mrocznego frontowego holu. Była tak pogrążona w myślach, że otworzyła drzwi i przekroczyła próg biblioteki nieuświadomiamiając sobie, że wewnątrz się świeci. Istotnie, świece płonęły na stolikach i na wielkim biurku, a w obitym skórą fotelu siedziała jakaś postać zwrócona twarzą do kominka, na którym już nie palił się ogień.

Zaskoczona Mariannę skamieniała z uniesioną świecą w rękę.

Markiz zerwał się na równe nogi. Miał na sobie szlafrok z ciężkiego brokatu, włosy malowniczo rozwichrzzone...

- Mariannę?! O, przepraszam... Pani Hughes, czy coś...

- Przyszłam po jakąś książkę. - Zaczerwieniła się, czując na sobie jego wzrok - była przecież w dezabilu! - Ja... nie mogłam zasnąć.

Cofnęła się o krok. Tak zależało jej na tym spotkaniu, a teraz, gdy Gillingham stał przed nią, język jej się plątał i nie bardzo już wiedziała, czego chce.

- Proszę się mną nie krępować. A jeśli woli pani być sama, zaraz wyjdę.

I zmierzał już do drzwi. Choć przemawiał oficjalnym tonem, jego spojrzenie było, co tu ukrywać, bardzo gorące. I to właśnie dodało Mariannę odwagi. Postawiła lichtarz na najbliższym stoliku.

- Co chciał mi pan powiedzieć dziś wieczorem, milordzie?

- Powiedzieć?

Gillingham zatrzymał się, potem podszedł nieco bliżej.

Czuła wibracje powietrza wywołane jego bliskością. Dostrzegła piękno potężnych ramion i muskularnej postaci, z którego nie zdawał sobie sprawy.

- Tylko... tylko to, że smuci mnie pani wyjazd - szepnęła bardzo cicho. — Nic więcej nie mogę powiedzieć, póki Louisa nie będzie całkiem bezpieczna... Wtedy... poproszę ją... Może zresztą nie będzie potrzeby... One przeważnie uciekają, jak tylko... podejść zbyt blisko.

W jego głosie było tyle bólu, że Mariannę ścisnęło się serce. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka, przesunęła lekko palcami po wygładzonych już przez czas śladach ospy. Jak można je było uważać za straszliwe oszpecenie?

Jak można było nie dostrzec siły, szlachetności i męskiego uroku tej twarzy? Jak można go odtrącić z powodu takiego głupstwa?!

- Jeśli tak się zachowują, to są głupie, i tyle! - zawyrokowała. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Wcale się im nie dziwię - powiedział głucho. - Wiem, że to nie jest widok dla wrażliwych oczu.

-- Ależ milordzie! - przerwała mu znów Mariannę. - Nie wierzy pan chyba w takie bzdury?!

Nakrył dłonią jej rękę, jakby chciał powstrzymać głaszczące go palce. Potem odwrócił się. Mariannę widziała już tylko jego plecy, gdy oparł się rękoma o masywny stół.

- Pierwszego dnia, gdy wstałem z łóżka, bardzo jeszcze słaby po wielu dniach gorączki, chciałem się przejść koło domu. Oprócz mojej starej niańki i mojej matki, które uparły się mnie pielęgnować, nikt mnie nie oglądał od początku choroby. Nic dziwnego, bo każdy bał się zarazić. Ale akurat wtedy mała podkuchenna na tylnym dziedzińcu rzuciła kurom łupiny ziemniaków. Dziewczyna miała może ze czternaście lat; dopiero co przyjęto ją do służby. Natknąłem się na nią, nim sobie uświadomiłem, że ktoś tu jest. Padł na nią mój cień, więc się odwróciła zaskoczona. Ale gdy ujrzała moją twarz, zawyła ze strachu.

Determinacja, z jaką relacjonował to wydarzenie, rozdzierała serce Mariannę.

- Milordzie...

Ale on kontynuował uparcie.

- Wiem, że jestem odrażający, pani Hughes. Nie miałem wielkiej nadziei, że jakaś panna zgodzi się za mnie wyjść. Bardzo mi jednak zależało na spadkobiercy, a pani siostrzenica była łaskawa przyjąć moje oświadczenia, choć prawdę mówiąc, wcale się jej nie oświadczyłem, ale mniejsza z tym. Podejrzewam jednak, że coraz bardziej odechciewa się jej tego małżeństwa. A ponieważ nie czuję już takiej nienawiści do młodszego brata jak dawniej, chyba nie warto na siłę starać się o syna. Co prawda ostatnio nachodziły mnie marzenia o tym, że pewna kobieta pokocha mnie tak, jak ja ją kocham.

Wielkie nieba! Czyżby naprawdę był zakochany w Louisie? Serce Mariannę ścisnęło się z bólu. Gdyby miał aż tak cierpieć z powodu odrzucenia, zmuszę tę dziewczuchę, żeby dotrzymała słowa! Zawlokę ją do ołtarza! - przysięgała sobie w duchu. O tym, co się wówczas stanie z jej własnym sercem, wolała nie myśleć.

- Ale pewnie tylko się łudziłem. Widać pisana mi samotność - zakończył Gillingham.

- Bzdury! - odparła Mariannę stanowczo zbyt głośno.

To wreszcie do niego dotarło. Odwrócił się i znów na nią spojrzał.

- Nie chcę się narzucać... - zaczął.

A ona nie chciała tego słuchać! Potrząsnęła głową.

- Nie jest pan żadnym potworem, który straszy dzieci i przyprawia o omdlenie delikatne damy! Proszę to wreszcie zrozumieć, milordzie!

- Ależ...

- Wiem, wiem! Podkuchenna się pana zlekła. Proszę wziąć pod uwagę, milordzie, że pańskie rany były ledwo zaleczone, a twarz z pewnością zaogniona i opuchnięta. Ale przez te

wszystkie lata sytuacja bardzo się zmieniła. Naprawdę. Ja tych blizn prawie nie dostrzegam!
Potrzęsnała głową.

- Jest pani bardzo łaskawa. Ale jak mogę zapomnieć o mojej szpetocie, kiedy ludzie gapią się na mnie na ulicy?

- Gapią się, bo są prymitywni i źle wychowani! Jedna z moich przyjaciółek ma rude włosy. Na nią też się gapią, a to wcale nie znaczy, że jest potworem!

Mariannę podeszła bliżej, postanawiając za wszelką cenę przekonać Joh-na, że nie ma powodu wstydzić się ani brzydzić samego siebie.

- I sądzi pani, że jakaś kobieta... Że ktoś taki jak pani... - zaczął i urwał. Serce Mariannę tak się rozszalało, że omal nie rozsadziło klatki piersiowej.

- Jak... ja, milordzie?

- Nie chcę obrażać pani ani sprawiać przykrości pannie Louisie. Ale obawiam się, że nie mogę ożenić się z pani siostrzenicą.

- Czemu? - spytała niemal szeptem.

- Bo kocham inną - odparł z prostotą. - I jeśli ona mnie zechce, to pewnego dnia, gdy będę już wolny od zobowiązań, powiem jej, jak bardzo pragnę mieć ją zawsze przy sobie.

- Co to za kobieta, milordzie? - z najwyższym trudem zdołała wykrztusić Mariannę:

Sięgnął po jej rękę, podniósł ją do ust i bardzo delikatnie ucałował.

- Chyba wiesz.

A więc to nie były jej złudzenia, gdy powietrze wibrowało między nimi, a ona bała się, że nie zdoła oprzeć się naciągającej nawałnicy. Ale teraz nie musi się niczemu opierać!

John z trudem przełknął ślinę. '

- Tylko że... moje blizny... wcale nie są nieznaczne. Mariannę znowu dotknęła jego twarzy.

- Właśnie, że nieznaczne - przekonywała, sunąc lekko palcami po jego policzku i brodzie, - Całkiem nie ma o czym mówić!

Usłyszała jego rwący się oddech. Nakrył ręką jej palce, przycisnął je do swej twarzy.

- Mariannę! - Ale znów urwał. - Nie wiesz wszystkiego, najdroższa moja! A gdybyś cofnęła się ze wstrętem, chyba bym tego nie przeżył. Więc może lepiej nie poddawać cię takiej próbie.

- Nie pozwolę, żeby strach cię wiecznie paraliżował! Nie możesz być niewolnikiem własnej wyobraźni! - powiedziała stanowczo.

Spojrzał na nią zaskoczony. Mariannę też się zresztą zdziwiła. Czy to naprawdę ona z taką determinacją zmusza ich oboje do spojrzenia prawdzie w oczy? Przypomniały się jej własne zapewnienia, że jest zadowolona z samotnego życia, że ani myśli o powtórnym zamążpójściu, romansie, a nawet flircie!

Ale wtedy nie znała jeszcze Johna!

- Zaufaj mi, najdroższy - powiedziała.

Wahał się przez chwilę, a potem bez słowa rozchylił swój szlafrok. Nie miał pod spodem koszuli. Kiedy odwrócił się do światła, ujrzała przyczynę jego obaw.

Blizny nie kończyły się na twarzy. Ospa poznała całe jego ciało. Nawet muskularna pierś nosiła ślady tej strasznej choroby. Były one tu głębsze, choć rzadziej rozsiane. Z pewnością na rękach i nogach blizny są także.

Dotknęła jego klatki piersiowej i poczuła, że przebiegł go dreszcz. Podniosła głowę, by mógł zobaczyć jej uśmiech, jej spokojne i szczere spojrzenie. Potem schyliła się i ucałowała jeden ze śladów po ospie. Ucałowała tak delikatnie i czule, jakby mogła uleczyć go tym pocałunkiem.

- O, moja najdroższa! - wykrztusił głosem ochryłym z miłości i pożądania.

Raptownie, nie bacząc na swą nie całkiem zagojoną ranę, chwycił Mariannę na rękę.

Przez ułamek sekundy martwiła się, czy nie nadweręży sobie ramienia zabezpieczonego tylko niewielką opaską, ale John nie czuł chyba jej ciężaru. Objęła go więc za szyję i pozwoliła, by zaniósł ją na kanapę, ułożył delikatnie i nachylił się, by ją pocałować.

Jego wargi były jędrne i mocne, ona zaś odpowiedziała na ten pocałunek i na pożądanie, które w nim wyczuwała, równie żarliwą pieszczotą. Od tak dawna na to czekała, nie wiedząc nawet, że na to właśnie czeka... i dopiero ten jedyny, stworzony dla niej, rozbudził w niej od dawna zapomniane pragnienia. Była jak ktoś, kto błądząc od dawna po pustyni, zapomniał smaku chłodnej, czystej wody; przyciskała namiętnie wargi do jego ust, w zdumieniu i olśnieniu poddając się impulsom własnego ciała, które reagowało w sposób niemal już przez nią zapomniany.

Jej piersi o wyprazonych sutkach były mocno przyciśnięte do twardej klatki piersiowej Johna, gdy pochylony nad nią, oparty o nią całował jej usta, szyję, oczy, ciemne loki okalające jej czoło.

Tak długo, zbyt długo na to czekała! Przez całe tygodnie musiała być świadkiem zalotów Gillinghama do Louisy i przez cały ten czas pragnęła czuć dotyk jego ręki na swym ramieniu, jego warg na swych ustach, jego ciała zespolonego z jej ciałem. Dotyk rozpalający w niej namiętność stokroć silniejszą od tej, której niegdyś oddawała się z młodzieńskim mężem.

Namyśl o zmarłym mężu ogarnęło ją poczucie winy, ale szybko rozprawiła się z wyrzutami sumienia. Nie jest już żoną Harry 'ego. Nie wyrządza mu teraz żadnej krzywdy, nie łamie żadnego przyrzeczenia. Śmierć rozdzieliła ich, unieważniła przysięgę małżeńską. Mariannę odzyskała wolność i może kochać, kogo zechce.

Jej małżeństwo było już tylko zatartym wspomnieniem. Ona zaś stała się inną osobą - dojrzałą i bardziej pewną swych uczuć; miała bardziej kobiece kształty, a serce pojemniejsze: mogło zawrzeć w sobie więcej miłości i namiętności.

Nigdy dotąd nie czuła pożądania tak silnego, że przyprawiało ją o drżenie. Pozbyła się szlafroka, mając nadzieję, że John pójdzie za jej przykładem.

Uniósł się nieco, by zrzucić z siebie ciężkie okrycie. Pospiesznie obrzuciła spojrzeniem jego długie nogi, potężny tors, sprężysty brzuch i męskość, której nie oglądała od początku wdowieństwa.

Na widok tego wszystkiego dręczący ją ból wzrósł, a ogień zapłonął żywiej. Gdy mocowała się z cienką koszulą, John pomógł ściągnąć ją przez głowę, odsłaniając piersi spragnione dotyku jego rąk i pieszczot rozpalających w niej namiętność. Głaskał je, delikatnie drażnił sutki - ale to nie zaspokajało jej pożądania, tylko je potęgowało. Przyciągnęła go do siebie, ich wargi znów się złączyły żarliwie, gwałtownie, niemal boleśnie.

- Weź mnie, najdroższy - szepnęła z ustami na jego ustach.

Nakrył ją swoim ciałem i wślizgnął się z łatwością do jej wilgotnego, spragnionego wnętrza. Czuła go w sobie i napawało ją to radosnym zdumieniem.

Nie przeżyła dotąd czegoś równie... Nie, w ogóle nie było nic przed Johnem, nie istniało dla niej nic prócz Johna! Pasowali do siebie idealnie - jak pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta na świecie stworzeni tylko po to, by złączyć się w tym cudownym uścisku. By mogła czuć w sobie mocny rytm jego poruszeń wywołujący rozkoszne dreszcze w całym jej ciele.

Była oceanem, który go opływa, a jednak to ona tonęła w falach nowych doznań, zatracając się w szczęściu.

- O, tak - szepnęła. - Tak, właśnie tak...

On zaś nacierał coraz mocniej i mocniej, a każdy jego ruch napawał ją rozkoszą tak intensywną, że witała ją niskim, gardłowym jękiem. Poruszała się wraz z ukochanym, unosząc biodra, by mógł dotrzeć jeszcze głębiej, znowu i znowu. Ich rozkosz zdawała się nie mieć granic.

Tego nie można było wyrazić słowami ani określić żadnym terminem zrodzonym w ludzkim umyśle. Teraz rządziło jedynie ciało, istniała tylko zawierucha nowych doznań, przetaczających się nad nią, przeszywających ją raz za razem, jeszcze i jeszcze.

Gdy zaś kochanek z chrapliwym okrzykiem posiał w niej swoje ziarno, łzy nagle napłynęły jej do oczu.

To było takie cudowne... i skończyło się. Dlaczego musiało się skończyć? I jak zdoła bez tego żyć?

Przez chwilę leżeli spleceni ze sobą na kanapie, nie dość długiej i szerokiej, by mogli się na niej pomieścić, a jednak pomieścili się, choć nogi zwisały im po bokach. Ponieważ ciała mieli pokryte potem, a w dodatku wilgotne włosy opadły jej na twarz, Mariannę sądziła, że John nie zauważy jej niemądrych łez. Ale zauważył.

- Mariannę, moja najdroższa! Sprawilem ci ból? Potrząsnęła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

- Więc może żałujesz tego, cośmy zrobili? Czy zmusilem cię do czegoś, czego nie chciałaś, co napełniło cię wstrętem? O Boże! Nigdy sobie tego nie wybaczę! - mówił łamiącym się głosem.

To wreszcie skłoniło Mariannę do odezwania się, choć głos jej drżał.

- Ależ nie, kochanie moje! - uspokajała go, głaszcząc jego wygolony policzek i brodę z niewielkim dołkiem - To było zupełnie jak cud! Otarłam się o próg samego nieba! Ja po prostu... po prostu nie mogę znieść, że to się już skończyło!

Twarcz mu się rozjaśniła. Nachylił się i całował ją delikatnie, ścierał wargami ślady łez z jej policzków. Potem uśmiechnął się i powiedział:

- Nic prostszego! Zaraz to powtórzemy.

I zanim się zorientowała, o co chodzi, przyciągnął ją do siebie na kolana i zaczął pieścić nadal rozognione piersi. Aż dech jej zapało, tak gwałtownie zareagowała na te karesy.

- Tym razem nie załatwimy tego na chybcika - obiecał jej.

To miało być na chybcika?! Odpowiedziała mu uśmiechem i pojęła nagle, że mimo swego poprzedniego małżeństwa musi się jeszcze mocno podkształcić w sztuce kochania. Cóż to będzie za rozkoszna edukacja!

- Tym razem - powiedział, a w jego niskim głosie pobrzmiwała triumfalna nutka - musimy przepchnąć cię przez próg i przez złotą bramę, żebyś wylądowała w samym środku rajy!

Pieścił więc jej nagie piersi, aż drżała na całym ciele; kiedy zaś objął wargami ciemnoróżowe sutki, głośno jęknęła. Przeszywały ją rozkoszne dreszcze i myślała, że nie może już być cudowni jej szych doznań, póki John nie poświęcił równocześnie uwagi obu jej piersiom - pieszcząc jedną, a całując i drażniąc językiem drugą.

Sunął następnie dłońmi po jej ramionach, po udach i stopach. Nigdy nie przypuszczała, że stopa może być tak wrażliwa na pieścizoty! Z rozkoszą poddawała się zabiegom Johna masującego jej palce u nóg, podeszwy i podbicie. W dodatku uważał, by nie przyprawić jej o łaskotki!

Naprawdę jej zaimponował.

- Ależ ty się na tym znasz!

- Jak wiesz, mam bogaty i urozmaicony księgozbiór! - Uśmiechnął się szeroko, łącząc chłopcę swobodę z mądrością dojrzałego mężczyzny. -A poza tym od wielu tygodni marzyłem tylko o kochaniu się z tobą, darzeniu cię rozkoszą.

- Od wielu tygodni?

Jego ręka sunęła w górę po jej łydce, po wnętrzu uda władczo, pieścizotliwie, z drażniącą powolnością.

- Od wielu tygodni-potwierdził.

Ręka Johna dotarła do kępki ciemnych, kędzierzawych włosów tuż nad udami. Mariannę zdrząła. Przez chwilę przebierał palcami w ciemnej gęstwinie, a potem - gdy nie mogła już znieść potęgującego się napięcia - delikatnie zanurzył je głębiej.

Z ust Mariannę wydobył się cichy, nieartykułowany dźwięk. Pieścił ją tak długo, aż zapragnęła... nie przerwania tej cudownej igraszki, oczywiście!... ale czegoś, co będzie jej ukoronowaniem.

Przekonała się również, że i ona potrafi dawać rozkosz. Dotykała ustami jego piersi, całując i

pieszcząc językiem twarde mięśnie, stare blizny, płaskie sutki. Czowała satysfakcję, widząc, jakie wrażenie wywierają na nim jej zaloty, choć ani na chwilę nie przestawał jej pieścić, z pewnością i finezją. Gdy jednak ręka Mariannę powędrowała w dół, John cały się sprężył i wydał głęboki, gardłowy jęk.

Omali nie roześmiała się triumfalnie. A więc i ona może dawać rozkosz! Przez chwilę odwzajemniała więc tę, jaką on jej sprawiał, potem zaś szepnęła bez tchu:

- Teraz, Johnie! Proszę cię... teraz, już!

Wówczas przyciągnął ją i posadził na sobie. Usadowiła się swobodnie, zachwycona nową pozycją i zdumiewającymi nowymi doznaniem. Była półprzytomna z pożądania, toteż - gdy w nią wniknął - poczuła nieopisaną rozkosz. Docierały do niej cichutkie, gardłowe jęki, nie wiedziała jednak, że pochodzą z jej gardła.

Tym razem John poruszał się z początku bardzo wolno, panując nad sobą i nie dając się ponieść namiętności jak za pierwszym razem. Każdy jego ruch wewnątrz jej ciała wywoływał fale nowych zachwycających doznań. Mariannę była otulona jego miłością, zespalała się z nim cielesnie i duchowo, dostrzegała na jego urzeczonyj twarzy lustrzane odbicie własnych gwałtownych przeżyć. Ich biodra zwarte ze sobą poruszały się w jednym rytmie, a jednocząca ich rozkosz rozkwitała jak róża w blasku słońca. A jednak było to zaledwie preludium do najwyższych uniesień, kiedy dusza Mariannę unosiła się nad ziemią, wirowała jak drobinka pyłu w promieniach słońca, a ciało jej doznawało błogości, o jakiej nie miała dotąd pojęcia - aż zgłębiła samą istotę ekstazy.

Tym razem oboje równocześnie sięgnęli takich wyżyn, że dech w nich zamierał, a dusza pławiła się w nieopisaney, niemal przerażającej rozkoszy. John obejmował ukochaną tak mocno, że czuła każdy jego spazm, on zaś widział, jak ciało Mariannę pręży się w łuk, i słyszał jej krzyk. I wówczas zaczął ją całować raz po raz, aż oboje znieruchomieli.

John obejmował kochankę ramionami, jej głowa spoczywała na jego piersi. Nie mogąc wypowiedzieć słowa, Mariannę leżała na piersi Johna, czując, jak unosi się i opada w oddechu, a jego rozszalałe serce z wolna się uspokaja. Z zachwytem myślała o tym, co wspólnie przeżyli.

Nie miała pojęcia, że może być aż tak... Była osłabiona po miłosnym trudzie, rozgrzana i nasycona. W błogim rozleniwieniu pragnęła pozostać tak w jego ramionach na zawsze.

A jednak nie, pomyślała sennie, bo wówczas nie kochaliby się nigdy więcej. A ona zamierzała kochać się z nim jeszcze wiele, bardzo wiele razy!

Przez całą resztę życia, jeśli los pozwoli.

Po bardzo długim, rozkosznym milczeniu (minuty?... godziny?... lata?...) John podniósł rękę Mariannę do ust i ucałował z niezmierną delikatnością, zadziwiająco u kogoś tak niespożytych sił.

- Czuję się jak nowo narodzony - wyznał. - Jeśli dałem ci rozkosz, jeśli oboje doznaliśmy takiego szczęścia, to może nie jestem już potworem, za jakiego się uważałem?

Gdy spojrzała w jego pełne blasku oczy, serce wezbrało jej miłością.

- Nigdy nim nie byłeś - powiedziała po prostu. - Należysz do krainy słońca, najdroższy. Nie musisz kryć się w mroku!

John pomyślał, że nowo odkryte szczęście jest zbyt wielkie, by mogło się pomieścić w jego sercu. Z pewnością je rozsądzi! Objął Mariannę jeszcze mocniej i leżeli tak jedno przy drugim. Nieważne, że twarda kanapa piła go w plecy, że trochę sobie nadwreżył nie całkiem jeszcze zaleczone ramię. Otrzymał od losu najwspanialszy dar, o jakim nie śmiał marzyć, i nigdy już nie wypuści z rąk tego skarbu, chyba że całkiem straci czucie i siły.

Dopiero zapadając w lekki sen, przypomniał sobie z nagłym bólem, że przecież jutro Mariannę musi wyjechać.

Mariannę następnego ranka zbudziła się wcześniej. Zanim jeszcze otworzyła oczy, stwierdziła, że się uśmiecha. Jakaż mogła być przyczyna tej niezwyklej radości? Przeciągnęła się i poczuła miłe znużenie, którego nie doświadczała od lat, I nagle wróciła jej pamięć, a z nią fala radosnego uniesienia. Jakież cudowne były te kradzione godziny miłości! Zaraz jednak odezwało się poczucie winy.

Jeśli myliła się co do stanu uczuć siostrzenicy, jeśli nie była ona całkowicie obojętna wobec narzeczonego, to jak teraz zdoła spojrzeć Louisie w oczy?

A w dodatku obie musiały stąd odjechać. Jeszcze dziś.

Na tę myśl ogarnął ją ból tak wielki, że prawie nie do zniesienia.

Usiadła raptownie na łóżku. Na widok bladego światła, przenikającego do pokoju przez szparę między zasłonami, uświadomiła sobie, że jest jeszcze wcześniej; czuła jednak, że już nie zaśnie. Z westchnieniem zadzwoniła na pokojówkę i podeszła do umywalki, by umyć się w resztkę letniej wody z dzbanka.

Nieco później, gdy napiła się już herbaty i zjadła grzanekę, a Hackett pomogła jej się ubrać i upięła jej włosy w zwykły luźny węzeł, zagadnęła pokojówkę:

- Czy panna Louisa już wstała?

- Chyba nie, jaśnie pani - odparła służąca. - Jej pokojówka ciągle jeszcze leży w łóżku, bo ząb ją strasznie boli. A nikogo innego panienka nie wzywała do pomocy przy ubieraniu.

Mariannę skinęła głową. Doskonale! Lepiej mieć to już z głowy. Wkrótce wyruszą w drogę, a nieco później odbędzie ze swą podopieczną szczerą rozmowę. Podjąwszy tę decyzję i postanowiwszy wytrwać w niej, wyszła na korytarz, stanęła pod drzwiami pokoju Louisy i zastukała.

Nieotrzymawszy odpowiedzi, zastukała ponownie. W dalszym ciągu nic.

Czyżby Louisa spała aż tak twardo? Mariannę nacisnęła klamkę. Po otwarciu drzwi spostrzegła z niepokojem, że łóżko jest puste. Czyżby siostrzenica była w gotowni?

Jednak pospieszne oględziny ujawniły, że wszystkie pomieszczenia są puste. Gdzież więc podziewa się Louisa?!

I wówczas ujrzała list pozostawiony na gzymsie kominka, Kilka spiesnych kroków i była już przy nim. Chwyła list i stwierdziła, że jest przeznaczony dla niej. Serce na sekundę w niej zamarło.

- Dobry Boże! - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Czy to możliwe, by Louisa dowiedziała się o wydarzeniach ostatniej nocy?

- Hackett! - zawołała i dostrzegła w swym głosie nutkę przerażenia. Skoro tylko pokojówka zajrzała do pokoju, Mariannę poleciła jej: - Poproś tu natychmiast lorda Gillinghama!

Służąca znikła. Mariannę odetchnęła głęboko, wzięła znów list do ręki i zaczęła czytać.

Najdroższa ciociu Mariannę! - z pewnym trudem odcyfrowała bazgroły wymownie świadczące o wzburzeniu autorki listu, ~ Mam nadzieję, że nie pogniewasz się strasznie na mnie! Naprawdę się starałam, przysięgam, ale choć ogromnie szanuję i podziwiam lorda Gillinghama, nie mogę go poślubić. Jest taki szlachetny i dobry, i naprawdę doceniam jego troskę

o mnie. Nie chciałabym, żeby czuł się rozczarowany albo urażony, ale naprawdę nie czuję do niego tego, co powinna czuć żona.

Wiem, że postąpiłam bardzo nieładnie, najpierw przyjmując jego oświadczenia, a potem odtrącając go, ale naprawdę nie mogę wyjść za niego, tylko nie wiem, jak mu to powiedzieć. A do Francji nie pojedę za żadne skarby! Bardzo przepraszam. Wracam do Londynu, a stamtąd pojedę do Bath. Jak sama wszystko stryjowi wytłumaczę, z pewnością mnie zrozumie. Próbowałam to wyjaśnić w liście, ale to zbyt skomplikowane. Proszę, wybac mi, ciociu, i powiedz lordowi Gillinghamowi, że naprawdę mi przykro, że sprawiłam mu taki zawód.

Kilka ostatnich słów napisano bardzo drżącą ręką - zapewne z pośpiechu

I ze zdenerwowania. Zakończenie było prawie nieczytelne. Mariannę raczej się domyśliła, niż dowiedziała, że Louisa prosi, by nie martwić się o nią i zapewnia, że wszystko będzie dobrze.

Mariannę poczuła, że serce w niej zamiera. Czy to możliwe, by jej siostrzenica uciekła, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, tylko dlatego, żeby uniknąć rozmowy twarzą w twarz i kłopotliwych wyjaśnień? Miała równocześnie ochotę gorąco uściskać Louise i potrząsnąć nią z całej siły!

Rozległo się stukanie do drzwi. Mariannę podniosła wzrok i ujrzała Johna stojącego na progu i zagląającego do pokoju.

- Co się stało?

Mariannę zawahała się, niepewna jak John zareaguje na wieść o zerwaniu zaręczyn przez Louise. To prawda, że nie miał ochoty zenić się z nią, ale zawsze...

Coś w wyrazie twarzy Mariannę musiało uprzedzić Gillinghama, że sprawa jest poważna. Wyciągnął stanowczym gestem rękę. Wolałaby w jakiś sposób złagodzić cios, ale wyraz twarzy Johna był władczy, a spojrzenie posępne. Przygryzła więc wargę i nie sprzeciwiała się, gdy wyjął jej list z rąk i szybko zapoznał się z jego treścią.

Stał przez chwilę oparty o gzyms kominka. Milczenie przedłużało się.

— Co za ironia losu, nieprawdaż? - powiedział cicho. - Ja się tu zamartwiam, jakby najdelikatniej dać jej do zrozumienia, że nie powinniśmy się pobierać...

— Johnie... - zaczęła Mariannę z niepokojem. Ruchem ręki rozproszył jej obawy.

- Mniejsza z tym! Ja także mam nowiny i obawiam się, że nie najlepsze. Jeden z ogrodników zauważył ślady drabiny po zewnętrznej stronie muru, w pobliżu sadu.

- Co takiego?!

- I ślad na murawie, jakby ktoś włókł za sobą tę drabinę. Zamierzałem właśnie zapoznać się bliżej z tą sprawą.

Mariannę wpatrywała się w niego oczyma rozszerzonymi z przerażenia.

- O Boże! Louisa mogła wpaść prosto w łapy mordercy! Musimy ją odnaleźć, Johnie! Natychmiast!

- Oczywiście - przytaknął.

Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów, ona zaś pobiegła za nim, Na parterze czekało już kilku służących. Jak widać, Gillingham zdążył ich zawezwać. Wydawał żywo rozkazy, maskując władczym tonem nurtujący go niepokój.

Mariannę trudniej było ukryć zdenerwowanie, starała się jednak opanować. Gdyby dostała ataku hysterii, nie pomogłoby to z pewnością Louise.

- Zbadam dokładnie ślady - powiedział John, gdy służba rozbiegła się wykonać jego polecenia. - Wysłałem moich ludzi na zachodni i wschodni kraniec posiadłości. Trzeba też zasięgnąć języka w stróżówce przy głównej bramie wjazdowej. Sam powinienem wziąć stróża na spytki, ale...

- Ja to zrobię! - zaofiarowała się natychmiast Mariannę rada, że może zrobić coś pożytecznego.

- Weź ze sobą lokaja - przestrzegł ją. - Nie powinnaś być sama. Skinęła głową potakująco i w towarzystwie jednego z młodszych lokajów,

którzy pozostali nieco w tyle za pierwszą grupą, wybiegła przez drzwi frontowe i popędziła długim podjazdem w stronę bramy.

Wyminąwszy ostami zakręt, ujrzeni na końcu drogi niewielki kamienny domek. Mieszkał w nim i pilnował bramy wiekowy sługa uwolniony już od cięższych obowiązków. Był siwy i głuchy, toteż markiz zawsze bardzo głośno dobijał się do bramy, a stangretowi kazał dąć w róg.

Brama była jak zwykle zamknięta. Mariannę i lokaj zaczęli energicznie stukać do drzwi stróżówki. Staruszek przyczłapał do nich, otworzył i bardzo się zdziwił.

- Widzieliście dziś pannę Crookshank? - spytała Mariannę bez żadnych wstępów.

Stróż spojrział na nią zdezorientowany.

- Ta młoda dama z jasnymi włosami, która gości u markiza - wyjaśniła, starając się mówić powoli i wyraźnie. - Widzieliście ją?

- Ano widziałem, proszę łaski pani - odparł po dłuższej chwili staruszek. Trzeba było widocznie sporo czasu, by informacja dotarła do przyćmionego

już umysłu, ten zaś wysłał odpowiedni impuls cienkim, zaciśniętym wargom. - Wyszła se panienka raniutko na spacer tego ranka. Grzecznie mnie poprosiła, to żem jej otworzył bramę. Poprosiła i otworzył. Nic prostszego! Mariannę odetchnęła głęboko. Dokąd też udała się Louisa? Nie zamierzała chyba wracać na piechotę do Londynu?!

- Czy tędy kursuje londyński dyliżans? - spytała stróża, ale gapił się tylko na nią, mrugając oczami.

Bezradnie zwróciła się do lokaja, który okazał się lepiej poinformowany.

- Tędy nie, proszę jaśnie pani. Ale przejeżdża przez Little Brookside. To spora wieś przy tej drodze, dobre pięć mil stąd.

Mariannę podjęła decyzję.

- Wracaj do domu i powtórz jego lordowskiej mości to, czegośmy się tu dowiedzieli. Potem niech zaprzęgną czym prędzej do powozu i wracaj tu z woźnicą co koń wyskoczy. Musimy czym prędzej dotrzeć do tej wsi i poszukać tam panny Crookshank. Spraw się żywo! Zaczekam tu, aż wrócisz z powozem.

- Słucham, jaśnie pani!

Lokaj okręcił się na pięcie i pomknął podjazdem w stronę dworu. Mariannę wiedziała, że droga powrotna i zaprzęgnięcie koni do powozu zajmie dobrych kilka minut, ale zawsze będzie prędzej, niż gdyby wyruszyli do Little Brookside na piechotę. Tymczasem przechadzała się nerwowo w tę i z powrotem, usiłując zebrać myśli.

- Moglibyście otworzyć i dla mnie bramę? Bardzo proszę - zwróciła się do stróża.

Staruszek pokuśtykał do bramy i otworzył żelazne zasuwę.

Mariannę rozejrzała się dokoła i po raz pierwszy zauważyła ledwie już widoczną, zarośniętą ścieżkę, biegnącą wśród drzew po drugiej stronie drogi. Zwróciła się znów do starego stróża, który siedział teraz na przyzbie swego domku z fajką w ręku.

- Tam po drugiej stronie drogi jest ścieżka? - spytała.

- Ano jest-przytaknął.

- A dokąd prowadzi? - spytała ponownie.

Wydobywanie wiadomości ze staruszka było wyjątkowo niewdzięcznym zadaniem.

- Ano do wsi. Na skróty - odparł, pykając fajeczkę. Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Do Little Brookside? I szybciej tam zajdę, niż drogą? Stary skinął głową.

- Ile mil trzeba będzie przejść?

- A ze dwie. Ino trza przeleźć przez strugę.

- Panna Crookshank pewnie o tę ścieżkę nie pytała?

- Pytała, a jakże! - odparł bardzo z siebie zadowolony. Mariannę miała ochotę wrzasnąć na niego z irytacji.

- To czemuście mi o tym nie powiedzieli? Spojrział na nią ze zdumieniem.

- A bo to jaśnie pani pytała?

- Słuchajcie teraz uważnie - powiedziała, zaciskając dłonie, by nie chwycić staruszka i nie potrząsnąć nim jak krnąbrnym dzieckiem. - Jak lokaj wróci, powiedzcie mu, że poszłam ścieżką, żeby dogonić pannę Crookshank. Lokaj niech jedzie co koń wyskoczy do Little Brookside, bo może panna Crookshank już tam jest. I niech pilnuje dyliżansu do Londynu, jeśli już nie odjechał.

Stary skinął głową. Ciekawe, ile z tego zrozumiał i co zapamięta?

- Jeszcze jedno, jak dawno otwieraliście dla niej bramę? Spojrzał na słońce.

- A wcześniej było. '

Mariannę odetchnęła głęboko. Czego się mogła spodziewać?! Pewnie w stróżówce nie ma zegara.

Przeszła na drugą stronę drogi i idąc wąską ścieżką, zagłębiła się w las. Wchodząc w gęstwinię, pozostawiła za sobą jaskrawe słoneczne światło. Wszędzie wokół niej panował półmrok cętkowany plamkami światła. Czuła intensywny zapach butwiejących liści i świeżą woń młodej zieleni, które mieszały się ze sobą w podmuchach wiatru, który buszował po lesie.

Złociste promienie przenikały gdzieś tam przez gęste listowie szeleszczące na wietrze, tworząc ulotne kompozycje światłocienia. W takim oświetleniu nierówna powierzchnia ścieżki była bardzo źle widoczna. Mariannę miała ochotę puścić się biegiem i pędzić co sił, ale obawiała się skrócić kostkę na jakimś wystającym korzeniu czy potknąć się o chybotliwy kamień. Patrzyła więc uważnie pod nogi i szła tak szybko, jak to było możliwe w podobnych okolicznościach.

Ptaki nad jej głową świergotały, od czasu do czasu zrywając się w popłochu, gdy gałązka zatrzeszczała zbyt głośno pod jej stopą. Wiewiórki na jej widok umykały na sarni czubek drzewa. Mignęła jej nawet ruda lisia kita

powiewająca jak proporzec, gdy zwierzę przemknęło przez ścieżkę i znikło wśród drzew.

Zasapana z pośpiechu Mariannę zastanawiała się, czy jej trudy mają w ogóle jakiś sens. Louisa prawdopodobnie dotarła już do Little Brookside, może nawet zdążyła wsiąść do londyńskiego dyliżansu. Ale znajdą ją, muszą ją znaleźć, dobry Boże, zanim doścignie ją ten nieznany prześladowca!

A wtedy już ona powie Louisie bez ogródek, co myśli o jej idiotycznym zachowaniu!

Z trudem chwytając dech, Mariannę spieszyła dalej. Pomyślała właśnie, że z pewnością znajduje się już w pobliżu Little Brookside, gdy minawszy kolejny zakręt, ujrzała przed sobą dwie postacie.

I stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Louisa!

Na widok drugiej postaci zimny dreszcz przebiegł Mariannę od stóp do głów. Był to mężczyzna, niezbyt dobrze widoczny w cieniu. Stał bardzo blisko Louisy i trzymał ją za rękę. Żeby mu nie uciekła?

Louisa wstała bardzo wcześnie, w łagodnym półmroku tuż przed wschodem słońca. Ubrała się bez pomocy. Kazała swej pokojówce zostać tego ranka w łóżku i udawać straszny ból zęba. Nie wątpiła w lojalność Ewy, ale nie była pewna, czy dziewczyna niechęć z czymś się nie wygada. Zresztą dwóm osobom znacznie trudniej byłoby wymknąć się niepostrzeżenie z domu.

Ubrawszy się, Louisa narzuciła lekką wełnianą pelerynę, na paluszkach zeszła po schodach na parter i otworzyła frontowe drzwi. Gdy biegła podjazdem, włosy jeżyły się jej ze strachu, że ktoś mógłby akurat wyjrzeć przez okno, spostrzec ją i podnieść wrzawę. Nic jednak nie mąciło ciszy, rześkie powietrze chłodziło jej twarz, a słońce świeciło coraz jaśniej.

Kiedy Louisa minęła pierwszy zakręt i nikt od strony dworu nie mógł już jej dojrzeć zza drzew, zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu. Zeszła na pobocze drogi i wyciągnęła ukrytą za wysokim dębem niewielką torbę oraz pudło do kapeluszy. Wieczorem spakowała kilka niezbędnych rzeczy, a Eva chyłkiem wyniosła je z domu i ukryła w umówionym miejscu.

Tak więc Louisa, wyposażona w drugą suknię na zmianę, nocną koszulę, szczoteczki i proszek do zębów, szczotkę do włosów i niewielkie lusterko, gotowa była stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom tego świata.

Żelazna brama na końcu podjazdu nie stanowiła większej przeszkody. Ładny uśmiech i grzeczna prośba sprawiły, że stary stróż otworzył bramę. Louisa milutko mu podziękowała, spytała o najkrótszą drogę do wsi i znalazła się na wolności.

Popatrzyła na drogę. Ani z prawa, ani z lewa nikt nie jechał. Przebiegła więc na drugą stronę i wąską ścieżką ruszyła przez las.

Trawa porastająca ledwie widoczną dróżkę była wilgotna od rosy. Wkrótce obrąbek sukni Louisy całkiem przemókł. Ale choć od czasu do czasu zaszeleściło coś w leśnym poszyciu, przyprowadzając dziewczynę o bicie serca, czasem znów podskoczyła nerwowo zaskoczona głośnym „krrra, krraa” wrony, ogólnie rzecz biorąc, Louisa czuła, że kamień spadł jej z serca. Nie będzie już musiała wyjść za markiza! Jeśli do tej pory nie znaleźli jej listu, to z pewnością wkrótce go znajdą. A przede wszystkim nie da się żywcem pogrzebać w jakiejś zapadłej francuskiej dziurze!

Zatrzymała się, słysząc trzask łamanej gałązki. Ktoś tu szedł! Z zapartym tchem czekała, aż nadchodzący wyłoni się zza drzew. A potem puściła się biegiem i rzuciła mu się na szyję.

Bliska paniki Mariannę rozejrzała się za jakimś kamieniem, którym mogłaby cisnąć w nieznajomego, lub za czymś innym, co mogłoby odwrócić jego uwagę i dać Louisie szansę ucieczki. Niestety, jednak na poszyciu leśnym nie było nawet złamanej gałęzi, którą mogłaby dać nieznajomemu po łbie.

Nagle Louisa spojrzała w jej kierunku i twarz jej się rozjaśniła na widok ciotki.

Mariannę pomachała do niej ręką, chcąc w ten sposób dać dziewczynie znak, by się nie odzywała. Porywacz nie dostrzegł jeszcze nadciągającej odsieczy i Mariannę zamierzała wykorzystać w pełni moment zaskoczenia.

Louisa jednak odezwała się, i to całkiem normalnym głosem:

- To ty, ciociu Mariannę? Czyżbyś mnie szukała?

Cóż za idiotyczne pytanie! Mariannę przyspieszyła kroku, ale zaraz stanęła jak wryta. Rozpoznała towarzyszącego Louisie mężczyznę. Był to ktoś, kogo zupełnie się nie spodziewała!

- Sir Lucas?! .

Młody człowiek zmieszał się i zaczerwienił na widok Mariannę. Louisa puściła jego rękę, by mógł ukłonić się, jak należy.

- Oczywiście że to on! Bardzo jesteś na mnie zła, najdroższa cioteczko? - spytała Louisa niezbyt pewnym głosem; gdyby nie to i lekki rumieniec, wyglądałaby na uosobienie niewinności.

- Zła?! Mam ochotę cię udusić! - warknęła Mariannę, ale widząc, jak dziewczynie rzadnie mina westchnęła: - Nie jestem na ciebie zła, Louiso. Odczuwam wielką ulgę, odnajdując cię całą i zdrową. Ale jak mogłaś tak lekkomyślnie wymknąć się z domu i spotkać się z sir Lucasem w lesie? Chyba nie zamierzasz uciec z nim do Gretna Green?!

Sir Lucas popatrzył na nią z najwyższym zdumieniem.

- Do Gretna Green?! Skądże znowu!

- Wracamy do Bath, jak ci pisałam, ciociu - zapewniła ją Louisa. - Mamy zamiar się pobrać, ale przyzwoicie! Wcale sobie nie życzę, żeby dawał nam ślub jakiś kowal! A w dodatku miałabym zrezygnować z sukni ślubnej?! Też coś!

Wydawała się wręcz przerażona taką perspektywą.

- Przyzwoicie?! - syknęła Mariannę rozsierdzona do żywego. - I ty śmiesz mówić o przyzwoitości?! Wybierasz się w podróż sam na sam z mężczyzną...

- Już zgodziłem dziewczynę ze wsi, żeby pojechała z nami jako pokojówka Louisy -zapewnił Mariannę Lucas wręcz urażony jej podejrzaniem. -Proszę mi wierzyć, zadbałem o to, by nic nie groziło reputacji Louisy!

- A jej życiu? - odparowała Mariannę. - Nad tym też się pan zastanowił? Louisa obruszyła się.

- Wcale nie uważam, że niebezpieczeństwo jest takie wielkie! -oznajmiła z uporem. - Jeden czy drugi zbieg okoliczności, nie ma o co robić krzyku!

Mariannę wciągnęła powietrze głęboko w płuca, ale dziewczyna trajkotała dalej:

- Bardzo mi przykro, ciociu Mariannę, ale za żadne skarby nie wyjadę teraz do Francji.

Zwłaszcza do jakiejś zabitej deskami dziury! Byłoby tam zupełnie jak tu, tylko jeszcze gorzej, bo, mimo starań mojej guwernantki, nie umiałabym się dogadać z Francuzami!

- Ależ, Louiso! Co ty chcesz osiągnąć swym oślim uporem? Stryj Charles będzie z pewnością strasznie zły!

- Właśnie dlatego muszę z nim porozmawiać osobiście - oświadczyła Louisa takim tonem, jakby to było coś oczywistego. - Jestem pewna, że mi wybaczy i zrozumie, że chcę tylko wrócić do Londynu!

- Jeśli sobie wyobrażasz, że znów cię wezmę pod opiekę! - Mariannę zmarszczyła brwi. - Doprawdy, to już przekracza wszelkie granice!

Mina Louisy jakimś cudem wyrażała skruchę, nie tracąc nic ze swej determinacji. Było to niemałe osiągnięcie i gdyby Mariannę nie kipiła z gniewu, nawet by jej zaimponował ten wyczyn siostrzenicy.

- Lucas powiada, że jego ciotka z Londynu prawie na pewno zaprosi mnie, żebym ją odwiedziła. Przyznasz chyba, ciociu, że nie jestem kłopotliwym gościem?

Uśmiechnęła się słodko, Mariannę zaś kompletnie zamurowało,

- Musimy wracać do domu - powiedziała, odzyskawszy mowę. - Trzeba powiadomić markiza, że nic ci się nie stało.

Nagle odezwał się jakiś ptak, a Mariannę zamilkła na widok dżentelmena, który żwawym krokiem zmierzał w ich kierunku. Trzymał pod pachą jakiś długi, wąski przedmiot, osłonięty płócienną płachtą.

Czyżby to była strzelba?

Gniew Mariannę zgasł, zastąpił go strach. Dała znak dwojgu młodym ludziom, by uciekali.

Nim jednak pojęli, o co jej chodzi, nieznajomy podszedł całkiem blisko i zwrócił się do nich:

- Dzień dobry! Czy ta droga prowadzi do majątku markiza Gillinghama? Mariannę spojrzała na niego groźnie.

- Wolno spytać, kim pan jest i na co panu ta informacja?

- Chcę się z nim zobaczyć- odparł z całkowitą szczerością nieznajomy. -Jestem krewnym jego przyszej żony. Nazywam się Alton Crookshank.

17

Nie mogę... To znaczy... nie wolno panu...

Ale twarz Crookshanka przybrała nagle groźny wyraz. Ostrzegawczym gestem wznosił rękę do góry.

- Nie ruszać się! - rzucił rozkazującym tonem.

Mariannę znieruchomiła w obawie, że w razie jej nieposłuszeństwa ten człowiek wyrządzi jakąś krzywdę Louisie. Dziewczyna zbladła. O, dobry Boże! - bezgłośnie wzywała ratunku Mariannę. Johnie, gdzie jesteś?! Louisa wpadła prosto w ręce swego prześladowcy.

Ręce Lucasa zacisnęły się w pięści. Zaraz rzucił się na starszego mężczyznę.

Zamiast jednak wycelować w Louisę lufę swej zamaskowanej broni, profesor Crookshank z zadziwiającą zwinnością zrzucił okrywającą ją płachtę i wydobył spod niej jakiś długi kijek. Wywinął nim ponad głowę i z błyskawiczną szybkością opuścił na ziemię.

Lucas, który zrobił już krok w stronę profesora, zatrzymał się zupełnie zdezorientowany.

Rozszerzonymi oczami Mariannę śledziła rozwój wypadków. Crookshank odwrócił kijek, zakończony -jak się okazało - gęstą siatką, w której trzepotał się jakiś drobny obiekt.

- Celastrina argiolus... Prześliczny okaz! -stwierdził z podziwem w głosie. - Co za szczęście, że zabrałem ze sobą siatkę!

- Po co... po co panu siatka?

- Do zbierania rzadkich okazów, oczywiście. Muszę teraz jak najszybciej wydobyć z niej i unieruchomić moją najnowszą zdobycz. Inaczej całkiem sobie połamię skrzydła.

Mariannę miała wrażenie, że wszyscy powariowali. O czym ten człowiek mówi? Potem

przyjrzała się uważniej i dostrzegła uwięzionego w siatce małego, srebrno-niebieskiego motyla.

- I po to pan tu przyjechał? - spytała natarczywie kolekcjonera.

- No, niezupełnie... Markiz Gillingham przyrzekł wielkodusznie dotację na moje prace badawcze. Odwiedził mnie w Londynie, ale gdy udałem się z rewizytą do jego miejskiej rezydencji, powiedziano mi, że wyjechał na wieś. Na szczęście, adres i nazwę wiejskiej posiadłości Gillinghamów znalazłem w jednej z książek poświęconej arystokratycznym rodom.

No, tośmy się rzeczywiście ukryli przed całym światem! - pomyślała Mariannę.

- Państwo wybaczą, ale muszę natychmiast wrócić do zajazdu. Wizytę jego lordowskiej mości złożę nieco później.

Niosąc pieczołowicie swą nową zdobycz, profesor Crookshank ruszył w przeciwnym kierunku.

- Dobrze się czujesz? - Mariannę podbiegła do siostrzenicy.

- Oczywiście! - odparła Louisa, wspierając się jednakowoż na ramieniu swego adoratora.

Sir Lucas nadal spoglądał w osłupieniu za oddalającym się profesorem.

- Czy on ma źle w głowie? Starszy człowiek, a ugania się za motylami! Mariannę czuła tak olbrzymią ulgę, że chciało się jej równocześnie śmiać i płakać.

- Masz więcej szczęścia niż rozumu, Louiso! Ten twój krewniak mógł być naprawdę złoczyńcą, za jakiego go uważaliśmy.

Urwała nagle, uświadomiwszy sobie, jak przedstawia się obecnie sytuacja. Jeśli to nie Alton Crookshank wystrzelił z pistoletu na londyńskim skwerze, jeśli to nie on spłoszył konia w Hyde Parku, to któż to uczynił?

Poczuła zimny dreszcz.

A jeśli John nie został postrzelony przez pomyłkę? Kiedy Louisa beztrąsko włóczyła się po lesie, nikt tego nie wykorzystał! Kula raniła Johna, bo była przeznaczona dla niego? O Boże! Czyżbyśmy się mylili od początku i wcale nie Louisa jest zagrożona?

Serce biło jej na alarm.

- Wracam do domu - oznajmiła młodej parze. - Lucasic, odprowadź Louisę do rezydencji Gillinghama i przestańcie się zachowywać jak dwójka krnąbrnych dzieci! Wszystko da się załatwić po waszej myśli. Lord Gillingham z pewnością nie życzy sobie żony z przymusu! Ale nie mam teraz czasu na dyskusję z wami. Lękam się, że niebezpieczeństwo jest jak najbardziej realne, ale grozi markizowi!

Powiedziawszy to, podkasała spódnicą i puściła się biegiem.

Myślała, że nigdy nie dotrze do domu. Raz musiała się zatrzymać, bo całkiem jej zabrakło tchu, a potem na przemian to szła, to biegła, póki nie znalazła się znów w majątku Gillinghama. Kiedy wreszcie ujrzała przed sobą dom, wbiegła pędem do środka.

- Czy jego lordowska mość wrócił? - spytała pokojówkę.

- Jeszcze nie, jaśnie pani - odparła zdziwiona służąca.

- Musimy go czym prędzej znaleźć! - oświadczyła stanowczo Mariannę. - Obawiam się, że grozi mu niebezpieczeństwo! Czy w murze jest od tyłu druga furtka?

- Tak, proszę jaśnie pani - odparła służąca. - Koło sadu, od zachodniej strony.

- Chodź ze mną!

Pospiesznie wybiegła z domu, wracając myślą do planu Johna. Jak daleko mógł dotrzeć? Minęły najbardziej reprezentacyjną część dworskiego parku, potem ogród różany z boku domu, potem ogródek warzywny z równiutkimi grządkami jarzyn na potrzeby dworskiej kuchni. W końcu Mariannę zatrzymała się zdyszana, z kolką w boku. Tuż przed nią znajdował się sad położony na samym końcu dworskich gruntów. Ujrzała też Johna: stał w pobliżu jednego z drzew... dziwnie sztywno, nienaturalnie...

Był też ktoś drugi.

Mariannę przejął lodowaty dreszcz. To, co zobaczyła, odebrało jej mowę.

Wyobrażała sobie tajemniczego wroga jako krzepkiego mężczyznę, a tymczasem...

Pod jabłonią stała młoda dziewczyna w troszkę pogniecionym, ale bardzo przyzwoitym stroju ~ brązowym kostiumie podróżnym. Nie wyglądała na służącą. Mariannę była pewna, że nigdy w życiu nie widziała tej kobiety. Twarz miała szarą jak popiół, wykrzywioną; w wielkich oczach malowało się napięcie i rozpacz. W rękę ścisnęła pistolet.

- Ma broń! - szepnęła do pokojówki, która też zrobiła wielkie oczy. - Biegnij po pomoc!

Służąca kiwnęła głową i pobiegła co sił w nogach. Nieznajoma kobieta nie dostrzegła chyba zbliżających się kobiet. Zdawała się widzieć tylko Johna.

On natomiast ujrzał Mariannę i serce w nim zamarło. Podeszła tak blisko! Wystarczy, by jego prześladowczym nieco obróciła głowę.

Wracaj, najdroższa moja! - zaklinał Mariannę w myślach. Wracaj do domu! Ona jednak nie cofnęła się, więc zaczął mówić pospiesznie, chcąc całkowicie przykuć uwagę uzbrojonej dziewczyny.

- W pierwszej chwili nie poznałem pani, choć twarz wydała mi się znajoma - zwrócił się do niej. - Ale teraz już wiem. Spotkaliśmy się pierwszego dnia po moim przybyciu do Londynu. Jest pani wnuczką sir Silasa Raraburta, nieprawdaż? Chciałem mu złożyć swe uszanowanie, ale od pani dowiedziałem się, że jest chory.

Nie odpowiedziała, ale zależało mu na tym, by nie odwróciła głowy, więc ciągnął dalej. Przez głowę przeleciało mu kolejne wspomnienie.

- Spotkałem panią raz jeszcze, choć wówczas sobie tego nie uświadomiłem. To było w parku, wtedy, gdy koń omal nie stratował panny Crookshank.

Młoda kobieta nadal wpatrywała się w niego, jakby czekając na dalszy ciąg. Ten wzrok sprawił, że w mózgu Johna kawałki łamigłówek zaczęły układać się w spójną całość.

- To była pani! — John postąpił o krok, a dziewczyna szybko uniosła swój staroświecki pistolet nieco wyżej. - To pani spłoszyła konia! Miał stratować mnie, nieprawdaż? A kiedy się nie udało... Czy to pani kula przeszła mi ramię?

Skinęła głową.

- Miała przeszyć serce.

Jej martwy wzrok koncentrował się nadal na jego osobie. To do niego mierzyła z pistoletu. To on, zawsze on był celem jej ataków!

Ku przerażeniu Johna Mariannę wysunęła się do przodu. Młoda kobieta odwróciła się i natychmiast wycelowała w nią broń.

Do Mariannę, która zatrzymała się kilka kroków przed nieznajomą, najwidoczniej również dotarła prawda.

- Wcale nie chodziło o Louise, prawda? Ona od początku chciała zabić ciebie, Johnie! Tylko dlaczego?

- Czemu pani chce mnie zabić? - spytał John, z wielkim trudem panując nad głosem. - Co pani przyjdzie z mojej śmierci?

Prawdę mówiąc, nic spodziewał się odpowiedzi, ale coś nagle zamigotało w martwych oczach i dziewczyna przemówiła z większą pasją niż kiedykolwiek przedtem.

- To i tak za mała kara dla ciebie, taka szybka i łatwa śmierć!

Pistolet drżał w jej ręce, ale na szczęście znów celowała w niego, nie w Mariannę, mi.

W głosie napastniczki brzmiała dzika zawziętość pozostająca w sprzeczności z jej skromnym, przyzwoitym wyglądem. Czyżby kompletnie postradła zmysły?

- Mój dziadek musiał umierać znacznie ciężiej i dłużej. To nie była szybka kula z pistoletu, lecz wlokąca się bez końca agonია. Los nie oszczędził mu żadnego cierpienia, nim wreszcie dwa tygodnie temu wyzionął ducha. Na jego pogrzebie nie było nikogo prócz mnie,

proboszcza i kilku służących.

- Bardzo mi przykro to słyszeć - zaczął John. - Gdyby mnie pani zawiadomiła. ..

- Doprawdy sądzi pan, milordzie, że chciałabym ujrzeć pana nad jego grobem?!

Dziewczyna wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Sądzę, że napięcie wywołane długą chorobą dziadka i trudem pielęgnowania go zakłóciły jasność pani myślenia - powiedział łagodnie.

- Nie ma pan pojęcia, co musiałam oglądać, w jakich straszliwych męczarniach konał! Śmierć to nic strasznego, jeśli jest czysta, szybka i prosta. I to mogę panu zagwarantować. Powinien mi pan być wdzięczny, milordzie!

- Ale czemu w ogóle miałby umierać?! - wtrąciła Mariannę z pełną niepokojem, rozgorączkowaną twarzą. - To przecież nie ma sensu!

- Ponieważ jest synem swojego ojca. Tamtego nie mogę zabić, bo już nie żyje - odparła dziewczyna głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu.

Znów cień mojego ojca zdołał mnie dosięgnąć i splugawić! - pomyślał John; zaraz jednak potrząsnął głową i odpędził od siebie tę myśl.

Panna Ramburt wzięła widocznie ten ruch za znak protestu, gdyż podniosła głos.

- Wiem od dziadka, że markiz Gillingham był wszystkim winien! Dziadek powiedział mi... no, może nie do mnie to mówił. W delirium przeżywał znów dawne dni, gdy siedł za przykładem pańskiego ojca, przeklętego markiza, do każdej jaskini hazardu, każdego szynku, każdego burdelu w najbardziej zakazanych zakątkach Londynu. Właśnie tam dopadła go ta przeklęta zaraza!

- On też zaraził się ospą? - spytała Mariannę.

Panna Ramburt, która była zapewne w wieku Louisy, ale przeżyła okropności, o jakich ta nie miała pojęcia, potrząsnęła głową. . '

- Nic nie rozumiesz, idiotko! To była franca!

Franca... - pomyślał John z mdlącym poczuciem bezsilności. Francuska choroba, zwana przez medyków syfilisem, szerzyła się wśród ulicznic i rozpustników, którzy się z nimi zadawali. Nie było na nią żadnego lekarstwa. Zabijała ofiary powoli, przez całe lata tocząc jak czerw ich ciała i umysły. A ta młoda dziewczyna... w początkach upadku moralnego dziadka jeszcze dziecko, była przy nim i obserwowała z przerażeniem, jak jej jedyny krewny umiera po kawałku. Przez te wszystkie lata wspólnego cierpienia snuła widocznie plany zemsty.

- Chciała pani zabić mojego ojca - powiedział powoli. - A dowiedziawszy się o jego śmierci, postanowiła pani zabić mnie zamiast niego?

- Ktoś musi za to przecież zapłacić! Ręka trzymająca pistolet zadrżała.

- Nie może pani tego zrobić! - Mariannę podniosła głos, jakby chciała w ten sposób przebić się przez mgłę zaćmiewającą umysł dziewczyny równocześnie półprzytomnej i niesłuchanie skoncentrowanej. - Nawet jeśli to, co mówił dziadek, jest prawdą, to był przecież dorosłym człowiekiem, nie musiał wstępować w ślady swego kompana! A choćby poprzedni markiz Gillingham ponosił część winy, to z pewnością nie John ciągnął pani dziadka do tych jaskiń rozpusty i straszliwej choroby!

- Panno Ramburt, niech się pani zastanowi, co chce zrobić. Wątpię, by naprawdę zależało pani na mojej śmierci - dodał John.

Jednak sam już nie wierzył w to, co mówi. Z mdlącą pustką w żołądku myślał o tym, że utraci dopiero co poznane rozkosze i miłość, na którą czekał przez całe życie. Jeśli ta dziewczyna zabije go tutaj, w tej chwili...

im

Desperackim wysiłkiem wyrwał się z paraliżującej go rozpacz. Nieważne, czy sam umrze. Musi ocalić Mariannę!

- Kiedy spostrzegłam, że jest pan oszpecony, ogarnęła mnie radość -mamrotała dziewczyna. - To była sprawiedliwa kara, ale niewystarczająca. Jest pan nadal dość zdrów, by cieszyć się

życiem; jeść, pić i odwiedzać swoje przyjaciółki. Jak dobrze się pan bawił wtedy w Hyde Parku! Nie mogę na to pozwolić! Ktoś musi zapłacić za cierpienia mojego dziadka!

- Powieszają cię za to! - wykrzyknęła Mariannę.

Miała zapewne nadzieję, że taki szok przywróci dziewczynę do świadomości. Jednak panna Ramburt unosiła się ponad realnym światem, w oparach rozpacz.

Miała czarne cienie pod oczami, głębokie zmarszczki na czole i choć była rówieśnicą Louisy, wyglądała dziesięć lat starzej. Jak okrutnie los ją potraktował, pomyślał John.

- Nie zdołasz zabić nas obojga - perswadowała dalej Mariannę. - A w pobliżu kręci się mnóstwo służby. Z pewnością ktoś pozostanie przy życiu i podniesie alarm. Nie wolno ci tego zrobić! Pozbawiono cię normalnego dzieciństwa, chcesz zaprzepaścić resztę swego życia? Twój dziadek leży już w grobie, i niechże tam spoczywa w pokoju, a ty wróć do żywych, postaraj się wykorzystać to, co ci pozostało. Jeśli nie masz pieniędzy, pomożemy ci. Odbądź żalobę po dziadku, ale postaraj się otrząsnąć z bólu. Możesz znów być szczęśliwa, zapomnij tylko o zemście!

Mariannę znów postąpiła o krok. Broń zaciśnięta w drżącej dłoni zawahała się, nim skierowała się ku niej. Ryzyko było jednak zbyt wielkie, toteż John wysunął się również do przodu. Lufa pistoletu natychmiast zwróciła się ku niemu.

- Dobrze wiem, co to uczucia rodzinne, ile w nich splątanej miłości i nienawiści-powiedział. - Mój ojciec wywarł wpływ i na moje życie. Nie przyniosło to nic dobrego. Niech pani nie pozwoli, by nienawiść dziadka albo jego szaleństwo zatruiły i zniszczyły pani życie, panno Ramburt! Niechże pani obierze własną, lepszą ścieżkę!

Zamrugła oczyma i uniosła broń. Markiz miał wrażenie, że nacisnęła cyngiel, ale widać w ostatnim ułamku sekundy zawahała się.

Nagle niewielkie stworzenie rzuciło się ku niej z zajadłym warczeniem. Dziewczyna drgnęła i zwróciła się w stronę nowego przeciwnika. John wykorzystał ten moment, przyskoczył do niej i nie chcąc szarpać się, odwrócił tylko pistolet lufą do ziemi.

Huk wystrzału zagrzmiał jak straszliwy grzmot. Proch strzelniczy oparzył Johnowi rękę. Zaklął pod nosem, Mariannę z przerażeniem w głosie wykrzyknęła jego imię - i w tym samym momencie jeden ze służących skoczył markizowi na pomoc.

We dwóch z lokajem obezwładnili pannę Ramburt, która szamotała się i wrywała. Mały spaniel nie puszczał jej spódnicy i robił, co mógł, by ugryźć dziewczynę w nogę.

- Leżeć, Mała! - rozstrzygnął sprawę John. - Dobry pies, dobry... ale dość już tego!

Z wyraźnym rozczarowaniem suczka odstała, ciężko dysząc.

- Nie, nie! Ja muszę... muszę...

I nagle maska nienaturalnej dorosłości i powagi opadła z jej twarzy i dziewczyna zaniósła się głośnym szlochem przerażonego dziecka, które obudziło się w nieznanym, przerażającym miejscu.

Mariannę podbiegła do ukochanego; dotykała jego twarzy i zdrowego ramienia, by sprawdzić, że nic złego mu się nie stało, że nadal żyje.

- Nic mi nie jest - zapewniał ją szeptem. - Kula poszła w ziemię. Dłoń go piekła, ale oparzenia od prochu nie były poważne. Otrząsnąwszy się ze strachu, Mariannę objęła pannę Ramburt i głaskała ją

delikatnie, gdy niedoszła morderczyni wypłakiwała się na jej ramieniu. Na dźwięk wystrzału zbiegło się więcej służby. Markiz skinął na lokajów.

- Zaprowadźcie ją do domu i wezwijcie doktora. Niech się nią zajmie jak najprędzej.

- Powiedzcie mojej pokojówce - dodała Mariannę - że ma doglądać panny Ramburt. Bardzo mi na tym zależy. Nie wolno jej zostawiać samej ani na sekundę, rozumiecie?

Służący skinęli głowami. Wydawali się całkiem zdezorientowani; nie było w tym zresztą nic dziwnego.

- Nie jest przy zdrowych zmysłach, więc miejcie się przez cały czas na baczności. Ale

traktujcie ją łagodnie i z respektem.

Zabrano pannę Ramburt. Mariannę była niemal równie blada, toteż John objął ją ramionami.

- Myślałam, że cię stracę... właśnie teraz, kiedy się odnaleźliśmy - szepnęła. - Och, John! Gdybyś zginął, nie przeżyłabym tego!

- Ale jestem przy tobie - powiedział, całując ją w czubek głowy. - I tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, najdroższa! No, chodźmy i my do domu.

Podał Mariannę zdrowe ramię; w drugiej ręce ostrożnie niósł pistolet. Ruszyli bez pośpiechu w stronę dworu.

- Znalazłaś Louise?

Kiwnęła głową, a potem opowiedziała mu całą historią..

- Odeślemy tę parę młodych głupców do Londynu w moim powozie — zawyrokował John. - No, no! Wystraszyłem już niemało panienek, ale tym razem zakrawa to na farsę!

Kiedy dotarli wreszcie do domu, Mariannę udała się na górę, by sprawdzić, jak się miewa nieszczęsna panna Ramburt. John postanowił czekać w salonie na powrót ukochanej.

Wrócili także sir Lucas i nieco zawstydzona Louisa. Markiz odesłał ich do jadalni na mocno spóźnione śniadanie. Uznał, że bidzie to dla nich wystarczająca kara za głupie pomysły.

Kiedy Mariannę wróciła, nalał jej i sobie po kieliszku wina. .

- Załamała się pod zbyt ciężkim brzemieniem. Jak okropne musiało być pielęgnowanie dziadka w tej strasznej chorobie— powiedział. - Obawiam się, że co do złego wpływu mojego ojca miała całkowitą rację. Był w młodości wyjątkowym rozpustnikiem!

- Jakie straszne życie miała ta biedaczka! - westchnęła Marianna. Siedzieli w zgodnym milczeniu, póki nie zjawił się doktor. John, który

znał go od lat, wyszedł mu na powitanie i pokrótce zapoznał z całą sprawą. Lekarz był tęgim mężczyzną, budzącym zaufanie i rzeczowym. Wszedłszy do gościnnego pokoju, przemówił łagodnie do leżącej na łóżku panny Ramburt, popatrzył jej uważnie w oczy i zbadał puls. Potem wyjął z torby odpowiednie składniki i przyrządził napój, po którym -jak zapewnił - chora spokojnie zaśnie.

John pozostawił doktora z pacjentką. Po pewnym czasie lekarz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Jej umysł jest rzeczywiście zmacony -potwierdził. -Nic można zostawiać jej bez opieki. Gotowa wyrządzić sobie krzywdę. Zwątpiła w słuszność celu, który jej od dawna przyświecał. Jest teraz pogrążona w głębokim żalu po śmierci najbliższej osoby. Podejrzewam, że tłumiała w sobie nawet to całkiem naturalne uczucie.

- Czy ona kiedyś wyzdrowieje? - spytała Mariannę, która przyłączyła się do nich, by wysłuchać diagnozy.

Doktor zacisnął na chwilę wargi, po czym odparł ostrożnie:

- Tego, niestety, nie potrafię państwu powiedzieć. Wiem tylko tyle, że powinna być pod nieustanną opieką, we dnie i w nocy. Dla własnego dobra i dla bezpieczeństwa innych.

John pomyślał o pistolecie, z którego panna Ramburt dwukrotnie strzelała, i skinął potakująco głową. Wydał odpowiednie rozkazy służbie, po czym

zszedł na dół z doktorem, który przemył i obandażował mu poparzoną rękę. Mariannę przez ten czas zajrzała znów do panny Ramburt. Potem doktor pożegnał się, obiecując przybyć nazajutrz.

Niebawem Mariannę zeszała do biblioteki, gdzie John siedział już przy biurku zawalonym stosem dokumentów i ksiąg gospodarskich. Nie zajmował się jednak nimi, tylko czymś, co trzymał w ręku. Kiedy podniósł wzrok na Mariannę, zauważył, że jest bardzo niespokojna.

- Co cię dręczy, moja miła?

- Johnie, jeśli jej sienie poprawi... nie odeślesz jej do Bedlam? Słyszałam straszne rzeczy o tym szpitalu, to podobno przerażające miejsce!

Skinął głową ze zrozumieniem. Słowo „szpital" stanowczo było zbyt szumnym mianem dla

tego nieprawdopodobnie zatłoczonego przytułku dla chorych umysłowo. O tym, że ci nieszczęśnicy nie mają tam ani opieki lekarskiej, ani podstawowych wygód, wiedzieli wszyscy.

- Nie, nie! Nigdy bym jej nie skazał na podobną egzystencję. I tak już przeszła przez piekło - zapewnił Mariannę, - Jeśli to, co odziedziczyła po dziadku, nie wystarczy na zapewnienie jej godziwych warunków, sam zadbam, żeby je miała; wystaram się o prywatne pielęgniarki i strażniczki. Znajdziemy dla niej domek na odludziu, może nad morzem, spokojne, miłe miejsce, gdzie stan jej umysłu mógłby z czasem ulec poprawie.

Twarz Mariannę rozpogodziła się. Podeszła do markiza i położyła mu rękę na ramieniu.

- Jakiś ty dobry, Johnie - powiedziała. - Nie masz pojęcia, jak się bałam! Nakrył jej rękę swoją obandażowaną dłonią.

- Ja także - wyznał. - Chyba nieprędko zapomnimy o tym dniu!

- To wina jej choroby, wiem, ale miałeś przez nią bardzo ciężkie przejścia - westchnęła.

John potrząsnął jednak głową.

- Ogólnie rzecz biorąc, chyba wyszło mi to na dobre - stwierdził. Mariannę spojrzęła na niego ze zdumieniem.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, o czym mówiła panna Ramburt. Biedny stary sir Si-las, umierający po kawałku, uwięziony w klatce niedołączającego ciała i umysłu. Widzisz, ja skazałem samego siebie na podobne więzienie. Odciałem się od świata i od ludzi. Ale z tym już koniec! Ujrzysz nareszcie miejsca, o których tak marzyłeś.

Podniósł rękę i zobaczyła teraz, co w niej trzyma. Była to książka otwarta na rycinie przedstawiającej egipski posąg.

- Ale... ale ty nie możesz znieść tłumów! Nigdy nie zażądam od ciebie takiego poświęcenia - zaprotestowała. - Oboje wiemy, że można poznawać świat za pomocą książek. Potrafię się tym zadowolić.

- Po co miałabyś wyrzekać się takiej radości? - spytał. - Na cóż mi teraz wątpliwa aprobata obcych ludzi, kiedy mam cię przy sobie każdego dnia? Jak długo będą miał pewność, że kochasz mnie takim, jaki jestem, nie obchodzi mnie, że ktoś inny spogląda na mnie krzywym okiem!

Spojrzęła na niego zaskoczona.

- Jesteś tego pewien, najdroższy?

Skinął głową.

- Kiedy po raz pierwszy rozważałem wyjazd do Londynu, wydawało mi się, że biorą na swe barki nieznośny ciężar. A po przybyciu każda chwila, każda godzina była dla mnie ciężką próbą. Marzyłem tylko o tym, by wrócić do domu, zamknąć się w bibliotece, szczelnie zasłonić okna i zapomnieć o reszcie świata, To była moja jedyna ucieczka. Ale teraz, gdy myślę o podróży razem z tobą, wyobrażam sobie, jaka to będzie radość ujrzeć zachwyty w twoich oczach, gdy będziemy ręką w rękę przechadzać się po Galerii Zwierciadlanej w Wersalu albo ośmielimy się wstąpić w mrok jednej ze starożytnych piramid. Myślę, że rozpoczniemy nasz miodowy miesiąc w Paryżu, najdroższa, a potem udamy się tam, gdzie nas oczy poniosą. Póki przy mnie jesteś, wszędzie będę czuł się pewnie.

- Oh, najdroższy! Jakiś ty cudowny!

- Tylko nie powtarzaj mi za często, jak bardzo mnie podziwiasz i szanujesz - ostrzegł - bo zacznę podejrzewać, że wkrótce druga narzeczona puści mnie kantem!

Ze śmiechem objęła go tak mocno, że się skrzywił z bólu. Natychmiast odsunęła się i delikatnie pogładziła nie całkiem jeszcze wyleczone ramię.

- Zdrowiej jak najszybciej, kochany! Musimy tyle rzeczy zaplanować... Przewertuję wszystkie moje atlasy i dzienniki podróży.

- Przede wszystkim pomyśl o weselu - przypomniał jej z szerokim uśmiechem. - To również

trzeba starannie zaplanować. Nie zamierzam obywać się bez ciebie ani godziny dłużej, niż będzie to absolutnie konieczne. Znajdziesz przyzwoitkę dla swojej ślicznej siostrzenicy? Bo mimo jej...

Zawahał się, więc Mariannę żywo podsunęła:

- ...wrodzonej słodczy?

- Owszem, i wszelkich innych zalet, przyznam, że gdyby nadal nam towarzyszyła, chyba bym ją udusił, żeby wreszcie przestała gadać! A już w żadnym wypadku nie może być z nami podczas podróży poślubnej!

Mariannę zachichotała i pospiesznie go ucałowała.

- Louisa ma własne plany, niech się więc ich trzyma! Bardzo możliwe, że także ma już w planie wesele. Będzie więc musiała wrócić do Bath, by wszystkiego osobiście dopilnować. Zresztą zapowiedzi też tam wyjdą; i ona, i sir Lucas stamtąd pochodzą.

- Prawda! - John zamrugał oczyma, rozważając rozmaite niezbędne formalności. Przez ileż to niedziel ogłasza się z ambony zapowiedzi? - Ale my postaramy się o specjalne pozwolenie i załatwimy sprawę znacznie szybciej. I tak już zbyt długo czekaliśmy!

Znów go pocałowała, on zaś chwycił ją mocno w ramiona. Do diabła z raną, przecież się już zabliznia! Tym razem ich uścisk nie był ani przelotny, ani pospieszny.